FUGA
WIT SZOSTAK
powergraph

FUGA

WIT SZOSTAK

powergraph

Warszawa 2019

Wit Szostak
Fuga

ISBN: 978-83-66178-19-9

Wydawca:
Powergraph
ul. Cegłowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2012-2019 by Wit Szostak
Copyright © 2019 by Powergraph
Copyright © 2019 for the cover by Patrycja Podkościelny
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Patrycja Podkościelny
Fotografia autora: Mikołaj Starzyński
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączna dystrybucja:

Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

Fuga I

Fuga II

Fuga IIIa

Fuga IIIb

Fuga IV

Fuga Va

Fuga Vb

Fuga VI

Fuga VII

Fuga VIII - niedokończona

Fuga I

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i jestem ostatnim królem Polski. Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem. Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś. Tu spędzę resztę życia. Wspinam się mozolnie stopień za stopniem. Noga ciągle boli. Pożegnałem żonę.

Jestem ostatnim królem Polski i przez całe swoje życie godność tę pełniłem z honorem, służąc memu krajowi, jak potrafiłem najlepiej. Nie zawsze było to łatwe, gdyż obecna sytuacja nie sprzyja rządom monarchy tak jak dawniej. Ale mimo to nie ustawałem w swych wysiłkach i nigdy nie pozwoliłem się zmarginalizować. Za swą nieustępliwość zapłaciłem wysoką cenę.

Noga ciągle boli, mimo że od zamachu minęło wiele tygodni. Nie mam za złe moim prześladowcom, gdyż swoim czynem sami siebie skrzywdzili o wiele bardziej niż mnie.

Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem, choć może powinienem nadal służyć mej Ojczyźnie. Przez ostatnie miesiące pracowałem intensywnie nad nową konstytucją, która ostatecznie ugruntowałaby władzę królewską. Tyle spraw zostało do załatwienia, tyle rad do przekazania licznym urzędnikom.

Pożegnałem żonę, królową Zofię, i wracam do mieszkania dziadków. Wspinam się mozolnie stopień za stopniem.

Noga ciągle boli, mimo że lekarze obiecywali poprawę. Ci, którzy stali za zamachem, dobrze wiedzieli, że w ten sposób pozbawią mnie wpływu na najważniejsze sprawy w państwie. Choć teraz wiem, że chcieli zabić.

Jestem ostatnim królem Polski, lecz w szpitalu dotarło do mnie, że być może nigdy nie będę mógł zejść do grobowców królewskich. A bez tego moja władza stanie się iluzoryczna.

Uświadomiłem to sobie na oddziale dla ozdrowieńców, kiedy podczas długich szpitalnych nocy usiłowałem ułożyć w głowie wszystkie elementy układanki. Wydarzenia poprzedzające wypadek nie pozostawiały cienia wątpliwości i mimo ciemności na sali przeniknąłem cały sens tego, co mnie spotkało. Na Wawelu mówiono o wypadku, ale nawet pobieżna analiza faktów musi skłonić każdego, kto chce się zaliczać do grona ludzi inteligentnych, do uznania hipotezy zamachu. Za zamachem zapewne stał spisek, który snuto za moimi plecami przez długie tygodnie, a może miesiące, starannie wyczekując odpowiedniego momentu, by uderzyć. Kimkolwiek są, wreszcie im się udało.

Noga ciągle boli, mozolnie wspinam się stopień za stopniem. Stare drewniane schody skrzypią, rozeschnięte. Czuję w powietrzu ten sam zapach, który pamiętam z dzieciństwa. Mieszanina kurzu i starości, która otulała tajemnice sprzed lat.

Mozolnie wspinam się stopień za stopniem. Pamiętam jak dziś, że wbiegałem po nich tyle razy, nie musząc liczyć, ile kroków jeszcze pozostało. Młode nogi przeskakiwały po dwa stopnie, w dół i w górę, zdrowe ciało nie znało ograniczeń.

Wracam do mieszkania dziadków, w którym nikogo nie było od lat.

Jestem ostatnim królem Polski i zapewne tylko z tego powodu stałem się celem tylu nikczemnych i podłych działań różnych ludzi niewielkiego formatu. Owego feralnego dnia opuściłem salę tronową ostatni. Odprawiłem współpracowników, a sam oddałem się refleksjom, których przedmiotem była Polska. Przechadzałem się po komnacie, wyglądając na pogrążający się w mroku dziedziniec. Ucichły rozmowy prowadzone za drzwiami i oddaliły się wszelkie kroki. Wawel układał się do snu. Była już noc, gdy opuściłem salę tronową, by udać się na spoczynek. W pałacu panowała ciemność. Wymacałem na ścianie kontakt, ale światło nie chciało

się zapalić. Ruszyłem na pamięć, opuszkami palców dotykając ściany. Chodziłem tymi korytarzami przez tyle lat, znałem wszystkie zakręty i progi, wielokrotnie przeliczyłem wszystkie stopnie marmurowych klatek schodowych. Szedłem pewnie, ale ostrożnie, zanurzając się w ciemność. Czułem, że za chwilę dotrę do krawędzi schodów. Jednak zanim to nastąpiło, moja obuta w miękki pantofel stopa poślizgnęła się, a ja runąłem w dół i straciłem przytomność.

Noga ciągle boli i bolała, kiedy się ocknąłem. Wokół mnie pełno było ludzi, a lekarze w białych kitlach szykowali się, by przenieść mnie na nosze. Na ostrym dyżurze okazało się, że mam złamaną lewą nogę, cały jestem poobijany, a na głowie wyrósł mi bolący, pulsujący guz.

Ktoś wyłączył prąd w pałacu. Ktoś zostawił śliskie schody. Zamachowcy dobrze wiedzieli, gdzie zastawić na mnie pułapkę. Poczekali do zmroku i zapewne w napięciu czekali, aż opuszczę salę tronową. Znali dokładnie mój rozkład dnia, wiedzieli, którędy udam się na spoczynek. Pewnie planowali to od tygodni, spiskując po wawelskich komnatach. Ci sami ludzie uśmiechali się do mnie codziennie, witali i zagadywali o zdrowie. Razem z nimi jadłem drugie śniadanie i obiad, z nimi często rozmawiałem po całym dniu swej pracy. Liczyli, że spadając ze schodów, złamię kark. Ale ja ciągle żyję.

Noga ciągle boli, a ja mozolnie wspinam się stopień za stopniem. Liczę każdy krok i widzę, ile jeszcze dzieli mnie od drzwi mieszkania moich dziadków. Tu spędzę resztę życia, bo postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryć się przed ludzkim wzrokiem.

Pożegnałem żonę, królową Zofię, choć ona odeszła bez słowa.

Wracam do mieszkania dziadków, w którym nie byłem od niemal dwudziestu lat. Jakim je zastanę? Czy znajdę w nim meble, które pamiętam jasno i wyraźnie z dzieciństwa? Czy za drzwiami zobaczę tylko zakurzone przestrzenie starej pustki? Wydaje mi się, że pamiętam je jak dziś. Ale czy pamięć nie płata mi figli, podsuwając wykrzywione przez lata obrazy?

Noga ciągle boli, mimo długiej rehabilitacji. Szpital nauczył mnie, jak sobie radzić z bólem. Nie chodzi jednak o tabletki i środki znieczulające. Niech służba zdrowia zachowa je dla moich poddanych. Jestem ostatnim królem Polski i nauczyłem się żyć z bólem. To kwestia godności.

Jestem ostatnim królem Polski i podczas długiej rekonwalescencji postanowiłem, że usunę się z życia mojego Narodu. Być może ten zamach to był znak; być może powinienem był zrezygnować już wcześniej, oddając stery władzy. Może przegapiłem wiele sygnałów, które wysyłał mi zewsząd świat? Może powinienem był odgadnąć nastroje społeczne z twarzy ludzi, którzy przewijali się przez salę tronową, wychwycić zmiany w głosie moich współpracowników, kiedy rozmawialiśmy niezobowiązująco, patrząc na położony u naszych stóp Kraków? Najczęściej człowiek nie dostrzega tych drobnych zmian, które zachodzą w jego świecie, a są znakami, by podjąć ważne decyzje.

Noga ciągle boli i pogodziłem się z tym, że ten ból będzie mi towarzyszył do końca. Szpitalne łóżko jest miejscem, które uczy pokory. Ludzka bezradność, cierpienie, które otacza człowieka, to wszystko sprawia, że rzeczy stają cię czymś innym, niż nam się wcześniej wydawało. Już w karetce powiedziałem lekarzowi, zażądałem wręcz, by nie dawano mnie do izolatki, tylko położono ze zwykłymi pacjentami. Wzruszył ramionami, ale kiedy obudziłem się z narkozy po operacji, podczas której składano moją pogruchotaną upadkiem nogę, z zadowoleniem spostrzegłem, że obok mnie leżą inni współbracia w cierpieniu, prości ludzie. Nie byłem zamknięty w złotej klatce, tylko dzieliłem mój ból z rodakami. Ta solidarność w odczuwanych niedogodnościach bardzo mnie podbudowała i odtąd znosiłem moje dolegliwości z radością i wewnętrzną siłą.

Jestem ostatnim królem Polski, lecz postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem. Naród, który podnosi rękę na monarchę, nie jest godny, by mieć króla. Naród, który rodzi królobójców, choćby tak nieporadnych, sam wydaje na siebie wyrok. Ten naród, który przygotował na mnie zamach, sam zdecydował, że woli być rządzony przez ludzi małych i nikczemnych. Ukryję się przed ludzkim wzrokiem, a wtedy

wszyscy zobaczą, co utracili. Zmiany będą następowały stopniowo, bo dobrze wyregulowany mechanizm nie przestaje działać z dnia na dzień. Moim rodakom będzie się żyło coraz gorzej, wszystko wokoło zacznie się psuć. Będą odczuwać rosnący niepokój, którego przyczyny nie odkryją. Świat będzie się stawał coraz bardziej szary, z każdym dniem tracąc barwy. Ale sami wybrali.

Noga ciągle boli, choć lekarze obiecywali poprawę. Po dwóch miesiącach ściągnięto mi gips i rozpoczęła się żmudna rekonwalescencja. Codziennie odwiedzał mnie rehabilitant, który męczył mnie bolesnymi i żmudnymi ćwiczeniami. Znosiłem je jednak ze spokojem, gdyż wiedziałem, że za jego surowymi poleceniami kryje się troska o moje zdrowie. Nam obydwu zależało przecież na tym, bym powrócił do dawnej sprawności.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę.

Jestem ostatnim królem Polski, lecz postanowiłem porzucić zaszczyty. Byłem pewien, że chcę odejść. Po zamachu nic już mnie nie trzymało na tronie. Przyjaciele zawiedli, naród zdradził. Pożegnałem żonę, królową Zofię, i nic mnie nie łączyło z tamtym światem, który żył swoimi dworskimi intrygami w wawelskich komnatach. Mogłem odejść.

Jednak nie jest łatwo monarsze zniknąć ze świata, ukryć się przed ludzkim wzrokiem. Dlatego w głowie mojej zaczął kiełkować sekretny plan, który dojrzewał podczas długich szpitalnych dni.

Noga ciągle boli, choć przecież wykonywałem wszystkie zadane ćwiczenia, nawet bez obecności rehabilitanta. Widać coś się źle zrosło i do końca życia będzie mi towarzyszył ból, przypominający o tym, że brzemię władzy nie jest lekkie.

W tym okresie zaniechałem golenia, obmyślając w najdrobniejszych szczegółach swój sekretny plan. Po kilku tygodniach tak zarosłem, że moja twarz zmieniła się nie do poznania. Już wcześniej postanowiłem nie informować innych pacjentów o swej prawdziwej tożsamości, a oni, zajęci bez reszty własnym cierpieniem, nie dostrzegli we mnie króla Polski. Dla nich byłem po prostu panem Bartkiem, i cieszyłem się z tej zażyłości. Moi

współpracownicy byli na tyle dyskretni, że odwiedzając mnie, mówili szeptem i dzięki temu mogłem zachować błogosławioną anonimowość w świecie, gdzie ludzie sławni nie mają w ogóle życia prywatnego. Kiedy jednak po dwóch miesiącach od mego wypadku, który będę konsekwentnie nazywał zamachem, na naszą salę przyszedł nowy pacjent, pierwsze, co zrobiłem, to przywitałem go pytaniem: „Poznajesz mnie?”. Wpatrywał się w moją twarz przez dłuższą chwilę, a w jego oczach widziałem zakłopotanie. Radowałem się z tego skrycie i wiedziałem, że po kilku chwilach będzie musiał odpowiedzieć, że nie. Brodaty, z długimi włosami, wychudzony przez chorobę, stałem się cieniem samego siebie. Przyjąłem to z radością.

Noga ciągle boli i mozolnie wspinam się stopień za stopniem. Może powinienem był zarzucić mój plan lub odłożyć go do czasu, kiedy rekonwalescencja zakończy się ostatecznie? Teraz już za późno na takie rozważania. Wracam do mieszkania dziadków, które jest tak blisko. Zostawiłem za sobą całe moje życie i nie mam do niego powrotu.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę, chorobę egzotyczną i zarazem swojską, przyniesioną z Zachodu i zakorzenioną u nas od pokoleń.

Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem. Teraz muszę się tego trzymać. Plan był bardzo prosty. Kiedy tylko na tyle wydobrzeję, że będę mógł chodzić o własnych siłach, narzucę na piżamę swój płaszcz i w tajemnicy przed innymi opuszczę szpital. Zrobię to wieczorem, kiedy ostatni goście wracają do domów, szczęśliwi, że nie muszą spędzać nocy przy łóżkach chorych bliskich. Widziałem ich twarze pełne ulgi, kiedy wstawali z metalowych stołeczków, odprawiani przez swych krewnych. Ruszali lekko do wyjścia, wracając do swego życia, które toczyło się poza murami szpitala.

Obmyśliłem, że wymknę się wraz z nimi, chytrze wymijając personel i ochronę. Na ulicy Kopernika wmieszam się w tłum i powoli zagubię wśród krakowskich ulic. W kieszeni płaszcza miałem pęk kluczy, a wśród nich jeden do mieszkania moich dziadków, o którym nikt poza mną nie

wiedział. Tam mnie nikt nie będzie szukał, tam zniknę z ludzkich oczu. Nigdy nie wrócę na Wawel, nie dam znaku życia mym współpracownikom.

Najpierw rozpoczną się poszukiwania, ale i one ustaną, nie przynosząc żadnego rezultatu. Przestaną mnie szukać, zapomną, a ja, uwolniony od dźwiganego przez lata brzemienia, dożyję swoich dni w mieszkaniu po dziadkach.

Wracam do mieszkania dziadków, ale o tym nikt nie wie, bo zgubiłem wszystkich tropiących i zatarłem wszystkie ślady. Wielokrotnie sprawdzałem, czy nikt mnie nie śledzi, pozwalałem się mijać przechodniom, udając, że podziwiam witryny sklepów i gniazda w koronach drzew. Lata sprawowania władzy nauczyły mnie dostrzegać wszystkie śliskie metody służb specjalnych. Ominąłem więc wszystkie pułapki i wymazałem się z ludzkiego życia. Rozpłynąłem się w krakowskim powietrzu: szary, zarośnięty, kulawy człowiek, ostatni król Polski.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę. Musiała się nią zarazić podczas studiów, podczas tych długich rozmów przy wódce i winie, które ciągną się po świt, nie znając umiaru; podczas których powieki się kleją, dialektyka wspina się na wyżyny, których potem nikt nie pamięta, a przedmioty i słowa tracą swe kontury. Wtedy, kiedy młody organizm jest najbardziej osłabiony, choroba znajduje do niego przystęp, przychodzi w odcieniach szarości, niewidzialna i cicha. Zagnieżdża się w ciele i powoli pustoszy wnętrze, przyczajając się przez lata w okolicach wątroby.

Wracam do mieszkania dziadków, które znajduje się w kamienicy przy ulicy S., bo nazwę ulicy też zatarłem, by nikt mnie nie odnalazł. I będą błądzić moi prześladowcy po krakowskich ulicach S., których jest legion, bo cały Kraków jest pocięty ulicami S., a przy jednej z nich stoi kamienica, w której kryje się mieszkanie moich dziadków.

Noga ciągle boli, ale nie mogę już zawrócić. Wracam do mieszkania dziadków. Pożegnałem żonę i tu spędzę resztę życia. Szary, kulawy i nierozpoznany.

Jestem ostatnim królem Polski i choć zostałem namaszczony na monarchę wiele lat temu, to powołanie dojrzewało we mnie długo. Nie byłem gotowy, by przejąć rządy nad mymi rodakami i długo wzbraniałem się przed tą odpowiedzialnością. Bałem się też rządu dusz, jaki niechybnie przypadłby mi w udziale, gdyż jest to odpowiedzialność jeszcze większa. Ci, którzy o tym marzą, nie wiedzą, na jaką śmiałość sobie pozwalają. Tylko człowiek pyszny i pozbawiony zmysłu krytycznego może sądzić, że ma w swoim wnętrzu prawdy godne objawienia; tylko taki człowiek może uważać, że jego idee, pielęgnowane przez lata, godne są, by narzucić je poddanym. Natomiast człowiek naprawdę wielkiego formatu waha się i odrzuca od siebie myśl, by mógł panować nad duszami i umysłami innych, często słabszych i mniej rozgarniętych.

Takie wątpliwości towarzyszyły i mnie; i długo walczyłem ze sobą, mocując się z własnymi demonami, długo dojrzewałem, aby wreszcie odkryć w sobie moc, by wypełnić testament moich przodków. Nie chciałem być królem, broniłem się przed tym i wielokrotnie udawałem, że nie mnie wyznaczono do tej roli. Ale trudno uciec przed przeznaczeniem, choćby człowiek próbował umknąć na koniec świata. W końcu uznałem, że muszę ponieść ten ciężar. I chwila, kiedy zobaczyłem to z całą jasnością, była dla mnie gorzka i słodka zarazem. Znałem już wagę brzemienia. Ale też decyzja moja, suwerenna i dojrzała, była chwilą największej mej wolności. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie czułem się tak wolny jak wtedy. Powiedziałem swoje wewnętrzne „tak” i byłem przez ten moment nie tylko królem Polski, ale i królem świata.

Późniejsze trudy mego rządzenia sprawiły, że chwila owa zbladła w mej pamięci. Ale w momentach największego zwątpienia zawsze do niej wracałem i wtedy to wspomnienie rozjarzało się niczym gwiazda, która wskazuje drogę strudzonemu i zbłąkanemu wędrowcowi.

Postanowiłem porzucić zaszczyty, bo nie ma w moim życiu nic, co by przypominało tamtą chwilę. Pożegnałem żonę, noga ciągle boli.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę. Najpierw pustka zjadła jej wolę, kawałek po kawałku. Zofia coraz bardziej nie chciała; najpierw nie chciała rzeczy drobnych, jak niewielkie przyjemności, których doświadczamy poza domem. Przestała spacerować po mieście, patrzyć na

łabędzie, które pływały po Wiśle, przestała odwiedzać sklepy i galerie pełne zakurzonych obrazów. Przestała chcieć chodzić do restauracji, przestała chcieć siadać w ogródkach krakowskich kawiarni przy filiżance espresso.

Wracam do mieszkania dziadków w kamienicy przy ulicy S. i sam już nie wiem, gdzie ona jest, ale nie muszę wiedzieć, bo przecież wspinam się po jej schodach, mozolnie i stopień za stopniem, noga ciągle mnie boli.

Noga ciągle boli, muszę przystanąć na chwilę na półpiętrze. Za mną kilkanaście schodów, niewiele, ale każdy stopień przybliża mnie do celu. Każdy stopień prowadzi mnie do mieszkania, gdzie przed laty żyli moi dziadkowie, każdy stopień przybliża mnie do chwili, kiedy ostatecznie ukryję się przed ludźmi. Ta decyzja też wymagała dojrzałości.

Pożegnałem żonę, która umierała na pustkę długo, powoli wycofując się z życia, nie chcąc najpierw rzeczy niekoniecznych, a potem rzeczy niezbędnych; nie chciała jedzenia i picia, potem nie chciała wstawać z łóżka i oddychała bardzo rzadko. Pustka rosła, choć pustka rosnąć nie może i czułem, że ciało Zofii staje się coraz lżejsze i lżejsze, napełnione pustką, chorobą egzotyczną i zarazem swojską.

Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem, by przeżyć resztę życia w spokoju. Bez tego ciężaru odpowiedzialności, który przecież sam przyjąłem na barki wiele lat temu. Służyłem mojemu narodowi, najlepiej jak umiałem; wymijałem liczne rafy, na które wiatry rzucały moją łódeczkę i przez te wszystkie lata nie troszczyłem się o swoje własne dobro. Moim dobrem było dobro moich poddanych, którzy dzięki mym wysiłkom nie musieli się już troszczyć o Polskę. Budowali swoje domy, kosili trawę w ogródkach, wymieniali meble i sprzęty gospodarstwa domowego na nowe. Ich spokój i niewinność były możliwe dzięki mojej pracy i działaniom. Dyskretnie troszczyłem się o nich, jak rodzic, który przykrywa śpiące dziecko, by nie zmarzło. Oni mogli spać spokojnie; ja musiałem czuwać, gdyż ja byłem ich królem.

A teraz odchodzę, zostawiając Polskę innym ludziom. Może nie będą mieli tyle mądrości co ja, tyle przenikliwości i wrażliwości na los mego narodu. Ale zostawiam mój kraj w dobrym stanie i myślę sobie, że nawet

nieudolni włodarze, którzy przyjdą po mnie, nieprędko zepsują to, co ja przez kilkanaście lat budowałem. A w końcu naród zrozumie, jakich ludzi ma sobie wybierać do rządzenia.

Jestem zmęczony.

Pożegnałem żonę, która umierała na pustkę w naszej podmiejskiej posiadłości w Przegorzałach, bo nie chciała umierać w zgiełku wawelskiego dworu. Królowa Zofia z początku wychodziła na ganek opleciony winoroślą, dającą cierpkie owoce. Siadała na wiklinowym fotelu owinięta szlafrokiem, a ja trzymałem ją za rękę, żeby nie zabrał jej podmuch letniego wiatru. A potem nie wychodziła już nigdzie, tylko leżała w naszym łożu, patrząc na chmury przepływające za oknem.

Wracam do mieszkania moich dziadków. Tu spędzę resztę życia, gdzie będę się cieszył spokojnym losem osoby prywatnej. Nie znają mnie tu, gdyż nie przypominam samego siebie sprzed kilku tygodni, a co dopiero siebie sprzed wielu lat. Nawet jeśli żyją jeszcze dawni sąsiedzi, nawet jeśli ich pamięć nie jest pomieszana chorobami starości, to nie rozpoznają w tym zmęczonym utykającym człowieku chłopca w krótkich spodenkach, który przed laty biegał po tych samych schodach i bawił się na podwórku. Stałem się nikim i bardzo mnie cieszy ten stan. Może spiszę swoje wspomnienia, gdyż przez te lata nazbierało się tego wiele? Może warto zachować dla potomności zawiłe koleje mego życia, moją walkę, toczone bitwy, zwycięstwa, ale też porażki, których nie oszczędzał mi los? Może warto pokazać cały ten bojowy szlak, który przeszedłem niemal samotnie, skazany na siebie i własne decyzje? Siądę przy biurku dziadka, wyciągnę z szuflady jego wieczne pióro i drobnym pismem zapełnię pożółkłe kartki, których kilka ryz musiało zostać w szafce pod oknem.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę. Po tym, jak już wyciekła z niej wola, która wyparowała porami skóry i wyleciała przez niedomknięte usta, pustka zabrała jej spojrzenie. Patrzyła na mnie niewidzącymi oczami, nie byłem już jej Bartłomiejem, nikim nie byłem, bo nie zatrzymywała na mnie wzroku. Jej spojrzenie było puste, a więc go nie było; na dnie oczu przysiadła szklista nicość.

Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś, choć czuję, że oglądałem je po raz ostatni wieki temu.

Pożegnałem żonę, która umierała na pustkę przez kilka miesięcy, z każdym dniem mniejsza i bardziej pusta, niepodobna do siebie i przeźroczysta jak zimowe powietrze. Topniała jak śnieg, a pustka zabierała ją w swe nieprzeniknione otchłanie, gdzie nie ma nic, nawet pustki.

Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś, choć zapewne jest to złudzenie.

Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę we śnie, nie śniąc nic i nic nie wiedząc, nie mając już siebie i mnie, nic nie mając, nie tylko woli i spojrzenia. Umarła cicho i bezszelestnie, niewidocznie, tak jak żyła przez ostatnie tygodnie. O poranku zgarnąłem jej prochy do srebrnej urny, która pomieściła to, co zostało po królowej Zofii.

Wracam do mieszkania dziadków, które widzę jasno i wyraźnie, choć moja pamięć może mnie zwodzić, koślawiąc obrazy sprzed lat. Pamiętam długi korytarz, szeroki i ciemny, skazany na światło, które wpadało przez otwarte drzwi do pokojów. Wzdłuż ścian stały szafy na ubrania, rzeźbione i wysokie, które w dzieciństwie przypominały mi pachnące spowiedzią konfesjonały. W tych wielkich szafach wisiały futra babci i kożuchy dziadka, ciężkie płaszcze, garnitury i owinięty w bibułę ułański mundur; w tych wielkich szafach upchane były sukienki, które babcia przeglądała w zamyśleniu, a wtedy uderzające o siebie wieszaki podpowiadały jej, co powinna na siebie włożyć; w tych wielkich szafach na wyłożonych równo przyciętym papierem półkach leżały krochmalone obrusy i wyprasowane chustki do nosa z monogramem dziadka.

Wzdłuż drugiej ściany stały półki na buty, które opięte na prawidłach, czekały na swój czas. Do półek z butami dziadek przybił pinezkami sznurek, a babcia naciągnęła na niego perkalową kotarę, chroniącą obuwie przed kurzem i ludzkim wzrokiem.

Korytarz zamykała maszyna do szycia, która wyglądała jak ołtarz nakryty dzierganą serwetą, nad nią wisiało wielkie lustro, a nad lustrem

wieniec wielkiego jelenia, bo w korytarzu mieszkania moich dziadków wszystko było wielkie.

Pożegnałem żonę w katakumbach wawelskiej katedry, gdzie spoczęła obok królów, bo królom była równa. Niewidoczne drobiny królowej Zofii wniknęły w wapienne ciosy i cynowe wieka trumien, przylgnęły cicho i niezauważenie do marmurowych płyt starodawnych sarkofagów.

Wracam do mieszkania dziadków, choć dziadków już nie ma i nie ma ich świata. Sam nie wiem, co zastanę za ciężkimi drzwiami, wiem tylko, że dalej trwa tam ich mieszkanie. Czy będą meble, które babcia co tydzień przecierała flanelowymi szmatkami? Czy będzie skrzypiąca podłoga, ciemna i pachnąca, w którą przez lata wsmarowywano żywiczne pasty? Czy zastanę wszystkie te starożytne przedmioty, pochowane w szafkach i szufladach, każde na swoim miejscu, wedle swego przeznaczenia i rodzaju?

Pożegnałem żonę na wietrznym szczycie katedralnej wieży, w cieniu drzemiącego Zygmunta. Jej pył rozniósł się nad całym Krakowem i powoli opadał na ulice mego miasta. Osiadał na wargach ludzi, którzy ciągle o czymś mówili, osiadał na ich powiekach, które mrużyli ze zdumieniem. Lekko i szeptem królowa Zofia zstąpiła po raz ostatni do swych poddanych, którzy tego nie zauważyli, podobnie jak przez lata nie zauważali jej obecności, wtedy jeszcze nie przetartej pustką.

Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś, bo muszę pamiętać, bo nic innego mi nie zostało.

Pożegnałem żonę, która nigdy nie była w mieszkaniu dziadków, bo opuściłem je wiele lat przed tym, jak poznałem królową Zofię. Dziadkowie dawno umarli i królowa Zofia skazana była tylko na moje opowieści, które pokazywały jej tamten świat, zapamiętany wielkimi oczami dziecka.

Wracam do mieszkania dziadków, gdzie spędzę resztę życia. Będę w nim sam, otoczony własnymi demonami, których nie udało mi się zgubić podczas mojej ucieczki.

Jestem ostatnim królem Polski i godność tę otrzymałem w sekrecie od swego dziadka. Kiedy umierał, przywołał mnie do swego łoża boleści i powiedział: „Bartusiu, teraz ty musisz dźwigać ten ciężar. A musisz zachować to wszystko, co ci opowiadałem, w sekrecie”.

I dźwigałem ten ciężar, choć brzemię polskiej korony mi ciążyło. Patrzyłem na mój naród, chodziłem ulicami pomiędzy mym ludem i czułem, jak korona Piastów i Jagiellonów wrzyna mi się w skronie.

Pożegnałem żonę, która nigdy nie dowiedziała się, że jest królową Zofią. Kryłem to przed nią i przed całym światem, sam nosząc brzemię, które na me skronie włożył dziadek, kiedy umierał. Królowa Zofia dla siebie była Zosią, dopóki była kimkolwiek, bo potem długo umierała na pustkę.

Jestem ostatnim królem Polski i przez całe swe życie starałem się utrzymać to w sekrecie. Mimo to tajemnica ta przedostała się pomiędzy ludzi i od tamtej chwili nie mam spokoju. Wszędzie na ulicach widzę wrogie spojrzenia miłośników demokracji. Widzą we mnie wroga wolności, nie wiedzą, że swą mądrością dałbym im wolność stokroć większą, niż mają. Co chwila ktoś próbuje targnąć się na moje życie.

Wracam do mieszkania dziadków, bo nie miałem rodziców. Zmarli w mym dzieciństwie i zamiast wspomnień, mam wyblakłe fotografie, które dała mi babcia. Wychowali mnie dziadkowie, według swoich międzywojennych poglądów, niezdarnie wciśniętych w samo serce Polski Ludowej. Dlatego zawsze byłem stary, zanurzony w oparach świata, który dawno umarł.

Jestem ostatnim królem Polski, ale nikt o tym nie wie. Aby być blisko królewskich spraw, zatrudniłem się na Wawelu. Moja funkcja była skromna: pilnowałem, by nikt z tysięcy turystów nie splugawił sali tronowej. Siedziałem na krześle przy oknie, bo tylko tam można było oddychać czystym powietrzem, i przyjmowałem hołdy moich poddanych. Podchodzili do okazałego tronu, kłaniali się, coś szeptali. Dzisiejsi ludzie nie mają już szacunku dla monarchii. Dla nich władcy są papierowymi

figurami na rycinach, nieruchomymi portretami Matejki. Ale mimo to lud mój ściszał głos. Wiem, że to mnie oddawali hołd. Dzięki swej pracy byłem blisko królewskich spraw, przechadzając się po komnatach, które przed wiekami zamieszkiwali moi przodkowie.

Mozolnie wspinam się po schodach i wracam do mieszkania dziadków. Noga ciągle boli, choć spostrzegłem, że kiedy przywołuję wspomnienia, moja uwaga na nich się koncentruje i ból się przyczaja.

Jestem ostatnim królem Polski, ale nikt o tym nie wie. Szybko spostrzegłem, że potrafiłbym rządzić mymi poddanymi lepiej niż politycy, którzy pokazują się w telewizji. Wiele lat temu postanowiłem przejąć realną władzę.

Widząc krzywdę mego ludu, napisałem sekretny list do pana prezydenta, w którym opisałem moją historię i tytuł do sprawowania urzędu. Zaoferowałem też swą pomoc w bieżącej polityce, podając od razu rozwiązania kilku najbardziej palących problemów, o których czyta się w gazetach. Ta błyskotliwa analiza miała pokazać, że jestem dobrze przygotowany do sprawowania władzy. Zaznaczyłem, że nie oczekuję zaszczytów, od lat przecież żyłem w ukryciu i przyzwyczaiłem się do tego. Mógłbym dalej z ukrycia służyć swej ojczyźnie, dyskretnie wspierając rządy pana prezydenta. Bo choć pochodził on z gminu, to jednak wierzę, że najwyższa władza potrafi przemienić przeciętne nawet jednostki, aby dorosły do powierzonej im roli. Sam miałem przecież w żywej pamięci, jak zmieniło się moje życie, gdy umierający dziadek koronował mnie ze swego łoża boleści na ostatniego króla Polski.

Nie mogłem jednak mego listu wysłać wprost, pocztą, gdyż służby specjalne od razu doszłyby do tego, skąd został on nadany, a zatrudnieni w każdym urzędzie pocztowym agenci od razu wskazaliby moją skromną osobę. Dlatego musiałem dotrzeć do pana prezydenta inaczej. Przez rok szukałem rozmaitych sposobów, raz nawet wykorzystałem cały swój urlop, by na Krakowskim Przedmieściu czekać, aż pan prezydent opuści swój pałac, by dopaść do niego i wręczyć mu moje pismo. Jednak mój trud okazał się daremny, bo pan prezydent przez cały ten czas bawił na wakacjach poza stolicą. Nie zdziwiło mnie to w ogóle. To był deszczowy lipiec i wróciłem do Krakowa przeziębiony.

Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś. Widzę światło wpadające do ciemnego przedpokoju przez uchylone drzwi po obydwu stronach korytarza. Pomieszczenia po lewej stronie wychodzą na ulicę, są duże i widne.

W połowie korytarza znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi do salonu. W salonie na samym środku stał okrągły stół otoczony ciemnymi, ciężkimi krzesłami. Pamiętam, jak biegałem dookoła tego stołu, który we wczesnym dzieciństwie wydawał mi się wielkim kontynentem albo niezdobytym masywem. Stół zawsze nakryty był obrusem, a nad nim zwieszał się żyrandol ze splątanych jelenich rogów.

Pod oknem salonu stała sofa i dwa fotele, na których dziadkowie zasiadali, by oglądać telewizję, a pomiędzy meblami na wygiętych nóżkach przycupnął stolik z marmurowym blatem, który wtedy przypominał mi szlifowane płyty wawelskich grobowców. W rogu stało czarne pianino, też podobne do sarkofagu. Jako dziecko musiałem uważać, by klapa nie przytrzasnęła mi palców. Na klawiszach z kości słoniowej babcia pieczołowicie rozkładała kawałek bordowego sukna, który przypominał mi księżowską stułę. Po rozprostowaniu sukna klapa delikatnie się zamykała, a ja byłem szczęśliwy, że po raz kolejny udało mi się ocalić moje małe palce.

Jestem ostatnim królem Polski, ale nikt o tym nie wie. Dlatego bardzo chciałem, by ta informacja dotarła do pana prezydenta. Okazja nadarzyła się kilka miesięcy później, kiedy na Wawelu pan prezydent podejmował głowy państw z całego świata na świetnym obiedzie. Przy tej okazji postanowił spotkać się z pracownikami królewskiego pałacu i wymienił z nami kilka krzepiących słów. Prawdziwy mąż stanu, człowiek wielkiego formatu, dokładnie taki, jak pokazują go w telewizji. Skorzystałem wtedy z okazji i wsunąłem mu dyskretnie kopertę do kieszeni. Nawet nie zauważył.

Przez całą noc w prezydenckim apartamencie paliło się światło, a ja wiedziałem, że pierwszy obywatel z uwagą czyta moje słowa. Następnego ranka znalazłem się w grupie pracowników muzeum wawelskiego, która widziała odjazd prezydenckiego orszaku. „Strzeżcie dziedzictwa polskich królów” – powiedział pan prezydent i odjechał. A ja wiedziałem, że w ten

sposób odpowiada na mój list. Od tamtej pory pilnie śledziłem wszelkie doniesienia o działalności pana prezydenta i serce moje się radowało. Prezydent posłuchał moich rad i mądrze rządził Polską. Kilkakrotnie odwołał się w swych orędziach do naszej znajomości, choć zawsze na tyle delikatnie, że postronni słuchacze nie zdołali odkryć tej tajemnicy. „Wsłuchuję się w doświadczenia naszej Ojczyzny, zastanawiam się, co by zrobili nasi królowie" – tak mówił pan prezydent, a we mnie serce rosło.

Wracam do mieszkania dziadków, które pamiętam jak dziś. Wielkie przestrzenie, zwielokrotnione wyobraźnią dziecka, które musiałem oswajać długimi miesiącami.

Z salonu można się było dostać do dwóch pokojów, jeden zajęty był przez sypialnię dziadków, a drugi przez gabinet dziadka.

Wstęp do gabinetu bez zgody dziadka był surowo wzbroniony. Drzwi były zamknięte na klucz, który dziadek odkładał na pianino. Wiedziałem, że sam nigdy nie mogę po niego sięgać, mimo że wystarczyło przystawić krzesło. W gabinecie pod oknem stało biurko z wieloma szufladami i blatem obitym zielonym suknem. Na nim zawsze piętrzyły się sterty papierów, gdyż mój dziadek, mimo poważnego wieku, nadal dużo pracował. Był przecież królem i emerytura nie usprawiedliwiałaby dostatecznie jego bezczynności. Prowadził rozległą korespondencję i pamiętam jak dziś, że często chodziliśmy na pocztę, by rozsyłać listy do tajemniczych adresatów rozsianych po całym świecie. Ludzi wspierających dziadka w jego ukrytej misji nigdy nie poznałem. Odpowiadali na jego listy, dzięki czemu miałem w swym klaserze wiele egzotycznych znaczków, których zazdrościli mi koledzy ze szkoły i z podwórka.

Całą ścianę gabinetu zajmowała przeszklona biblioteka, pełna starych książek w wielu językach, których tytuły w dzieciństwie z trudem potrafiłem odczytać. Poza tym w gabinecie dziadka stał skórzany fotel. Siadywał na nim, pykając fajkę. Wtedy myślał i nie należało mu przeszkadzać. Obserwowałem go, ukryty pod biurkiem, gdzie wpełzałem, by przeglądać wielki atlas motyli i owadów leśnych, zawierający kolorowe, pachnące starością ryciny.

Po drugiej stronie salonu, dokładnie naprzeciw drzwi do gabinetu, znajdowało się wejście do sypialni dziadków. Dębowy komplet ciężkich mebli napełniał to pomieszczenie chłodem. Wielkie łóżka, wielka szafa,

wszystko wielkie. Wewnątrz pachniało krochmalem i zimą. Nie lubiłem tam chodzić, mimo że mogłem.

Mozolnie wspinam się stopień za stopniem, noga za nogą, a noga ciągle boli. Jestem coraz bliżej, jeszcze tylko kilka kroków, a stanę przed białymi drzwiami z zaśniedziałą tabliczką i dotknę mosiężnej klamki. Jeszcze kilka kroków, ale noga boli, więc muszę na chwilę się zatrzymać.

Jestem ostatnim królem Polski, ale nikt o tym nie wie, gdyż zgodnie z wolą dziadka ukryłem się przed ludzkim wzrokiem. Tajemnicę swoją powierzyłem jedynie panu prezydentowi, a on, oczywiście dochowując sekretu, wielokrotnie dał mi do zrozumienia, że uznaje i szanuje moją władzę. Odtąd przejąłem stery rządów. W swym pierwszym liście zasugerowałem, że będę zostawiał kolejne rady dla Polski wsunięte za sarkofag marszałka Piłsudskiego. Planowałem wprawdzie pierwotnie, by był to grobowiec Władysława Jagiełły – króla, do którego zresztą czuję się najbardziej podobny, ale po długim rozmyślaniu uznałem ten pomysł za zbyt oczywisty. Odtąd więc zostawiałem co tydzień szczegółowe instrukcje, prowadząc jednocześnie z panem prezydentem błyskotliwą korespondencję, przenikniętą głęboką troską o losy Ojczyzny. Listy znikały, a ja co chwila natrafiałem w działaniach pana prezydenta na ślady mych porad.

Czasem jednak doraźna polityka zmuszała go do licznych zmian w mych planach i wtedy misternie budowane przeze mnie strategie waliły się niczym domki z kart. Musiałem potem wieczorami wszystko na nowo obmyślać, aby uratować Polskę przed niechybną katastrofą. Wtedy też ton moich listów stawał się surowszy, jako prawowity monarcha bowiem nie szczędziłem panu prezydentowi słów krytyki. Widziałem go potem w telewizji, jak zasmucony, składa wieńce na grobach bezimiennych żołnierzy, jak trze zaczerwienione oczy i sztywno siedzi w swej parlamentarnej loży. Robiło mi się go wtedy żal, dlatego siadałem do kolejnych listów, w których łagodnym tonem dodawałem otuchy i namawiałem do wytrwałości.

Wracam do mieszkania dziadków, które jest stare i wielkie; te dwa słowa wystarczą, by je dobrze opisać.

Jestem ostatnim królem Polski i przez ponad dziesięć lat rządziłem Polską z ukrycia. Stary pan prezydent odchodząc, przekazał tajemne informacje o mnie swemu następcy i odtąd wspierałem nową głowę państwa, z każdym rokiem radząc lepiej i mądrzej. Można powiedzieć, że wychowywałem do rządzenia kolejnych prezydentów Polski.

Cały czas pamiętałem jednak o słowach mego dziadka, którego grób tak często odwiedzałem. Ileż razy chciałem zlecić kamieniarzowi, by na grobowcu tego wielkiego człowieka, położonym w bocznej alei cmentarza Rakowickiego, zajaśniał tytuł, na który mój przodek w pełni zasługiwał: Król Polski; ale ćwiczyłem się w pokorze i składałem skromne kwiaty na płycie z lastryko.

Wracam do mieszkania dziadków, w którym spędzę resztę życia. Pamiętam je jak dziś, a mijające lata nie naruszyły przechowywanych pod sercem obrazów. Zamykam oczy i widzę wielki korytarz, z którego na lewo prowadzą drzwi do salonu, a stamtąd do gabinetu i sypialni. Jednak to pomieszczenia po prawej stronie napełnione były swojskością. Były mniejsze i przez to bardziej przytulne. Pośrodku, dokładnie naprzeciw salonu, mieściła się kuchnia, z panującym w niej białym kredensem. Pod ścianą stał stół i tam z dziadkami jadałem codzienne posiłki. Wielki stół w salonie nakrywano dla gości i do niedzielnych obiadów. Prawdziwe życie toczyło się w kuchni. Babcia pod oknem miała swój fotel, wykładany kocami i poduszkami, w którym spędzała większość czasu. Stamtąd zarządzała gotowaniem, prosząc mnie, bym zamieszał makaron albo podkręcił gaz na kuchence. Pomagałem jej, ogrzewając się ciepłem pieca i wdychając aromaty rosołu, młodej kapusty i kiszonych ogórków. A babcia czytała gazety i kartki pocztowe, które z sanatoriów wysyłały jej liczne kuzynki.

Z kuchni jedne drzwi prowadziły do niewielkiego pokoju, który w dawnych czasach pełnił funkcje służbówki. Jednak w czasach powojennych mój dziadek, mimo że był królem Polski, nie mógł sobie pozwolić na służbę i dlatego ten pokój przypadł mnie. Cieszyłem się z tego, gdyż wcześniej spałem z babcią i jej królewskie chrapanie mnie przerażało.

Drugie drzwi prowadziły do spiżarki, przez którą wychodziło się na balkon zawieszony nad podwórkiem. W letnie dni, kiedy tylko nie bawiłem się z kolegami, siadałem na nim i patrzyłem w dół, plując na głowy

spacerujących po trylince gołębi. Studnia podwórka była ciemna, ale przez swoje zamknięcie dawała nam bezpieczeństwo. Obcy świat zaczynał się za bramą kamienicy, po ulicy jeździły samochody, a chodnikami spacerowali nieznani ludzie. Podwórko było naszym królestwem, znaliśmy jego zakamarki i władaliśmy nim niepodzielnie.

Jestem ostatnim królem Polski i mimo całej mej ostrożności ktoś musiał się o tym dowiedzieć. Uknuto spisek, by pozbawić mnie władzy. Teraz widzę z całą jasnością, dlaczego postanowiono to zrobić. Wszyscy wiedzieli, że pracuję nad projektem nowej konstytucji, choć starałem się to trzymać w tajemnicy.

Późnymi popołudniami, kiedy ruch w wawelskich komnatach ustaje i turyści udają się na obiad, wyciągałem z szuflady niewielkiego biureczka, przy którym urzędowałem pod oknem sali tronowej, zwitek kartek, na które nanosiłem poprawki. Pokreślony i wymięty, stanowił zaczyn nowego ustroju, który rodził się w trudach pod dobrotliwą opieką wawelskich głów. To one dodawały mi mądrości, spoglądając spod sufitu tymi samymi oczyma, które przed wiekami oglądały Jagiellonów i ich prawe rządy. Teraz patrzyły na wysiłki Bartłomieja I, niegodnego następcy wielkich monarchów.

Noga ciągle boli. Ten ślad po zamachu, który nikczemnie przygotowali ludzie małego formatu, będzie towarzyszył mi do końca życia, które spędzę w mieszkaniu dziadków.

Jestem ostatnim królem Polski i wiem, że władza uczy pokory. Zwykłym ludziom, którzy znają władzę tylko z telewizji i gazet, zapewne wydaje się, że rządzenie państwem niewiele się różni od zarządzania firmą albo wydawania poleceń personelowi w szpitalu lub gminnym urzędzie. Tymczasem wchodząc na salony władzy, wkracza się w zupełnie inny świat.

Kiedy człowiek pozna smak prawdziwej władzy, uczy się, że każde jego słowo może zmienić dzieje świata. Dlatego z drżeniem i obawą zanosiłem swe cotygodniowe dyspozycje za sarkofag marszałka Piłsudskiego, wiedząc, że kolejni prezydenci Polski będą uważnie czytać moje słowa i posłusznie wcielać je w życie. Rady moje były dla nich

bezcenne, a jeszcze cenniejsze było moje ukrycie. Służyłem swoją mądrością, gdyż prawdziwe bycie królem to bycie pokornym sługą swego narodu. A jednocześnie nie przyznawałem się publicznie do swej mądrości ani też nie domagałem się uznania ze względu na swe liczne zasługi. I kiedy kolejni prezydenci mojego narodu wygłaszali publicznie moje słowa jako swoje własne, to dumny byłem, że mogę w ten sposób wpływać na losy Polski.

Czasem czułem ukłucie zazdrości, bo przecież nawet monarchowie nie są wolni od ludzkich uczuć i słabości. Chciałem biec przed obiektywy kamer i wykrzyczeć, że to ja jestem sprawcą wszystkiego, co dobre, to ja stoję za wszystkimi mądrymi decyzjami, które podejmowali ludzie oficjalnie rządzący tym krajem. Kilka razy nawet chciałem wyjść z cienia, ujawnić się i zażyć sławy, na którą przecież zasłużyłem całym swoim życiem, lecz zawsze w ostatniej chwili wspominałem słowa mego drogiego dziadka, który wytrzymał w ukryciu przez kilkadziesiąt lat. Wtedy robiło mi się wstyd, że dla próżnej sławy, o którą dzisiaj przecież tak łatwo, miałbym złamać dane mu słowo. Moim losem pozostało być królem ukrytym, i to brzemię niosłem godnie przez wszystkie dni mego panowania.

Ukryłem się przed ludzkim wzrokiem, gdyż taka była wola mego dziadka. Teraz ukrywam się ostatecznie, znikając z areny dziejów, aby spędzić resztę życia w mieszkaniu przy ulicy S., której nazwę pozostawię dla siebie, aby nikt mnie nie odnalazł i nie namawiał, bym zmienił decyzję.

Jestem ostatnim królem Polski i wiedziałem, że moja rola nie może się ograniczać do dyskretnego doradzania panującym w moim kraju na mocy demokratycznych praw. Dlatego, kiedy już owinąłem sobie wokół palca kolejnych prezydentów, postanowiłem wypłynąć na szerokie wody światowej dyplomacji. Nie dysponując wystarczającymi środkami, by utworzyć w stolicach ważniejszych państw swoje poselstwa, musiałem sam wszystkiego dopilnować.

Po skończonej pracy opuszczałem więc zamek królewski i wracałem do swego niewielkiego domku położonego w Przegorzałach, wśród ogródków działkowych. Mieszkanko to, trochę nieprzyjazne, zwłaszcza w zimie, utrzymywałem skromnie i schludnie. Bardzo uważałem, aby właściwy monarszym dworom przepych nie przeniknął do mego domu, gdyż to

mogłoby ujawnić przed wścibskimi sąsiadami moje prawdziwe życie, a tego przecież nie chciałem. Ustanowiłem więc z nimi stosunki poprawne i naznaczone wzajemną uprzejmością, jednak zdecydowanie nie tak bliskie, by prowokować ewentualne wizyty towarzyskie. Te wprawiłyby mnie bowiem w nie lada kłopot, ponieważ swój domek uczyniłem sztabem, z którego roztaczałem nad moim krajem ochronny parasol dzięki niebezpiecznej i wymagającej dużego wyczucia grze dyplomatycznej. Dlatego kłaniałem się uprzejmie przychodzącym na działki emerytom, zapytywałem z troską o uprawy marchewki i kapusty, chętnie przyjmowałem skromne prezenty w postaci garnuszka czarnych porzeczek. Ale nic poza tym.

Pożegnałem żonę, królową Zofię, która ostatnie miesiące swego życia spędziła w tym niewielkim domku w Przegorzałach. Przed nią też musiałem ukrywać swoją działalność, gdyż zgodnie z przysięgą złożoną dziadkowi nie mogłem ujawnić swej tożsamości nikomu.

Jestem ostatnim królem Polski, ale nikt o tym nie wie. Na ścianie w swym domku powiesiłem szczegółową mapę Europy, na którą nanosiłem wszelkie zasłyszane w telewizji zmiany personalne, które dokonywały się na szczytach władzy. Dobre rozeznanie w aktualnej polityce jest bowiem warunkiem skutecznych działań. Przyswoiłem sobie też kilka podstawowych zasad międzynarodowej gry politycznej i sprawnie realizowałem je dla dobra Polski. Wieczorami pisałem liczne listy do głów państw, z którymi relacje leżały w żywotnym interesie mego kraju. W listach sugerowałem pewne rozwiązania narastających konfliktów, dawałem dobre rady i jak równy korespondowałem z prezydentami oraz koronowanymi głowami. Twardo walczyłem o polskie interesy, choć często wymagało to stanowczości, która przekracza granice dobrego wychowania. Czasem bowiem dobre maniery i wyniesioną z rodzinnego domu delikatność trzeba schować do kieszeni, kiedy gra toczy się o dobro Ojczyzny. Przyznaję, że zdarzało mi się podsycać pewne napięcia, których utrzymanie leżało w interesie mego państwa. Napuszczałem więc Walonów na Flamandów, sugerowałem kanclerzowi Niemiec, że prezydent Francji prowadzi nieczystą grę, i w ten sposób rozstawiałem figury na europejskiej szachownicy. Dzieliłem i rządziłem z ukrycia.

Koperty z listami starannie adresowałem i zabierałem na Wawel. Kiedy tylko w tłumie wypatrzyłem osobę, będącą obywatelem danego kraju, upominałem ją surowo pod pozorem przekroczenia zasad zwiedzania i dyskretnie wsuwałem kopertę do kieszeni. Oczywiste było, że osoba ta, po odnalezieniu tajemniczej koperty w swej garderobie, uczciwie wyśle ją lub osobiście doręczy swemu premierowi lub prezydentowi. Każdy obywatel, znalazłszy nagle wśród swych rzeczy list zaadresowany do głowy jego państwa i opatrzony adnotacją: „doręczyć niezwłocznie!”, musi zrozumieć, że to jest ten moment, kiedy musi służyć swej ojczyźnie.

Dzięki tej sprytnej taktyce unikałem urzędów pocztowych, pełnych wrogich służb i permanentnie inwigilowanych przez wywiady całego świata. Dzięki temu zachowywałem swoje istnienie w tajemnicy, włodarze Europy i świata znali zaś tylko moje imię: Bartłomiej I, król Polski. A ja sterowałem nimi, jak chciałem.

Mozolnie wspinam się stopnień za stopniem, noga za nogą, a noga ciągle boli. Już jestem na piętrze, gdzie mieści się mieszkanie moich dziadków. Ale muszę oprzeć się o ścianę, by chwilę odsapnąć. Szukam kluczy, a wśród nich tego jednego, który przed laty zabrałem ze sobą, kiedy wyruszałem stąd w daleki świat. Czy będzie pasował do zamka? Czy aby ktoś go nie zmienił, czyniąc mnie bezdomnym? Jestem już tak blisko.

Wracam do mieszkania dziadków, za chwilę do niego wejdę. Zobaczę długi korytarz zwieńczony jelenimi rogami i ołtarzem z maszyny do szycia Singer. I pierwsze, co zrobię, to ruszę na sam koniec, gdzie obok maszyny znajdują się wąskie drzwi do łazienki i toalety.

Jestem ostatnim królem Polski i dowodem skuteczności mych metod, wymuszonych przecież przez niełatwe okoliczności, w których przyszło mi rządzić, jest to, że przez cały czas mego dyskretnego panowania nie doszło do ani jednej zbrojnej agresji skierowanej na Polskę. Tego obawiałem się najbardziej, muszę to szczerze wyznać. W telewizji mówiono bezustannie o wojnach, które wybuchały w różnych częściach świata, czasem zupełnie niedaleko od naszych granic. Za mojego panowania wojny te nie dotarły do wrót mojej Ojczyzny, a wewnętrzne napięcia, od których przecież doraźna

polityka nie była wolna, nie doprowadziły do żadnej rewolucji ani zamachu stanu.

To był właśnie parasol ochronny, który rozpostarłem nad mym krajem. Reszta, a więc sprawy drobne i codzienne, niewykraczające poza zwykłe zarządzanie dobrze wyregulowanym przeze mnie mechanizmem, zostawiłem ministrom i premierom. Nie mogłem przecież robić za nich wszystkiego, gdyż musiałem koncentrować się na sprawach najważniejszych. I tu nie zawiodłem swych poddanych.

Postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem, ale nie wykluczam, że jeszcze kiedyś opuszczę to miejsce mego dobrowolnego odosobnienia. Wspierając się na lasce mego dziadka, ubrany w jego staromodny garnitur, wyjdę z kamienicy przy ulicy S. i wolnym krokiem ruszę w stronę Plant. Tam przysiądę na ławeczce w cieniu kasztanów, popatrzę na młode dziewczęta spacerujące z tą uroczą nieświadomością własnej cielesności, a potem ruszę w stronę Wawelu. Skryty za długą brodą, kapeluszem, którego nigdy nie nosiłem, będę królem ukrytym, swobodnie przechadzającym się wśród swych poddanych i nierozpoznanym przez nikogo. Moi poddani, karmieni przez telewizory innymi twarzami rządzących, nie będą mnie w ogóle zauważać. A ja, przystając kilkakrotnie dla złapania oddechu, wespnę się na Wzgórze Wawelskie, dla niepoznaki kupię bilet do królewskich apartamentów i skryty w tłumie wielojęzycznych turystów, odwiedzę dawne kąty, które przez tyle lat zdążyłem poznać tak dobrze. Będę mijał moich dawnych współpracowników, a oni omiotą mnie tym niewidzącym wzrokiem wszystkich strażników świata, kiedy ja z podniesioną głową i niekłamanym wzruszeniem wkroczę do sali tronowej. Pogładzę starą dłonią adamaszek na monarszym siedzisku, a pani, która pod oknem będzie na drutach robić sweterek dla wnuczka, skarci mnie pobłażliwym spojrzeniem, na co ja z przepraszającym uśmiechem odsunę się od eksponatu i podążę dalej.

Wracam do mieszkania dziadków i tylko drzwi oddzielają mnie od tej zamkniętej przez lata przestrzeni. Czy wszystko dobrze zapamiętałem? Czy zastanę znajome wnętrza takimi, jakimi je przed laty zostawiłem? Wsuwam ostrożnie klucz do zamka, a ręka mi drży. Nie czuję nogi, nie czuję ciężaru władzy, czuję tylko wzruszenie. Przekręcam klucz i zamek puszcza. Za

chwilę nacisnę klamkę i powrócę do mieszkania dziadków, gdzie spędzę resztę życia. Pożegnałem żonę, która umarła na pustkę, postanowiłem porzucić zaszczyty i ukryłem się przed ludzkim wzrokiem.

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i jestem ostatnim królem Polski. Naciskam klamkę.

Fuga II

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i byłem tu kiedyś dzieckiem – powiedziałem przez uchylone drzwi do pana Andrzeja, który był złotą rączką, ale na co dzień pracował jako dozorca naszej kamienicy.

— I przyszedłem po klucze do mieszkania moich dziadków.

— Tamtego mieszkania już nie ma — odpowiedział mi pan Andrzej — ale mam dla pana album, który znalazłem na podłodze, kiedy już wszystko wywieźli.

Siadłem na schodach i przewracałem kartki, a na nich zobaczyłem cały świat. A wszystko dzięki aparatowi pana Zygmunta, który od pokoleń był naszym fotografem w kamienicy. I tylko tyle mi zostało.

Na fotografiach pana Zygmunta był cały świat. Była nasza kamienica i jej podwórko, był mój dziadek i moja babcia, byli ludzie, którzy już odeszli, i ci, którzy zmienili się od czasów mego dzieciństwa. Na zdjęciach była ulica S., Planty i wieże krakowskich kościołów. A na jednej fotografii był nawet pan Chodnikiewicz.

Mój dziadek był wielkim pasjonatem fotografii, choć sam nigdy nie zrobił żadnego zdjęcia. Chętnie natomiast pozował i skrzętnie gromadził uwieczniające go fotografie, co doskonale widać w albumie. Moja babcia mniej ceniła fotografię i zawsze machała ręką, kiedy dziadek proponował jej, żeby poszli się sfotografować. Wchodził wtedy do kuchni w garniturze, pogwizdując ułańskie piosenki. Pachniał wodą kolońską i zapraszał babcię do fotografa z tą samą miną i ukłonem, z jakim kawaler powinien prosić pannę do tańca. Babcia wtedy machała ręką i mówiła, że ma już dość zdjęć. Ale w końcu odkładała swoją robotę, szła się przebrać i razem schodzili do oficyny naszej kamienicy, gdzie od wieków miał swoją pracownię pan Zygmunt.

Mój dziadek miał na imię Jan, a babcia Maria, i uważam, że to bardzo dobre imiona dla dziadków.

Mój dziadek był wielkim pasjonatem fotografii i wszystkie kupione u pana Zygmunta odbitki wklejał do albumu o czarnych kartkach i dokładnie opisywał swoim profesorskim piórem. Jako człowiek o szerokich horyzontach był zainteresowany nie tylko sobą, ale dokumentował w albumie życie całej naszej kamienicy.

Moja babcia mniej ceniła fotografię, choć lubiła oglądać album prowadzony przez dziadka. Siadała w swoim wymoszczonym kocami fotelu, który stał pod oknem w kuchni, i rozkładała album na kolanach. Potrafiła wpatrywać się w stare zdjęcia godzinami, kiwając nad nimi głową i coś mrucząc pod nosem. Nie pamiętam natomiast, by dziadek kiedykolwiek przeglądał te fotografie.

Na fotografiach pana Zygmunta był cały świat, ale przede wszystkim było centrum świata, czyli nasza kamienica. Pan Zygmunt lubił fotografować jej mieszkańców zawsze w tym samym miejscu, na ławeczce pod starym jesionem, który rósł na podwórku, rozsadzając swymi korzeniami sześciokątne płyty trylinki. Na poszczególnych zdjęciach zmieniały się pory roku, oświetlenie, czasem jakiś szczegół z tła, ale poza tym wszystko było takie samo.

Na fotografiach pana Zygmunta był cały świat, który dla mnie zaczynał się od babci i dziadka. Kilkakrotnie zasiadali na ławce pod jesionem. Na pierwszych zdjęciach młodzi, wyprostowani, później coraz bardziej poważni. Ostatnie, które wklejono do albumu mojego dziadka, zrobiono zapewne tamtego lata. Babcia siedzi w bordowej sukience z białym kołnierzykiem, włosy ma upięte w kok, a dłonie zaciska na torebce. Dziadek stoi obok niej, w jasnej marynarce, berecie i patrzy poza kadr, w kierunku bramy naszej kamienicy. Dłoń opiera na ramieniu babci, jakby przygarniał ją do siebie. Obydwoje są skupieni i przejęci, zupełnie inaczej, niż zachowywali się na co dzień. Dziadek przecież pogwizdywał i robił głupie miny, a babcia często się śmiała. Nawet fotografie pana Zygmunta nie potrafią powiedzieć wszystkiego.

Mój dziadek chodził w beretach. Babcia robiła mu je szydełkiem i w jego szafie znajdowała się kolekcja we wszystkich kolorach. Były berety wesołe i smutne, oficjalne i codzienne, berety na zakupy i berety do kościoła. Był też beret z czarnego sukna, który dziadek ubierał tylko na pogrzeby swoich kolegów, na które chadzał dość często. W rodzinie nie było pogrzebów, bo wszyscy już dawno pomarli.

Moja babcia mówiła, że dziadek pod beretami skrywa swą łysinę, której nabawił się jeszcze przed wojną, służąc w 9. Pułku Ułanów Małopolskich. Kiedy szedł do wojska, miał jeszcze włosy, a do rezerwy wrócił łysy. Postanowiłem wtedy, że będę unikał wojska i uważnie przyglądałem się napotykanym żołnierzom. Niestety, to, co widziałem na ulicach i w telewizji, potwierdzało moje obawy. Dziadek poradził mi, że najlepszym sposobem na łysienie jest beret. Chroniłem się więc jak mogłem, naciągając go na uszy tamtego lata, choć skrycie nienawidziłem tego nakrycia głowy.

Mój dziadek był posiadaczem łysiny świecącej i całkowitej. Kiedyś, kiedy drzemał po obiedzie, podszedłem do niego ostrożnie i uważnie przyjrzałem się jego głowie. Nie znalazłem tam ani jednego włoska, tylko zmarszczki i brązowe plamy, które babcia nazywała wątrobianymi. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak plamy te przedostają się z wątroby na głowę i dłonie.

Mój dziadek był posiadaczem łysiny świecącej i całkowitej jedynie pozornie. Kiedy przed śmiercią zachorował i nie miał siły się golić, po kilku dniach jego głowa pokryła się srebrną, gęstą szczeciną. Wtedy dziadek wyznał, że od czasów wojska golił starannie głowę co rano. To odkrycie bardzo mnie ucieszyło, gdyż nie musiałem już więcej nosić beretów.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, nie tylko nasza kamienica. Są zdjęcia, które zrobiono na ulicy S. albo nawet na Plantach. W albumie dziadka znalazłem jedną starą fotografię odbitą na papierze o wycinanych krawędziach. Przez środek biegnie pęknięcie, jakby ktoś wcześniej złożył ją na pół i schował do kieszeni. Na fotografii widać bramę

naszej kamienicy widzianą od strony podwórka. Dookoła ciemny tynk, gdzieniegdzie liszaje cegieł. W świetle bramy stoi tyłem stary, malutki człowieczek, przygarbiony i wsparty na lasce. Ubrany jest w jasny garnitur, na głowie ma słomkowy kapelusz. Nie widać jego twarzy. Dziadek powiedział mi tamtego lata, że to pan Chodnikiewicz.

Pan Chodnikiewicz był postacią na tyle tajemniczą, że moi dziadkowie nie potrafili uzgodnić jednolitej wersji jego życiorysu. Babcia zawsze opowiadała mi inne historie niż te, które poznawałem od dziadka. Kiedy pytałem ją, co było dalej, bo dziadek najczęściej przerywał w połowie, babcia siadała w kuchni w fotelu pod oknem, mościła się na wszystkich poduszkach, wzdychała i zaczynała opowiadać od początku, ale całkiem inaczej. W ten oto sposób żyłem w dwóch światach, pomiędzy którymi niewiele było wspólnego. Jeden świat roztaczał się z gabinetu dziadka, osnuty dymem fajki, a drugi ciepło rozchodził się z kuchni, od strony fotela. A ja żyłem sobie pomiędzy nimi, przechodząc tylko na drugą stronę korytarza, który był wielki i stary, jak wszystko w domu dziadków. Poza moją babcią, która była mała i stara.

Mój dziadek opowiadał, że pan Chodnikiewicz był sekretarzem samego Józafata Dumanowskiego. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, kim był sam Józafat Dumanowski, ale szacunek, z jakim dziadek o nim mówił, wskazywał, że musiał być człowiekiem wielkiego formatu, podobnie jak mój dziadek. Szanowałem więc bardzo tego nieznanego pana Dumanowskiego.

Moja babcia opowiadała, że pan Chodnikiewicz był emerytowanym pracownikiem Kolei Państwowych, który wprawdzie zrobił pewną karierę, gdyż zaczynał od pracy przy piecu w parowozie, a skończył jako starszy referent w zarządzie kolei, ale trudno to uznać za coś wyjątkowego i wartego wzmianki.

Mój dziadek opowiadał, że pan Chodnikiewicz po śmierci Józafata Dumanowskiego, który zmarł w zapomnieniu niedługo po zakończeniu pierwszej wojny światowej, przyszedł na pustą działkę przy ulicy S., która wówczas była jeszcze ulicą Z., i usiadł na wielkim kufrze, w którym

zgromadził cały swój dobytek. Niedługo potem pojawili się murarze, którzy zaczęli wznosić naszą kamienicę, budując ściany wokół zamyślonego i pogrążonego w żałobie pana Chodnikiewicza. Mijał czas, mury pięły się szybko w górę, aż wreszcie dom był gotowy. Pan Chodnikiewicz pozostał w mieszkaniu na parterze, które wokół niego wyrosło, rozpakował swój kufer i tak został pierwszym lokatorem naszej kamienicy. Dopiero po nim sprowadzili się inni.

Moja babcia bardzo śmiała się z tej opowieści i mówiła, że pan Chodnikiewicz sprowadził się do naszej kamienicy, kiedy ta już stała. Zamieszkiwali ją głównie artyści, którzy jednak szybko wyginęli, i pan Zygmunt, niebędący jednak tym panem Zygmuntem, którego wszyscy znaliśmy, tylko jego dziadkiem. Pan Chodnikiewicz przyszedł pewnego dnia piechotą, z dwiema walizkami, po czym wprowadził się do mieszkania na parterze, dokładnie pod mieszkaniem moich dziadków. Moi dziadkowie nie byli wtedy jeszcze moimi dziadkami i w ogóle się nie znali, a tym bardziej nie mieszkali w naszej kamienicy.

Mój dziadek krzyczał wtedy z drugiego końca mieszkania, że na historię babci nie ma żadnych świadków. Co było prawdą, gdyż wszyscy, którzy mieszkali w naszej kamienicy niedługo po pierwszej wojnie, dawno już zmarli. Babcia nie krzyczała, tylko kazała mi przekazać dziadkowi, że na jego historię tym bardziej nie ma żadnych dowodów. A dziadek z powagą stwierdzał, że jego słowa są prawdą, gdyż zna je od samego pana Chodnikiewicza.

Moja babcia opowiadała, że pan Chodnikiewicz wygadywał różne rzeczy. Siedział całymi dniami na ławeczce pod jesionem, który wtedy był jeszcze bardzo młody, o czym zaświadczają fotografie z epoki, i patrzył przed siebie. I kiedy tylko ktoś strudzony przysiadł nieopatrznie obok niego, zaczynał niestworzone opowieści o królach i książętach, generałach i pułkownikach, rewolucjach i republikach, o których nikt nie słyszał. Babci zdarzyło się to kilkakrotnie i nie wspominała tego dobrze. Parę razy zabierano też pana Chodnikiewicza do podkrakowskiego szpitala dla obłąkanych, gdzie przebywał pod opieką biegłych psychiatrów przez długie tygodnie.

Mój dziadek śmiał się z tych opowieści, nazywając je insynuacjami. Nie rozumiałem wówczas tego słowa, ale brzmiało mi groźnie i obraźliwie zarazem. Dziadek mówił, że w tym wszystkim, co plotła babcia, prawdą jest tylko to, że pana Chodnikiewicza zabierano do szpitala. Ale nie jako pacjenta psychiatrycznego, tylko z powodu chorej nogi. Pan Chodnikiewicz cierpiał bowiem straszne bóle z powodu odłamka pocisku, który trafił go w udo podczas powstania styczniowego. Od tamtej pory kulał i potrzebował troskliwej opieki. I sugerowanie, że był niespełna rozumu, jest brakiem patriotyzmu.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, ale nie ma siedzącego pod młodym jesionem pana Chodnikiewicza. Nieraz pytałem o to dziadków, ale oni twierdzili, że pan Zygmunt przechowuje u siebie cały album ze zdjęciami pana Chodnikiewicza, który zrobił jego dziadek, też pan Zygmunt. Pan Zygmunt strzeże go jak źrenicy oka i nie pokazuje nikomu.

Mój dziadek opowiadał mi, że pierwszego dnia drugiej wojny światowej pan Chodnikiewicz postanowił umrzeć. Miał już sto lat i pełne prawo do śmierci. W ten dzień zawołał dziadka i poprosił, by ten pomógł mu przesunąć na środek pokoju kufer, w którym przed dwudziestu laty przywiózł swoje rzeczy. Potem ubrał się w granatowy mundur, który odziedziczył po Józafacie Dumanowskim, pożegnał z moim dziadkiem, położył w kufrze i umarł. Podobno wysuszył się na wiór i teraz jest wielkości małego dziecka. Od jego śmierci mieszkanie stoi zamknięte, a kufer można zobaczyć przez okno. W tym opuszczonym mieszkaniu, do którego przez te wszystkie lata nikt się nie wprowadził, ukryty jest największy skarb pana Chodnikiewicza: manuskrypt wspomnień, które spisywał o Józafacie Dumanowskim przez całą swoją starość w naszej kamienicy.

Moja babcia natomiast twierdziła, że wprawdzie pan Chodnikiewicz umarł w wieku stu lat pierwszego dnia wojny, lecz został po bożemu pochowany na Rakowicach, tylko babcia nie pamięta już, gdzie znajduje się

jego grób, bo to było dawno. A mieszkanie stoi puste, bo w administracji szukają spadkobierców pana Chodnikiewicza i oto cała tajemnica.

W rodzinie nie było pogrzebów, bo wszyscy już dawno pomarli.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, który nietrudno uchwycić, bo przecież chyba każdy raz w życiu siedział na ławeczce pod starym jesionem. W albumie dziadka jest zdjęcie, którego babcia nie pozwalała mi oglądać. Widać na nim pana Łukasza Wichra, który śpi skulony na ławce, owinięty ciemnym płaszczem. Ręka zwisa mu bezradnie, a jej palce dotykają butelki po wódce, która stoi na ziemi. Na drzewie nie ma liści, więc pewnie była jesień.

Pan Łukasz Wicher był malarzem, choć nic na to nie wskazywało. W naszej kamienicy znany był raczej z tego, że pije.

Mój dziadek mówił, że pan Łukasz Wicher pije, żeby móc malować.

Moja babcia natomiast twierdziła, że pan Łukasz Wicher nie maluje, bo pije. Starałem się to zrozumieć i kiedyś zakradłem do barku dziadka i wypiłem jeden kieliszek nalewki orzechowej. Ale ani nie zacząłem po niej malować, ani nie przestałem, więc dalej nie rozumiałem pana Łukasza Wichra. Widywaliśmy go z kolegami, kiedy schodził w pochlapanym podkoszulku i kalesonach do sklepu, boso; był bardzo zarośnięty i kudłaty, ale dziadek mówił, że to bardzo mądrze, że się pan Wicher nie goli, bo jeszcze by się zaciął po pijaku i byłoby nieszczęście. Kiedyś z Kozłem Ostrowskim śledziliśmy pana Wichra do samego sklepu, gdzie okazało się, że żywi się on wódką żytnią, chlebem oraz paprykarzem szczecińskim.

Mój dziadek powiedział mi, że pan Łukasz Wicher mieszkał w mansardzie, gdzie miał atelier, i długo nie mogłem zrozumieć żadnego z tych słów. Ale potem Kozioł mi wytłumaczył, że chodzi o strych, gdzie pan Wicher miał pracownię, i wszystko się wyjaśniło. Kiedyś w nocy nie mogłem spać i stanąłem w oknie mojego pokoju. I okazało się, że pan Wicher też nie może spać, bo u niego pali się światło. Za to spał w dzień,

tak przynajmniej twierdził Paweł, który mieszkał na drugim piętrze i dobrze widział okna pracowni.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, więc nie może brakować dzieci z naszej kamienicy. Widać je wyraźnie, jak siedzą na ławce pod starym jesionem: Kozioł Ostrowski, Paweł i Zosia. Każdy robi to co zawsze. Zosia czyta książkę, Kozioł mówi, a Paweł słucha. Wszyscy mają na sobie lekkie ubrania, więc to zdjęcie zostało pewnie zrobione tamtego lata.

Kozioł Ostrowski był synem pana Zygmunta i nie miał na imię Kozioł; ale nikt na podwórku nie wiedział, jak nazywa się naprawdę. Wiele razy pytaliśmy go o to, ale Kozioł za każdym razem mówił coś innego. Podawał się więc za Linusa, Kleta, Klemensa, Sykstusa, Korneliusza, Cypriana, Wawrzyńca, Chryzogona. W Wielkanoc zrozumiałem, że kłamał. Podejrzewaliśmy jednak wszyscy na podwórku, że ktoś, kto każe mówić na siebie „Kozioł”, musi nazywać się jeszcze gorzej niż starożytni męczennicy.

Zosia miała sukienki w kwiaty, smutne oczy i ciągle czytała książki. Zawsze siadała na uboczu i znad okładek obłożonych w papier pakowy przyglądała się naszym zabawom. Kiedyś podeszła do ławki, na której siedzieliśmy, i zapytała, czy może się z nami bawić. Ja się od razu zgodziłem, ale Kozioł powiedział, że musi udowodnić, że jest odważna. I kazał jej wejść na stary jesion. Wtedy Zosia powiedziała, że jesteśmy świntuchy i odeszła do swego kąta podwórka.

Tamtego lata najpierw poznałem Pawła. Przyszedł do mieszkania moich dziadków i zapytał, czy mógłby pożyczyć dla swego ojca jakąś książkę. Kiedy dziadek szukał jej w bibliotece, ja zacząłem rozmawiać z Pawłem i dowiedziałem się, że jesteśmy w tym samym wieku. Potem kilka razy byłem u niego, ale trochę bałem się jego mamy, więc spotykaliśmy się na podwórku.

Tamtego lata zaprzyjaźniłem się też z Kozłem Ostrowskim. Wcześniej z nim nie rozmawiałem, bo był starszy o rok i spoglądał na mnie z góry. Przyglądał się każdemu uważnie, ciągle uśmiechał pod nosem i sprawiał

wrażenie, że zna ludzkie myśli. Kozioł zaprzyjaźnił się ze mną pewnego lipcowego dnia, kiedy upał wypełnił studnię naszego podwórka. Siedziałem na trzepaku, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, i patrzyłem na Azę, starą podwórkową sukę, która wygrzewała się na słońcu całymi dniami. Wtedy podszedł do mnie Kozioł i się przedstawił.

— Umiesz grać na klarnecie? — zapytał po chwili.

— Chyba nie — odparłem zgodnie z prawdą.

— A ja umiem.

Siedzieliśmy na trzepaku, po męsku plując na bruk, kiedy Kozioł odezwał się ponownie:

— Mogę ci zagrać, jak przyniesiesz mi szklankę kompotu z rabarbaru.

Nie wiem dlaczego, ale się zgodziłem. Pobiegłem na górę, ale tego dnia nie było w mieszkaniu moich dziadków kompotu z rabarbaru. Były za to ogórki małosolne, więc wyłowiłem kilka z kamionkowego garnca i zbiegłem na dół. Kozioł ogórki zjadł, ale powiedział, że nie zagra, bo to nie rabarbar. Zgodziłem się z nim i od tamtej pory zostaliśmy przyjaciółmi.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, na skraju tego świata znajdowała się stara suka Aza. Aza należała do wszystkich, czyli do nikogo. Znalazłem w albumie mojego dziadka zdjęcie, na którym jest podwórko naszej kamienicy, stary jesion i pusta ławka. Zdjęcie jest bardzo smutne, bo na innych fotografiach zawsze ktoś na ławce siedzi. Ale jak się uważnie przyjrzeć, to widać pod ławką ciemny kłębek. Ten kłębek to właśnie stara suka Aza. Kiedy to odkryłem, zdjęcie przestało być smutne i się uśmiechnąłem.

Mój dziadek powiedział mi kiedyś, że bardzo się cieszy, że wzrastam w atmosferze niewinności. Czułem, że wzrastam raczej w innej atmosferze, bo tamtego lata było bardzo gorąco, ale nic się nie odezwałem.

— Pielęgnuj ją w sobie! — pouczył mnie dziadek, a ja nie wiedziałem, czy chodzi mu o atmosferę, czy o niewinność.

Tamtego lata było wyjątkowo upalnie i pewnego dnia Paweł opowiedział nam, że jego starsza siostra Ania chodzi po swoim pokoju w samych tylko majtkach i bez stanika. Ania była kilka lat starsza ode mnie, miała już włosy pod pachami i była już chyba dorosłą kobietą. Bardzo mi

się podobała, choć nigdy się z nami nie bawiła, bo miała własne sprawy. Widywałem ją, jak zbiega po schodach w letniej sukience i wychodzi przed bramę naszej kamienicy, gdzie czekały na nią koleżanki, z którymi chodziła na Rynek. My nie mogliśmy jeszcze wtedy wychodzić poza podwórko.

Tamtego lata niewinna uwaga poczyniona przez Pawła bardzo głęboko zapadła nam w pamięć. Pielęgnowałem w swej wyobraźni obraz Ani i kiedy zamykałem oczy, to widziałem, jak spaceruje bez stanika po swym pokoju.

Zosia miała sukienki w kwiaty, smutne oczy i ciągle czytała książki. Też nie nosiła stanika, ale to co innego.

Tamtego lata odeszła od nas podwórkowa suka Aza. Miała gęstą, brązową sierść, smutne oczy i melancholijny głos, którym czasem odzywała się w środku dnia. Pewnego dnia spostrzegliśmy wszyscy, że na jej pysku pojawiły się siwe włosy. Od tamtej pory jej siwizna zaczęła się powiększać, zajmując łapy, całą głowę i tułów. Kiedy doszła do szubka ogona i Aza zrobiła się cała biała, stara suka odeszła. Widzieliśmy, jak wychodzi ciężko przez bramę na ulicę, na którą nam nie było wolno chodzić.

Nigdy potem jej nie widzieliśmy.

W rodzinie nie było pogrzebów, bo wszyscy już dawno pomarli.

Tamtego lata Kozioł wymyślił, że musimy założyć tajne bractwo. Z początku nie wiedzieliśmy, dlaczego miałoby być tajne i przed kim mielibyśmy się ukrywać. Jednak ani ja, ani Paweł nie mieliśmy wątpliwości, że istnieje paląca potrzeba powołania takiego bractwa. Aby było tajemniczo, Kozioł zwołał pierwsze spotkanie wieczorem, po „Dzienniku”. Powiedział, że spotykanie się w ciągu dnia jest niepoważne i w taki sposób od razu zostaniemy zdemaskowani.

Nie było mi łatwo nakłonić dziadków, by wypuścili mnie na podwórko tuż przed kolacją. Musiałem skłamać, podobnie jak każdy z nas. Tak więc od początków naszego tajnego bractwa towarzyszył nam grzech. Ja powiedziałem dziadkowi, że zapomniałem odebrać książkę od Pawła, Paweł, że od Kozła, a Kozioł skłamał nam, że nie musiał rodzicom kłamać.

Tamtego lata dużo czasu spędzaliśmy na starym jesionie, siedząc na grubych konarach wysoko ponad taflą podwórka naszej kamienicy. Owego wieczoru też wspięliśmy się na drzewo i snuliśmy sekretne plany. Dookoła nas okna kamienicy jaśniały światłem, wewnątrz nasi rodzice i dziadkowie przygotowywali kolację, krojąc chleb i soczyste pomidory, a myśmy spiskowali, machając nogami nad ziemią. Zapytałem, po co nam tajne bractwo, ale Kozioł uspokoił nas słowami:

— Zawsze się przyda. W razie czego będziemy przygotowani.

Zaufaliśmy mu, bo był od nas starszy o rok, a poza tym bardzo chcieliśmy być członkami jakiejś tajemnej organizacji. Kiedy wróciłem do domu, sekret tak mnie palił, że od razu chciałem pochwalić się dziadkom, jakiego mają dzielnego wnuka. Z trudem się powstrzymałem i długo leżałem bezsennie w łóżku, snując plany i wyobrażając sobie nasze przyszłe zadania.

Kozioł zebrał nas następnego dnia przy drzwiach od piwnicy, gdzie śmierdziało kotami i dlatego nikt tam nie chodził, i podzielił się z nami kolejną porcją swych dalekosiężnych planów. Nasze tajne bractwo potrzebowało legitymacji, żeby móc się rozpoznawać, na wszelki wypadek; potrzebowało też pieczątki, którą podbijalibyśmy nasze tajne dokumenty; potrzebowaliśmy lokalu na spotkania oraz archiwum, w którym gromadzilibyśmy liczne dokumenty z naszej działalności.

Paweł zrobił legitymacje, korzystając ze ścinków brystolu, które znalazł w pracowni swego ojca. Pan Piotr, ojciec Pawła, był architektem. Miał pracownię w domu i często uspokajał nas przez okno, kiedy zachowywaliśmy się zbyt głośno. Chodził z czarnymi tubusami i wzrokiem wbitym w ziemię, a zamiast paska do spodni nosił granatowe szelki. Paweł opowiadał, że jego ojciec cały czas pracuje nad projektem ich nowego domu. Martwiliśmy się, bo to by oznaczało, że Paweł i Ania będą musieli w końcu wyprowadzić się z naszej kamienicy i stracimy z nimi wszelki kontakt.

Moja babcia nie lubiła pana Piotra, ponieważ kiedyś dowiedziała się z pewnych, acz nieujawnionych przez nią źródeł, że ojciec Pawła zamierza zburzyć naszą kamienicę i zaprojektować w jej miejsce coś nowoczesnego,

funkcjonalnego i estetycznego. Ponieważ jednak moja babcia była osobą dobrze wychowaną, nie dawała wprost panu Piotrowi odczuć, jak nim pogardza. Ograniczała się więc do aluzji, które rzucała na schodach w chwilach, gdy pan Piotr kłaniał się jej uprzejmie.

— Bardzo nowoczesna kamienica, prawda? — odpowiadała na pytanie o pogodę.

Albo:

— Jak dobrze, że mieszkamy w tak funkcjonalnym domu, nie uważa pan? — pytała, gdy życzył jej dobrego dnia.

Moja babcia była pewna, że jej drobne złośliwości odnoszą właściwy skutek, gdyż o ewentualnej rozbiórce kamienicy nic się nie mówiło.

— Inżynier, ale ma jeszcze odrobinę wstydu! — mówiła, siedząc na swym kuchennym tronie.

Kozioł Ostrowski do legitymacji wpisał imię Kozioł i powiedział, że nasze bractwo jest tajne, więc nie ma powodu, by ujawniał swe imię. Z podobnych powodów zrezygnowaliśmy ze zdjęć, co było nam nawet na rękę, gdyż ani Piotr, ani ja nie dysponowaliśmy odpowiednimi fotografiami. Ja przyniosłem pieczątkę mego dziadka, którą mogłem się bawić od wczesnego dzieciństwa, gdyż dziadek od dawna jej nie potrzebował. Wprawdzie tekst na pieczątce brzmiał: EGZEMPLARZ ARCHIWALNY, ale ważne było, że mamy prawdziwą pieczątkę i prawdziwy, zielony tusz. Napis ten zresztą okazał się bardzo przydatny, gdyż mogliśmy nim swobodnie oznaczać wszelkie dokumenty, które składaliśmy do archiwum.

Chwilowo archiwum mieściło się w blaszanym pudełku po czekoladkach, które zobowiązałem się przechowywać w domu. Po tajnej naradzie ustaliłem, że będę je chować za oficerki dziadka, gdyż nie pamiętałem, aby on kiedykolwiek z nich korzystał. W archiwum na początku znalazły się nasze oświadczenia, w których zobowiązywaliśmy się do zachowania wszystkich spraw naszego bractwa w tajemnicy.

Podczas pierwszych dni istnienia owej sekretnej organizacji narodziła się też jej nazwa. Brzmiała ona: Tajne Bractwo.

Tamtego lata sporo czasu spędzaliśmy w gałęziach starego jesionu. Skryci pomiędzy liśćmi, byliśmy niewidoczni dla mieszkańców naszej kamienicy. Tam też była pierwsza siedziba naszego tajnego bractwa.

W naszym tajnym bractwie postanowiliśmy, że musimy udowodnić, że jesteśmy godni tajemnicy, którą mamy dźwigać. Musiał to być prawdziwy test odwagi i hartu ducha. Paweł z początku nieco się ociągał, twierdząc, że podpisaliśmy oświadczenia, ale Kozioł był stanowczy:

— A jak będą nas torturować?

Każdy w duchu przyznał mu rację, że nie byliśmy pewni samych siebie i siebie nawzajem.

W naszym tajnym bractwie postanowiliśmy, że poddamy naszą odwagę próbie. Ustaliliśmy, że spędzimy noc na Wawelu, przy grobie marszałka Piłsudskiego. Jeśli wytrzymamy, a potem nie powiemy dziadkom i rodzicom, gdzie byliśmy całą noc, to będziemy godni prawdziwego członkostwa w naszym bractwie. Ustaliliśmy ponadto, że wyniki tego testu będą wpisane do naszych tajnych legitymacji, a Paweł dorysował cienkopisem specjalną rubrykę, którą opisał „próba odwagi”. Rubryka spokojnie czekała, aż będziemy mogli ją wypełnić.

W naszym tajnym bractwie dość długo odwlekaliśmy tę próbę, gdyż wiedzieliśmy, że nie wolno nam samym wychodzić poza podwórko, a co dopiero iść na Wawel i spędzać tam noce w podziemiach. Na każde wspomnienie o próbie czuliśmy dreszcz podniecenia i strachu. Dwa razy ustaliliśmy termin, lecz zawsze coś przeszkadzało. Raz Paweł musiał z rodzicami i siostrą jechać do zoo, i w ostatniej chwili odwołaliśmy akcję. Innym razem były imieniny mamy Kozła i też wszystko się odwlekło.

Zosia miała smutne oczy i ciągle czytała książki, ale czasem się śmiała. Tamtego lata, kiedy my umacnialiśmy się w naszym tajnym bractwie, Zosia siedziała na ławce pod jesionem i patrzyła z uśmiechem, jak codziennie wdrapujemy się na drzewo i szeptamy tam między sobą. Wiedzieliśmy, że robimy poważne rzeczy, ale jednocześnie czuliśmy się dziwnie, gdyż jej śmiech sugerował, że uważa nas za dzieci.

— Dziewczyny nic nie rozumieją — mówił Kozioł, ale minę też miał nietęgą.

Wszyscy czuliśmy, że musimy zejść Zosi z oczu, jeśli chcemy zachować wiarę w powagę tego, co robimy.

Tamtego lata sporo czasu spędzaliśmy w gałęziach starego jesionu, ale pewnego dnia przyszedł Kozioł z tajemniczą miną i powiedział, wskazując na Zosię, która spokojnie czytała książkę na ławce:

— W takich warunkach nie da się poważnie pracować.

Po czym wyciągnął pordzewiały klucz i powiedział, że przenosimy siedzibę naszego tajnego bractwa z jesionu na strych naszej kamienicy. Ruszyliśmy za nim, raźno wspinając się po schodach. Kozioł przekręcił klucz w zamku, zachrzęściło i po chwili weszliśmy do naszej nowej siedziby. W środku trwało zastygłe, gorące powietrze, było pełno kurzu i śmierdziało gołębimi odchodami. Byliśmy zachwyceni.

Belki więźby dachowej tworzyły pajęczą konstrukcję. Pełno było tu starych mebli, stołków, foteli i pozbawionych drzwi szaf, z których ułożyliśmy gabinet naszego bractwa, krztusząc się od chmur kurzu wzniecanych z każdym ruchem. W kącie przy oknie ustawiliśmy biurko, do którego szuflady przeniosłem archiwum naszej organizacji. Przesunęliśmy też wypłowiałą wersalkę, pokrytą kępkami wyłażącego włosia i przebitą sprężynami, pomiędzy którymi dało się jednak wygodnie siedzieć.

W naszym tajnym bractwie mieliśmy wszystko: siedzibę i legitymacje, przysięgi i oświadczenia; nie mieliśmy tylko na horyzoncie żadnych zadań godnych tak poważnej organizacji. Przesiadywaliśmy więc całymi dniami na strychu, pocąc się niemiłosiernie i szukając szczytnych celów naszej przyszłej działalności.

Tamtego lata pan Łukasz Wicher raczej niewiele malował, a głównie pił. Pewnego dnia, kiedy rano szedłem z dziadkiem na Kleparz, natknęliśmy się na pana Wichra leżącego na półpiętrze. Śmierdział i chrapał, a ja trochę się bałem. Dziadek lekko trącił go w ramię, a ten się przebudził.

— Niechże się pan opamięta! — powiedział dziadek.

Wzrok pana Łukasza Wichra był niewidzący. Zobaczyłem, że nagle jego spodnie pociemniały, a po schodach zaczęła spływać strużka cieczy. Trąciłem dziadka.

— Panie Łukaszu! — Dziadek nie krył żalu. — Na Boga, przecież to secesyjna klatka schodowa; kto o tym powinien pamiętać, jak nie pan?

W naszym tajnym bractwie długo odwlekaliśmy próbę odwagi.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, więc musi też być klatka schodowa w naszej kamienicy. Zdjęcie robione jest z dołu, widać ślimak poręczy i balustradę kutą w roślinne motywy. W ciemną studnię przesącza się światło z okienek na półpiętrze. Na fotografii nie czuć tej mieszaniny kurzu i woni kotów, nie słychać skrzypienia starych stopni. Nie widać też pana Łukasza, którego tamtego lata często musieliśmy mijać na schodach, wstrzymując oddech, na palcach, bojąc się go zbudzić, jak starego niedźwiedzia z zabawy.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, poza panem Zygmuntem. Nie pamiętam dziś jego twarzy.

Mój dziadek co rano chodził na zakupy na Kleparz, choć nie było takiej potrzeby. Ale on wstawał rano, zjadał śniadanie i starannie spisywał na kartce, czego w domu brakuje. Czasem szedł tylko po butelkę śmietany albo po koper, którego babcia potrzebowała do kiszenia ogórków. Moja babcia zawsze potrafiła mu coś wymyślić, a on brał siatkę, naciągał beret i wesoło nucąc, ruszał na plac targowy.

W naszym tajnym bractwie mieliśmy wszystko, co niezbędne do poważnej działalności, poza działalnością. Dlatego z nudów zaczęliśmy pilnie obserwować przez uchylone okienko pokój Ani, starszej siostry Pawła, aby przekonać się, czy rzeczywiście chodzi prawie nago po mieszkaniu. Widok był znakomity i nawet nie potrzebowaliśmy lornetki, którą przyniósł Paweł. Wyznaczyliśmy dyżury, starannie rozpisane na kartce, którą pinezką przybiliśmy do krokwi, i rozpoczęliśmy metodyczne obserwacje. Aby włączyć to zajęcie w oficjalną działalność naszej organizacji, Kozioł wymyślił, że trzeba prowadzić dokładny dziennik, zapisując wszystkie nadzwyczajne fakty wraz z dokładną godziną ich spostrzeżenia.

— To będzie przygotowanie do poważniejszych zadań.

Zosia miała sukienki w kwiaty, smutne oczy i ciągle czytała książki.

W naszym tajnym bractwie długo odwlekaliśmy próbę odwagi.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz, a ja czasem chodziłem z nim. Szliśmy Plantami, dziadek odkłaniał się mijającym nas ludziom, bo w Krakowie wszyscy dziadka znali. I opowiadał mi dziwne historie z dawnych czasów, o których nie czytałem w książkach. Opowiadał o spiskach i zamachach, o poetach i prorokach, którzy chodzili po polskiej ziemi ponad sto lat temu, czyli bardzo dawno. Opowiadał o tajemniczym panu Chodnikiewiczu i o samym Józafacie Dumanowskim.

W naszym tajnym bractwie bardzo pilnie przykładaliśmy się do obserwacji Ani. Jednak wbrew naszym oczekiwaniom zadanie okazało się nadspodziewanie trudne. Firanka w pokoju obserwowanej często była zasłonięta, co utrudniało pełną orientację w tym, co dzieje się w pokoju. Do tego Ania raczej nie spacerowała po pokoju, tylko leżała na łóżku albo siedziała przy stole, więc trudno było zobaczyć, czy ma na sobie stanik, czy też nie. Kilka razy wydawało mi się, że widzę jej pierś i serce zaczęło mi bić żywiej, ale nie byłem pewien. Leki wiatr poruszał firankę w jej oknie, a ja trwałem na posterunku, z lornetką przy oczach.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz, a ja czasem chodziłem z nim. Na placu też wszyscy go znali i nazywali panem kierownikiem, chociaż mój dziadek nigdy tam nie pracował, bo zanim został emerytem, był profesorem na uniwersytecie. Pewnie musieli go z kimś mylić. Przekupki rozpoznawały go od wejścia i uśmiechały się ciepło. W sklepie mięsnym pani Lodzia odkładała mu najlepsze kawałki wołowiny, bez kości i żył, w nabiałowym pani Stasia podsuwała mu dyskretnie jaja od chłopa; a w warzywniaku uśmiechał się nawet smutny pan bez imienia, który nigdy się nie uśmiechał.

Wracaliśmy z tych wypraw obwieszeni suszonymi grzybami, pętami kabanosów, dźwigając siatki pełne wszelkiego dobra. Babcia oczywiście załamywała ręce, lamentując:

— Kto to wszystko zje!

Ale jakoś zjadaliśmy bez kłopotu; opowieści o pustych półkach do nas nie docierały.

W naszym tajnym bractwie przyszedł wreszcie długo odwlekany czas próby. Późnym popołudniem zebraliśmy się w naszej siedzibie na strychu, mając w chlebakach niezbędny ekwipunek. Każdy miał ze sobą sweter, manierkę z kompotem, kanapkę i latarkę. Kozioł wziął plaster, bandaż, opakowanie gazy i wodę utlenioną, wszystko na wszelki wypadek, a ja zabrałem scyzoryk. Patrzyliśmy po sobie niepewnie, ale sprawy zaszły za daleko. Musieliśmy przejść tę próbę zwycięsko. Z duszą na ramieniu zeszliśmy po schodach i chyłkiem wymknęliśmy się z naszej kamienicy na ulicę S.

Podczas drogi dodawaliśmy sobie odwagi żartami, ale perspektywa nocy w katakumbach nas przerażała; jednak nikt nie śmiał powiedzieć tego głośno. Plantami szybko dotarliśmy na Wawel i weszliśmy w mrok katedry. Wokół nas było kilka wycieczek, które kończyły zwiedzanie. Zeszliśmy po schodach w dół i z mapką, którą przerysowałem z przewodnika po Krakowie, odnaleźliśmy wśród wiekowych sarkofagów grobowiec marszałka Piłsudskiego. Usiedliśmy pod ścianą i wyciągnęliśmy manierki. Zwiedzających prawie nie było, czasem przed wejściem do krypty przesunął się cień strażnika. Mijały długie minuty. Po półgodzinie zrobiliśmy się głodni i każdy wbił zęby w swoją kanapkę. Ja zjadłem jeszcze jabłko i wtedy uświadomiłem sobie, że czeka mnie cała noc bez jedzenia. Poczułem się bardzo samotny.

Nagle zaczęło gasnąć światło. Skuliliśmy się, czując nawzajem swoje ciepło. Nie było odwrotu. Kozioł poświecił latarką na stalowy sarkofag Marszałka, który przypominał kasę pancerną. Czuliśmy, że dzieje się coś ważnego. W ciemności podziemi usłyszeliśmy kroki i Kozioł zgasił latarkę. Do krypty wszedł strażnik i zapalił światło.

— Zamykamy już — powiedział, nie patrząc nawet na nas. — Uciekajcie, wisusy.

Wdzięczni za te słowa, biegiem ruszyliśmy do wyjścia. Świat na zewnątrz podziemi był słoneczny i jasny. Śpiewały ptaki, po dziedzińcu spacerowali ludzie. Byliśmy ocaleni.

W naszej kamienicy nikt nie zauważył, że nas nie było. Zdążyliśmy na kolację, a moja babcia dziwiła się, że mam taki apetyt. Pamiętam jak dziś, że wtedy była sałatka z gotowanych warzyw z majonezem.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz i po drodze opowiadał mi niezwykłe historie z dawnych czasów. Wierzyłem w nie wszystkie i wierzyłem, że dziadek w nich uczestniczył, tak potrafił opowiadać. Poznawałem więc sekretne życie Mickiewicza i Słowackiego, dziwne losy powstańczych jenerałów, których mój dziadek, rotmistrz ułanów, musiał znać.

— Pamiętaj tylko, że to wszystko jest naszą tajemnicą — napominał dziadek surowo.

Potem w szkole musiałem kłamać i opowiadać wszystkie te rzeczy, które były opisane w podręcznikach, choć wiedziałem, jak było naprawdę.

W naszym bractwie nie potrafiliśmy do końca określić, czy nasza próba odwagi zakończyła się sukcesem, czy porażką. Z jednej strony nie zrealizowaliśmy naszego celu; z drugiej jednak podjęliśmy próbę i przeszkodziły nam czynniki obiektywne w postaci strażnika. Następnego dnia po naszej wyprawie do grobu marszałka Piłsudskiego postanowiliśmy, siedząc na starej wersalce w naszej siedzibie, że w odpowiedniej rubryce naszych legitymacji napiszemy: próba warunkowo zaliczona. Tak wymyślił Kozioł i, choć nie bardzo rozumieliśmy sens tej formuły, to czuliśmy, że trafnie opisuje sytuację.

Od tamtej pory byliśmy pełnoprawnymi członkami naszej sekretnej organizacji.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz i po drodze opowiadał mi niezwykłe historie z dawnych czasów. Pamiętam, jak kiedyś wracaliśmy obładowani mięsem na rosół i pękami włoszczyzny. Seler z pietruszką pachniały intensywnie, świeciło słońce, a ja spytałem, kim był pan Józafat Dumanowski, o którym dziadek kilkakrotnie wspominał. Dziadek zatrzymał się, poprawił beret i powiedział poważnie:

— Józafat Dumanowski był człowiekiem wielkiego formatu.

Nie śmiałem pytać dalej.

W naszym tajnym bractwie metodycznie podglądaliśmy Anię, nie mogąc jednoznacznie ustalić, czy chodzi po swoim pokoju prawie goła, czy nie. Planowaliśmy nawet przeprowadzić ostateczny test, czyli rzucić niewielkim kamyczkiem w okno pokoju starszej siostry Pawła i czekać, co

się dalej wydarzy. Każdy z nas twierdził, że prawie widział jej pierś, a Kozioł upierał się, że raz poprzez firankę zobaczył jej gołą pupę, co odnotował w naszym dzienniku obserwacji, choć ze znakiem zapytania w nawiasie. Byliśmy już gotowi
rozstrzygnąć to na drodze eksperymentu, kiedy nagle drzwi na strych się otwarły i stanęła w nich Ania. Była ubrana, a my skuliliśmy się na wersalce, aż sprężyny jęknęły.

— Paweł — odezwała się Ania, stojąc w progu — przekaż łaskawie swoim kolegom, że jak nie przestaną mnie podglądać, to powiem rodzicom.

Drzwi trzasnęły, a my zostaliśmy z niedokończonym zadaniem i zbędnym w tej sytuacji pieczołowicie prowadzonym dziennikiem obserwacji.

Zosia miała smutne i piękne oczy, i na pewno nigdy nie zachowałaby się tak jak Ania. Tamtego lata Ania mijała nas zawsze z ironicznym uśmieszkiem, a ja czerwieniłem się i schodziłem jej z drogi. W ten oto sposób działalność naszego tajnego bractwa doprowadziła do tego, że obydwie dziewczyny z naszej kamienicy jawnie nami pogardzały, choć każda z innego powodu.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz, a potem zabierał mnie do Starego Miasta, pokazując kościoły, muzea i pałace. Z nim labirynt starych ulic i szarych, przygarbionych kamienic, który normalnie budził moją grozę, przestawał być taki straszny. Podczas jednego z takich spacerów dziadek odezwał się, beztrosko machając siatką ze świeżym kogutkiem, że Józafat Dumanowski przeprowadził Polskę przez mroczny i długi okres zaborów.

— Bez niego by nas dzisiaj nie było — zakończył.

Kogutek, na którym babcia zrobiła potem pyszny rosół, kołysał się smętnie.

W naszym tajnym bractwie miny mieliśmy niewesołe. Siedzieliśmy na zmurszałej wersalce, wdychając wszędobylski kurz i czuliśmy się jak spiskowcy, którym zabrano rację istnienia. Śledzenie Ani było naszym jedynym zadaniem i bez niego dalsza nasza działalność nie miała sensu.

— Trzeba się rozwiązać — odezwał się melancholijnie Paweł.

— Rozwiązać?! — wybuchnął Kozioł Ostrowski. — Czy po to tyle cierpieliśmy, przechodziliśmy próby, urządzaliśmy siedzibę i narażaliśmy się, aby teraz dać się pokonać?

Uznaliśmy, że przeczekamy trudny czas, intensywnie szukając nowych wyzwań.

Zosia miała smutne i piękne oczy, i wierzyłem, że nigdy nie zachowałaby się tak jak Ania, choć uśmiechała się na nasz widok z nutą pobłażania.

W naszym tajnym bractwie czas upływał nam na jałowej pracy organicznej. Rysowaliśmy plany mieszkań w kamienicy, zapisywaliśmy, o której kto wchodzi i wychodzi, opisywaliśmy obcych, którzy odwiedzali zakład fotograficzny pana Zygmunta. Wszystko to budowało wprawdzie solidne podstawy naszej dalszej działalności, ale traciliśmy nadzieję, by pojawiło się wyzwanie godne tak umocnionych struktur organizacyjnych.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz i czasem szedłem wraz z nim. Wracaliśmy naokoło, idąc przez stary Kraków, a mój dziadek wzdychał nostalgicznie:

— I pomyśleć, że tymi ulicami chodził sam Józafat Dumanowski.

Moja babcia miała na temat Józafata Dumanowskiego odmienne zdanie niż dziadek. Kiedy nieopatrznie zapytałem ją przy kolacji, czy też znała pana Dumanowskiego, babcia zaczęła się śmiać i powiedziała:

— Dziecko, przecież jego nigdy nie było!

— Nawet gdyby nie było — odezwał się dziadek — to trzeba byłoby go wymyśleć.

W naszym tajnym bractwie nastroje były marne, a na dodatek tamtego lata przez kilka dni padało, więc siedzieliśmy smętnie w naszej tajnej siedzibie, słuchając stukania deszczu po dachu i szukaliśmy wyjścia z naszej trudnej sytuacji. Bractwo umierało, choć narodziło się tak niedawno.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz i wiedział, jak kupić najlepszy twaróg. I nie brał go od pani Stasi, u której kupował cały nabiał, tylko szedł na drugi koniec placu i na niepozornym stoisku od niepozornej kobiety kupował klinek białego sera.

— Cała sztuka w tym, żeby nie był kwaśny — mówił mój dziadek.

W takich chwilach go podziwiałem.

W naszym tajnym bractwie planowaliśmy po cichu rozwiązanie struktur i zejście do podziemia. Każdy miał do czego wracać. Kozioł musiał ćwiczyć na klarnecie, ja planowałem poszukiwania w bibliotece dziadka i tajemne plądrowanie przepastnych szuflad jego biurka, a Paweł tęsknił do niedoczytanych książek. I wtedy przyszedł mi do głowy prosty i genialny pomysł.

— Słuchajcie — powiedziałem, drżąc z podniecenia — a gdybyśmy spróbowali odnaleźć skarb pana Chodnikiewicza?

I opowiedziałem przyjaciołom wszystko to, co wiedziałem od dziadka i babci razem wziętych. Kozioł Ostrowski coś słyszał wcześniej o panu Chodnikiewiczu, bo był synem i wnukiem pana Zygmunta, a na fotografiach pana Zygmunta był cały świat, a więc i pan Chodnikiewicz. Paweł nie wiedział nic, ale tym bardziej zapalił się do projektu. I tamtego dnia, tamtego lata, kiedy naszą kamienicę obmywały strugi deszczu, nasze tajne bractwo narodziło się na nowo.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz, a moja babcia z upodobaniem rzucała się w objęcia śmierci.

W naszym tajnym bractwie poczęliśmy pieczołowicie przygotowywać plany naszego nowego zadania. Najpierw sporządziliśmy dokładną mapę mieszkania po panu Chodnikiewiczu, zaznaczając prawdopodobne miejsca ukrycia skarbu, których zresztą było bardzo wiele. Następnie dyskretnie obejrzeliśmy obiekt naszej wyprawy, zaglądając uważnie przez wszystkie dostępne okna. Mieszkanie po panu Chodnikiewiczu znajdowało się na parterze, lecz musieliśmy się nieźle natrudzić, by któryś z nas wspiął się na poziom parapetu. Podstawiliśmy drabinę, stawaliśmy sobie na ramionach, wreszcie prowadziliśmy ciągłą obserwację obiektu z gałęzi starego jesionu. Kozioł Ostrowski zrobił nawet kilka zdjęć wnętrza. Jednak po wywołaniu okazało się, że niewiele widać. Okna były zakurzone i wszystko, co

widzieliśmy, to szarość. Jedyny sukces tych przygotowań to stwierdzenie ponad wszelką wątpliwość, że pośrodku największego pokoju naprawdę stoi wielki kufer. Myśl, że w środku spoczywa zasuszona, odziana w starożytny mundur mumia pana Chodnikiewicza, rozpalała naszą wyobraźnię.

Moja babcia z upodobaniem rzucała się w objęcia śmierci; tak przynajmniej mówił mój dziadek.

W naszym tajnym bractwie stanęliśmy przed poważnym wyzwaniem, którym było dostanie się do obserwowanego mieszkania. Drzwi były zamknięte na głucho, stalowe sztaby, przykręcone pewnie jeszcze przed wojną, zamalowano kilka razy. Na wszystkim wisiała wielka kłódka, do której nie mieliśmy klucza.

Moja babcia z upodobaniem rzucała się w objęcia śmierci, a robiła to na dwa sposoby.

W naszym tajnym bractwie, pod długich analizach i burzliwych dyskusjach, opracowaliśmy precyzyjny plan, jak dostać się do mieszkania.

Moja babcia z upodobaniem rzucała się w objęcia śmierci, a robiła to na dwa sposoby. Pierwszym było uważne śledzenie szlaków umierania. Babcia uważnie czytała codzienną prasę i wycinała z niej nekrologi oraz doniesienia kroniki kryminalnej o morderstwach. W ten sposób pozwalała sobie na niebezpieczną grę z osaczającym wszystkich przemijaniem. Szczególnie interesował ją postęp działań śmierci w najbliższej okolicy. Kiedy tylko ktoś z ulicy S. albo sąsiednich przecznic zasnął w Panu, babcia z pewnym dwuznacznym triumfem obwieszczała:

— I co, widzicie? To całkiem niedaleko.

Była wtedy zupełnie jak dziecko, które przestraszone burzą, oblicza, jak daleko od jego domu uderzają złowrogie pioruny. Jednak w głosie mojej babci nie było słychać przestrachu, lecz raczej pewną familiarną zażyłość z nieprzeniknionymi drogami śmierci.

W naszym tajnym bractwie ustaliliśmy, że jedynym posiadaczem klucza może być pan Andrzej, który był złotą rączką, ale pracował jako dozorca naszej kamienicy.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, nie mogło więc zabraknąć pana Andrzeja, który tego świata pilnował i ciągle go naprawiał.

W naszym tajnym bractwie ustaliliśmy, że kluczem do mieszkania pana Chodnikiewicza jest pan Andrzej. Zagadnęliśmy go zaraz o to, udając brak zainteresowania. Kozioł Ostrowski wymyślił sprytny fortel, który miał pozwolić nam uzyskać potrzebne informacje, jednocześnie nie budząc najmniejszych podejrzeń co do celu zdobywania tych informacji.

— A gdyby tak nagle w kamienicy wybuchł pożar, to czy ktoś ma w ogóle klucze do tego mieszkania na parterze? — zapytał pewnego dnia Kozioł Ostrowski ze znudzoną miną pana Andrzeja, który oczywiście niczego nie podejrzewał.

— Nie ktoś, tylko ja! — odpowiedział z dumą pan Andrzej i wyciągnął z kieszeni drelichowego fartucha rozdzwoniony pęk, wskazując nam jednocześnie na wielki klucz o skomplikowanych ząbkach.

— To dobrze — powiedział Kozioł, z trudem opanowując drżenie głosu. — Dobrze wiedzieć, że ktoś czuwa nad naszym bezpieczeństwem.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, więc nie mogło zabraknąć pana Andrzeja, dozorcy i opiekuna naszej kamienicy. Nie zabrakło go dwukrotnie, przynajmniej na zdjęciach w albumie mojego dziadka. Na pierwszym widać nasze podwórko, stary jesion i ławeczkę. A nad ławeczką stoi pochylony pan Andrzej i coś naprawia. Pewnie dokręcał wielkie śruby albo wymieniał przegniłą deskę na nową.

Moja babcia z upodobaniem napotykała śmierć na drodze swoich bliźnich, śledząc rubrykę z nekrologami i kroniki policyjne. Każdą pozyskaną z prasy codziennej informację wycinała nożyczkami i wklejała gumą arabską do specjalnego zeszytu. Wycinkowi towarzyszył precyzyjny opis, zawierający nie tylko datę tego smutnego wydarzenia, ale też sumaryczny opis pogody w Krakowie, a także jadłospis, który owego feralnego dnia obowiązywał w mieszkaniu moich dziadków. Dzięki temu można było bezbłędnie skojarzyć brutalne morderstwo z zupą pomidorową,

śmiertelne potrącenie pieszego przez pijanego kierowcę ze zrazami zawijanymi, a zgon emerytowanego pracownika zakładu ubezpieczeń ze smażoną wątróbką.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, więc nie mogło zabraknąć pana Andrzeja, dozorcy i opiekuna naszej kamienicy. Na drugiej fotografii pojawia się mimochodem. Znów widać nasze podwórko, stary jesion i ławkę. Na ławce siedzi mój dziadek i moja babcia i są młodsi niż na ostatnim zdjęciu. Ubrani są zwyczajnie, a na ławce pomiędzy nimi stoją stłoczone siatki z zakupami. Widać pan Zygmunt zaskoczył ich przypadkiem i zaprosił do zdjęcia zupełnie nieprzygotowanych. Dowodzi tego irytacja na twarzy babci, która patrzy w obiektyw z nienawiścią, zaciskając wąskie usta; mój dziadek nerwowo poprawia beret.

W tle widać postać dźwigającą kubeł na śmieci, aby wystawić go na ulicę, po której przejeżdża śmieciarka. Ta postać to oczywiście pan Andrzej, który był złotą rączką, a pracował jako dozorca naszej kamienicy.

W naszym tajnym bractwie ustaliliśmy zatem, gdzie jest klucz, ale nie wiedzieliśmy, jak go pozyskać. Koncepcja, by wywołać mały pożar, który zmusi pana Andrzeja do użycia klucza, odpadła. Zamieszanie, które byśmy wywołali, utrudniłoby nam przecież realizację planu. Z wysiłkiem skonstruowaliśmy misterną intrygę, na której końcu mieliśmy się stać czasowymi posiadaczami klucza.

Moja babcia z upodobaniem dokumentowała okoliczności śmierci nieznanych sobie bliźnich. Kiedyś, pomagając jej wklejać kolejne nekrologi do opasłego zeszytu o napęczniałych kartkach, zapytałem, po co zapisuje tam nasze obiady.

— Wszystko to może mieć znaczenie — odpowiedziała, spoglądając na mnie zza mocnych okularów.

W naszym tajnym bractwie ustaliliśmy, że najprostszą metodą pozyskania klucza będzie upicie pana Andrzeja. Kupimy butelkę wódki i pójdziemy do mieszkania dozorcy z prośbą, by nam opowiedział coś o starożytnych dziejach naszej kamienicy. Zaproponujemy mu wódkę i będziemy dolewać, pilnie słuchając opowieści. Pan Andrzej był kopalnią

wiedzy o rurach kanalizacyjnych, przewodach elektrycznych i tym podobnych sekretach naszej kamienicy, które wprawdzie w tamtym momencie nie miały dla nas znaczenia, ale mogły się kiedyś przydać. Przede wszystkim jednak były to tematy, o których nasz dozorca, będący jednocześnie złotą rączką, potrafił opowiadać godzinami. Nieraz widzieliśmy, jak zaczepiał mieszkańców na schodach i niezrażony jawnym ziewaniem zagadniętych, snuł swe opowieści o kranach, rurach i zaworach, naświetlając drobiazgowo swoją heroiczną walkę ze stawiającą ciągły opór przestarzałą materią.

Moja babcia z upodobaniem dokumentowała okoliczności śmierci nieznajomych sobie bliźnich. Tamtego lata dobrnęła do końca zeszytu. Tego dnia podeszła spokojnie do swej nocnej szafki i złożyła rozpulchniony wycinkami wolumin obok wielu jemu podobnych. Nie mogłem wytrzymać i następnego dnia zakradłem się do sypialni dziadków, choć pokój ten przejmował mnie zawsze chłodem. Z bojaźnią otwarłem nocną szafkę przy łóżku babci i zacząłem przeglądać jej dzieło. Powoli zanurzałem się w rzekę czasu, śledząc pożółkłe i kruche skrawki papieru. Czasy wojenne przynosiły listy rozstrzelanych i informacje Czerwonego Krzyża. Najstarsze zeszyty sięgały czasów przedwojennych. Pierwsze wycinki nosiły datę ślubu moich dziadków. Owego dnia rubryka z jadłospisem była szczególnie rozbudowana.

Dziadek w swojej szafce nocnej trzymał skarpetki, starannie zwinięte w kształtne kulki.

W naszym tajnym bractwie ustaliliśmy, że nasz plan jest znakomity. Rozbił się on jednak o rafy przepisów prawnych. Otóż w żadnym sklepie monopolowym w okolicy nie chciano nam sprzedać wódki jako niepełnoletnim. Tłumaczenia, że to dla wujka, ojca, dziadka i babci, nic nie pomagały. Upokorzeni i odprowadzani do drzwi niewybrednymi komentarzami oczekujących w kolejce klientów, ruszaliśmy smętnie do kolejnego sklepu. Niestety, nasza wyprawa poza wiedzą o rozmieszczeniu w okolicy sklepów z alkoholem nie przyniosła pożądanych rezultatów. Misterny plan musiał ulec dalszym przeróbkom.

Moja babcia z upodobaniem rzucała się w objęcia śmierci, a robiła to na dwa sposoby. Poza śledzeniem kroków śmierci w naszym mieście, była też miłośniczką i znawczynią krakowskich cmentarzy.

W naszym tajnym bractwie ustaliliśmy, że musimy do naszego spisku wciągnąć osobę dorosłą. Niemal dorosła była Ania, ale trudno się dziwić, nasze zaufanie do niej było bardzo ograniczone. Proszenie rodziców i dziadków nie wchodziło w grę. Sytuację uratował, w czarnej godzinie naszej rozpaczy, znakomity Kozioł Ostrowski, mistrz intelektu i przenikliwych wglądów w istotę rzeczy:

— Skoro nie możemy nikogo przekonać, musimy kogoś przekupić — odezwał się i powiódł po naszych twarzach triumfalnym spojrzeniem geniusza.

— Ale kogo? — odpowiedzieliśmy chórem.

Ton głosu Kozła zaczął budzić w nas przygasłą nadzieję.

— Znamy kogoś, kto zrobi dla nas wszystko. To człowiek słaby i uzależniony, który za butelkę wódki gotowy jest spełnić każde życzenie; taka natura nałogowca.

Po czym Kozioł wtajemniczył nas w szczegóły swego planu. Pójdziemy do pana Łukasza Wichra i zaproponujemy taki układ: my damy mu pieniądze na dwie butelki wódki. Jedną może wypić sam, drugą ma wypić z panem Andrzejem. Kiedy złota rączka uśnie, pan Łukasz Wicher ma wypiąć z jego pęku kluczy największy i nam dostarczyć. Zobowiązaliśmy się oddać klucz, zanim pan Andrzej się obudzi; chcieliśmy do końca grać uczciwie.

Moja babcia z upodobaniem rzucała się w objęcia śmierci, często chadzając na krakowskie cmentarze. Popołudniami ubierała szary sweter albo granatowy trencz i wolnym krokiem szła na spacer, którego celem była któraś z krakowskich nekropolii. Nieśpiesznie docierała na Rakowice, na Salwator, do grobów królewskich i na Skałkę; wiedziała wszystko o byłych cmentarzach, które obywatele miasta dawno skazali na zapomnienie. Z powagą mijała plac Mariacki i dawne miejsce pochówku straconych i grzebanych bez sakramentów, które porastało niewinną trawą u wylotu ulicy Siennej.

W naszym tajnym bractwie sądziliśmy, że plan Kozła Ostrowskiego nie ma słabych punktów. Dlatego postanowiliśmy natychmiast wcielić go w życie. Wysupłaliśmy nasze oszczędności i ruszyliśmy do pracowni malarskiej pana Łukasza Wichra. Nie zastaliśmy go jednak, więc usiedliśmy na schodach, podsycając nasze marzenia o skarbie pana Chodnikiewicza.

Pan Łukasz Wicher pojawił się o zmierzchu, kiedy chcieliśmy już wracać. Oceniliśmy jego stan na tyle pozytywnie, by móc mu wyłożyć naszą prośbę. Wsparty o balustradę lekko chwiejny malarz słuchał nas z uśmiechem, po czym zgodził się bez słowa. Dostał zaliczkę na jedną butelkę i umówiliśmy się na następny dzień pod drzwiami mieszkania pana Andrzeja.

Moja babcia z upodobaniem nawiedzała krakowskie cmentarze, a ja często towarzyszyłem jej w tych spacerach. Błądziliśmy labiryntami cmentarza Rakowickiego, wspinaliśmy się na wzgórze, gdzie rozciągała się salwatorska nekropolia, jechaliśmy tramwajem do odległego Podgórza, gdzie u stóp fortu świętego Benedykta stały resztki starego cmentarza, przeciętego na pół ulicą Telewizyjną; schodziliśmy stromymi schodami do krypty Piotra Skargi i przedzieraliśmy się przez katakumby klasztoru Reformatów, pełne odzianych w zetlałe habity mumii; razem z babcią poznawałem kaplice grzebalne, które wyrosły wieki temu przy krakowskich kościołach, dziś pełne wmurowanych w ściany tabliczek noszących nazwiska tysięcy zapomnianych obywateli miasta.

W naszym tajnym bractwie byliśmy przygotowani do akcji. Dostajemy klucz, wchodzimy do mieszkania pana Chodnikiewicza, sprawdzamy wszystkie prawdopodobne miejsca ukrycia skarbu, wychodzimy, oddajemy klucz i zamykamy się w naszej siedzibie na strychu, gdzie oddajemy się lekturze tajemniczego rękopisu o czynach Józafata Dumanowskiego. Nasz plan nie miał słabych punktów i wszystko szło jak po maśle.

Pan Łukasz Wicher stawił się o umówionej godzinie, zaskakująco trzeźwy. Dostał drugą ratę swego honorarium, poszedł do monopolowego i wrócił z butelką wódki. Zapukał do pana Andrzeja i zostawił, zgodnie z planem, uchylone drzwi. Czekaliśmy na korytarzu w napięciu, łowiąc każde dochodzące z wnętrza słowo. Mężczyźni przywitali się, usłyszeliśmy,

jak wódka, bulgocząc, spływa po ściankach szklanek. Kiedy wypili dwie kolejki, śmiejąc się i żartując, usłyszeliśmy głos pana Łukasza Wichra.

— Andrzej, chłopaki z podwórka coś kombinują. Pytali mnie o jakiś klucz do tego pustego mieszkania. Uważaj.

— Po co? Przecież tam nic nie ma. Smarkacze…

— Ale z wyobraźnią.

Pociemniało nam przed oczami. Zostaliśmy zdradzeni. Wszystkie nasze plany zniszczone, nasze żmudne przygotowania na nic. Zdrada.

Stopień za stopniem, noga za nogą, niczym skazańcy szliśmy do naszej siedziby na strychu.

Moja babcia z upodobaniem nawiedzała krakowskie cmentarze, bo dla mojej babci Kraków był miastem grobów.

W naszym tajnym bractwie długo nie potrafiliśmy poradzić sobie z tą zdradą. Siedzieliśmy w milczeniu. Jak można tak oszukać drugiego człowieka? Wreszcie Kozioł Ostrowski przerwał ciszę:

— Pijakowi nie można ufać.

— Przecież mówiłeś, że zrobi dla nas wszystko.

— Jego nałóg był jednocześnie najsilniejszym i najsłabszym punktem naszej strategii — odpowiedział cicho, a my zamyśliliśmy się nad tymi słowami.

Tamtego lata zaczęła dojrzewać w nas zemsta.

Moja babcia z upodobaniem nawiedzała krakowskie cmentarze, bo dla mojej babci Kraków był miastem grobów. Dawno temu przyjechała do tego miasta z niewielkiej wioski zagubionej na końcu świata i przeraziła się szerokimi ulicami, gwarem na placach, tramwajami i plątaniną zaułków. Poślubiła mego dziadka, była dobrą żoną i matką, lecz miasto to zawsze pozostało dla niej obce. Odnalazła się jako kustoszka pamięci nieznanych sobie ludzi, którzy nic nie mówili, nie chodzili chodnikami i nie trącali się na ulicach. Pogodnie nawiedzała cmentarze, spacerowała między grobami, uczyła się na pamięć nazwisk ze starych nagrobków i wolno budowała w sobie mapę tego przybranego miasta. Wiedziała, gdzie spoczywają królowie, gdzie biskupi, gdzie poeci, gdzie zakonnicy i mieszczanie. Dla niej ich groby były równe sobie, żadnego nie wyróżniała. Wracała ze swych

wędrówek spokojna, wypijała przygotowaną przez dziadka herbatę z cytryną i siadała w swym miękkim fotelu pod kuchennym oknem, coraz rzadziej wspominając odległe Rokiciny.

W rodzinie nie było pogrzebów, bo wszyscy już dawno pomarli.

W naszym tajnym bractwie zemsta wykluła się szybko. Rozgoryczenie zdradą pana Łukasza Wichra zaprzęgliśmy w kierat naszej wyobraźni i po kilku dniach mieliśmy gotowy plan zemsty. W tamte dni łuski spadły nam z oczu i zobaczyliśmy osobę malarza i pijaka w całej jej nikczemności. Podczas naszych rozmów wychodziły na światło dzienne nowe fakty z życia pana Łukasza Wichra, które utwierdzały nas w słuszności naszej decyzji.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz, a moja babcia popołudniami z upodobaniem nawiedzała krakowskie cmentarze.

W naszym tajnym bractwie zemsta wykluła się szybko. Pasła się naszą goryczą i złem, które promieniowało z pracowni malarskiej pana Łukasza Wichra. Kozioł Ostrowski powiedział, że pan Łukasz Wicher miał kiedyś żonę i syna, ale odeszli od niego, gdyż nie mogli wytrzymać z pijakiem. Zanim jego żona wyprowadziła się do swej matki, z mieszkania na poddaszu dochodziły okrzyki i odgłosy awantur. Trzaskano drzwiami, przewracano meble, a na secesyjną klatkę schodową sączyły się słowa wulgarne i plugawe. Wszyscy w naszej kamienicy współczuli pani Wichrowej i jej synkowi, dlatego też odetchnęli z ulgą, kiedy trzasnęła drzwiami i zostawiła męża pijaka. Pan Łukasz Wicher zaczął pić jeszcze bardziej, malował jeszcze mniej i upadał coraz niżej.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, a nawet więcej, bo są tam ludzie i wydarzenia, których już dawno nie ma; przynajmniej w naszej kamienicy. Na jednym zdjęciu w albumie mego dziadka widać nasze podwórko, stary jesion i ławkę. Na ławce siedzi młoda kobieta w letniej sukience w kwiaty i czyta książkę. Obok niej stoi wózek, z którego wychyla się w stronę obiektywu ciekawa świata główka dziecka. To żona pana

Łukasza Wichra i ich mały synek, których tamtego lata od dawna już nikt nie widział w naszej kamienicy.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz, a moja babcia popołudniami z upodobaniem nawiedzała krakowskie cmentarze. Te dwa obyczaje wyznaczały oś dnia w domu moich dziadków. Po śniadaniu dziadek ruszał na zakupy, a babcia robiła uważny przegląd prasy. Z przyniesionych przez dziadka produktów babcia następnie gotowała obiad, który zjadali wczesnym popołudniem. Potem dziadek kładł się na poobiednią drzemkę, a babcia ruszała w stronę nekropolii. Kiedy wracała, przebudzony dziadek już czekał z przygotowanym podwieczorkiem. Wtedy rozmawiali i wymieniali się codziennymi spostrzeżeniami, potem jedli kolację, oglądali telewizję i kładli się spać, aby następnego dnia znów wyruszyć na plac targowy i cmentarze.

W naszym tajnym bractwie zbieraliśmy dowody nikczemności pana Łukasza Wichra, a każda pozyskana informacja utwierdzała nas w przekonaniu, że nasza zemsta, choć wyrastająca z prywatnych pobudek, będzie głęboko sprawiedliwa. Drugiego dnia po zdradzie pana Łukasza Wichra, który zresztą mijał nas na schodach, jakby nic się nie stało i nawet zagadywał przyjaźnie, Kozioł Ostrowski zebrał nas w naszej siedzibie na strychu i przedstawił kolejne fakty. Wszyscy wiedzieliśmy, że pan Łukasz Wicher znika na kilka dni. Pakuje niewielką walizkę i opuszcza kamienicę. Wraca wieczorem i potem pije przez kolejne dni, aż do następnego wyjazdu. Nigdy na to nie zwracaliśmy uwagi i dopiero intelekt Kozła Ostrowskiego ujawnił nam sens tych wyjazdów.

— On jeździ pociągami po całej Polsce i w małych miejscowościach morduje niewinnych ludzi. Okrada ich i ma pieniądze na wódkę. Za nie pije, a kiedy się skończą, rusza znowu.

Siedzieliśmy, porażeni. Rozumowanie Kozła nie miało słabych punktów. Ale kiedy ochłonęliśmy, ja powiedziałem, że możemy sprawdzić, czy ta hipoteza jest prawdziwa. Paweł z Kozłem mieli ustalić, kiedy w ciągu ostatnich miesięcy pan Łukasz Wicher wyjeżdżał, a ja obiecałem, że sprawdzę w kajetach mojej babci, kiedy ostatnio w Polsce dokonano zbrodni.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz, a moja babcia popołudniami z upodobaniem nawiedzała krakowskie cmentarze. Tamtego lata towarzyszyłem ich wędrówkom, choć coraz częściej zaprzątały mnie ważne sprawy w naszym tajnym bractwie.

W naszym tajnym bractwie zbieraliśmy kolejne dowody nikczemności pana Łukasza Wichra. Spotkaliśmy się następnego dnia i porównaliśmy nasze notatki. Wynik był przerażający; wyjazdy malarza dokładnie pokrywały się z morderstwami. Ostatnio wyjechał tydzień przed zdradą i wtedy milicja znalazła w krzakach przy stacji kolejowej w Tczewie zwłoki młodej kobiety, pracownicy poczty. Poprzedni wyjazd pana Łukasza Wichra w zaskakujący sposób zbiegł się z zabójstwem emeryta we Wrocławiu, kolekcjonera sztuki, którego sąsiedzi znaleźli w ograbionym z najcenniejszych zbiorów mieszkaniu.

Czyż potrzebowaliśmy więcej dowodów?

— Koledzy — powiedział poważnie Kozioł Ostrowski — musimy zdać sobie sprawę, że mamy do czynienia z mordercą.

Powiało grozą.

Mój dziadek co rano chodził na Kleparz, ale w niedziele z upodobaniem nawiedzał pchli targ pod Halą Targową na Grzegórzkach.

W naszym tajnym bractwie nie zbieraliśmy już więcej dowodów nikczemności pana Łukasza Wichra, gdyż byliśmy przekonani o jego winie. Nasza zemsta nie była już sprawą prywatną. Działaliśmy w imieniu społeczeństwa. Pomysł, by przekazać milicji nasze raporty, które starannie spisywaliśmy, pieczętowaliśmy i chowaliśmy w naszym archiwum, został odrzucony.

— Nie będziemy kolaborować z reżimem — powiedział ostro Kozioł i to zamykało dyskusję.

Musieliśmy zatem wziąć sprawy w swoje ręce.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, a nawet więcej, bo są ludzie i wydarzenia, których dawno nie ma. W naszym tajnym bractwie byliśmy przekonani, że swoją żonę i synka, którzy tak ładnie wyglądają na

zdjęciu z albumu mego dziadka, pan Łukasz Wicher skrycie zabił i ukrył zwłoki.

Mój dziadek co niedzielę z upodobaniem nawiedzał pchli targ na Grzegórzkach. Wychodził, pogwizdując, zaraz po śniadaniu, aby upolować najlepszą zdobycz i szedł raźnym krokiem pod Halę Targową. Tam rozkładali swe zbiory bukiniści i antykwariusze, wnukowie wynoszący cichcem biblioteki swych dziadków i wszyscy inni handlarze książek. Rozkładali swój towar wprost na ziemi albo na tekturowych pudłach, a sami, skuleni na turystycznych stołeczkach, popijali kawę z termosu.

Ich wszystkich mój dziadek omijał, szukając nielicznych handlarzy orderami, którzy wciskali swe niewielkie kramiki pomiędzy stoiska z książkami.

W naszym tajnym bractwie wzięliśmy sprawy w swoje ręce. Wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z mordercą, który może być niebezpieczny. Kozioł Ostrowski próbował nas uspokoić:

— Nie ma się czego bać, nie będzie zabijał na swoim terenie.

Przekonał nas, ale strach nie minął. Ustaliliśmy, że wyczekamy na moment, aż pan Łukasz Wicher upije się i zaśnie w swojej pracowni. A wtedy zakradniemy się tam i wsypiemy mu do wódki morderczą dawkę środka przeczyszczającego.

— Przez tydzień nie wyjdzie z kibla — powiedział uroczyście Kozioł Ostrowski.

Rozpoczęliśmy przygotowania.

Mój dziadek co niedzielę z upodobaniem nawiedzał pchli targ na Grzegórzkach. Wyszukiwał nielicznych handlarzy orderami, gdyż po przejściu na emeryturę wymyślił sobie taki sposób zabijania wolnego czasu. Kupował tylko ordery polskie i tylko wojskowe. W jego kolekcji nie brakowało odznaczeń z dziewiętnastego wieku, a pośród nich największą gwiazdą było Virtuti Militari z czasów Księstwa Warszawskiego. Nie gardził jednak orderami z czasów międzywojnia, a nawet odznaczeniami powojennymi, jeśli tylko wyrastały one z dawniejszych tradycji.

W naszym tajnym bractwie wzięliśmy sprawy w swoje ręce. Każdy z nas opróżnił domową apteczkę ze wszystkiego, co przeczyszczało. Zgromadzone tabletki utłukliśmy w moździerzu i przesypaliśmy komisyjnie do buteleczki po syropie na kaszel. Truciznę ukryliśmy za krokwią w naszej siedzibie. Naznaczyliśmy dzień zamachu na najbliższą sobotę, bo zgodnie z naszymi obserwacjami pan Łukasz Wicher najmocniej upijał się właśnie tego dnia, i czekaliśmy podnieceni.

W rodzinie nie było pogrzebów, bo wszyscy już dawno pomarli, lecz tamtego lata zdarzył się jeden.

Zosia miała smutne oczy i ciągle czytała książki. Czytała jedną za drugą i mówiła, że wszystkie umie na pamięć. Bałem się sprawdzać, bo bardzo nie chciałem, aby się okazało, że Zosia kłamie.

W rodzinie nie było pogrzebów, bo wszyscy już dawno pomarli. Tamtego lata zdarzył się jeden, bo zmarł ostatni krewny, sędziwy brat mojej babci, wuj Józef. Wuj Józef był wiejskim muzykantem, czyli był bardzo stary. Mieszkał w Rokicinach, a to jest bardzo daleko od naszej kamienicy i Krakowa. Nigdy tam nie byłem, ale babcia opowiadała mi w kuchni o bezkresnych równinach i dzikiej muzyce skrzypiec. Trochę się bałem tych równin, ale babcia mnie uspokajała, dając do spróbowania kapuśniak, który właśnie gotowała.

W naszym tajnym bractwie czekaliśmy na sobotę, a czas kapał wolno i ociężale.

Mój dziadek z upodobaniem kolekcjonował polskie odznaczenia wojskowe, które starannie czyścił i konserwował, uważnie cerując wypłowiałe wstęgi. W jego kolekcji nie zdarzały się duplikaty; jeśli znalazł lepiej zachowane odznaczenie niż to, które nabył wcześniej, tamto od razu sprzedawał.

Zosia miała smutne oczy i ciągle czytała książki, które oprawiała w papier pakowy. Tamtego lata pomyślałem, że może to jest ciągle ta sama książka, lecz wstydziłem się spytać jaka.

Mój dziadek z upodobaniem kolekcjonował polskie odznaczenia wojskowe. Kiedyś zapytałem go, po co je zbiera.

— Kiedy umrę, przypniecie mi je wszystkie do ułańskiego munduru, w którym chcę być pochowany.

Kiedy zapytałem niepewnie, czy wszystkie te wspaniałe ordery mu się należą, odpowiedział, głaszcząc mnie po policzku:

— Ależ oczywiście, że nie; ale po mojej śmierci to nie będzie już miało żadnego znaczenia.

W naszym tajnym bractwie czekaliśmy na sobotę, a czas kapał wolno i ociężale.

W rodzinie nie było pogrzebów, ale zdarzył się jeden i dziadkowie szykowali się do drogi. Mój dziadek powiedział, że Rokiciny są bardzo daleko, prawie na końcu świata. Ale uspokoił mnie, że wrócą tak szybko, jak się tylko da. Ten jeden raz zostawili mnie samego, oddając na noc pod opiekę pani Genowefy. Pani Genowefa była stara i była babcią Zosi, bo nasza kamienica była pełna starych ludzi. Dziadkowie pocałowali mnie i pojechali na koniec świata, do Rokicin, a ja zostałem sam. Cały dzień siedziałem na podwórku, odwlekając chwilę, kiedy będę musiał wejść do mieszkania pani Genowefy, które miało inny zapach niż mieszkanie moich dziadków. Pani Genowefa hodowała wielkie geranium, którego intensywny aromat przedostawał się na klatkę schodową przez szczelinę pod drzwiami. Pani Genowefa chodziła w starej podomce, wydzielającej przykrą woń, której nie potrafiłem nazwać, ale też wolałem unikać. I pani Genowefa nie potrafiła gotować, co mi kiedyś powiedziała w tajemnicy Zosia.

Nie uwierzyłem jej, bo przecież babcie zawsze potrafią gotować.

Zosia miała smutne sukienki, oczy jak kwiaty i ciągle czytała książki.

W naszym tajnym bractwie czekaliśmy na sobotę, a czas kapał wolno i ociężale. Próbowaliśmy go jakoś przyśpieszyć, lecz żadne zajęcie nie pozwalało się na sobie skupić. Staraliśmy się jednak, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń i dalej prowadziliśmy swoją zwyczajną działalność. Obserwowaliśmy wejścia do kamienicy i wyjścia z niej, notowaliśmy obce

osoby pojawiające się w zakładzie fotograficznym pana Zygmunta i oczywiście ze szczególną uwagą śledziliśmy wszelkie poruszenia pana Łukasza Wichra.

W naszej rodzinie wszyscy pomarli, nawet wuj Józef, którego widziałem tylko raz w Krakowie, kiedy przyjechał do szpitala z chorą dwunastnicą. Był poważny i nie robił głupich min jak mój dziadek. Babcia mówiła, że wycięli mu wtedy cały żołądek, dwunastnicę i osiem metrów jelit i teraz może jeść wszystko, bo nic mu już nie zaszkodzi. Wuj Józef zaczynał więc dzień od smażonej na smalcu kiełbasy i kieliszka wódki, bo muzykanci, podobnie jak malarze, muszą pić. Tak mi powiedział dziadek. A potem wuj Józef brał skrzypce i grał te swoje oberki, a każde z nas zamykało się w swoim pokoju, tylko babcia strofowała wuja Józefa, by dał ludziom żyć. I odkładał skrzypeczki, siadał w kuchni przy stole i trwał tak nieruchomo, aż babcia znowu się odzywała, że jak ma tak siedzieć, to lepiej, żeby grał. Ale tamtego lata umarł i dziadkowie pojechali na koniec świata, by go pochować.

W naszym tajnym bractwie ze szczególną uwagą śledziliśmy wszelkie poruszenia pana Łukasza Wichra. Przez cały tydzień notowaliśmy minuta po minucie jego rozkład dnia, który okazał się zadziwiająco regularny.

— Morderca musi być precyzyjny — wyjaśnił nam Kozioł Ostrowski.

W naszej rodzinie wszyscy pomarli, nawet wuj Józef. I nie wiadomo, na co umarł, bo zrobił to po cichu, w swej chałupce na skraju Rokicin, kiedy wszyscy spali. Ubrał się w najlepszą koszulę, położył na zaścielonym łóżku, na piersiach złożył swe stareńkie skrzypeczki i umarł. Może zjadł za dużo smażonej kiełbasy?

W naszym tajnym bractwie ze szczególną uwagą śledziliśmy wszelkie poruszenia pana Łukasza Wichra. Jego życie, z pozoru chaotyczne i mroczne, okazało się nad wyraz uporządkowane. Trochę nas to zaniepokoiło i Paweł postawił nawet pytanie, czy przypadkiem picie pana Łukasza Wichra to nie jest kamuflaż. Przecież pijaka nikt nie będzie podejrzewał o precyzyjne zabijanie ludzi. Może malarz udaje pijanego, a tak naprawdę całymi dniami chodzi trzeźwy? Trochę nas to przestraszyło,

bo przecież trzeźwy w sobotę pan Łukasz Wicher zepsułby nam cały plan zamachu; po raz drugi, dodajmy. Jednak nasze wątpliwości rozwiał nieoceniony i przenikliwy Kozioł Ostrowski:

— Musi być prawdziwym pijakiem, bo przecież nasza teoria mówi, że zabija dla pieniędzy, których potrzebuje na wódkę. Gdyby nie potrzebował na wódkę, wówczas by nie zabijał, a zabija, więc musi pić.

Wróciliśmy do swych domów uspokojeni.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, ale nie ma wuja Józefa. Pewnie dlatego, że Rokiciny są na końcu świata. Ale pamiętam, jak wyglądał ten sędziwy brat mojej babci. Był stary, siwy i nie miał zębów. Poruszał się sztywno i niezgrabnie, ciągle chodził ze skrzypcami i gwizdał pod nosem swoje oberki.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, ale nie ma wuja Józefa. Ale nawet gdyby był, to i tak by go nie było, bo przecież na zdjęciach nie słychać oberków. A bez tych oberków wuja Józefa też nie było. Tamtego lata umarł i dziadkowie pojechali na koniec świata, by go pogrzebać.

Dziadkowie pojechali na koniec świata, był piątek, a piątek to dobry dzień na pogrzeby. W sobotę mieli wrócić, a w sobotę planowaliśmy w naszym tajnym bractwie dokonać zamachu na pana Łukasza Wichra. Tymczasem był piątek i byłem zupełnie sam. Kozioł Ostrowski pojechał na jeden dzień do dziadków, którzy mieszkali w Krzeszowicach, w starej kamienicy podobnej do naszej, ale gorszej. Dziadek Kozła Ostrowskiego nie był emerytowanym profesorem, lecz emerytowanym urzędnikiem leśnym, w tamtej kamienicy nie było ani skarbu pana Chodnikiewicza, ani malarza mordercy, choć podobno mieszkał jeden malarz pokojowy, który też pił. Ale Kozioł nie chciał jechać, bo wolał w naszej siedzibie oczekiwać na sobotnie wydarzenia. Pawła też nie było, bo w każdy piątek odwiedzał chorą babcię i tak zostałem na podwórku zupełnie sam, bo wszyscy pojechali do starych ludzi.

Dziadkowie pojechali na koniec świata, a ja siedziałem sam na podwórku i czekałem, aż pani Genowefa zawoła mnie do swego mieszkania, gdzie miałem spać. Robiło się szaro, a ja czekałem, taki sam

i opuszczony, bo moi dziadkowie pojechali pogrzebać wuja Józefa, a Kozioł pojechał do Krzeszowic, a Paweł pojechał do swej babci nie wiadomo gdzie. I wyobraziłem sobie starego wuja Józefa, który przez lata mieszkał samotnie w maleńkiej chałupce na skraju Rokicin, którą znałem tylko ze smutnych opowieści babci, i poczułem się jak on, zagubiony w samym sercu świata, pod starym jesionem na podwórku naszej kamienicy.

Dziadkowie pojechali na koniec świata, a pani Genowefa zawołała mnie wreszcie do swego domu. Poszedłem z ociąganiem, stopień za stopniem, noga za nogą, jakby bolała mnie noga i jakbym nie mógł przez to szybciej iść. Wolno zjadłem kolację, która mi nie smakowała, bo pani Genowefa specjalnie na tę okazję otwarła konserwę z mielonką, a przecież moja babcia mówiła, że konserwy to największe zło. U nas w domu nie jadało się konserw. Konserwami żywił się pan Łukasz Wicher, ale on pił i był mordercą. I konserwami żywiła się pani Genowefa, która chodziła w podomce wydzielającej nieprzyjemny zapach. W całym mieszkaniu czułem ten zaduch i współczułem Zosi o smutnych oczach, że musi tu mieszkać. Rozumiałem, dlaczego czyta tyle książek.

Dziadkowie pewnie pogrzebali już na końcu świata sędziwego wuja Józefa, a pani Genowefa zmyła po kolacji i zaczęła napuszczać wodę do wanny. Przez otwarte drzwi słychać było odgłos wody, a do przedpokoju wydostawały się kłęby pary. Wreszcie pani Genowefa zakręciła kurki i powiedziała:

— No, dzieci, czas na kąpiel.

Zachowałem się bardzo uprzejmie, bo powiedziałem, że Zosia jest dziewczyną i że powinna iść pierwsza.

— Pierwsza? — zdziwiła się pani Genowefa. — Razem się wykąpiecie.

Skuliłem się na krześle i powiedziałem cicho, że Zosia jest przecież dziewczyną i nie możemy razem.

— Nie macie się jeszcze czego wstydzić, a ja nie będę dwa razy wanny napełniała.

Pokornie poszliśmy do łazienki, a pani Genowefa zatrzasnęła za nami drzwi; wokoło było pełno pary.

W naszym bractwie następnego dnia mieliśmy otruć pana Łukasza Wichra.

Zosia miała smutne oczy i zaczęła ściągać sukienkę w kwiaty. Odwróciłem się grzecznie do ściany. Usłyszałem plusk i zacząłem się wolno rozbierać.

W naszym bractwie następnego dnia mieliśmy otruć pana Łukasza Wichra.

Dziadkowie pewnie pogrzebali już wuja Józefa, a ja, zakrywając się nieudolnie rękami, wszedłem do gorącej wody i od razu usiadłem. Myliśmy się w milczeniu, sumiennie namydlając się gąbkami. Patrzyliśmy sobie w oczy, czując porozumienie, które łączy wszystkich upokorzonych.

Zosia miała smutne oczy, ale nagle zaczęła się śmiać, ochlapała mnie wodą i zapytała:

— A co tam masz?

— Gdzie? — zapytałem, zasłaniając się na wszelki wypadek gąbką.

— Tu! — powiedziała Zosia, zanurzając rękę między moje nogi.

Chciałem wyskoczyć z wanny, ale zostałem. Pozwoliłem, aby ciekawe dłonie Zosi dotykały mnie, choć udawałem, że uważnie myję sobie szyję.

— Jak chcesz, to ci też pokażę — powiedziała Zosia, wstając z wody.

Tamtego wieczoru kąpaliśmy się długo, oglądając się i dotykając w rejonach, które wcześniej nie znały takiego dotyku. Wszystko było nowe i ciekawe. Nasze ciała nie przypominały ciał dorosłych ludzi, choć widzieliśmy już na nich pierwsze oznaki, że przestajemy być dziećmi. Woda dawno wystygła, ale nam to nie przeszkadzało, tylko mydliliśmy się nawzajem, czule i dokładnie, a potem spłukiwaliśmy pianę i patrzyliśmy, jak woda odsłania zakazane rewiry.

Zosia miała oczy, które błyszczały, kiedy szliśmy w piżamach do pokoju, wypełnieni po brzegi naszą tajemnicą. Pani Genowefa położyła nas na wersalce, a sama siadła przed telewizorem i oglądała zagraniczny serial.

My tymczasem leżeliśmy, trzymając się za ręce i patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. A potem pocałowaliśmy się tak, jak dorośli ludzie na

filmach. Pulsowałem jakimś dziwnym, nieznanym rytmem i czułem, że przez Zosię przepływają takie same prądy i drżenia. Okryci wspólną kołdrą, zaczęliśmy znów się dotykać, przedzierając się przez grube warstwy piżam. Nie mieliśmy jeszcze słów na nasze dotknięcia i na miejsca, które tak ciekawie badaliśmy nawzajem. Ale słowa były niepotrzebne, bo nigdy nie są potrzebne.

Zosia miała błyszczące oczy, kiedy zapytałem ją, próbując wydobyć pierwsze słowa przez zaschnięte gardło:

— Chcesz być moją żoną?

— Taką na zawsze?

— Tak.

— Tak.

— To ja będę twoim mężem.

Pocałowaliśmy się jeszcze raz, już jako mąż i żona, i zasnęliśmy z rozpalonymi policzkami, trzymając się za ręce.

A następnego dnia dziadkowie wrócili z końca świata i musiałem wrócić do domu.

W naszym bractwie tego dnia mieliśmy otruć pana Łukasza Wichra.

Zosia miała oczy zmęczone, kiedy rankiem siedliśmy do śniadania w kuchni pani Genowefy. Jedliśmy chleb z dżemem i piliśmy kawę zbożową, i nie było już między nami tamtego pulsowania co w nocy. Trochę zawstydzeni, patrzyliśmy dzisiejszymi oczami na wczorajszą bliskość, zakłopotani jej wspomnieniem. Chcieliśmy jej, ale w świetle dnia wyglądała nam na nierzeczywistą, bladą jak stara fotografia. Poparzyłem sobie usta kawą i unikałem wzroku Zosi, której oczy nie były ani wesołe, ani smutne.

Po śniadaniu wyszedłem od mojej Zosi, nie mówiąc jej nic o naszej akcji. To była moja tajemnica i nie mogłem zrzucać jej na nią. Chcieliśmy się uściskać, ale nie potrafiliśmy, więc tylko nasze dłonie niezręcznie się musnęły, podczas gdy wzrok dalej uciekał.

W naszym tajnym bractwie tego dnia mieliśmy otruć pana Łukasza Wichra. Kozioł Ostrowski i Paweł jeszcze nie wrócili, moi dziadkowie

dopiero jechali z końca świata, więc wdrapałem się na stary jesion i obserwowałem, czy pan Łukasz Wicher nie wychodzi. Znowu byłem sam na szarym podwórku, skryty w gałęziach. Koło południa na podwórko wyszła Zosia z książką, jak zwykle usiadła na ławce i zaczęła czytać, przebiegając smutnymi oczami rzędy liter. Wiedzieliśmy nawzajem o swej obecności, ale każde z nas kurczowo trzymało się swego miejsca. Gdyby patrzyło na nas ze strychu jakieś tajne bractwo, to na pewno nikt nie zanotowałby w dzienniku obserwacji, że jesteśmy mężem i żoną. Świat był taki jak wczoraj i nie zmieniło się nic.

Zosia miała smutne oczy, sukienkę w kwiatki i czytała książkę, oprawioną w pakowy papier.

W naszym tajnym bractwie tego dnia mieliśmy otruć pana Łukasza Wichra. Malarz wyszedł na ulicę S. wczesnym popołudniem, moi dziadkowie jeszcze nie wrócili, więc obiad zjadłem z Pawłem i Anią, która patrzyła na mnie, jakby w ogóle nie pamiętała, że ją kiedyś podglądaliśmy. Uśmiechała się zupełnie zwyczajnie, nawet dolała mi zupy ogórkowej i żartowała. Obydwie dziewczyny w naszej kamienicy udawały, że nic się nie zmieniło. Potem z Kozłem i Pawłem poszliśmy na podwórko, gdzie bez słowa czekaliśmy na powrót pana Łukasza Wichra. Dzień kapał powoli, sobota była gorąca, dziadkowie wrócili przed kolacją, a wraz z nimi zataczający się pan Łukasz Wicher. Razem weszli w bramę, jakby się wcześniej spotkali, jakby razem wracali z końca świata, z pogrzebu wuja Józefa. Kiedy malarz poczłapał do swej pracowni, przywitałem się z dziadkami i wróciłem do członków mego tajnego bractwa.

W naszym tajnym bractwie tego dnia mieliśmy otruć pana Łukasza Wichra, pijaka i mordercę, ale o tym nie rozmawialiśmy. Wyczekaliśmy, aż zaśnie i po dwóch kwadransach od jego powrotu ruszyliśmy schodami na górę. Nogi nam ciążyły i drżały, szliśmy wolno, stopień za stopniem, a stare secesyjne schody skrzypiały pod naszymi sandałami. Każdy z nas kilkakrotnie chciał zawrócić, ale nie mogliśmy się już wycofać. Mozolnie pięliśmy się przez kolejne piętra, uczepieni poręczy, poprawiający sprzączki w butach, przygładzający włosy i odpoczywający co chwila, choć tego nie potrzebowaliśmy. Z trzeciego piętra ruszyliśmy węższymi schodami na

strych, gdzie były drzwi do pracowni malarza. Przed ostatnim podejściem Kozioł Ostrowski powiedział szeptem, który zmroził nas do reszty, że zamienił środki przeczyszczające na trutkę na szczury.

— Koniec z półśrodkami — powiedział wyschniętym na wiór głosem.

W naszym tajnym bractwie mieliśmy za chwilę otruć pana Łukasza Wichra, otruć na śmierć. Nie było odwrotu i ruszyliśmy na ostatnie stopnie.

Zosia miała smutne oczy i tylko te oczy widziałem, wspinając się z kolegami.

W naszym tajnym bractwie mieliśmy za chwilę otruć pana Łukasza Wichra, otruć na śmierć. Drzwi były uchylone i pchnęliśmy je lekko. Weszliśmy do dużego pomieszczenia, oświetlonego słońcem zachodzącym nad dachami Krakowa. Było ogniście i jasno. Wszędzie wisiały obrazy, smutne Matki Boskie i ukrzyżowani Chrystusowie. Wszyscy ciemni, mroczni, wiszący aż po więźbę dachu. Setki oczu świętych, proroków i patriarchów patrzyło na nas, mijaliśmy przerażeni stacje drogi krzyżowej i kolejne Golgoty. Na jasnej podłodze z desek stały rzędami, jak armie wojsk przed bitwą, puste butelki po wódce i winie, zielone, białe i brązowe, uporządkowane wedle koloru i wielkości. Pomiędzy nimi była wąska ścieżka prowadząca na sam koniec pracowni, skąd zza kotary dochodziło chrapanie pana Łukasza Wichra. Szliśmy krok za krokiem, wstrzymując oddech, szliśmy gotowi do ucieczki, a Kozioł Ostrowski wyjął z kieszeni buteleczkę z trutką na szczury i niósł ją przed sobą, prowadząc nas do celu.

W naszym tajnym bractwie zaraz mieliśmy otruć pana Łukasza Wichra na śmierć, ale potknąłem się nagle i oparłem o Pawła, który szedł przede mną. On zachwiał się i trącił stojące blisko naszych stóp butelki, a te trąciły następne i w jednej chwili pracownię pana Łukasza Wichra wypełnił gruchot przewracających się szklanych armii, a my w popłochu, krzycząc, zagłuszani przez brzęk szkła, rzuciliśmy się do ucieczki. Jeden przez drugiego, byle dalej od pracowni, od malarza pijaka, od wielkich i smutnych oczu czarnych Madonn. Biegliśmy, a pracownia nie chciała się skończyć, ja zostałem w tyle i usłyszałem, że pan Łukasz Wicher wstaje i coś do nas krzyczy, ale nie słyszałem słów, tylko sam krzyk. Biegłem już

na oślep, Kozioł z Pawłem przede mną, dopadliśmy drzwi, serca nam biły, nasze tajne bractwo uciekało, wpadliśmy na schody, a ja się potknąłem o próg, znowu się potknąłem, ale tym razem nie było przede mną Pawła, bo Paweł był już w połowie schodów, więc poleciałem jak długi w dół, uderzając o stopnie, aż znalazłem się na dole. Poczułem silny ból w nodze i zacząłem płakać, a moi przyjaciele, członkowie tajnego bractwa, biegli dalej, nie czekając na mnie, w dół krętą secesyjną klatką, a ja nie mogłem się ruszać, tylko leżałem pod ścianą i ze strachem patrzyłem na schody, na których szczycie stał półnagi pan Łukasz Wicher.

Pan Łukasz Wicher, który był malarzem, choć na co dzień niewiele na to wskazywało, zaczął schodzić ku mnie, a ja płakałem i wołałem dziadków, a on schodził stopień za stopniem, półnagi, rozczochrany i pewnie pijany, a ja płakałem i darłem się wniebogłosy, bo noga bolała i nie mogłem się ruszyć, a on schodził i był coraz bliżej. I podszedł do mnie, wziął mnie na ręce i powiedział:

— Już dobrze, już dobrze, moje dziecko.

I zaniósł mnie na pierwsze piętro, do mieszkania moich dziadków i tam położył ostrożnie na łóżku, a ja tylko słyszałem przez łzy, jak dziadek w wielkim korytarzu dzwoni na pogotowie i do moich rodziców.

Tamtego lata nie otruliśmy pana Łukasza Wichra, a nasze tajne bractwo nagle przestało istnieć; Zosia nadal miała smutne oczy i czytała książki, mój dziadek co rano chodził na Kleparz, a babcia z upodobaniem nawiedzała krakowskie cmentarze.

Na fotografiach pana Zygmunta jest cały świat, ale wiele lat później, siedząc na schodach i przeglądając stary album mojego dziadka, na żadnym zdjęciu nie mogę odnaleźć siebie.

Fuga IIIa

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i jestem niedoszłym bohaterem narodowym. Zamknąłem album z fotografiami pana Zygmunta, a wyjęty ze skrzynki list od Zosi schowałem do kieszeni. Wróciłem do naszego domu i znalazłem się w samym środku czasu minionego, zastygłego w bryłach pomieszczeń. W sypialni mój dziadek umierał na starość, w salonie ojciec próbował stworzyć świat na nowo, w gabinecie matka uwalniała demony przeszłości, a w kuchni babcia ratowała zagrożony porządek. Spiżarka i służbówka wypełnione były historiami zupełnie prywatnymi.

W sypialni leżał dziadek, który postanowił pogodnie umrzeć na starość.

— Prawdziwi patriarchowie zawsze czują, kiedy nadchodzi kres — powiedział pewnego listopadowego poranka do babci, która zapytała go, dlaczego nie wstaje z łóżka.

Od tego dnia zaczęło się jego długie umieranie.

W salonie ojciec próbował stworzyć świat na nowo, zaczynając od lżenia świata starego.

W gabinecie matka uwalniała demony przeszłości, które przez lata leżały uśpione na dnie szuflady, bo nigdy nie było czasu, by je przebudzić.

W kuchni babcia ratowała zagrożony porządek, widząc chaos, który z wolna ogarniał inne części domu. Najpierw prosiła swą rodzinę o spokój, ale to niewiele dawało. Dziadek nadal umierał, matka uwalniała demony, a ojciec z ogniem w oczach kreślił szkice wielkich przemian, które miały zmieść stary świat, przynajmniej w naszym mieszkaniu.

Spiżarka i służbówka wypełnione były historiami zupełnie prywatnymi.

W gabinecie matka uwalniała demony przeszłości, uśpione przez lata w szufladach. Wcześniej zawsze coś stało na przeszkodzie, zawsze jakaś

praca, jakieś obowiązki, bo trzeba zarabiać, bo stan wojenny, bo ja byłem mały, bo kolejki w sklepach. Ale teraz więzione duchy musiały się wydostać i matka czuła, że dłużej ich nie powstrzyma.

W sypialni leżał dziadek, który cicho i ze spokojem umierał na starość, otoczony troskliwą opieką rodziny.

W salonie ojciec próbował stworzyć świat na nowo, bo stary uznał za umarły.

W kuchni babcia ratowała zagrożony porządek wszystkimi obrzędami, jakie znała.

Spiżarka i służbówka wypełnione były historiami zupełnie prywatnymi.

W gabinecie matka uwalniała demony przeszłości, otwierając szuflady na oścież i wertując książki w poszukiwaniu pozostawionych między stronami fiszek.

W kuchni babcia ratowała zagrożony porządek, gdyż tylko tam sięgała jej władza. Panowała za to niepodzielnie, stając się ostoją domowego ładu. Czuliśmy się bezpiecznie, siadając wokół stołu, skąd rozchodziły się swojskie zapachy potraw znanych i tradycyjnych. Tu nikt nie opowiadał o swoich sprawach, zostawiając je za progiem kuchni.

W sypialni mój dziadek umierał na starość i wszyscy, nie wyłączając jego, byli z tym pogodzeni.

W gabinecie matka uwalniała demony przeszłości, bo nie mogła się pogodzić z tym, że uwięziła je na tyle lat.

W kuchni babcia ratowała zagrożony porządek, robiąc to, co potrafiła najlepiej. Gotowała obiady, odgrzebując najstarsze domowe receptury i z żelazną konsekwencją przestrzegała pór wydawania posiłków. Gromadziła nas wszystkich przy kuchennym stole, bo tylko on gwarantował dawną stałość, i ubolewała, kiedy kogoś przy nim zabrakło.

W sypialni leżał dziadek, który cicho i ze spokojem umierał na starość, otoczony troskliwą opieką rodziny. Co jakiś czas pozwalał sobie na pogodny szantaż i przywoływał któregoś z domowników do łoża, by snuć wokół niego pajęczynę swych opowieści.

W salonie ojciec próbował stworzyć świat na nowo, bo według niego stary świat umarł. Chodził samotnie po wielkich przestrzeniach pokoju i trącał z nienawiścią meble.

— Wszystko martwe, wszystko strupieszałe! — krzyczał.

W gabinecie matka uwalniała demony przeszłości, a one wychodziły z szuflad, rozprostowywały pomięte surduty
i z wolna wracały do swego widmowego życia.

W kuchni babcia ratowała zagrożony porządek, jednak z każdym dniem widziała, jak jej dom pochłania chaos, nad którym nikt nie ma kontroli. Regularne posiłki stały się fikcją. Dziadek jadał w łóżku, i zanim my zasiedliśmy do obiadu, babcia stawała na czele procesji, która zanosiła mu niewielką porcję na srebrnej tacy, którą tak lubił. Potem wracaliśmy do kuchni i patrząc na puste miejsce po dziadku, w milczeniu zjadaliśmy przyrządzane przez babcię potrawy.

W sypialni leżał mój dziadek i wydawał domownikom dyspozycje, uprawomocnione umieraniem. Kazał wyjąć z szafy i wyczyścić swój galowy mundur rotmistrza ułanów, w którym miał być pochowany. Sukno śmierdziało naftaliną, a amarant zdążył dawno wypłowieć. Dziadek kazał powiesić mundur na drzwiach szafy i spoglądał na niego z dumą, wzdychając do dawno minionych historii.

W salonie ojciec obwieszczał śmierć starego świata, obwieszczając to głównie sobie samemu. Kopał w meble i na cały głos gardził czasem, który skostniał w wielkim pokoju naszego mieszkania:

— Jak przed wojną, nawet palma ta sama, jak przed wojną! — mruczał coraz ciszej, zniechęcony brakiem reakcji.

Reszta domowników starała się omijać to pomieszczenie, choć niestety ominąć się go nie dało; można było tylko przemykać po jego obrzeżach.

W kuchni babcia robiła, co mogła, by degradacja świata wokoło nie dotarła do tego pomieszczenia. Ustanowiła kuchenny stół stolicą naszego domu i wedle niego określała wszystkie targane wojnami prowincje. Jednak duch dziejowy wywiewał jej nadzieję w odległe regiony i w tym rodzinnym mateczniku robiło się coraz bardziej pusto. Ojciec przestał się pojawiać i trzeba mu było zanosić dania do salonu, gdzie stygły na uboczu jego twórczego szału. Matka zapamiętywała się w gabinecie w swych egzorcyzmach przeszłości i często nie słyszała nawoływań babci, która przyzywała rodzinę głosem coraz słabszym i tonem pozbawionym złudzeń.

Spiżarkę i służbówkę wypełniały wydarzenia zupełnie prywatne, choć dla niektórych domowników nie pozbawione istotnego znaczenia.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, pogodnie wspominając liczne wojny, w których brał udział, i wymieniając bez zająknienia ordery, które mu przyznano. Nic go nie bolało, tylko twierdził, że czuje, jak paruje z niego życie. Na dowód tego pokazywał pod światło swe pomarszczone dłonie, które robiły się coraz bardziej przeźroczyste. Słabe jesienne światło przebijało przez nie, a pod skórą mogliśmy zobaczyć wszystkie kości i krew, wolno pulsującą w niebieskich żyłkach.

W salonie ojciec sprawdzał puls starego świata, oglądając sprzęty i meble:

— Tu nie ma życia, ten dom umarł lata temu!

Na dowód wyszukiwał w albumie dziadka nieliczne fotografie poświęcone naszemu mieszkaniu, udowadniając, że w pokoju nie zmieniło się nic.

— Muzeum! Skansen! Dekoracja teatralna! — piętrzył inwektywy, które trafiały w próżnię.

W gabinecie matka z wolna oswajała się z uwolnionymi demonami. Jak przed laty prowadziła długie rozmowy ze Słowackim i Mickiewiczem,

śledząc główne linie napięć pomiędzy nimi i odtwarzając pogmatwane historie ich wieloletnich wojen.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, a na krzesłach rozłożone były poduszki, do których kazał przypiąć wszystkie zgromadzone przez ostatnie lata ordery. Kolekcja wyglądała imponująco, a mój dziadek potrafił opowiedzieć historię każdego ze swych odznaczeń.

Spiżarkę i służbówkę wypełniały wydarzenia zupełnie prywatne, choć dla niektórych domowników nie pozbawione istotnego znaczenia.

W sypialni mój dziadek umierał na starość i nie pozwolił przyprowadzić do siebie lekarza.

— To nie kwestia medycyny, tylko metafizyki! — mówił stanowczo, choć głosem słabym.

W kuchni babcia ratowała, co mogła, ale na metafizykę nie było rady.

W salonie ojciec sprawdzał puls starego świata.

— Tętno nitkowate! — krzyczał.

Miotał się po całym pokoju, wpadał na meble i prowadził ze sobą płomienne polemiki. Przekonywał sam siebie, choć argumentów nie potrzebował i wynajdywał nowe, choć nie było polemistów na horyzoncie. Mimo to czuł jakąś potrzebę umacniania swych intuicji i ciągłego podtrzymywania się na duchu.

W gabinecie matka uwolniła swoje demony, wypuściła je z szuflad, swoich notatek i tekstów romantycznej poezji. Odtąd w naszym domu znów spierali się Mickiewicz ze Słowackim, matka podżegała ich do walki, pilnie notując rzucane przez nich w emocjach słowa.

W sypialni umierał mój dziadek, kościelnym dzwonkiem, który nie wiedzieć skąd zawieruszył się w naszym domu, przywołując domowników. Szliśmy do jego łoża niechętnie, pewni, że przykuje nas do siebie swoimi opowieściami, wyjawianymi pod pieczęcią agonii.

— Nie zabiorę ich do grobu — zaczynał, kiedy poprawialiśmy mu poduszki.

U jego łóżka przepadały nam całe godziny, pożerane przez piętrzące się historie. Mnie opowiadał o swej wojnie, której nie skończył wraz z kapitulacją Polski. Kiedy 9. Pułk Ułanów Małopolskich z Trembowli złożył broń, on na czele swej roty ruszył na południe i ukrył się w karpackich lasach. Zapadł w Huculszczyznę, gdzie górale przyjęli go jak swego. Zaznał prostego życia, miał kochankę Hucułkę, dziewczynę o jednym oku zielonym, a drugim złotym. Tańczył, pił i walczył, a Huculi czcili go jak bohatera, układając o nim pieśni, jak niegdyś o Oleksie Doboszu.

W kuchni babcia ratowała rozpadający się świat, w milczeniu przyjmując secesję kolejnych prowincji. Nie miała kościelnego dzwonka, by wzywać nas do stołu, więc o oznaczonej porze siadała i sama zjadała zupę, a nasze porcje stygły w fajansowych talerzach.

Spiżarkę i służbówkę wypełniały wydarzenia zupełnie prywatne, choć dla niektórych domowników nie pozbawione istotnego znaczenia. Trudno też ustalić, czy miały jakikolwiek wpływ na wielką historię, która rozgrywała się w salonie, sypialni, gabinecie i kuchni.

W gabinecie demony uwolnione przez matkę okładały się pieśniami i rapsodami, brały na świadków prosty lud i jego pogańskie obyczaje. Mickiewicz zajął skromny bastion na parapecie, kryjąc się między paprocie, a Słowacki rozparł się w fotelu dziadka, mnąc porozkładane na skórzanym obiciu sterty notatek.

Matka zza biurka dziadka zerkała to ku jednemu, to ku drugiemu, schylając często głowę, by nie dostać rykoszetem ich improwizowanych polemik. Cały czas jej palce stukały w klawiaturę dziadkowej maszyny do pisania, a gęsto zapisane kartki układane były na dnie tekturowej teczki wiązanej na szkarłatną tasiemkę.

W salonie ojciec próbował stworzyć świat na nowo, bo stary uznał za definitywnie wyczerpany. Przesuwał meble po całym pokoju, piętrzył fotele i sofy, biedna przedwojenna palma wędrowała po wszystkich kątach.

O najdziwniejszych porach dnia i nocy po dębowym parkiecie, którego klepki rozeschły się i skrzypiały lękliwie, jeździły sprzęty nieruszane od lat. Każda nasza wizyta w salonie trafiała w inną konfigurację.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, a ja u jego łoża słuchałem opowieści o czasach wojny, przerywane w najciekawszych momentach przez niepohamowane drzemki, w które zapadał mój dziadek. Kiedy się budził, wracał do zgubionego wątku jak pająk wracający do snucia sieci.

Ukrywany przez Hucułów, nękał Niemców i Sowietów, zadając wrogowi dotkliwe straty. Bano się go na nizinach, a on nigdy dwa razy nie spał w jednym miejscu, by zmylić pościg. Przemieszczając się od grażdy do grażdy, wymykał się obławom, a okoliczna ludność bez słowa udzielała mu pomocy. Jego żołnierze szli wiernie za swym rotmistrzem, rozbijając oddziały okupantów.

W kuchni babcia wiedziała, że nie uratuje porządku dawnego świata, dlatego w milczeniu robiła swoje, nie zważając na dochodzące zewsząd odgłosy wojny. Umieranie wyłączyło dziadka z codziennych zakupów, więc po śniadaniu to babcia ubierała płaszcz i beret, po czym ruszała spokojnie na Kleparz i kupowała produkty niezbędne do kuchni. Wracała, nie nękając nikogo, i siadała na zydelku, obierając ziemniaki, a brudne obierki spadały na rozłożoną gazetę. W garnkach dusiły się bitki, kiszona kapusta wesoło podbijała pokrywkę, a babcia w skupieniu koncentrowała się na swych gospodarczych obrzędach.

Spiżarkę i służbówkę pozostawiono życiu prywatnemu, a ja tam odnajdywałem się najlepiej, z dala od wielkiej historii i dziejowych burz, które targały naszym domem.

W salonie ojciec próbował stworzyć świat na nowo i w tym celu musiał rozpętać wojnę, którą jednostronnie wypowiedział starym meblom i usankcjonowanemu porządkowi. Zmuszał domowe sprzęty do ustawicznych migracji, stłaczał je w gettach, stygmatyzował przylepianymi plastrem kartkami: „do wyrzucenia” albo „do wykorzystania tylko po gruntownej przeróbce”. Organizował łapanki na uwolnione z szuflad przedmioty, bezbronne i wysiedlone ze swych domostw.

W gabinecie matka uwolniła demony przeszłości, które zwarły się w swym odwiecznym uścisku, nie mogąc znaleźć wyjścia z wzajemnego uzależnienia. Ich walkami karmił się zarzucony przed laty doktorat matki, pęczniejąc z każdym dniem. Mickiewicz dobrze czuł się na swym parapecie, spoglądając melancholijnie na jesienne podwórko. Coraz częściej puszczał mimo uszu pełne kunsztu improwizacje Słowackiego, jakby sprawy najwyższej wagi, o które przez tyle lat toczyli boje, w ogóle go nie interesowały. Słowacki widząc brak oporu, poszerzał swoją strefę wpływów, przesuwając mozolnie ciężki fotel w stronę biurka, przy którym pisała moja matka. Familiarnie szeptał jej do ucha własną wersję wydarzeń, co chwila zerkając na zapatrzonego w listopad Litwina.

W sypialni dziadek umierał na starość, racząc nas wszystkich kordialnymi opowieściami o swym bohaterstwie.

W kuchni babcia, która nad łuskaną fasolą i krojoną cebulą nie przestawała szukać jakiegoś ratunku dla dawnego porządku, pozostała zupełnie sama. Dziadek umierał, ojciec niszczył, a matka zatracała się w tańcach z wieszczami.

W salonie ojciec próbował stworzyć świat na nowo, wprawiając meble w nieustanny ruch. Pianino, serwantka i fotele krążyły po nieznanych nam orbitach wokół mojego ojca, który był środkiem salonu i słońcem oświetlającym nowe przestrzenie.

— A co powiecie na to? — pytał triumfalnie ze szczytu szafy, którą morderczym wysiłkiem zaciągnął z korytarza pod najdłuższą ścianę salonu.

Stał ponad naszymi głowami spocony, z zakasanymi rękawami flanelowej koszuli, z tym tajemniczym błyskiem w oku, który zawsze zwiastował nadejście wydarzeń ważnych i groźnych zarazem.

W sypialni opowieści umierającego dziadka soczyście barwiły wojnę, malowaną dotychczas w czarno-białych tonacjach.

W kuchni babcia nagle przypadkiem została ocalona. Pewnego dnia wracała z zakupów, kiedy na schodach spotkała drzemiącego jenerała

Sowińskiego. Otulony wojskowym płaszczem, kuląc protezę, przycupnął na skraju naszego domu, kryjąc się przed jesiennym deszczem. Babcia zaprosiła go do kuchni na obiad, a jenerał przyjął zaproszenie.

W gabinecie na stałe zamieszkali Mickiewicz ze Słowackim, a babcia wzruszyła tylko ramionami i zaczęła gotować również dla nich. Słowacki był wprawdzie na diecie, ale mimo to zjadał pełne talerze, chwaląc gospodynię i wynosząc pod niebiosa jej kulinarny kunszt. Robił to z dużym wdziękiem, wiążąc komplementy w eleganckie rymy. Mickiewicz natomiast, co wszystkich dziwiło, jadał mało, a po jego niegdysiejszej niedźwiedziej posturze pozostało tylko wspomnienie.

Babcia jednak trochę obawiała się nieco gburowatego Litwina i chętniej troszczyła się o bladego Juliusza. Potajemnie przynosiła mu co wieczór słoik konfitur, które ten wyjadał nocami, skulony za wielkim skórzanym fotelem dziadka.

W sypialni opowieści dziadka oswajały jego samego z czarną pustką śmierci.

W kuchni babcia oswajała nowy porządek, codziennie goszcząc na obiedzie jenerała Sowińskiego. Starzec o drewnianej nodze korzystał z zaproszeń, a drugiego dnia nawet przyniósł babci bukiet chryzantem, bo był listopad.

Spiżarkę i służbówkę pozostawiono życiu prywatnemu, a ja tam odnajdywałem się najlepiej, z dala od wielkiej historii i wojen, które przetaczały się przez nasz dom. Schodziłem z głównych linii frontów i zastygałem na całe dni w tych porzuconych przez dzieje pokoikach, gdzie nie działo się nic powszechnego, gdzie ewentualne napięcia miały charakter osobisty i bardzo intymny.

W salonie mój ojciec niestrudzenie stwarzał świat na nowo, wciąż niezadowolony z dotychczasowych rezultatów. Tamtej jesieni wszystkie meble kilkadziesiąt razy zmieniły swoje miejsce, zostawiając na parkiecie ostre od drzazg rany. Wreszcie wszystkie zostały upchnięte w innych pomieszczeniach, dezorganizując i tak trudne życie. A ojciec siedział na środku pustego salonu, delektując się pogłosem, którym pustka

obdarowywała najcichszy nawet szept. Siedział jak medytujący mnich i co chwila klaskał, a powietrze wokół niego drżało.

W gabinecie na stałe zamieszkali Słowacki z Mickiewiczem, a matka na wszelki wypadek zamykała ten pokój na klucz jakby w obawie, że szaleństwo ojca może zagarnąć jej prywatne królestwo, w którym odnalazła siebie samą z dawnych lat, kiedy była studentką mego dziadka i należała do elitarnej grupy uczestników jego prywatnych seminariów. Co dwa tygodnie przychodziła do salonu przy ulicy S., który teraz mój ojciec obracał w gruzy, uwiedziony własnymi projektami.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, usypiając nad swymi opowieściami; budził się i podejmował przerwany wątek, a ja słuchałem otępiały, błądząc myślami w innych rejonach.

W końcu Huculszczyzna przestała być bezpieczna, więc rotmistrz Chochoł na czele swych partyzantów ruszył karpackimi graniami w stronę Tatr, stając się bohaterem Czarnohory, Gorganów, Bieszczadów, Beskidów, Pienin i Gorców. Jego szlak bojowy wiódł przez przełęcze, a on wędrował na czele swej roty, niewidoczny dla wrogów, lecz kąsający skutecznie. Wreszcie dotarł w samo serce Tatr, a wojna się skończyła. Mój dziadek zdemobilizował siebie i swoich ludzi i wrócił w cywilnym ubraniu do Krakowa, gdzie przez całe lata milczał o swej wojennej przeszłości, pozwalając legendzie rotmistrza Chochoła zakurzyć się.

W kuchni babcia królowała nad kuchennym stołem. Po kilku dniach Sowiński przyprowadził jenerała Błędowskiego, który jeszcze nie oswoił się ze stratą nogi i budził powszechną litość. Podskakiwał niezdarnie, opierając się o ściany i otwarcie zazdrościł Sowińskiemu wspaniałej kuli. Błędowskiego babcia przyjęła równie życzliwie.

W salonie ojciec niestrudzenie stwarzał świat na nowo, codziennie objawiając nam nowe projekty.

— Wszystkie meble przez okno na podwórze! Wyrzucić, podpalić i rozsypać popioły! — wydawał rozkazy niewidzialnym podkomendnym.

Na podłodze zaczęły się piętrzyć zwoje papieru, na których rozrysowywał swoje plany. Większość z nich kończyła jako szeleszczące

kule ciskane po rogach pokoju. Chodziliśmy na palcach, bo czuliśmy, że pod sufitem zbierają się burzowe chmury. Ojciec planował potop, który miał zmienić oblicze naszego domu.

W gabinecie matka zakwaterowała na stałe Mickiewicza i Słowackiego, starając się z początku chronić ich przed destrukcyjnymi procesami, które w salonie uruchomił mój ojciec. Ratowała ostatnie szańce tamtej epoki, kiedy to w domu swego profesora spotkała jego syna, gdyż to spotkanie stało się początkiem burzliwej miłości, w której trwałość matka chciała dalej wierzyć.

W tamtych odległych czasach obydwoje chcieli zmieniać świat i burzyć dawne porządki, tylko mieli do siebie nawzajem więcej zaufania.

W sypialni umierał mój dziadek, a jak umierał, to się nie golił. Nie pozwalał też nikomu się dotknąć i po kilku dniach jego twarz pokryła się siwym zarostem. Domowników jednak najbardziej zdziwiło to, że jego łysa od dekad czaszka porosła srebrną szczeciną. Dziadek z zadowoleniem oglądał w lusterku swą przemianę, dumny z tego, że udało mu się ocalić na czarną godzinę włosy na głowie. Z każdym tygodniem stawał się jednak coraz bardziej obcy. Wąsy zasłoniły mu usta, policzki pokryła broda, a na ramiona zaczęły spływać platynowe loki. Nie znaliśmy go takim, nie znały go takim najstarsze zdjęcia, a przecież na fotografiach pana Zygmunta był cały świat. Dziadek przeobrażał się na naszych oczach.

W salonie ojciec stwarzał świat na nowo, rozluźniając na ten czas więzi ze światem już istniejącym. Jadł niewiele, nie golił się i nie mył, a flanelowa koszula niczym szmata do kurzu zbierała czarne kłęby przedwiecznych pajęczyn.

W kuchni babcia odzyskiwała władzę nad domowymi rytuałami. Po Sowińskim i Błędowskim niemal niezauważenie pojawili się jenerałowie Giełgud i Przebendowski. I wszystkie miejsca przy kuchennym stole zostały na nowo zajęte, tak że prawie nie zauważaliśmy nieobecności tych domowników, którzy z rozmaitych powodów przebywali poza naszą rodzinną stolicą. Jenerałowie przychodzili w galowych mundurach, trochę przeżartych przez mole, w przedpokoju zostawiali szable i nakrycia głowy,

po czym wkraczali do kuchni, niosąc mojej babci bukiety cmentarnych kwiatów i francuskie komplementy kulinarne.

Spiżarka i służbówka stały się cichymi przytułkami spraw prywatnych, wypełnione intymnością i napięciami, które nie mogły przetrwać na głównych frontach domu.

W sypialni umierał dziadek, z każdym dniem coraz bardziej upodabniając się do biblijnego patriarchy, z czego był zresztą bardzo dumny.

— Nareszcie dorosłem do samego siebie — mówił tajemniczo.

W gabinecie moja matka zakwaterowała wieszczów, choć nie dało się ich na długo utrzymać pod kluczem. Przyzwyczajeni do wolności swych duchów, wymykali się coraz częściej. Słowacki zachodził do spiżarki i podjadał zapasy, zupełnie nie dbając o dietę, a Mickiewicz odwiedzał mego dziadka, odnajdując w nim bratnią duszę.

Matce ich świat, który z takim trudem wskrzesiła, uwalniając w gabinecie demony przeszłości, coraz bardziej wymykał się z rąk.

W kuchni babcia coraz pewniej trzymała w ręku wszystkie nici potrzebne do domowego królowania. Wizyty jenerałów stały się regularne, a obiad jako podstawowa instytucja życia rodzinnego powrócił na swe odwieczne miejsce. Było prawie tak jak dawniej.

W sypialni dziadek umierał na tyle poważnie, że nie interesowały go żadne nowiny zza ściany. To on w swym łożu był dla siebie centrum świata i dokładał wszelkich starań, by jego osoba była też centrum całego domu. Dziwne dźwięki spoza sypialni przyjmował z obojętnością, jakby go w ogóle nie dotyczyły.

— Pamiętajcie, że stoję na tym świecie ledwie jedną nogą — powtarzał, gładząc coraz dłuższą brodę, która rosła na nim szaleńczo, jakby nadrabiając stracony przez dekady czas.

Retorycznie zawieszał głos, pozostawiając nam dopowiedzenie, po jakich światach stąpa w tym czasie jego druga noga, bosa i pokryta odciskami.

W gabinecie moja matka musiała zmienić taktykę i postanowiła ratować co się da. Zaprzęgła wieszczów do pakowania biblioteki, jakby w obawie, że wojenne wichry, które ojciec rozpuszczał po całym domu, zmiotą domowy księgozbiór z powierzchni ziemi. Czy chciała ratować książki, czy też pod tym pretekstem ukryła jakiś plan ocalenia samych wieszczów, tego nie wyjawiła nikomu.

W salonie ojciec niestrudzenie stwarzał świat na nowo, organizując konsylia zaprzyjaźnionych demiurgów. Do pustego pokoju na powrót wjechał stół i krzesła, przy którym obradowali nocami jego koledzy artyści, snując mgławicowe plany przemiany całego naszego domu. Czuliśmy niepokój, a zagłada dotychczasowej postaci mieszkania moich dziadków wydawała nam się coraz bliższa i nieunikniona.

W kuchni babcia królowała niepodzielnie i nikt z domowników nie zauważył tego momentu, kiedy jenerałowie zalęgli się tam na stałe, coraz bardziej ociągając się z opuszczaniem jej gościnnego królestwa. Najpierw zaczęli zostawać na dłużej, grzejąc dłonie zaplecione na szklankach z herbatą. Cicho, by nie drażnić gospodyni, rozmawiali o dawnych kampaniach. Potem zaczęli anektować stół aż do kolacji; rozstawiali na nim zapałki, sypali z soli wzgórza, z filiżanek ustawiali miasteczka i wioski, po czym toczyli swoje kampanie, zmieniając ich przebieg i usiłując na stole wygrać to, co było dawno przegrane.

Spiżarkę i służbówkę wypełniły wydarzenia o charakterze prywatnym, które nigdy nie powinny trafić na karty podręczników historii naszego domu.

W gabinecie mojego dziadka Mickiewicz siedział na gruzach rodzinnej biblioteki i nie był w dobrej formie. Stary i zgorzkniały, chodził pomiędzy pudłami i opisywał je pieczołowicie. Postarzał się i przygarbił, powłóczył jedną nogą i miał trudności z koncentracją. Jego bujne włosy pozlepiały się w tłuste strąki, które smętnie opadały na ramiona. Siwa szczecina na podgardlu porosła bujnie, zasłaniając jedwabny fular. Litwin wodził po świecie błędnym wzrokiem, omiatając nasz dom spojrzeniem człowieka

przegranego. Często przesiadywał w sypialni, przy łóżku dziadka, i rozmawiali szeptem o sprawach ludzi umarłych. Razem też studiowali tajemne księgi mojej babci, odszukując w kondukcie nekrologów znajome nazwiska i tajemne prawidłowości.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, wspominając swe długie życie. Obok historii wojennych najważniejsze miejsce w tych wędrówkach przez klisze pamięci zajmowała postać owej bezimiennej Hucułki, z którą miał go łączyć namiętny romans podczas mroków wojny. Jej dziewczęce wdzięki i zalety opisywał domownikom ze wszystkimi szczegółami. Z czasem dowiedzieliśmy się o niej dużo więcej niż tylko tego, że jedno oko miała zielone, a drugie złote. Muszę przyznać, że niektóre słowa słyszałem z ust dziadka po raz pierwszy, co nieco mnie zawstydzało. Umierający nie reagował jednak na nasze dyscyplinujące pochrząkiwania, tylko rozpalał się w tych opisach, odzyskując dawną moc i siłę głosu.

— Tylko nie powtarzajcie za dużo babci — prosił, opadając na poduszki po skończonej tyradzie.

W kuchni babcia zupełnie nie była zainteresowana opowieściami dziadka, które przez całe życie starała się prostować i dezawuować. Za to pełna nadziei poszerzała swą kuchenną władzę. W korytarzu nagle pojawił się rozbijany na noc obóz, gdzie jenerałowie nakryci derkami spali, pochrapując, a przed zaśnięciem siadali w kręgu i śpiewali patriotyczne pieśni. Babcia obawiała się wprawdzie, że zaczną palić ognisko, dlatego zawsze po kolacji pilnie liczyła wszystkie zapałki, które zostawiali na stole w nieładzie, jak oddziały rozbite podczas odwrotu. W ten sposób, zupełnie niepostrzeżenie, mieszkanie moich dziadków przekształciło się w przytułek dla starych jenerałów. Babcia była z tego jednak bardzo dumna.

W salonie ojciec snuł plany nowego świata, a ja podsłuchiwałem strzępy gorących rozmów, jakie przy wódce i przaśnych zakąskach prowadzili jego koledzy, którzy zawsze chętnie go odwiedzali i wspierali w twórczym trudzie. Idee ścierały się ponad blatem stołu, słowa przemieniały wygląd pokoju. Miał być betonowym bunkrem, odartym z tynku ceglanym pokojem, miał być malowaną w iluzjonistyczne freski kaplicą, pełnym antresol labiryntem; miał być pozbawiony ścian i otwarty

na resztę mieszkania, miał być podzielony na strefy meblami i ściankami, miał być duży i mały zarazem.

Narady te kończyły się na podłodze, malarze i graficy zawinięci w koce i dygocący o poranku, wszędzie zawiesina przepojonych wódką oddechów i zbitego w gęste obłoki papierosowego dymu.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, z każdym dniem przeobrażając się w przeciwieństwo siebie, jakby świadomie burząc to, co swym wyglądem budował przez lata. Broda i włosy rosły, a on z profesora i żołnierza stawał się patriarchą, i coraz mniej pasował do munduru rotmistrza ułanów, który kazał sobie przyszykować. Babcia wprawdzie codziennie przeciągała szczotką po zielonym suknie, lecz kiedy tylko spojrzała na męża, jej wzrok wyrażał dezaprobatę.

— Obiecaj mi, że mnie po śmierci nie ogolisz — uprzedzał jej komentarze dziadek, zmuszając ją swym umieraniem do uległości.

Leżał, z lubością gładząc srebrne sploty, a babcia mruczała pod nosem na znak, że i tak wie swoje.

W kuchni babcia nieoczekiwanie dla wszystkich stworzyła ośrodek życia duchowego, pełen domowników, jenerałów i stłoczonych pod lodówką poetów. Mickiewicz wycinał nekrologi i metodycznie smarował pożółkłe wycinki gumą arabską, a jenerałowie zostali zagonieni do prac kuchennych. Sowiński obierał ziemniaki, Giełgud wałkował ciasto na makaron, a Przebendowski czyścił z zapamiętaniem srebrne sztućce, bawiąc wszystkich swymi wspomnieniami z kampanii na San Domingo. Wtedy kuchnia wypełniała się tropikalnymi zapachami, hodowane na parapecie kwiaty stawały się karaibską dżunglą i wszyscy zatracali się w słuchaniu o egzotycznych wojnach, choć na chwilę zapominając o codziennych troskach i Polsce.

W salonie nieogolony ojciec snuł plany przemiany świata, pokłócony ze swymi kolegami, zmierzwiony i śmierdzący wódką. Pewnej nocy przegnał ich wszystkich, ciskając krzesłami, a ich wspólne projekty potargał na tysiąc kawałków. Zawinięty w koc, siedział sam na stole, kiwając się bezradnie, ze wzrokiem utkwionym w ścianę. Trwał tak kilka dni, jedząc niewiele i niemal nie kontaktując się z nami.

W gabinecie moja matka usiłowała wydobyć z Mickiewicza powody jego rosnącej apatii. Zaczęła się o niego obawiać, kiedy uświadomiła sobie powagę jego stanu. Całymi godzinami potrafił przesiadywać między pudłami pełnymi książek, smutno kartkował swoje dawne dzieła, wzdychając nad utraconym czasem.

W kuchni babcia zarządzała jenerałami wedle swojej woli. Obawiając się pożaru, zabrała im zapałki i dała w zamian kaszę gryczaną. Z początku weterani byli nieco naburmuszeni, ale rychło zobaczyli, że do ich kuchennych bitew przy stole ziarna gryki nadają się lepiej niż zapałki. Przy okazji oddzielali plewy i zaplątane w swoje legiony drobne kamyczki. Następnego dnia babcia przebraną kaszę gotowała, a jenerałom sypała na blat pęczak albo ryż.

Spiżarkę i służbówkę wypełniły wydarzenia o charakterze prywatnym, które nigdy nie powinny trafić na karty podręczników historii naszego domu.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, wzywając domowników o najdziwniejszych porach. Kiedyś kazał mnie sprowadzić w środku nocy i powierzył mi, zobowiązując przysięgą, zadanie odnalezienia swego zegarka. Srebrny zegarek był nagrodą za zwycięstwo w zawodach jeździeckich, w których brał udział przed wojną podczas służby w pułku. Ścinał łozy i godził lancą w dynie najlepiej w całej Trembowli, co spotkało się z uznaniem jego przełożonych. Na kopercie była grawerowana dedykacja i właśnie tego zegarka pragnął mój dziadek w godzinie śmierci, która zdążyła się już rozciągnąć na kilka tygodni. Dla niego jednak czas jakby stanął i dziadek był wielce zdziwiony naszym zniecierpliwieniem.

— Już niedługo — pocieszał nas, widząc nasze zmęczone twarze.

W salonie ojciec przygotował nowy świat, kreśląc na ścianach śmiałe linie.

— Już niedługo nie poznacie tego pokoju — wieszczył, a myśmy go już nie poznawali, tak zarósł.

Meble wróciły z wygnania i zostały spiętrzone na środku. Przez noc, nie zważając na upomnienia domowników, ojciec na starej maszynie do

szycia łączył stare prześcieradła i poszwy, tworząc całun, który zdołałby nakryć cały świat. Przedwojenne przekładnie i koła terkotały monotonnie. Nad ranem, kiedy wszyscy ledwie wstali, ojciec zawezwał nas do salonu i razem, mrucząc pod nosem słowa pełne cichego buntu, zarzuciliśmy wielobarwną tkaninę na rumowisko starych mebli. Pośrodku pomieszczenia powstał w ten sposób wielki masyw górski, na którym można było odnaleźć żleby i piargi, ostre granie i cieniste doliny. Wokół tego górotworu zaczął krążyć ojciec, z rękami splecionymi na plecach, nieświadomy, jak podobny jest do swego ojca, który w sypialni za ścianą umierał na starość.

W kuchni dobra wola babci nie potrafiła zażegnać konfliktu między wieszczami. Mijali się w milczeniu, udając, że nie zauważają się wzajemnie. Podczas posiłków siadali od siebie najdalej, jak to było możliwe, a rozmawiali tylko przez osoby trzecie. Najczęściej osobą trzecią stawała się matka, która próbowała mediować między poetami, zazwyczaj padając ofiarą swych dobrych chęci. Babci trochę się obawiali. Spoglądała na nich zza swych wielkich okularów, marszcząc groźnie brwi. To ona wydzielała Słowackiemu konfitury, więc poeta nie chciał ryzykować utraty swych beneficjów. Mickiewiczowi było wszystko jedno.

W sypialni mój dziadek czekał na śmierć.

W salonie ojciec nie czekał już dłużej, tylko przeszedł do fazy tworzenia. Pod ścianami pojawiły się pewnego dnia drabiny malarskie, ściągnięte chyba z całej dzielnicy, a pomiędzy nimi chybotały się deski, po których ojciec biegał z wprawą godną podziwu. Podłoga zakryta była poplamionymi farbą gazetami, które szeleściły przy każdym kroku. Rusztowania tworzyły skomplikowaną sieć wysokogórskich ścieżek, wśród których zamieszkał ojciec, schodząc ze swego podniebnego królestwa tylko w sytuacjach naprawdę wyjątkowych. W tych niedosiężnych nam rejonach pieczołowicie pokrywał ściany tajemnymi symbolami dawnej awangardy, zaklinając w geometryczne figury cały widzialny świat. Żadnych ikon, żadnych iluzji, tylko nieprzyjazne mieszczańskiemu duchowi kwadraty i trójkąty.

I tak owej jesieni w salonie trwał wieczny remont, a mój ojciec był jego prorokiem. Sypiał pod sufitem zawinięty w turystyczny śpiwór

i wymachując pędzlem, odpierał ataki znużonych pracami domowników.

— Sztuka wymaga poświęceń! — krzyczał i machał rękami jak wiatrak, zniechęcony naszą przyziemnością.

W gabinecie matka próbowała wymóc na Mickiewiczu, by opowiedział jej o swych smutkach. Litwin długo czekał ze swą opowieścią, aż wreszcie coś w nim pękło i kiedy tylko znudzony Słowacki wymknął się do kuchni, wyznał cicho swą historię. Wszystko zaczęło się jeszcze w Paryżu, kiedy emigracja nosiła Mickiewicza na rękach, a Słowacki pokasłując krwią, patrzył zazdrośnie na pierwszego wieszcza. Poeta, uwiedziony własnym sukcesem, postanowił zrobić kolejny krok i wcielić swoje słowo w czyn. Zamiast więc wykładać dla nostalgicznych Polaków, ruszył w stronę Polski, by wzniecać kolejne powstanie.

Mickiewicz rwał swą opowieść, czasem milkł na kilka dni, jakby rozżalając się wewnątrz przywołanych przez siebie wspomnień. Wzdychał wtedy smutno, a matka czekała cierpliwie. Żeby nie spłoszyć wieszcza, odstawiła maszynę do pisania i notowała wszystko ręcznie, co chwila patrząc Litwinowi głęboko w oczy.

W salonie trwał remont naszego świata i wszyscy czekali na jego koniec.

W kuchni nasz świat miał się całkiem dobrze i z perspektywy stolicy wojny w odległych prowincjach wydawały się mało znaczące.

W sypialni mój dziadek czekał na swój koniec, niezainteresowany rodzeniem się nowych światów za ścianą.

W gabinecie matka słuchała smutnej opowieści Mickiewicza o tym, jak na własne życzenie zostawił świat, który jednak nie zechciał na niego poczekać.

W Litwie Mickiewicz pojawił się nie jako wielki poeta, tylko jako odziany w szmaty lirnik, który od zaścianka do zaścianka chodził z pieśnią, mającą podsycać nadzieję. Ballady jego trafiały pod strzechy, litewska szlachta nie szczędziła grosza, litując się nad wędrownym dziadem. Siadali na progach swych dworków całymi rodzinami, zasłuchani w słowa pieśni.

Czyny w nich nie dojrzewały, dawali lirnikowi miskę strawy i odsyłali do stodoły, gdzie sypiał, zagrzebany w siano.

W sypialni mój dziadek czekał na śmierć.

W salonie trwał remont naszego świata, który miał pogrzebać starą powłokę i odrodzić mieszkanie przy ulicy S. Ojciec świadomie, z każdym ruchem pędzla niszczył wszystko to, co dziadkowie przez lata tak pieczołowicie chronili. Mięsiste faktury, ostre kolory i agresywne kształty pożerały kolejne obszary, zniekształcając perspektywę i fałszując proporcje pomieszczenia.

— Mój Boże, teraz te ściany krzyczą — mówiła babcia, wracając z sypialni dziadka. — Teraz będzie nam się żyło jak na tych nowoczesnych obrazach…

W kuchni moja babcia ocalała stary porządek, komponując w przeciwwadze do salonowych ekstrawagancji ojca zupełnie inne obrazy. Kuchnia stała się ośrodkiem życia duchowego, a babcia sprawnie i bezlitośnie rozdzielała pracę pomiędzy domowników. Zaprzęgnięci do obierania ziemniaków jenerałowie burczeli, spiskując nad miskami pełnymi obierków. Z tych prac wykręcił się sprytnie jenerał Błędowski, który w tym czasie uczył się na nowo chodzić, zakładając na kikut kulę pożyczoną od Sowińskiego. Przekonał starego weterana, że do obierania ziemniaków proteza nie jest potrzebna. Stukał więc jenerał Błędowski, chodząc dookoła stołu, co chwila się potykał i przeszkadzał wszystkim innym.

Spiżarka i służbówka stały się ukrytymi arenami namiętności może mniejszego kalibru niż targające całym domem konflikty, ale stawiającymi splecione nimi osoby w równie kłopotliwych sytuacjach.

W sypialni mój dziadek czekał na zegarek.

W gabinecie moja matka czekała na ciąg dalszy opowieści Mickiewicza, który milkł na coraz dłużej.

Po roku tułaczki po rodzinnych stronach Litwin wrócił do Paryża, lecz tam jego miejsce było już zajęte. Na salonach pierwszym wieszczem był

Juliusz Słowacki, a on sam stał się dla emigrantów nieporęcznym wyrzutem sumienia.

— Panie Adamie drogi! — zwrócił się kiedyś do niego z dobrą radą książę Czartoryski. — Niech pan lepiej stanie się cichym kustoszem narodowej pamięci, bo to miejsce jeszcze nie jest obsadzone.

W salonie ojciec szalał w oku cyklonu, który sam rozpętał. Nie dało się tego remontu ominąć, bo zdążył dotknąć najodleglejsze krańce naszego mieszkania. Wszędzie piętrzyły się pudła z niepotrzebnymi nikomu przedmiotami, które lata nawyku kazały moim dziadkom magazynować troskliwie w szafach i szufladach. Teraz wszystkie one ujrzały światło dzienne, choć na krótko, gdyż zaraz trafiły do kartonów i starannie opisane, zajęły miejsce na emigracji w służbówce, sypialni i w korytarzu, który zwęził się tak, że ledwo mogliśmy się w nim minąć; zakurzone serwisy do herbaty, całe legiony sztućców i armie talerzy, bibeloty wątpliwej wartości i sumiennie przechowywane bezużyteczne prezenty, monstrualnie zwielokrotnione przez całe dekady rodzinnych jubileuszów. Wielkie mieszkanie dziadków stało się nagle ciasne, pełne niepotrzebnych rzeczy i zbędnych mebli. Wszystkim zaczęło ciążyć całe to mieszczańskie dziedzictwo i po raz pierwszy zaczęliśmy dostrzegać w planach ojca jakiś sens.

W kuchni babcia skutecznie opanowywała wyłażący z każdego kąta domu chaos i postanowiła rozpocząć ofensywę. Zebrała swoich jenerałów przy pooranym stole i rozdysponowała zadania. Jenerałowie z początku kwękali, ale zdani na łaskę mojej babci, nie potrafili wymówić jej posłuszeństwa.

W gabinecie matka wysłuchiwała do końca cichych wyznań Mickiewicza. Został kustoszem narodowej pamięci, w której kiedyś sam zajmował tak znaczące miejsce. W poczuciu porażki pielęgnował więc wspomnienia o samym sobie i dbał, by naznaczona jego wieszczym geniuszem epoka nie została zapomniana. Tylko to mógł zrobić, przyjmując skromną posadę bibliotekarza Hôtel Lambert i zamykając się na końcu długiego korytarza w ciasnym magazynie pełnym kurzu i książek.

W salonie mozolne przeobrażanie świata powoli dobiegało końca. Brudnobiałe ściany zostały zawłaszczone przez śmiałe kolory i kreski, a chaotyczna na pozór plątanina linii i faktur odsłaniała nam nowy, nieznany kosmos. Ojciec, nie schodząc z rusztowania, malował jak w transie, zmieniając pędzle i kolory jak natchniony. Cały czas z papierosem, nieogolony i zmierzwiony, z każdym dniem coraz bardziej oddalał się od nas, nie słuchając nawoływań i łagodnych perswazji. Przynoszone mu posiłki zjadał brudnymi palcami dopiero po zapadnięciu zmroku, niczym stepowy drapieżnik wychodzący na żer. Jakby bał się opuszczać swe podniebne królestwo w świetle dnia, jakby bał się, że na dole osaczymy go i uniemożliwimy powrót na drabiny.

Spiżarkę i służbówkę wielka historia skutecznie oddzieliła od domu stertami pudeł, czyniąc z nich nieodwiedzane przez większość domowników magazyny, gdzie można było dzięki temu znaleźć ciszę i ukojenie.

W sypialni mój dziadek celebrował swe długie umieranie, hojnie szafując opowieściami z wszystkich wojen nowożytnej Europy, w których oczywiście brał udział, a ja zanurzyłem się w poszukiwania srebrnego zegarka z dedykacją. Tamtej jesieni poszukiwania takie skazane były na nieuchronne niepowodzenie. Nikt z domowników, nawet babcia, nie potrafił powiedzieć, gdzie co jest. Cała rzeczywistość popakowana była w pudła i tylko okolice kuchni funkcjonowały na starych zasadach. Wprawdzie kartony zostały metodycznie ponumerowane, ale gdzieś zaginęła lista i znalezienie czegokolwiek stawało się zadaniem ponad nasze siły. Przemierzałem więc piramidy z tekturowych bloków, wspinając się na ich niebosiężne szczyty, nurkowałem pod stłoczone meble oraz pełzałem tunelami z krzeseł i stolików, co jakiś czas znajdując wytchnienie w komorze sklepionej blatem stołu, gdzie mogłem usiąść. Wszędzie natrafiałem na ślady dawnego domu, lecz nigdzie nie było dziadkowego zegarka.

W gabinecie zrobiło się pusto, bo Mickiewicz, uwolniwszy opowieść swego życia, uwolnił się tym samym od mojej matki. Przeniósł się na stałe do sypialni dziadka, z którym zanurzali się wspólnie w światy umarłych.

W kuchni babcia przygotowała ofensywę porządku, wysyłając jenerałów na korytarz. Kazała im przenieść wszystkie zgromadzone tam pudła i meble na właściwe miejsce. Aby przeciwdziałać dezercji, kazała postawić swój fotel w progu kuchni i stamtąd wydawała polecenia. Jenerałowie bez dyskusji uznali w niej naczelnika nowego powstania i konsultowali z nią wszelkie ważne działania.

W salonie mozolne przeobrażanie świata dobiegło końca, choć jego twórca nie zdążył nam obwieścić tej nowiny, gdyż po wielu dniach zasnął pod samym stropem, zawinięty w śpiwór, wypełniając pomieszczenie niedźwiedzim chrapaniem. Ostrożnie wszedłem do salonu i brodząc w pomiętych gazetach, patrzyłem na ukończone dzieło. Wstawał świt, jutrzenka różowiła tętniące kolorami ściany. Plątanina linii przypominała plan wielkiej metropolii, przecinanej ulicami i estakadami, porozcinanej rozlewiskami wielkich rzek. Układy trawienne i tętnicze tego nieistniejącego miasta przenikały się, ginęły pod powierzchnią placów i parków.

Chodziłem i oglądałem te abstrakcyjne polichromie, doszukując się w nich kolejnych warstw sensów. Miasto stawało się wielkim tatuażem, tatuaż przeobrażał się w skondensowany atlas anatomii nieistniejących stworzeń. Ojciec stworzył na ścianach nowy świat i spał, zmęczony rozpętanym przez siebie potopem.

Spiżarka i służbówka, oddalone od spiętrzonych wód potopu i nieświadome dziejowych napięć, stały się miejscami, które odwiedzałem najchętniej, z wolna przenosząc do nich swoje skromne życie.

W sypialni mój umierający dziadek oczekiwał na zegarek, a ja bezradnie gubiłem się w zwielokrotnionych remontem zakamarkach naszego domu, z każdej wyprawy powracając z pustymi rękoma. Liczni domownicy przyglądali się ze współczuciem moim kolejnym porażkom i chętnie sekundowali poszukiwaniom. W końcu jednak wszyscy przyłączyli się do mej misji i nadszedł dzień, kiedy nie tylko matka i babcia, ale też starzy jenerałowie na czworakach wędrowali pomiędzy nogami stołów i foteli w poszukiwaniu zaginionej pamiątki. Udało nam się

znaleźć siedem innych zegarków, w tym trzy damskie i jeden dziecięcy, pamiątkę z dawno zapomnianego odpustu, lecz żaden nie był tym, na który czekał mój dziadek. Umierający niecierpliwił się coraz bardziej i domagał się regularnych raportów, które składała mu babcia, przynosząc posiłki.

W gabinecie moja matka czekała na opowieść Słowackiego, który jednak nie kwapił się z powrotem do królestwa zakurzonych książek, bawiąc w kuchni i nadużywając gościnności babci.

W kuchni babcia dowodziła ofensywą, siedząc w głębokim, wyścielanym kocami i poduszkami fotelu. Kiedy korytarz zaczął przypominać ten z dawnych czasów, zebrała jenerałów i przedstawiła im dalszą strategię.

Spiżarka i służbówka, oddalone od wojen domowych i nieświadome dziejowych napięć, stały się miejscami, które odwiedzałem najchętniej, z wolna przenosząc do nich swoje skromne życie.

W salonie mozolne przeobrażanie świata dobiegło końca, a przynajmniej wszyscy chcieliśmy mieć taką nadzieję. Ojciec nie zawołał nas jednak na oficjalną prezentację nowego oblicza naszego domu, nie wtajemniczył w dalsze kroki swej częściowo zrealizowanej wizji.

Zamiast tego, kiedy już wreszcie wstał z wielogodzinnego snu, zaczął w środku nocy skuwać swe dzieło, a wielkie bloki tynku z hukiem spadały na pokaleczony parkiet. Zbudzeni hałasem, stłoczyliśmy się przestraszeni w drzwiach salonu i patrzyliśmy na tę destrukcję, której ojciec dokonywał pod osłoną nocy. Wracaliśmy do łóżek przygnębieni przeczuciem, że jego wojna z materią będzie się toczyć jeszcze przez długie tygodnie.

Dwa dni później mogliśmy oglądać tylko surowe cegły i sterczące ze ścian pobrudzone gipsem kable. Salon przypominał wojenną ruinę. Zmęczony swoim aktem barbarzyństwa ojciec siedział okrakiem na rusztowaniu i cicho nucił nieznane nikomu melodie. Kiwał się sennie, a deski skrzypiały rytmicznie.

W sypialni mój dziadek czekał na zegarek, co chwila przypominając sobie, gdzie go ostatni raz widział:

— Jest w dolnej szufladzie biurka!

— Jest w szufladce maszyny do szycia!

— Jest w oficerkach, schowany na samym dnie.

— Jest w wewnętrznej kieszonce mojej skórzanej teczki!

— Jest w słoiku pomiędzy kiszonymi ogórkami w spiżarce!

Za każdym razem wskazówki okazywały się fałszywe, co dziadek przyjmował ze smutkiem.

— To już sam nie wiem… — mówił wyraźnie zmartwiony i bezradnie opadał na poduszki.

W gabinecie matka czekała na opowieść Słowackiego, który zwlekał z powrotem do królestwa zakurzonych książek tak długo, aż zjadł ostatnie zapasy konfitur. Ogórkami kiszonymi nie był zainteresowany, więc upewniwszy się, że Litwin na dobre zagnieździł się w sypialni dziadka, wrócił skruszony przed oblicze mej matki.

W kuchni babcia opracowała strategię dalszych walk. Uderzała o świcie, kiedy ojciec kładł się na swej podniebnej pryczy i zapadał w głęboki sen pełen królewskich koszmarów.

W sypialni mój dziadek czekał jednocześnie na zegarek i na śmierć, nie mogąc się zdecydować. Wygłaszał niezrozumiałe dla nas tyrady, przywołując swoich dawnych towarzyszy.

— Kostuś Willemann, ty mnie jeden, bracie, rozumiałeś. Bo byliśmy tacy sami, bracie, tacy sami! — mówił, patrząc przeze mnie niewidzącymi oczami.

Poprawiałem mu poduszki, a on dziękował mi, myląc imiona.

W salonie ojciec królował zupełnie sam, zarządzając gruzami i strzępami własnych pomysłów. Pracował nocami, a dnie spędzał na rusztowaniach, śpiąc niespokojnie i krzycząc przez sen. Podczas coraz rzadszych chwil aktywności usiłował bezskutecznie na gruzach swego świata zbudować rachityczne królestwo. Na odsłoniętych cegłach malował dziecinne szlaczki albo kwiatuszki, jakby wycięte przed momentem z pensjonarskich pamiętników; w szale pokrywał tynkiem fragment ściany

i malował na nim okno, za którym łagodnie falowały wzgórza Toskanii i rosły strzeliste cyprysy. W końcu i z tego zrezygnował.

Spiżarka i służbówka, oddalone od wojen domowych i nieświadome dziejowych napięć, stały się miejscami, które odwiedzałem najchętniej, czując, że to w nich toczy się prawdziwe życie, którego tak łaknąłem.

W sypialni mój dziadek czekał na zegarek. W tamtym czasie pojawiło się podejrzenie, że któryś z domowników znalazł zgubę i przywłaszczył sobie, ukrywając ją w ten sposób na nowo. Sugestię taką wysunął jenerał Błędowski, oskarżając przy kolacji jenerała Sowińskiego o ukrywanie srebrnego zegarka w jego kuli. Sowiński zrobił się czerwony z gniewu, wstał od stołu i podszedł do babci:

— Niech pani sama sprawdzi! — powiedział rozkazującym tonem, wysuwając do przodu swą protezę.

Były w niej niewielkie drzwiczki, zamykane na mosiężny haczyk. Babcia niepewnie otwarła blokadę i pociągnęła drzwiczki do siebie. We wnęce pod zwiniętym końcem nogawki jeneralskiego munduru zobaczyliśmy poukrywane skarby: fajkę, kapciuch i upychacz. Sowiński demonstracyjnie wyjmował wszystko, odstawiając na stół, aż skrytka w jego drewnianej nodze została opróżniona.

— Widzisz gdzieś, jenerale, srebrny zegarek? — zapytał Sowiński dramatycznie swego oskarżyciela.

Błędowski coś mruknął i odszedł od stołu. Nie pokazywał się przez trzy dni, ukryty za pianinem. W tym czasie jenerał Sowiński wytłumaczył nam, że Błędowski zazdrości mu wspaniałej protezy, kunsztownego dzieła warszawskich rzemieślników. To dlatego ciągle pozwala sobie na złośliwości.

— Chce mnie skompromitować i przejąć moją kulę! — mówił wzburzony.

W gabinecie matka czekała na opowieść Słowackiego. Na jej polecenie poeta uprzątnął wielki skórzany fotel i usiadł na nim, zapadając się w sobie. Zdawał się taki niewielki. Matka siedziała za biurkiem i zadawała pytania, a ja w kącie notowałem słowa eterycznego wieszcza.

W kuchni babcia opracowała strategię i wyprowadziła walki do salonu. Podczas snu mego ojca jenerałowie w pocie czoła uprzątali pobojowisko, wynosząc gruz i strzępy projektów.

W salonie ojciec królował zupełnie sam, szary od pyłu, lecz nadal pełen wątłych nadziei na ostateczny triumf. Zaczął mówić do siebie i chodził dookoła masywu spiętrzonych pod płachtą mebli, z rękami zaplecionymi na plecach, nieświadomy, że powtarza rytualne gesty swojego ojca, których zawsze tak bardzo starał się unikać. Spacerował wydeptaną w pyle ścieżką, ze wzrokiem wbitym w ziemię i rozmawiał ze sobą, prowadząc wewnętrzne spory.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, natomiast domownicy zaczęli omijać to chłodne i nieprzyjazne miejsce.

— Zobaczcie, jaki jestem przeźroczysty! — witał dziadek od progu nielicznych zapuszczających się tam gości, którzy z litości przychodzili z kurtuazyjnymi wizytami. Wszyscy tłumaczyliśmy się poszukiwaniami srebrnego zegarka z dedykacją i jedynie Mickiewicz spędzał z dziadkiem więcej czasu. Wieszcz przeniósł się do sypialni po kolejnej kłótni ze Słowackim, usuwając się sprzed ludzkich oczu. Spokojna atmosfera tego pokoju działała na niego kojąco, gdyż umieranie dziadka było i tak najmniej chaotyczne pośród licznych procesów, które narastały w naszym domu tamtej jesieni i zimy.

Spiżarka i służbówka tętniły utajonym życiem, lecz poza mną nikt z domowników zdawał się tego nie zauważać.

W gabinecie matka słuchała opowieści Słowackiego. Po wyjeździe Mickiewicza w Paryżu zaczęła rosnąć pustka. Emigracja, pozbawiona duchowego przywódcy, zaczęła zapadać się w sobie i Polacy chodzili bezradni, popadając w coraz głębsze otchłanie nostalgii. Wreszcie postanowiono, że należy zwrócić się do Słowackiego. Jego raniona przez lata duma długo nie pozwalała mu przyjąć tej propozycji, dlatego emigranci postanowili zastawić na niego pułapkę. Zaproszono go do salonu Januszkiewicza na uroczysty obiad, a niczego niepodejrzewający poeta zaproszenie przyjął. Pretekstem spotkania była kolejna smutna rocznica

upadku powstania, co uśpiło czujność Słowackiego. Posadzono go na honorowym miejscu i od początku emablowano, zarzucając cytatami z jego własnych dzieł. Po wystawnej kolacji całe towarzystwo wstało od stołu i zasiadło w salonie, paląc cygara i wspominając Polskę. Słowacki zauważył widoczną nieobecność Mickiewicza w tej swobodnej konwersacji. Litwina nie tylko nie było pomiędzy nimi, ale też nikt go nie wspominał i nie cytował. Słowacki popijał koniak i delektował się tym brakiem.

W pewnym momencie Eustachy Januszkiewicz wstał i podszedł do fotela, który zajmował Juliusz Słowacki. Przyklęknął na jedno kolano i pocałował eterycznego poetę w rękę:

— Wybacz nam i prowadź! — powiedział z patosem. — Mistrzu, zbłądziliśmy!

Z początku poeta chciał wyrwać swą szczupłą dłoń, lecz w końcu pozwolił gospodarzowi na ten niecodzienny gest. Po Januszkiewiczu do Słowackiego podchodzili wszyscy, jednakowo przyklękając i całując prawicę. Poeta opanował pierwsze zdziwienie i zaczął celebrować ten swój nieoczekiwany triumf, pozwalając się wielbić i wysuwając kiść dłoni kolejnym skruszonym. Na koniec wstał z fotela książę Czartoryski, podszedł do odurzonego hołdami wieszcza, ukłonił się lekko i powiedział:

— Dołączam się do próśb pozostałych rodaków.

I tak Juliusz Słowacki został namaszczony na pierwszego wieszcza Emigracji, czyli jedynej i prawdziwej Polski. Godność tę przyjął.

W kuchni babcia opracowywała dalszą strategię, a podlegli jej jenerałowie codziennie w salonie demontowali spiętrzony przez mego ojca masyw mebli i ustawiali je na wskazane przez babcię miejsca. Wieczorem, kiedy zapadał zmrok, salon zaczynał przypominać siebie samego sprzed lat.

W salonie ojciec królował zupełnie sam, starczając sobie za władcę i poddanego. Głosem nieznoszącym sprzeciwu wydawał rozkazy, a potem cichutko, tonem pełnym usprawiedliwień tłumaczył sobie, że nie może ich wykonać. Po każdym przebudzeniu zbierał meble na nowo i zsuwał je na środek salonu, zdziwiony tym, że zastał je na swoich dawnych miejscach. Dzięki ofensywie prowadzonej przez generałów ojciec został złapany w pętlę czasu i co noc rozpoczynał swoje dzieło na nowo.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, z Mickiewiczem u wezgłowia, z którym szybko znalazł wspólny język. Całymi godzinami przeglądali „Księgi umarłych”, które przez lata sporządzała moja babcia. Wypisywali nazwiska, daty i inne informacje z obszernych katalogów mojej babci i analizowali je we dwóch, używając tajemnych metod. Mickiewicz ufał swej intuicji, która przecież tyle razy go zawiodła, natomiast dziadek próbował zaprząc do tego dzieła reguły rozumu. Na pytanie babci, co robią, dziadek odpowiedział lekko:

— Próbujemy ustalić datę mojej śmierci.

Babcia nie była tym zachwycona, gdyż sama wierzyła w moc tych ksiąg, które skrupulatnie prowadziła od dnia swego ślubu.

W gabinecie matka słuchała opowieści Słowackiego, a ja notowałem każde słowo, które spadało z ust wieszcza. Poeta szybko odnalazł się w nowej roli, jaką wyznaczyła mu Emigracja. Wygłaszał długie improwizacje, podczas których kobiety omdlewały, bywał na salonach, rzucił się w wir pracy twórczej, zacząwszy pisać cztery arcydramaty naraz, zbierał należne mu hołdy i odpowiadał na liczne perfumowane bileciki, które do jego mieszkania przysyłały odurzone poezją wielbicielki. W niedziele nauczał w polskim kościele, wykrzykując pełne mesjanizmu homilie. Cała Polska, a raczej to, co z niej zostało, ścieliła mu się do stóp. Miał rząd dusz i mógł rozpocząć pracę nad polskim duchem.

I wtedy wrócił Mickiewicz.

W kuchni babcia siedziała w fotelu, zostawszy niekwestionowanym naczelnikiem wymyślonego przez siebie powstania. Rzucała armię starych jenerałów na plac boju, gdzie ci uwijali się, myjąc szmatami podłogę i ponownie rozstawiając meble wedle narysowanego przez babcię planu.

W salonie ojciec królował zupełnie sam, tworząc swoją świtę i poddanych, do których zwracał się z płomiennymi orędziami. Pił dużo, a dźwięki toczących się po podłodze pustych flaszek wypełniały pogłosem pustkę salonu. Ojciec powtarzał, chodząc ze wzrokiem wbitym w ziemię:

— Jestem królem, jestem ostatnim królem Polski.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, a zmęczony porażkami Mickiewicz melancholijnie mu w tym asystował. Pewnego dnia, kiedy pierwsze przymrozki rozkwitły na szybach, dziadek zakomunikował nam, że odkrył pośrednio datę swojej śmierci. Ze skomplikowanych wyliczeń wynikało, że istnieje pewna konfiguracja jadłospisu, która wystąpi w tym dniu. Na tyle przydały się skrupulatne notatki babci. Jednak dziadek nie ujawnił, jakie dania mają się składać na śmiertelne menu, doprowadzając tym babcię na krawędź rozstroju nerwowego. Staruszka codziennie obmyślała jadłospis, drżąc, że ta troska zabije jej męża. Usiłowała przekupić Mickiewicza, zdobywając dla niego z tajemnych źródeł oryginalny litewski kindziuk, lecz wieszcz wędlinę zjadł, a sekretu śmiertelnego menu nie wyjawił.

W gabinecie matka słuchała opowieści Słowackiego, a ja notowałem każde słowo. Poeta siedział zapadnięty w swym fotelu i opowiadał o powrocie Mickiewicza. Litwin po przyjeździe do Paryża dziarsko wkroczył na salony, lecz spotkał się z chłodnym przyjęciem. Miał tyle do powiedzenia, wyprawa do podwileńskiego matecznika nauczyła go tak wiele o polskim duchu, że chciał się tymi rewelacjami podzielić ze wszystkimi swymi wyznawcami. Do Paryża jechał rozogniony dwukółką, czując, że dopiero teraz, po tym swoim dobrowolnym wygnaniu z salonów, może zostać prawdziwym prorokiem Sprawy. Jakież było jego zdziwienie, kiedy dawni przyjaciele i klakierzy zbywali go na salonach:

— Posłuchamy cię innym razem.

Zorientował się szybko, że w duchowym pejzażu polskiego Paryża zaszły wielkie zmiany. Wszędzie mówiono tylko o Słowackim, kolejne poematy krzemienieckiego poety wychodziły spod drukarskiej prasy, rozchwytywane na paryskim bruku jak świeże bułeczki. Mickiewicz zaszył się w swoim mieszkaniu i przez kilka tygodni bojkotował nowy porządek.

Jednak szybko zauważył, że jego bojkot przechodzi niezauważony. Dlatego zebrał się w sobie, ubrał najlepszy surdut i pewnego niedzielnego poranka wyruszył do kościoła, gdzie bywała na mszach cała polska emigracja. Tego dnia homilia Słowackiego była wyjątkowo porywająca i Litwin musiał przyznać, że wzmocniony uznaniem Polaków Juliusz urósł przez ten czas i duchowo zmężniał. Kiedy na schodach kościoła Słowacki przyjmował zasłużone wyrazy uznania, Mickiewicz podszedł do niego

i padając na kolana, uznał jego wyższość. Polacy rozstąpili się wokół tej niezwykłej sceny, a Słowacki pochwycił Litwina z kolan, podniósł i uściskał jak równego sobie. Poeci zaczęli płakać, lecz tych łez nikt nie miał im za złe, bo tytani ducha mają prawo do płaczu. Po tym pojednaniu Mickiewicz usunął się w cień, nie aspirując już do utraconej godności.

W kuchni babcia siedziała w fotelu, zostawszy niekwestionowanym naczelnikiem wymyślonego przez siebie powstania. Po kilku dniach żmudnych i powtarzanych ciągle ofensyw nastąpiło przesilenie i można było odtrąbić pierwszy sukces. Z zapadnięciem nocy ojciec zszedł na podłogę i nie podjął próby zsuwania mebli. Wytyczył sobie dookoła stołu nową trasę, tę samą, którą przed laty pokonywał dziadek.

W salonie mój ojciec, krążąc nocami po wydeptanym kręgu, powtarzał dobitnie:

— Jestem królem, jestem ostatnim królem Polski.

Z kartonów pozostałych po starych projektach wyciął sobie nawet koronę, którą nakładał po przebudzeniu na skronie, nie zauważając naszych wymownych spojrzeń.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, a babcia codziennie drżała, że tego dnia zabije swego męża. Kiedy jednak stawała z tacą przy łóżku umierającego, dziadek omiatał wzrokiem dymiące talerze i obwieszczał:

— Jeszcze nie dziś.

Każdego dnia zjadał obiad i zapadał w popołudniową drzemkę, cudem ocalony ze szponów przeznaczenia. Zauważyliśmy wszyscy, że od tego czekania na kulinarne zwiastuny śmierci zaostrzył mu się apetyt.

Spiżarka i służbówka tętniły utajonym życiem, lecz poza mną nikt z domowników zdawał się tego nie zauważać.

W kuchni cieszono się z tego skromnego zwycięstwa. Meble ostatecznie wróciły na dawne miejsce, topografia salonu przypominała dawne granice. Jednak surowe cegły, czasem pochlapane farbą, przypominały, że salon nie jest dawnym salonem. Babcia przy stole snuła

plany powrotu do pełnej niepodległości. Jenerałowie, schorowani i pozbawieni nóg, nie mieli jednak siły na dalszą walkę.

W salonie mój ojciec, krążąc nocami po wydeptanym kręgu, powtarzał dobitnie:

— Jestem królem, jestem ostatnim królem Polski.

Był jednak królem tylko nocą, gdyż z nastaniem dnia jego władza kurczyła się w słabym świetle listopadowego słońca. Zagrzebywał się wtedy w swym podniebnym królestwie, miotając się na drewnianej pryczy, a deski uginały się pod ciężarem jego trosk.

W gabinecie matka słuchała opowieści Słowackiego. Poeta, widząc, jak wraz z powrotem Mickiewicza idea czynu odchodzi w przeszłość, zaczął głosić swoją wizję ojczyzny duchowej. Twierdził, że Polacy są gotowi wejść na wyższy szczebel rozwoju duchowego i społecznego i zerwać ze zwierzęcym przywiązaniem do materii. Ziemia, polityka, terytorium, grudy ziemi, podolskie pola i mazowieckie piaski, to wszystko należy pozostawić ludziom, którzy nie są jeszcze gotowi wędrować po bezcielesnych przestrzeniach ducha. Niech zajmują je Moskale i Prusacy, a Polacy mogą ruszyć ku nowej ziemi obiecanej; ojczyźnie, która nie ma ziemi i granic, bo jest bezkresna i doskonała; ojczyźnie, w której spotykają się czyste duchy, tam się jednoczą i żyją sprawami Bożymi; ojczyźnie, która nie karmi się walką i wojną, tylko rządzi się pokojem i sprawiedliwością. Tak nauczał Słowacki, a wielcy emigranci chłonęli jego słowa wszystkimi porami skóry.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, coraz bardziej omijany przez domowników. Oswoiliśmy się z jego odchodzeniem, gdyż stało się nieco uciążliwym, ale jednak codziennym wydarzeniem. Początkowe niezdrowe zainteresowanie nadchodzącą śmiercią zastąpione zostało przez rutynę. Dziadek stracił chęć do snucia swych historii, twierdząc, że opowiedział nam już całe swoje życie i dużo, dużo więcej. My zaś unikaliśmy sypialni, tłumacząc się poszukiwaniami zegarka, na którego znalezienie straciliśmy jakiekolwiek nadzieje.

W takim to czasie, gęstym od przesileń i ogólnego rozprzężenia, dziadek zaczął nagle dzwonić bez opamiętania, zwołując wszystkich do swego łoża. Dramatyczne wołanie kościelnego dzwonka przeraziło nas

wszystkich, toteż zgromadziliśmy się wokół niego, z napięciem czekając, aż wyjawi nam sekretny jadłospis. Dziadek leżał, wsparty na czterech poduszkach, a biała broda spływała mu na piersi. Kiedy policzył nas wszystkich, przemówił:

— Możecie zakończyć poszukiwania zegarka; tu go nie znajdziecie.

W kuchni babcia postanowiła, że nie należy zatrzymywać zwycięskiego marszu i z salonu muszą zniknąć rusztowania. Pod osłoną dnia jenerałowie wynosili pobrudzone farbami deski i drabiny, pozostawiając tylko jedną konstrukcję, na której sypiał ojciec.

W salonie mój ojciec budził się do widmowego życia nocami, powtarzając dobitnie:

— Jestem królem, jestem ostatnim królem Polski.

Ku zaskoczeniu wszystkich dostrzegł zachodzące w salonie zmiany, które dokonywały się bez jego udziału. Czuł, że jego władza staje się coraz bardziej iluzoryczna. Zrezygnował z sypiania ponad naszymi głowami, wycofując się z ostatniego bastionu swego upadającego imperium. W nocy ukrywał się tak dobrze, że nie potrafiliśmy go odnaleźć.

W gabinecie matka słuchała opowieści Słowackiego, który zbliżał się do smutnego finału. Płomienne nauki wieszcza padły na tak korzystną glebę, że niebawem emigranci z Polski zaczęli emigrować z tego świata, zapadając się w sobie i w swojej duszy szukając przestrzeni do nowego życia. Ich duchy nie potrzebowały ciała, więc ciała zostawiali w domach, zagrzebane w pościeli albo owinięte w koce, dygoczące i szukające butelek koniaku. Słowacki odniósł zwycięstwo, a przez to utracił swych uczniów. Wygłaszał kazania do pustego kościoła, wierząc, że jego siła przebije się przez ściany i ulicami Paryża dotrze do emigrantów, którzy wyruszyli na wieloletnią tułaczkę w poszukiwaniu przepowiedzianej przez wieszcza ojczyzny duchowej.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, a my słuchaliśmy jego opowieści o srebrnym zegarku z dedykacją. Zdarzyło się jeszcze przed wojną, podczas służby w Trembowli, że siedział ze swym kompanem z pułku, Kostkiem Willemannem, w karczmie poza koszarami. Do tej samej

karczmy wszedł wieczorem młody mnich. Mnich ów nosił zakonne imię Jozafat i był w trakcie przechodzenia ze stanu duchownego w stan świecki. Przez kilka lat zagłębiał się w Boskich sprawach w Ławrze Poczajowskiej, lecz w końcu przemówił do niego głos z głębi duszy, który nakazał mu opuszczenie świętych murów. Mnich Jozafat zostawił więc ikony i cerkiewne śpiewy, zostawił współbraci i surową celę monasteru i ruszył na piechotę do rodzinnej wioski Czerniatyn w powiecie lityńskim, gdzie zamierzał paść ojcom do stóp, prosić o przebaczenie, a potem zacząć gospodarzyć na niewielkim poletku. Opowieść o nagłej utracie wiary tak wstrząsnęła moim dziadkiem, który wówczas nie był jeszcze moim dziadkiem ani nawet mężem mej babci, że odpiął dewizkę swego srebrnego zegarka z dedykacją i podarował mnichowi, aby ten mógł bezpiecznie wrócić do domu. Czy brat Jozafat zegarek ów spieniężył, czy też zachował jako pamiątkę dobrej woli przypadkowo spotkanego człowieka, czy też dobra wola młodego polskiego ułana wzruszyła go na tyle, że odzyskał wiarę i wrócił pod matczyne skrzydła Ławry Poczajowskiej, tego mój dziadek się nigdy nie dowiedział. Wiedział jednak, leżąc wiele lat później na czterech poduszkach otoczony wianuszkiem domowników, że dalsze poszukiwania zegarka są bezcelowe.

W kuchni babcia ratowała, co się dało. Ale dobrze wiedziała, że pewnych spraw uratować się nie da.

— A nie opowiedział wam przypadkiem, jak to zgubił ten zegarek po pijaku, kiedy wracał do koszar z tym swoim przyjacielem, Kostkiem Willemannem?

W gabinecie matka słuchała rwanych strzępów opowieści Słowackiego, która nieuchronnie zbliżała się do swego smutnego finału. Opuszczony przez uczniów drugi pierwszy wieszcz Emigracji melancholijnie spacerował ulicami Paryża. Któregoś popołudnia w Ogrodzie Luksemburskim natknął się na podziwiającego kwitnące hortensje księcia Czartoryskiego. Arystokrata pozdrowił go uprzejmie i skinieniem głowy przywołał do siebie.

— Widzi pan, Juliuszu, czego pan dokonał? — powiedział. — Emigracja nie potrzebuje już wieszczów i za to wszyscy jesteśmy panu dozgonnie wdzięczni.

W sypialni umieranie mego dziadka weszło w nową fazę. Przestał czekać na srebrny zegarek z dedykacją i spokojnie czekał na śmierć.

W kuchni babcia postanowiła, że należy skorzystać z tej słabości i wynieść ostatnie drabiny. Salon, poza surowymi, ceglanymi ścianami, zaczął przypominać siebie samego sprzed lat. Po tej ostatniej ofensywie babcia opuściła swój fotel naczelnika i ruszyła na czele jenerałów do zdobytej prowincji.

— Trzeba tu będzie się zadomowić na nowo — powiedziała i usiadła na zakurzonej kanapie pod palmą, skąd przez całe lata zwykła oglądać telewizję.

Ojciec spał za pianinem, zawinięty w śpiwór i otulony purpurową kotarą.

W salonie ojciec przekonał samego siebie, że jest ostatnim królem Polski. Otulony purpurową kotarą, z papierową koroną na głowie, przyglądał się ruinom swego królestwa, wykrzywiając twarz boleśnie.

W gabinecie wybrzmiała opowieść Juliusza Słowackiego. Opuścił paryskie ogrody i schował się do szuflady, gdzie w pomiętym surducie przez lata komponował kolejne rapsody *Króla-Ducha*. Mistyczny poemat rozrastał się i pęczniał, dzieło wymykało się rączemu umysłowi poety, który wiedział, że dotknął nieskończoności i że nigdy nie zdoła ująć tego objawienia w jakąkolwiek formę. W szufladzie dziadkowego biurka spędził wiele lat, zadowolony z ciasnej samotności i przemierzał odwieczne ścieżki swego ducha, zanurzając się w otchłanie niedostępne zwykłym śmiertelnikom.

Tak zakończyła się opowieść Juliusza Słowackiego, który westchnął i poprosił o słoik kiszonych ogórków; wiedział bowiem, że konfitury dawno się skończyły.

W kuchni babcia siedziała w swym wyścielanym kocami fotelu i przez otwarte drzwi patrzyła na salonowe pobojowisko. Zajęta ratowaniem domowego porządku, musiała poświęcić swe dotychczasowe życie. Od czasu, kiedy historia wkroczyła do naszego domu, dziadek zaczął umierać,

a ojciec postanowił stworzyć świat na nowo, nie miała czasu na chodzenie po cmentarzach. Kiedy zapytałem ją o to, powiedziała smutno:

— Mam pod ręką tyle śmierci, że nie muszę jej szukać poza domem.

Jestem niedoszłym bohaterem narodowym, lecz w chaosie dnia codziennego umknęło to uwagi domowników. Zdawali się nie dostrzegać ani mego bohaterstwa, ani jego tragicznego niedokonania. W sypialni dziadek zajęty był własnym umieraniem, które przeniosło go w rejony poszukiwań własnej chwały. W salonie ojciec najpierw tytanicznym wysiłkiem stworzył nasz świat na nowo, aby później samemu zostać przez ten świat przemienionym w sposób zapewne daleki od własnych oczekiwań; w gabinecie matka uwolniła więzione przez lata demony, które jednak nie chciały jej służyć i porzuciły ją, wybierając dobrowolne wygnanie i nieustanną walkę. Te trzy królestwa naszego domu pogrążały mieszkanie przy ulicy S. w chaosie, i tylko w babci pozostawała nadzieja. W kuchni ratowała kruchy porządek świata, porzucając własne pasje. Zarzuciła swe tańce ze śmiercią i stanęła po stronie życia.

Fuga IIIb

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i jestem niedoszłym bohaterem narodowym, lecz w chaosie dnia codziennego umknęło to uwagi domowników. Zdawali się nie dostrzegać ani mego bohaterstwa, ani jego tragicznego niedokonania. Dom nasz tamtej ponurej jesieni stał się areną dziejowych wydarzeń, które zmierzały do przemiany całego świata. W pokojach rozpętały się procesy, których nikt nie potrafił zatrzymać. Dom w tym czasie pełen był dziwnych osobistości, które niepostrzeżenie zagnieździły się w jego ukrytych zakątkach.

W sypialni dziadek zajęty był własnym umieraniem, które przeniosło go w rejony poszukiwań własnej chwały; w salonie ojciec najpierw tytanicznym wysiłkiem stworzył nasz świat na nowo, aby później samemu zostać przez ten świat przemienionym w sposób daleki od oczekiwań; w gabinecie matka uwolniła więzione przez lata demony, które jednak nie chciały jej służyć i porzuciły ją, wybierając dobrowolne wygnanie i nieustanną walkę. Te trzy królestwa naszego domu pogrążały mieszkanie przy ulicy S. w chaosie, i tylko w babci pozostawała nadzieja. W kuchni ratowała kruchy porządek świata, porzucając własne pasje. Zarzuciła swe tańce ze śmiercią i stanęła po stronie życia. Spiżarka i służbówka wypełnione były historiami zupełnie prywatnymi.

Zamknąłem album z fotografiami pana Zygmunta i poszedłem do kuchni, aby się przywitać z babcią.

W kuchni przy stole siedzieli jenerałowie powstania. Rozluźnieni, w rozpiętych mundurach, moczący ocalałe nogi w miednicach z mydlinami, siedzieli przy kuchennym stole i bawili się zapałkami. Przy piecu stała babcia i cedzakiem wyławiała ruskie pierogi z wielkiego garnka. Pomieszczenie pachniało zezłoconą na maśle cebulką, a wokół babci unosiły się kłęby pary, która pokryła kuchenne okna. Poprawiłem swój mundur i podszedłem do stołu, kulejąc.

— Bartuś! — zakrzyknęła babcia i padliśmy sobie w ramiona.

Kolejno przywitałem się z jenerałami, z każdym zamieniając słowo. Wokół stołu siedzieli Sowiński, Giełgud, Przebendowski i Błędowski. Każdemu przedstawiłem się uprzejmie, polecając swoje usługi.

— Dobrze, że jesteś — odezwała się babcia — bo nikt tu z nas nie potrafi skręcić maszynki do mięsa.

Na stole leżały rozrzucone aluminiowe części. Jenerałowie kiwali smutno głowami, rozkładając ręce w geście bezradności.

— Ty jeden potrafisz nas uratować — powiedziała babcia. — Ty jeden. A na jutro wymyśliłam krokiety, to maszynka potrzebna…

Sprawnie skręciłem wszystkie elementy, budząc podziw starych oficerów. Ciekawie obserwowali, jak zręcznymi palcami łączę części ze sobą w tajemniczy mechanizm, w którym wielkie kawałki mięsa i kapusty przemienią się wkrótce w jednolitą masę. Kiedy skończyłem, jenerał Sowiński wziął ode mnie maszynkę i z zainteresowaniem oglądnął ją, kręcąc na próbę korbką. Wreszcie z namaszczeniem przekazał przedmiot jenerałowi Przebendowskiemu.

— Walczyłem pod Kościuszką, walczyłem pod Napoleonem, ale czegoś takiego tom nie widział. Brawo, kawalerze! Takiej młodzieży nam trzeba!

Reszta sztabu dołączyła do oklasków i siedziałem dumny przy kuchennym stole, a babcia nakładała nam pierogi.

W spiżarce znalazłem schronienie i postanowiłem ją wypełnić historią zupełnie prywatną. Siadłem pod ciężkimi od przetworów półkami, wyjąłem blok i pióro, po czym zacząłem pisać.

Droga Zofijo!

Tyle czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania, że sam nie wiem, od czego zacząć to moje pisanie. Myśli tłoczą się jak szwadrony przed bitwą, a ja wybieram najważniejsze, co mi się w życiu przydarzyło. Pierwsze, co muszę Ci napisać, to że wróciłem do domu. W kuchni u babci zastałem jenerałów powstania, w Warszawie dawno uznanych za zmarłych. Schronili się jednak przed ludzkim wzrokiem w odległym Krakowie, w kuchni mojej babci, aby tu snuć plany ratowania Polski. Stanąłem zatem w progu i wyprostowałem się na baczność. Nie było to łatwe, gdyż noga, którą połamałem w zamachu, ciągle boli i prawie każda pozycja mi niewygodna. Babcia chciała mnie pierwsza przywitać, ale uprzedził ją

jenerał Sowiński. Na zapytanie, jak mnie zwą, odparłem, że chorąży Józafat Dumanowski, a babcia milczała, gdyż przeżyła niejedną wojnę i wiedziała, co to prawdziwa konspiracja. O moim nowym imieniu jeszcze Ci napiszę, Droga Moja.

Sowiński wysłuchał mej opowieści o spisku i zamachu, po czym otarł dyskretnie łzę, a musisz wiedzieć, Zofijo, że to człek mężny i bohaterski, i byle co wzruszyć go nie jest w stanie. Wstał i kołysząc się na swej drewnianej kuli, podszedł do mnie. Uścisnął po ojcowsku i powiedział: „Kawalerze, od dziś jesteś podporucznikiem, a nie zwykłym chorążym. Co mówię, porucznikiem nawet!”. Skłoniłem się nisko. I wtedy, wystaw sobie, Najdroższa Moja, pozostali jenerałowie zaczęli mnie dalej awansować, jakby licytowali w karty. I tak zostałem rotmistrzem, po czym pozwolono mi zasiąść do stołu. A babcia pocałowała mnie w czoło i tylko powiedziała cicho: „Mój Józafatek kochany…”.

Tyle na razie i nic więcej, bo czasy mamy gorące i każda chwila na wagę złota.

Zasyłam pozdrowienia serdeczne

Twój bohaterski – B.

Przeczytałem raz jeszcze mój list i wzruszyłem się jego treścią. Sięgnąłem po pusty słoik, zwinąłem kartkę i wsunąłem do naczynia. Zakręcony słój odstawiłem na najwyższą półkę, a mój list rozwinął się w nim, dotykając szklanych krawędzi.

W sypialni mój dziadek umierał na starość.

W gabinecie matka uwalniała demony przeszłości.

W salonie ojciec próbował stworzyć świat na nowo.

W służbówce mieszka panna Anna, niedoszła małżonka bohatera narodowego, zaręczona z podchorążym Ostrowskim na kilka dni przed jego aresztowaniem. Mieszka skromnie i żyje skromnie w tym ciemnym pokoiku, przypominającym klasztorną celę.

W spiżarce się zaszyłem, bo zaszyć się musiałem, uciekając przed gorączką domową, ciągłymi pokrzykiwaniami i nerwami napiętymi jak postronki. Schodziłem ze ścieżek ludzkich spojrzeń i kryłem się przed ludzkim wzrokiem. Wyciągałem blok mego dziadka i ślęcząc przy świecy, pisałem kolejny list do ukochanej.

Najdroższa Zofijo!

Nie błagaj mnie, bo Twe słowa ranią mą duszę jak ciernie. Wiesz przecież, że czas niepewny i spotkać się na razie nie możemy. I nasze pragnienia, a wiem teraz, że Twoje jest równie silne jak moje, muszą być trzymane na wodzy. Też pragnę Cię rozbierać i dotykać, też całować i spijać Twe soki, ale wiesz przecież, że pomiędzy nami stanęła Historia. I nasza miłość musi sobie z tym poradzić. Nie mogę pisać dłużej, bo serce mi krwawi. Bywaj, o Ukochana!

Twój niedoszły – B.

I kolejny list, moja terapia i oczyszczenie z wojennego pyłu, który zawisł w pomieszczeniach naszego domu, znalazł swą przystań w szklanym słoju, pod samym sufitem spiżarki. Poprzednie naczynia oplotły już chyże pająki, swą cichą pieśnią tuląc listy do snu.

W sypialni mój dziadek umierał na starość, choć w kuchni, po brzegi wypełnionej starością, nikt w to do końca nie wierzył.

W kuchni wszędzie ślady kolejnych powstań i zrywów. Obok mioteł stały kosy na sztorc, pomiędzy fartuchami na drzwiach wisiała sukmana. Jenerałowie celebrowali swe wspomnienia, rozgrywając na stole dawno przegrane kampanie. Pieczołowicie układali z zapałek fortyfikacje i reduty, pomiędzy nimi ustawiali, licząc dokładnie po trzy razy, oddziały z ziaren kaszy gryczanej. Kłócili się o przebieg bitew, jakby chcieli zaczarować minioną rzeczywistość.

Babcia tolerowała ich zabawy, dopóki nie kolidowały z jej własnymi planami.

— Kuchnia jest do gotowania, a nie do wojny — zrzędziła nad dzieżą, w której wyrabiała ciasto na chleb.

Jenerałowie bali się jej trochę i osłaniali swe wątłe pola bitew przed jej gniewem. Ale babcia chodziła pomiędzy nimi i zaglądała na zastawioną zapałkami i kaszą ceratę.

— Wy ciągle z tą Olszynką! Olszynka Grochowska i Olszynka. A mi tu groch trzeba do kapusty przetrzeć. Jak czegoś potrzebuję, to nie ma komu!

I jenerał Giełgud, mrucząc pod nosem, przecierał groch przez sito, a Sowiński siekał cebulę i płakał jak bóbr.

W gabinecie matka uwalniała demony przeszłości, najczęściej zamykając się przy tym na klucz i sięgając do nalewek dziadka.

W spiżarce się zaszyłem i listy cicho pisałem, słysząc tylko własne myśli i przyjazne skrobanie stalówki po szorstkich kartach dziadkowego bloku.

Zofijo Droga!

Naszą rozłąkę musimy wypełnić słowami, bo teraz tylko one między nami. Wiem, że słowa dłoni i pocałunków nie zastąpią, ale pozwól mi opowiedzieć o mym losie, który Opatrzność prowadziła bezpieczną drogą od chwili naszego rozstania.

Pewnie wiesz już teraz wszystko to, czegom Ci wtedy nie mówił, a o czym dziś piszą już i gazety, i roznoszą miejskie plotki. Tak, byłem w spisku podchorążych i szedłem na Belweder owej listopadowej nocy. Miałem na ustach świeży smak Twych pocałunków, a na opuszkach palców Twój zapach. Szliśmy zabić tyrana, nasze kroki dudniły głucho. Ludzie zatrzaskiwali okiennice i byliśmy sami, zdani na naszą odwagę i honor. Tak, wierzyłem w sens tego, co robię. Nie, nie bałem się w ogóle. Polska była po naszej stronie, a wraz z nią racja i sprawiedliwość.

Straży prawie nie było i bez przeszkód wkroczyliśmy do Belwederu. Służba uciekała w popłochu, a myśmy wbiegali po schodach, widząc w wielkich lustrach odbicie naszych zimnych i zawziętych twarzy. Wreszcie kolbami otwarliśmy drzwi sypialni i naprzeciw nas stanął Wielki Książę. Nieprawdą jest to, co mówią, że nam zabrakło odwagi i okazaliśmy się podszyci tchórzem. Byliśmy gotowi, by zabić. Ale tyran spojrzał na nas i odezwał się w takie słowa, że zabić nie potrafiliśmy. Nie straszył nas, nie błagał o litość. Odezwał się tylko, a myśmy opuścili lufy. Nie wyjawię Ci

teraz jego słów, bo czasy niepewne i powierzanie ich pismu ryzykowne. Ale będę je nosił pod sercem do końca życia. One zmieniły we mnie wszystko; oczywiście poza miłością do Ciebie. I wierzę, że nadejdzie czas, kiedy będę mógł Ci te słowa powiedzieć, a wtedy zrozumiesz to, czego nie mogą zrozumieć ci wszyscy, których zabrakło wtedy w Belwederze. Na razie muszę milczeć.

Zawróciliśmy i ruszyliśmy do wyjścia. A ja potknąłem się o zmarszczony dywan i runąłem ze schodów, łamiąc nogę. Towarzysze pochwycili mnie w ramiona i tak odeszliśmy z tamtego przeklętego miejsca, znajdując schronienie u dobrych ludzi w mieście.

Zasyłam patriotyczny pocałunek

Twój niedoszły bohater – B.

I kolejny list powędrował do słoja pod sufit, w objęcia pajęczych sieci i ludzkiej niepamięci. A ja zwinąłem się na mym posłaniu, taki samotny w spiżarce pośród kiszonych ogórków i śniąc o ciałach i o spiskach usnąłem, kołysany cichą pieśnią nocy.

W służbówce mieszka panna Anna, niedoszła wdowa, narzeczony na Syberii, do taczek przykuty, w kopalniach, nie pisze, nie pisze. Chodzi panna Anna sztywno, w sukniach z czarnej krepy, zasznurowanych po szyję, włosy upięte skromnie, na koczku czarna siateczka, cała panna Anna czarna. Nie rozstaje się z różańcem i modlitewnikiem, a także z medalionem, gdzie skrywa portret swego heroicznego ukochanego. Dla niego trzyma swe dziewictwo, dla niego unika balów i wesołych rozmów, krążąc po domu niczym czarny brodzący ptak.

W spiżarce znalazłem schronienie, z dala od domowych wojen i napięć, które przecinały się w salonie, kuchni, gabinecie i sypialni. Tu uwiłem sobie gniazdko ze starego koca i poduszki niedokładnie obleczonej, ale przecież domowej, znanej i pachnącej dzieciństwem. Wcisnąłem me posłanie pomiędzy półki z konfiturami a wielki ręczny magiel, który od lat nieużywany, stał monumentalnie na środku spiżarki, prowokując pytania i przypominając dawne czasy, których nikt już dobrze nie pamiętał.

Niemal codziennie siadałem sobie w kącie mego azylu i kiedy dom kładł się do snu, a ojciec budził do swego tajemnego życia, pisałem listy,

pokrywając mym równym pismem kolejne karty bloku wykradzionego z biurka mego umierającego dziadka.

Droga Zofijo!

Tyle czasu bez Ciebie, że tygodnie i miesiące zlewają się w nierozróżnialną pustkę naszej rozłąki.

Kto wie, kiedy los i dobry Bóg pozwolą nam się znowu spotkać? Wiem, że nieprędko, i żal mnie wielki ogarnia. Ale jak ja wytrzymuję i Ty, Droga Moja, wytrzymaj. Tyle nocy bez Ciebie i dni szarych, że zliczyć nie potrafię. Wracam wspomnieniem do naszego ostatniego spotkania, kiedy wiedzieliśmy już, że Bóg szykuje nam długą rozłąkę. Tyle Ci chciałem powiedzieć, lecz słów wtedy brakło. Może milczenie jest najlepszą mową, może niepotrzebnie tylko zagadalibyśmy tamte drogocenne chwile. Słowa by uleciały i niewiele by pozostało, poza żalem, że spotkanie tak krótkie.

A tak noszę w sercu zapach Twego ciała i smak Twoich ust. Wybacz, że piszę tak otwarcie, lecz człowiekowi, który otarł się o śmierć, nie wolno kryć się za gładkie metafory. Wspomnienie Twych ud i piersi, znowu wybacz śmiałość, dodaje mi sił. I każdy z tych obrazów, które stają mi przed oczami, kiedy tylko zamknę powieki, cenniejszy mi jest niż te nasze szeptania pośród nocy, z których nic nie wynika. Noszę w pamięci Twój obraz, Twój zapach i smak. I karmię się nadzieją, że kiedyś dane mi jeszcze będzie wszystkiego tego kosztować, bez umiaru i bez opamiętania.

Twój na zawsze – B.

Przeczytałem jeszcze raz mój list, a wzruszenie przeplatało się z podnieceniem, gdyż dotknięte ledwo słowami obrazy stawały jak żywe i gorąco mi się zrobiło w tym sierocym kąciku pod maglem. Wziąłem kolejny pusty słoik i kolejny list stanął na najwyższej półce, rozwijając się cicho i opierając o szklane brzegi naczynia.

W kuchni panował marazm, jenerałowie znudzili się swymi potyczkami, palili tylko fajki i wspominali dawne dzieje. W ich opowieściach kampanie napoleońskie łączyły się i przeplatały. Zagnani przez babcię do obowiązków, siedzieli pochyleni nad misami i deskami, siekając i obierając, jakby byli zwykłymi żołnierzami w polowej kuchni. Nie protestowali jednak i w milczeniu znosili babciną dyktaturę.

— Tylko im Polska w głowie — mruczała babcia, mieszając zasmażkę. — Jedliby za dwóch, a robić nie ma komu.

Pewnego dnia babcia jednak wymyśliła sposób, jak ożywić więdnącą energię starych jenerałów.

— Ruszamy na Moskwę! — zakomenderowała, przynosząc z Kleparza trzy kurczaki. Przygotowanie kury po kijowsku i pielmieni tak starych wiarusów zaangażowało, że aż miło było patrzeć. Wspominali kampanię rosyjską, skubiąc smętnie oklapły drób i wzdychali do Napoleona, lepiąc pierogi swymi nienawykłymi do prac kuchennych palcami.

W sypialni dziadek umierał na starość i komunikował to całemu domowi, oczekując od nas ciągłej celebracji tego wydarzenia.

W salonie ojciec nie zważał na umieranie dziadka, tylko pogrążał się w swym szaleństwie, usiłując stworzyć świat na nowo.

W gabinecie matka była rozdarta pomiędzy uwalnianiem demonów a opieką nad umierającym dziadkiem. Źle znosiła to rozdarcie.

W spiżarce się zaszyłem i listy cicho pisałem, zerkając co chwila na słoje skrywające przedwieczne przetwory, zanurzone w occie kapelusze grzybów, strąki papryk, pomiędzy którymi pływały niewidzialne żyjątka.

Droga Zofijo!

Ci, co nigdy nie kochali, pojęcia mieć nawet nie mogą, co znaczy każdy dzień bez Ciebie. A moje cierpienie było tym większe, że nie mogłem się z Tobą kontaktować, nie chcąc ryzykować Twoim życiem. W tych czasach jakiekolwiek relacje z belwederskimi spiskowcami, którzy uszli aresztowaniom i nie pchają taczek na Syberii, jest wysoce ryzykowne. I dlatego milczałem, a me milczenie do Ciebie bolało mnie nawet bardziej, niż Ciebie mogło zranić. Uwierz mi, że cierpiałem katusze, nie mogąc ani Cię ujrzeć, ani też nawet listu napisać. Ale teraz będę pisał, skryty w spiżarce mojej babci, z dala od cara i jego żołdaków. Będę pisał i piszę!

Twój na zawsze – B.

Kolejny list do słoja, słoje jak grobowce, szklane sarkofagi oplecione lepką pajęczyną.

W kuchni babcia wytaczała kolejne kampanie skierowane przeciw zaborcom. Golonka po bawarsku z piwem i kiszoną kapustą była ciosem w dom Hohenzollernów, a znakomity Wienerschnitzel uderzał w dom Habsburgów. Sowiński z zapamiętaniem rozbijał mięso na przeźroczyste niemal płaty, a Błędowski rzucał garście kminku w gar z kapustą.

Rozdawszy robotę, babcia siadała w swym fotelu wyścielanym kocami, o który pod jej nieobecność toczyły się skryte walki. W ten przemyślny sposób podporządkowała sobie jenerałów bezwzględnie, wysyłając ich po zakupy, każąc stać w kolejkach i zmuszając do najpospolitszych kuchennych czynności. Jej ekspansja szła coraz dalej, jenerałowie zdobywali nie tylko Wiedeń i Berlin, ale też Paryż i Rzym. Europa kładła nam się do stóp, a kuchnię wypełniały aromaty Starego Kontynentu. Wojowaliśmy wszyscy pod rozkazami babci, dzielnie idąc w bój i ciesząc się kolejnymi zwycięstwami.

W spiżarce się zaszyłem i listy cicho pisałem, zerkając na przedwieczne przetwory, zastygłe w czasie zielone pomidory i cienkie jak anielskie włosy strzępy kiszonej kapusty.

Droga Zofijo!

Jestem niedoszłym bohaterem narodowym, ale to już wiesz. Po zamachu uciekłem jak najdalej i skryłem się w lasach, znajdując pomoc u chłopskiej rodziny z Rokicin. Noga bolała, więc ci dobrzy ludzie posłali po znachora, który ludowymi sposobami, sięgającymi jeszcze czasów pogańskich, poskładał złamane kości, mocno związał w łupki i smarował maścią o tajemniczej recepturze. Tak żyłem prostym życiem polskiej wsi, zasłuchany w rzewne i dzikie zarazem melodie, gdyż moi gospodarze byli od pokoleń wiejskimi muzykantami. Ich skromna izdebka, w której odstąpili mi najlepsze łoże i puchowe pierzyny, całymi wieczorami wypełniała się graniem. Będę im wdzięczny do śmierci, a ich dobroć, szczerą i niepodszytą żadnym rachowaniem, będę zawsze nosił w sercu.

Kiedy noga wydobrzała wystarczająco, bym mógł opuścić ich gościnne obejście, wsparty na wystruganej przez mego gospodarza lasce ruszyłem do

mieszkania moich dziadków. Słyszę jakieś kroki za drzwiami i muszę już kończyć. Całuję Cię, najdroższa!

B.

Kolejny list, kolejny słój, kolejna noc w spiżarce.

W salonie walka ze starym światem.

W gabinecie melancholia uwolnionych demonów.

W sypialni łagodne odchodzenie dziadka.

W służbówce panna Anna, mieszka i celebruje swe niedoszłe wdowieństwo. Milczy, modli się, unika śmiechu, choć czasem przy starych jenerałach trudno się powstrzymać. Wtedy wybiega do swego pokoiku, zamyka drzwi i tłumi ataki wesołości poduszką.

W spiżarce się zaszyłem i listy cicho pisałem, listy często niedokończone, bo nagle taki żal we mnie wzbierał, że dłoń serca słuchać nie chciała i pióro zastygało nad kartką. Kończyłem wtedy pośpiesznie zamaszystym podpisem, a następnej nocy zaczynałem na nowo.

Zofijo, Serce Moje!

Wiem, w jakim rozedrganiu musiał Cię pozostawić mój list poprzedni, tak nagle urwany. Przepraszam Ciebie za to. Wracam co rychlej do opowieści, by ulżyć Twej niepewności.

Otóż los odwrócił się ode mnie i wielokrotnie potem żałowałem, że tak niefrasobliwie opuściłem ciasną izdebkę rokicińskich muzykantów. W Kadzidle natrafiłem na oddział carskiej żandarmerii, który widząc mój mundur, zaaresztował mnie. Sąd wojenny skazał mnie na 5 lat turmy. Nie chcę mówić o tym, co tam przeżyłem, i podczas śledztwa, i podczas długich dni w zimnej celi. Zostawię te wspomnienia dla siebie, by powracały podczas bezsennych nocy, lecz nie będę zatruwał nimi innych. Sam z nimi żyć muszę i sam mierzyć się z nimi w ciemnościach. Powiem tylko, że ocaliłem głowę, podając się za kogo innego. Może nie było to godne, gdyż oficer powinien brać na siebie swoje winy. Nawet jeśli przyjdzie mu stanąć

przed sądem sługusów cara. Ale zbyt wiele miałem do stracenia, gdyż wiedziałem, że za sobą pociągnąć mogę na Sybir albo i szubienicę moich przyjaciół wiernych, z którymi spiskowałem po nocach i z którymi szedłem na tyrana. Wiedziałem już o smutnym losie mego druha, chorążego Ostrowskiego, z którym ramię w ramię na Belweder szliśmy, a który teraz do taczek przykuty i w kopalnie Sybiru zesłany.

Nie mogłem jednak podać się za nikogo z żyjących, gdyż jemu tym samym mógłbym zaszkodzić, ani za nikogo z poległych, gdyż to rychło zostałoby sprawdzone, a mój podstęp przeniknięty. Dlatego podałem się za kogoś, kogo nigdy nie było, a przynajmniej o jego istnieniu mnie wcześniej nic nie było wiadome. Podałem oficerom śledczym swe nowe imię, a było ono Józafat Dumanowski.

Kiedy po pięciu latach wyszedłem z więzienia, powstanie wciąż trwało, choć się przyczaiło. Oddziały pokryły się po lasach i stamtąd, znikając i pojawiając się niczym duchy, nękały cara.

Wróciłem do mieszkania dziadków i już na schodach usłyszałem dochodzące z wnętrza głosy. Dom żył, pełen gości, co mnie radowało, gdyż obecność innych ludzi była moim dziadkom w ich starości największą radością. Wsparty na lasce, odnalazłem na piersi klucz, który nosiłem na łańcuszku, i cicho otwarłem drzwi. Długi korytarz był pusty. Najciszej jak umiałem, przedostałem się do kuchni, gdzie znalazłem zgromadzenie osobliwe.

Otóż w kuchni mojej babci zastałem zgromadzonych jenerałów, którzy tu się ukryli przed Moskalem. A moja babcia, dobra kobieta i patriotka szczera, ugościła ich wszystkich. Siedzieli przy stole, rozprawiając o bitwach. Sowiński z Giełgudem, Przebendowski z Błędowskim. Wszyscy poranieni, ale żywi. Babcia stała przy piecu i cedzakiem wyławiała ruskie pierogi z wielkiego garnka. Pomieszczenie pachniało zezłoconą na maśle cebulką. Poprawiłem swój mundur i podszedłem do stołu.

Awansowano mnie, ale tę część opowieści już znasz. I nie mogę się doczekać, kiedy zostaniesz Panią Rotmistrzową.

B.

Kolejny list do słoja, do szklanej kapsuły czasu, która ocali go przed zepsuciem, jak ocala ogórki, kapustę oraz dżem mirabelkowy.

W służbówce mieszka panna Anna, a ja podsłuchuję ją wieczorami. Siadam cicho przy drzwiach i przykładam ucho do starych desek. Przez szpary przesączają się najlżejsze szmery. Słyszę wszystko, nawet to, co panna Anna chciałaby ukryć przed światem.

W salonie walka ze starym światem.

W gabinecie melancholia uwolnionych demonów.

W sypialni łagodne odchodzenie dziadka.

W kuchni poruszenie, bo Przebendowski z Giełgudem wrócili z Kleparza, niosąc wielką gęś. Gęś będzie po bronowicku, nadziewana kaszą i wątróbkami, a do tego zasmażane buraczki i ziemniaki gotowane w mundurkach. Siekamy więc z entuzjazmem, mieszamy i nadziewamy, zaszywamy i zdzieramy mundurki. Wspaniałe aromaty, nareszcie po tylu bitwach w domu, u siebie, przy polskim stole i polskich daniach!

Babcia w fotelu patrzy na nas znad okularów i co jakiś czas wydaje rozkazy. Pod takim wodzem słodko ginąć, ale jeszcze słodziej zwyciężać! Jenerałowie ożywieni, rumiani, postukują o podłogę drewniane protezy. Niestraszne nam rany i dawne blizny, kiedy taki przywódca prowadzi do boju!

Aromat pieczonej gęsi rozchodzi się po całym domu i dociera do nozdrzy wszystkich domowników. Może to początek opamiętania, może początek nowego życia?

W spiżarce się zaszyłem i listy cicho pisałem, zerkając na przedwieczne przetwory, zastygłe w czasie kiszone ogórki. Pomiędzy nimi zbłękitniałe ząbki czosnku i stulone baldachy kopru, pomiędzy nimi w mętnej wodzie ziarna gorczycy, chrzan i liść winorośli.

Droga Zofijo!

Nawet nie wiesz, Kochana, ile się u nas dzieje! Każdy dzień przynosi nową nadzieję i my tu wszyscy tylko nią żyjemy. Jenerałowie ciągle rozprawiają o Polsce i szkicują plany nowego powstania. Siedzą pochyleni nad mapami, a w ich mądrych głowach wykluwa się strategia, która powali

tyranów. Teraz tylko się modlić! Zofijo, brakuje tu Ciebie, tyle chciałbym Ci opowiedzieć, tyle pokazać! Czuję, że rośnie nowe życie, że pączkują idee.

Dziadek trochę choruje, ale to minie, minie na pewno. Jego też trzyma przy życiu nadzieja; każdy wygląda nowej Polski, wszędzie tylko prorocy jutrzenki. Po całym dniu z trudem znajduję siłę, by napisać te parę słów, tak mnie pochłania Polska. Ciebie też by pochłonęła, gdybyś była przy mnie. Razem byśmy się w niej zatracili. Nawet nie wiesz, jak mi tu Ciebie brak!

Twój niedoszły bohater – B.

Kolejny list do słoja, pomiędzy ogórki, baldachy kopru i liście winorośli.

W służbówce mieszka panna Anna, a ja ją podsłuchuję wieczorami. Słyszę, jak najpierw panna Anna się modli, szepcząc cicho litanie. Jej oddech jest wtedy spokojny, równy, głos na granicy ciszy. Nie rozróżniam słów, tylko nabożny szelest w rytmicznych frazach. Potem słyszę, jak odkłada różaniec na marmurowy blat stolika przy łóżku, a drewniane paciorki szeptają przez chwilę. Panna Anna ściąga suknię, odwiesza ją na oparcie krzesła, a potem wzdycha. Słyszę, jak nalewa z dzbana wodę do miednicy i przez kilka minut łagodne strumienie spływają po jej skórze. Część kropel rozchlapuje się i wsiąka w stare klepki parkietu. Potem panna Anna odsuwa miskę w kąt, nakłada koszulę, stawy lekko strzelają, i kładzie się pod puchową pierzynę.

Wtedy łowię uchem świat dźwięków, których do końca nie rozumiem, choć domyślam się stojących za nimi obrazów. Na koniec panna Anna wstaje z przyśpieszonym oddechem, sprężyny trzeszczą, a ona kuca nad nocnikiem i o dno emaliowanego naczynia uderza mocna struga. Wszystko dokonuje się w milczeniu, choć czasem szmer strumienia przetykany jest cichym westchnieniem. Potem znów panna Anna się kładzie, jej oddech coraz spokojniejszy, aż wreszcie panna Anna usypia.

W kuchni babcia rządzi niepodzielnie, a my wszyscy wiemy już, co mamy robić. Coraz mniej uwag i napomnień, rozkazy jasne i klarowne, sztab jenerałów pracuje bez zarzutu. Szczęśliwy naród, który ma takich bohaterów!

Gęś udała się nad wyraz, choć po prawdzie nikt nie wierzył w niepowodzenie tej batalii. Ufaliśmy naszemu wodzowi, pilnie wykonywaliśmy rozkazy. Gęś wspaniała, wspaniałe buraczki, wspaniałe ziemniaki i konfitura z żurawiny.

W spiżarce piszę swe listy, schowany przed ludzkim wzrokiem. Dom śpi, ogórki śpią w słojach, pławiąc się w słonej wodzie.

Zofijo!

A więc stało się! Z rozmów i dysput wyłoniły się plany, a plany przyoblekły się w realną postać. Jenerałowie powołali Komitet Ocalenia Narodowego. I mnie, skromnego rotmistrza, powołali na jego naczelnika. Będą mnie wspierać w walce, będą prowadzić wojska do boju, ale to ja będę musiał nad tym wszystkim czuwać. A brzemię ciężkie. Pnie się Twój Bartuś do góry, choć sam o zaszczyty nie zabiega. A wszystko wykluło się przy kuchennym stole, pod troskliwą opieką mej babci, patriotki szczerej i oddanej.

Żałuję, że nie było Cię przy mnie, kiedy jenerałowie wstali z krzeseł i salutowali mi, mówiąc: „Naczelniku Dumanowski! Józafacie kochany!”. Zostanę więc tym bohaterem na cudzy rachunek, ale przecież własny, gdyż Dumanowski to ja i nikt inny. Poprowadzę Polskę do wiktorii, jak przede mną czynili to wielcy naczelnicy. Połamana w zamachu noga boli, ale też laska i chód chromy dodają mi powagi. Polubili mnie zwłaszcza Błędowski i Sowiński, sami nóg pozbawieni. Razem wspominamy dawne czasy, kiedy biegało się bezkarnie po łąkach, a kalectwo nie ciążyło przy każdym kroku.

Wybacz, że przemieniłem w skargę moją radość, ale noga ciągle boli. Wierzę, samotnie spędzając noce, że Twój dotyk, Twój pocałunek władne są ją uzdrowić. Wierzę w to najszczerzej i nie przyjmuję do wiadomości wątpliwości medyków. Przyjeżdżaj do mnie i dotykaj, całuj, uzdrawiaj, Moja Kochana!

Twój naczelnik – B.

Rząd słoików z listami coraz dłuższy, jak szwadron kawalerii dobrze uszykowany. Dobrze im pod sufitem, w pierzynach pajęczyn i półmroku spiżarki. Zasypiam, kołysany swoimi słowami.

W salonie mieszka ojciec, kryjąc się na niebosiężnych rusztowaniach przed ludzkim wzrokiem.

W gabinecie mieszkają wieszczowie, prowadząc z matką ciche rozmowy o przegranych sprawach.

W sypialni mieszka na dobre śmierć dziadka, zaklęta jego opowieściami albo ukryta w szafie.

W służbówce mieszka panna Anna, cała na czarno i skromnie, z modlitewnikiem i puklem włosów ukochanego w medalionie. Ale kiedy nadchodzi noc i panna Anna zgasi już świece, wszystko się przemienia. Podsłuchuję to wszystko i wyobrażam sobie, co kryje się za bogatym światem dźwięków.

Panna Anna wyobraża sobie narzeczonego, który przykuty do taczek, który w kopalni, wyobraża sobie, że są razem, razem pchają taczki, razem gołymi rękami wyrywają syberyjskiej ziemi minerały i lśniące bogactwa.

Wtedy panna Anna zaczyna błądzić dłońmi po swym brzuchu, owiniętym grubą nocną koszulą. I czuje, że robi się gorąca, że krew w jej żyłach zaczyna pulsować. Powstrzymuje szybki oddech, tłumi w sobie głębokie westchnienia. Dotyka swych ud, najpierw przez koszulę, ale potem podciąga kolana i pozwala koszuli zsunąć się na biodra. Koszula sama się zsuwa, panna Anna nic jej nie pomaga, panna Anna niewinna, bo koszula sama. Jej opuszki muskają białą skórę, panna Anna bezwolnie rozchyla swe dziewczęce nogi.

Palce jej krążą po zakazanych miejscach, lękliwie omijając zarośniętą kępkę podbrzusza. Nie ma panna Anna nawet słowa na ten organ, nieużywany i nieoglądany, napotykany tylko podczas owych nocnych obrzędów i używany do odprowadzania z organizmu złocistej uryny. Serce bije jej coraz szybciej, przesuwa więc dłonie tam, gdzie milknie mowa, ostrożnie badając wilgotne fałdki i zagłębienia. Wargi ma spierzchnięte, powieki przymknięte, prawa dłoń pieści ukryte skarby. To tylko dotyk, panna Anna nigdy nie zaryzykowałaby utraty kwiatu swej niewinności, dotyk niewinny, przypadkowy, mimowolny, to tylko dotyk, powtarza sobie panna Anna, poruszając palcami coraz szybciej. Tam jest gorąco i wilgotno, tam wydobywają się z jej wnętrza nieznane opary, uda pokrywają się

potem. Panna Anna wydaje stłumiony jęk w poduszkę, po czym wszystko cichnie. Serce uspokaja się i polska dziewica może zasnąć, ocaliwszy niewinność.

W spiżarce, ukryty przed ludzkim wzrokiem, piszę mozolnie conocne swe listy, opowiadając w nich prawdę, jak mogę najlepiej.

Zofijo Kochana!

Wyznać Ci muszę, że jako naczelnik coraz częściej przywołuję w pamięci obrazy naszych niegdysiejszych spotkań. Przed oczami staje mi Twe alabastrowe ciało, a wyobraźnia każe wyczyniać mi z nim rzeczy najdziwniejsze. Nie sromaj się jednak, gdyż zostawszy Panią Naczelnikową, będziesz mogła robić ze mną wszystko i nikt nam nie powie, że to nieprzyzwoite. Jak wielka jest bowiem ma miłość do Polski, tak wielka do Ciebie. A kto taką miłość nosi, ten wszystko może, zaufaj mi. Wieczorami w mej kwaterze wyobrażam sobie, jak obmywasz swe ciało i zachowujesz w świeżości, dla mnie. Szlachetne to z Twej strony, wiedz więc, że i ja zachowuję siebie dla Ciebie.

Twój na zawsze naczelnik – B.

Jak wiele listów w słoikach, powoli zaczyna brakować, więc zjadam żarłocznie ogórki, nurzając palce w słonej wodzie, która ścieka mi na mankiet.

W służbówce mieszka panna Anna, która nocami oddaje się cichej półmiłości, lecz nie dość cichej, bym nie wysłyszał jej przez dębowe drzwi. Któregoś wieczoru podchodzę do niej, kiedy zmiata ze stołu okruszki chleba, by rzucić je ptaszynom, które lgną do naszego karmnika za oknem. Chwytam wtedy jej dłoń w locie, całuję delikatnie i szepczę:

— Słucham panny co noc. — Po czym odchodzę.

W spiżarce, ukryty przed ludzkim wzrokiem, piszę mozolnie conocne swe listy, opowiadając w nich prawdę, jak mogę najlepiej.

Zofijo!

Nawet się trochę gniewam na Ciebie, że odciągasz mnie od spraw Polski. Ale wybaczam Ci, gdyż to nie Twoja wina, tylko mej imaginacji. Zamiast koncentrować się na Sprawie, ja unaoczniam sobie piersi Twoje, takie białe i takie polskie zarazem. Jednak kiedy dłużej o tym myślę, to widzę w tym rąbek Twej winy, gdyż to Ty przyzwoliłaś mi oglądać swą nagość, wiedząc, że idę walczyć za Polskę. Ale wybaczymy sobie wszystko, kiedy to się już skończy, prawda?

Na razie jednak koniec, Droga Moja, o naszym pożyciu pisania, gdyż musisz poznać sytuację ogólną. Czego jako patriotka zapewne pragniesz bardziej niż mych namiętnych słów; a przynajmniej pragnąć bardziej powinnaś, co pod rozwagę Ci piszę.

W kuchni znajduje się Komitet Ocalenia Narodowego, a ja na jego czele. Ale to już wiesz. W salonie natomiast zagnieździła się Emigracja. Nikt dokładnie nie wie, ilu ich zamieszkało w stercie mebli, bo są tam nielegalnie i trudno ich porachować. Emigranci nie jadają z nami, tylko żywią się konserwami, które ukrywają w pianinie. Sami chowają się między meblami, nie rozmawiają z nami. Czasem tylko wychodzą nieśmiało na korytarz, by uczestniczyć w mszach za Ojczyznę. Podczas tych nabożeństw kazania wygłasza sam Juliusz Słowacki, wsparty o maszynę do szycia, którą oni mają za ołtarz. Mówi płomiennie, choć mętnie, lecz emigranci słuchają go i nagradzają oklaskami. Ciągle tylko rozmawiają ze sobą i prowadzą spory. Ani ja, ani jenerałowie nie możemy na nich liczyć. Jesteśmy zdani na siebie.

Całuję – B.

Jak wiele listów w słoikach, powoli zaczyna brakować, więc zjadam żarłocznie ogórki, nurzając palce w słonej wodzie, która ścieka mi na mankiet.

W sypialni umiera dziadek, otoczony naszą znużoną troską.

W gabinecie matka wysysa z wieszczów strofy o ich porażkach.

W salonie ojciec pogrąża się w prywatnym szaleństwie, tworząc nowy świat i niszcząc siebie.

W kuchni babcia przekazuje nam dowodzenie, radzimy sobie sami i tylko jenerała Przebendowskiego trzeba hamować, bo gotów nam zmienić kuchnię na karaibską. Tak zagustował w tych morskich robakach, w tych tropikalnych smakach, które nie drażnią tylko podniebień ludzi dzikich i nieokrzesanych, że cała walka o Polskę mogłaby zostać przegrana.

— Nie wystarczy ci, że opanowaliśmy Europę? — pyta Sowiński, patrząc podejrzliwie na kurę duszoną w czekoladzie.

— A nie myślałeś, że Polska potrzebuje kolonii? — odpowiada Przebendowski, sypiąc do sosu cynamon i ostrą paprykę.

Tak to wielcy stratedzy spierają się o Polskę, a ja na to patrzę i czuję, że na mych oczach rodzi się Historia.

W spiżarce ukryty wyjadam ogórki, zapasy się kurczą i nie wiem, jak przetrwamy zimę. Aby nie zagubić się w tym jedzeniu, piszę listy, szukając w nich prawdy.

Zofijo!

Znów piszę jako naczelnik, któremu coraz trudniej odnaleźć w sobie czułego kochanka. Ale wierzę, że zrozumiesz to, Moja Najdroższa, gdy poznasz sprawy, które zaprzątają moją głowę.

Emigranci umierają na rozmaite choroby, przede wszystkim trawieni nostalgią. Widzę ich wyniszczone ciała, przepojone tęsknotą i wyżerane przez wewnętrzną pustkę. Nie ma na to lekarstwa. Ponoć co jakiś czas znajduje się któregoś w kącie, bez ducha i życia. Adam Mickiewicz, od dawna pozbawiony wszelkich zaszczytów, układa ich na kaloryferach, gdzie schną i kurczą się do niewielkich rozmiarów. Nie uwierzysz, jak mały jest człowiek po wysuszeniu, moja droga! Mickiewicz pieczołowicie owija ich truchełka w bibułkę i pakuje do pudełek po butach, których namnożyło się ostatnio w naszym domu. Wieszcz urządził im cmentarzysko w sypialni, precyzyjnie opisując każdy karton. Na razie chowa je wszystkie pod łóżko, ale obawiam się, że szybko miejsca może zabraknąć.

Przepraszam Cię, że takimi sprawami Cię nękam, ale tak właśnie wygląda nasze życie. Chcę, żebyś i Ty w nim uczestniczyła, choćby poprzez lekturę moich listów.

Twój naczelnik – B.

Każdy list to kolejny słoik do zjedzenia, co z siebie wyrzucę na papier, muszę wchłonąć ustami, mój brzuch pełny i oddech kwaśny. Babcia robi najlepsze ogórki na świecie.

W służbówce mieszka panna Anna, od jakiegoś czasu przekręcając na noc klucz w drzwiach. Niepotrzebne to, bez jej przyzwolenia nigdy nie przekroczę progów tej dziewiczej sypialni. Od kilku dni nocne dźwięki w służbówce zmieniają swój rytm. Po modlitwie panna Anna wolno podchodzi do drzwi, rozdzielając kroki interwałami ciszy, jakby chciała mnie oszukać. Słyszę, jak stoi po drugiej stronie i wstrzymuje oddech. Mijają długie minuty, wreszcie pyta tłumionym szeptem:

— Jest pan tam?

Czekam chwilę, by podsycić niepewność, po czym odpowiadam:

— Tak.

— Proszę odejść!

Nie odpowiadam i nie odchodzę. Panna Anna po kwadransie odchodzi zrezygnowana i nieumyta kładzie się do łóżka. Tej nocy nie słyszę westchnień i strugi w nocniku, tej nocy panna Anna śpi, choć tego nie wiem na pewno.

W spiżarce siadam nad ranem i piszę list.

Droga Zofijo!

Oka nie zmrużyłem tej nocy. Nie uwierzysz, lecz miast o Polsce, myślałem o Tobie. Ma wyobraźnia obnażała Cię bezwstydnie, zdzierając ubranie i bieliznę, a Ty w tej fantazji nie broniłaś się wcale. Tylko o Tobie myślę i niech w naszej rozłące miłe Ci będzie, że nie spoglądam na żadną inną kobietę.

Całuję Cię w miejsca, o których wstyd mi pisać.

Twój niedoszły – B.

Kolejny list, kolejny słój, kolejny sen obok starego magla.

W kuchni babcia przekazuje nam dowodzenie, a sama wraca do swej pasji. Każe przynieść sobie sterty gazet i przy pomocy wieszczów wycina nożyczkami prostokątne skrawki. Przy tych wycinankach cichną spory

poetów, którzy w skupieniu palą papierosy i nawet uśmiechają się do siebie smutno, spoglądając sobie w oczy z solidarnością ludzi przegranych. Jednak babcia nie wraca do swej pasji i nie zbiera nekrologów. Zostawiła je dziadkowi, który umiera, wertując wielotomowe „Księgi umarłych”.

Babcia przygotowuje nową księgę, księgę życia. Będą w niej przepisy na najlepsze potrawy, będzie w niej spisana i wklejona cała kuchenna pamięć babci. Będą potrawy polskie i zagraniczne, będą potrawy wigilijne i świąteczne. Cała tradycja rodziny Chochołów, która przewinęła się w ciągu dekad przez naszą kuchnię, nie umrze wraz z babcią, tylko ocaleje. Tę księgę będziemy dalej nieść jak pochodnię, która wskaże nam drogę. Jestem wzruszony.

W salonie rządzi ojciec, wydając rozkazy swym widmowym poddanym.

W sypialni rządzi dziadek, do reszty pętając śmierć swymi opowieściami.

W gabinecie rządzi moja matka i nawet poeci narodowi muszą słuchać jej poleceń.

W służbówce mieszka panna Anna, kolejne noce spędzając bez mycia i sekretnych praktyk samotności. Niewiele śpi i jest zmęczona, kiedy w czarnej sukni siada do śniadania. Nie smakuje jej jajecznica na boczku, tylko patrzy smutno w okno, omijając starannie moją osobę. Wreszcie zdobywa się na odwagę i prosi:

— Błagam pana, proszę odejść.

— To ja pannę błagam, proszę mi pozwolić słuchać. Tylko tyle pragnę, nic więcej.

Rozchodzimy się do swoich zajęć bez żadnych deklaracji i zobowiązań.

W spiżarce wieczorna pora listów, ale najpierw słoik z ogórkami, bo nie mam już miejsca na kolejne zwitki papieru. Po ogórkach list krótki, lecz szczery.

Zofijo!

Jestem bliski przełomu. Jeszcze nigdy cel nie był tak bardzo na wyciągnięcie ręki, jak teraz. Dzisiaj rozegra się wszystko. Sama rozumiesz, że nie mogę się z Tobą zobaczyć i nie powinnaś mieć o to do siebie żalu. Zbliża się czas próby.

Twój niedoszły – B.

Słoik się rozbił, więc przed wyjściem marynowane rydze. Noc jeszcze przede mną.

W służbówce mieszka panna Anna i tej nocy usadzam się pod jej drzwiami. Po skończonej modlitwie chwilę czeka, po czym pyta z nadzieją:

— Jest pan tam?

— Tak.

Nadzieja słabnie. Cisza, sekundy rozciągnięte jak krople wody. Wreszcie słyszę westchnienie i panna Anna zaczyna się rozbierać. Moje wrażliwe ucho słyszy, że wszystko robi głośniej, przesadniej. Suknia z gniewem rzucona na krzesło, zsuwa się na podłogę. Kąpiel trwa dłużej, a po niej smukłe dłonie panny Anny namaszczają czystą skórę wonnym kremem. Jest wiele kroków, nieoszczędnych, zbędnych. Nie słyszę zdmuchnięcia świecy.

Panna Anna kładzie się do łóżka, sprężyny trzeszczą, a wielka pierzyna ląduje na podłodze. Panna Anna zaczyna się dotykać, każdy dźwięk głośniejszy, szmery jak krzyki, wszystko wyraźne i bez niedomówień. Oddechy i jęki, nietłumione jak wcześniej. A potem długa, bezwstydna struga o ścianki nocnika. Wreszcie wszystko cichnie.

— Dobranoc — słyszę zza zamkniętych drzwi.

— Dobranoc — odpowiadam i odchodzę do swej spiżarki.

W spiżarce piszę listy, wokół mnie pełno słoików ze zwitkami papieru. Konfitury wyjadł Słowacki, ogórki zjadłem sam.

Zofijo Najdroższa!

Nawet nie wiesz, ile się tu dzieje. Chciałbym Ci o wszystkim napisać, lecz wszystko to takie zagmatwane, że boję się, czy to zrozumiesz. Wiedz jedno – tu chodzi o Polskę. Czasem Historia stawia nas przed wyborami,

których chcielibyśmy uniknąć. Ale musimy wybierać, bo inaczej osądzą nas jak tchórzów.

Całuję Cię gorąco, a Ty sama wybierz sobie miejsce, gdzie mam złożyć swe usta.

Twój na zawsze – B.

W kuchni witam się rano z panną Anną, tak jak gdyby nic się nie stało. Razem zbieramy okruszki i karmimy ptaki. Żółta sikorka zawisa na skrawku słoniny.

W sypialni witam się z dziadkiem, zdając raporty z kolejnych nieudanych prób odnalezienia zegarka.

W gabinecie witam się z matką, która każe mi notować wyznania obnażających swe porażki wieszczów.

W służbówce mieszka panna Anna. Co wieczór ją podsłuchuję, a ona daje się podsłuchiwać. Co noc nasze spotkania są dłuższe i intensywniejsze. Pewnego razu po kąpieli panna Anna nie kładzie się do łóżka, tylko siada na podłodze, oparta o drzwi. Jej skóra ociera się o drewno, czasem łokieć uderzy o framugę. Jestem po drugiej stronie, kilka centymetrów od niej. Słyszę świat dźwięków, który jest tak blisko, czuję przez drewno gorąco.

— Dobrych snów — odzywa się wreszcie panna Anna, z trudem łapiąc oddech.

— Proszę wypoczywać — oddalam się z dobrą radą.

W kuchni po śniadaniu pojawił się nagle chorąży Ostrowski. Padlibyśmy sobie w ramiona, a potem długo siedzieli, wymieniając się opowieściami z naszych tułaczych szlaków, lecz chorąży Ostrowski wpierw podbiegł do panny Anny i z nią przywitał się czule, acz z pewnym dystansem. A potem oddalili się do służbówki, skąd dochodziły westchnienia i afektowane okrzyki.

— Bardzo dziękuję, że pan zaopiekował się Anną. To wiele dla mnie znaczy — powiedział przy obiedzie.

Skłoniłem głowę.

W spiżarce noc listów. Noce słuchania się skończyły, skończyły się ogórki i rydze, została tylko sałatka z zielonych pomidorów.

Droga Zofijo!

Dasz wiarę? Wrócił z zesłania chorąży Ostrowski, z którym razem szliśmy na Belweder. Wspominałem Ci zapewne o nim. Miał mniej szczęścia niż ja, ale w końcu i jego los przyprowadził do mieszkania moich dziadków. Siedzi teraz w kuchni, moja babcia przynosi mu kolejne porcje pierogów, a on opowiada z pasją o swych przygodach. Jenerałowie pewnie też by go awansowali, lecz poszli na Kleparz po śledzie. Kolejka była długa, do tego zimno, więc wrócili przemarznięci i tyle wyszło z tego awansu.

Ostrowski wspomniał, że ma gdzieś daleko narzeczoną. Pokazywał mi nawet medalion, wychwalając jej urodę; tylko dobre wychowanie powstrzymało mnie przed kąśliwym komentarzem. Nie obawiaj się, Moja Miła, Twoja uroda jaśnieje na firmamencie nie zagrożona przez żadną inną kobietę.

Całuję dłonie Twe gotyckie

Twój na zawsze – B.

Kolejny słój, z którego duszkiem wypiłem marynatę. Pierwsze listy szare od pajęczych tiulów.

W kuchni Ostrowski poczęstował mnie papierosem i staliśmy przez chwilę przy otwartym oknie, patrząc na skaczące po podwórzu ptaki.

— Porozmawiaj jakoś ze swoim ojcem. To się musi skończyć — odezwał się poważnym tonem, a ja przyznałem mu rację.

W spiżarce noc listów, słoik wcześniej wykradziony z lodówki, palcem wydobyłem resztki powideł.

Zofijo Moja!

Nie uwierzysz, ale Ostrowski wkradł się podstępnie w łaski jenerałów. I to po tym wszystkim, co zrobiłem dla Sprawy jako Naczelnik Komitetu! Ale Sprawa ważniejsza od moich ambicji. Usunąłem się w cień i oddałem pole. Niech teraz pan chorąży prowadzi do walki. Podszedł do mnie po obiedzie i powiedział, żebym zabił Mickiewicza, bo coraz bardziej zagraża Sprawie.

Dasz wiarę? Ja zabić Mickiewicza! I to wszystko tonem, jakby częstował mnie cygarem. Historia okrutnie się z nami bawi, wynosząc takich ludzi do władzy.

Twój niedoszły – B.

List trochę się zabrudził, ale nic to. Otaczają mnie szklane sarkofagi, oprzędzione przez wielkie pająki.

W służbówce zamieszkali panna Anna z chorążym Ostrowskim, wypełniając to niewielkie pomieszczenie swymi prywatnymi historiami, do których jednak ja nie miałem już dostępu. Zapewne w chwili patriotycznego uniesienia złożyli sobie w milczeniu tajemne śluby wierności, których nigdy nie zdołają dotrzymać.

W spiżarce, która wypełniła się po sufit moimi prywatnymi historiami, zabrakło miejsca dla mnie samego. Pewnego grudniowego ranka opuściłem ją na zawsze, wchodząc do kuchni w momencie, kiedy Historia zatoczyła koło.

W sypialni mój dziadek umierał na starość i z czasem zapomnieliśmy o powadze tej sytuacji. Jednej grudniowej niedzieli, kiedy jedliśmy spokojnie obiad, w drzwiach kuchni stanął dziadek, odziany w czarny habit prawosławnych mnichów, z siwą brodą i długimi włosami spiętymi na karku. Stanął i oznajmił:

— Życie do mnie wróciło.

I usiadł z nami do obiadu, a był wtedy barszcz czerwony zabielany, a na drugie kotlety mielone i mizeria. Wyjaśnił, że przypominając sobie historię o srebrnym zegarku z dedykacją, przypomniał sobie również, że od lat przechowuje habit, który kiedyś, w innym świecie, były mnich Jozafat zostawił mu w podzięce, kiedy wracał do rodzinnego Czerniatyna, porzuciwszy celę w Ławrze Poczajowskiej. Babcia pamiętała wprawdzie czarną tkaninę owiniętą w papier, która przez dekady spoczywała na dnie ich szafy, ale nigdy nie podejrzewała, że ów kawałek materiału nosił na plecach prawosławny mnich, który utracił wiarę.

W gabinecie moja matka postanowiła zamknąć swe demony na cztery spusty, rozumiejąc, że niewiele ma z nich pożytku. Zawezwała Mickiewicza i Słowackiego do biurka i upchnęła ich w szufladzie, a wieszczowie nawet nie starali się protestować. Przyjęli to polecenie ze zrozumieniem i z nutą pewnej melancholii. Starannie poskładali surduty w kostkę, po czym zwinęli się na dnie szuflady. Dla pewności matka przycisnęła ich teczką ze szkarłatną wstążką, w której skrył się na wieki jej niedoszły doktorat. Kluczyk zazgrzytał w starym zamku, a matka ukryła go w sobie tylko wiadomym miejscu.

W salonie ojciec postanowił zakończyć niedoszłą przebudowę świata. Nie wiadomo, jak do tego doszło, gdyż scena ta rozegrała się bez świadków. Zapewne obudził się pewnego dnia w pokoju, który do złudzenia przypominał dawny salon, więc rozejrzał się po pomieszczeniu nieco bezradnie; po czym, nieniepokojony przez nikogo, wyszedł z domu w swym szarym płaszczu, zabierając tylko przybory do golenia. Nikt nie widział go przez kilka następnych lat.

W kuchni babcia uznała, że zagrożony porządek został uratowany. Rozwiązania tymczasowe i nadzwyczajne stały się zbędne. Starym jenerałom zakomunikowała, że muszą sobie wybrać inną siedzibę na ratowanie Polski. Napisała im pełne serca rekomendacje do noclegowni brata Alberta, dała kanapki i wyprawiła w drogę. Kiedy odeszli, postukując kulami i do końca nie wierząc w upadek kolejnego powstania, babcia zasiadła w swym wyścielanym kocami fotelu pod oknem i ze spokojem zaczęła kartkować swoją nową księgę, pełną tajemnych przepisów, użytecznych w każdej domowej kuchni.

W sypialni mój dziadek umierał bezskutecznie przez dwa miesiące, a potem wstał i przez kilka lat żył w dobrym zdrowiu, chodząc po domu, podwórku i Krakowie w mniszym habicie, szytym jeszcze przed wojną w Ławrze Poczajowskiej. Wielu dawnych znajomych, głównie byłych studentów, nie poznawało go na ulicy, więc cieszył się anonimowością, zachodząc często do krakowskich cerkwi. Zmarł we śnie kilka lat później, bez żadnego przygotowania, nie doczekawszy obiadu, który być może zawierał te sekretne składniki, które dziadek odczytał z Mickiewiczem

z prowadzonych przez lata przez moją babcię rejestrów umarłych. Zgodnie ze swą ostatnią dyspozycją został pochowany w habicie mnicha Jozafata, a jego galowy mundur rotmistrza ułanów został znów schowany w przepastnych czeluściach jednej z szaf. Ordery rozproszyły się po licznych szufladach całego domu.

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i pozostałem przez cały ten czas niedoszłym bohaterem narodowym. Historie podomykały się beze mnie i do żadnej nie zdołałem się na dobre wślizgnąć. Tyle tylko z mojej obecności wyszło, że wyjadłem wszystkie ogórki i konfitury, zrzucając część winy na Juliusza Słowackiego. W ogólnym zamieszaniu opuściłem mieszkanie dziadków, kuśtykając; i tyle było tego mojego powrotu do domu.

Fuga IV

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i muszę zlikwidować mieszkanie, w którym kiedyś żyłem. Moja matka umarła rok temu. Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Pakuję do pudeł stare rzeczy. Jedno wspomnienie chcę zachować. Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę.

Pakuję do pudeł stare rzeczy. Muszę zlikwidować mieszkanie, w którym kiedyś żyłem. Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Jedno wspomnienie chcę zachować. Moja matka umarła rok temu. Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę.

Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę. Muszę zlikwidować mieszkanie, w którym kiedyś żyłem. Pakuję do pudeł stare rzeczy. Moja matka umarła rok temu. Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Jedno wspomnienie chcę zachować.

Jedno wspomnienie chcę zachować. Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę. Pakuję do pudeł stare rzeczy. Muszę zlikwidować mieszkanie, w którym kiedyś żyłem. Moja matka umarła rok temu. Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat.

Moja matka umarła rok temu. Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę. Jedno wspomnienie chcę zachować. Pakuję do pudeł stare rzeczy. Muszę zlikwidować mieszkanie, w którym kiedyś żyłem. Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat.

Muszę zlikwidować mieszkanie, w którym kiedyś żyłem.

Muszę zlikwidować mieszkanie, ale co to znaczy?

Muszę zlikwidować mieszkanie, tak się mówi. Ale co to znaczy? Spakować rzeczy? Wyrzucić wszystko? Sprzedać? Opustoszyć?

Muszę zlikwidować mieszkanie, ale co to znaczy? Nie chcę sprzedawać, nie teraz. Nie będę tu mieszkał. Nie chcę zostawiać muzeum, mebli nakrytych białymi prześcieradłami. Może to byłoby najlepsze? Zamknąć na klucz, niech się wszystko kurzy, i zapomnieć? Może.

Muszę zlikwidować, ale nie wiem, co to znaczy. Wokół mnie meble i przedmioty, których nigdy nie użyję. Część zostawię, ale większość do wyrzucenia. Stare ubrania, jakieś szpargały, wszystkie te mieszczańskie drobiazgi, gromadzone przez lata. Zlikwidować. Co to znaczy?

Muszę zlikwidować mieszkanie, więc pakuję do pudeł stare rzeczy.

Muszę zlikwidować, więc pakuję. Przyniosłem ze sklepów sterty kartonów, stoją teraz puste pudła wszędzie, potykam się o nie. Tyle niepotrzebnych rzeczy, choć szkoda wyrzucać. A może się przydadzą? A może kiedyś zatęsknię?

Pakuję stare rzeczy do pudeł, a każda rzecz to strzęp wspomnienia. Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat, i likwiduję. Buty do kartonów, sukienki do kartonów, do kartonów filiżanki, garnki i pościel. Muszę zlikwidować, więc likwiduję.

Pakuję stare rzeczy i wspominam. Pełno kurzu, bo matka umarła rok temu. Kurz na dłoniach i na twarzy. Czy chcę coś ocalić? Może pióro dziadka, o którym marzyłem w dzieciństwie? Może cążki do paznokci, takich już dzisiaj nie robią? Może lampę na biurko, tę z rogu daniela?

Muszę zlikwidować mieszkanie. Muszę? Nie wiem, ale likwiduję.

Pakuję stare rzeczy i co chwila zatrzymuję się, klęcząc nad pudełkiem i obracając w rękach starożytne przedmioty. Fajka dziadka, księga przepisów babci, kalendarze i pocztówki. Czy chcę to ocalić? Czy potrafię to wyrzucić? Zlikwidować?

Muszę zlikwidować mieszkanie. Rozpalę na podwórzu ognisko, niech wszystko się spali, stare papiery i szmaty, wyszczerbione dzbanuszki do kawy i buty na prawidłach. A może tylko spakuję i schowam, może lepiej ocalić?

Pakuję rzeczy i wspominam. Co chcę ocalić? Przedmioty czy wspomnienia? Po co mi stare rzeczy? Nie będę ich używał; cążki, fajka, pióro, lampa z rogu daniela. Nie będę używał, będę wspominał. Co chcę pamiętać? Fajkę czy dziadka?

Pakuję rzeczy i wspominam. Likwiduję mieszkanie i wspominam. Czy mogę zlikwidować wspomnienia? Czy będą żyły bez tych przedmiotów? Stare rzeczy jak zaklęcia, które budzą pamięć.

Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Zostawiłem szczęśliwą rodzinę i likwiduję mieszkanie. Co pamiętam? Co mogę zapamiętać? Jedno wspomnienie chcę ocalić.

Jedno wspomnienie chcę ocalić, jedno mi wystarczy.

Jedno wspomnienie chcę ocalić, ale najpierw muszę je odnaleźć. Wybrać z tych, które mam, czy znaleźć zupełnie nowe?

Pakuję stare rzeczy do pudeł i żadne wspomnienie nie jest warte ocalenia. Te powiązane z rzeczami ocalą się same, będą wracać, potem wyblakną. Jedno chcę ocalić, ale muszę je odnaleźć.

Jedno wspomnienie chcę ocalić. Nie znalazłem go jeszcze, ale może to ono powinno znaleźć mnie?

Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Stare meble mówią, zapachy mówią, wszędzie ślady przeszłości, zaklęcia, które otwierają pamięć.

Pakuję stare rzeczy, matka umarła rok temu, pełno kurzu. Jedno wspomnienie.

Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Zakurzone muzeum, nie ma już życia, tylko wspomnienia. Czy potrafię wspominać bez tych mebli i przedmiotów? Czy wspominałem przez ostatnie lata, kiedy żyłem gdzie indziej? Nie. Zostawiłem szczęśliwą rodzinę i likwiduję mieszkanie, w którym kiedyś żyłem.

Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Skurczył się przez ten czas, wysechł. Farba się łuszczy, pokoje ciemniejsze i mniejsze, wszystko jest inne. Wspomnienia oszukują, bo w nich korytarz jest długi, kuchnia wielka, a salon bezkresny. Jak będę wspominał ten dom i tych ludzi za dziesięć lat?

Chodzę po domu, pakuję stare rzeczy do pudeł. Likwiduję przedmioty, likwiduję mieszkanie. Na podłodze kolejne kartony, ogołocone półki i puste szuflady. Kiedy dom będzie zlikwidowany?

Chodzę po domu, a każde pomieszczenie to inne wspomnienia. Jedno tylko chcę ocalić, jedno, ale ważne. Na razie nie znalazłem.

Chodzę po domu, a każde pomieszczenie inne. W gabinecie królował dziadek; w salonie siadaliśmy do wigilii; w spiżarce podkradałem słoiki z konfiturami; w dawnej służbówce mieszkałem kiedyś podczas wakacji. Jedno wspomnienie chcę ocalić, ale na razie nie znalazłem tego właściwego.

Chodzę po domu, tylko do sypialni nie. Matka umarła rok temu.

Matka umarła rok temu, a ja nie mogłem wcześniej, dopiero teraz. Teraz muszę zlikwidować mieszkanie.

Chodzę po domu, jedno wspomnienie.

Chodzę po domu i likwiduję. Coraz mniej przedmiotów, coraz więcej pudeł. Pakuję stare rzeczy, które pamiętam sprzed lat.

Chodzę po domu, kuchnia. Coś czuję, może to tu?

Chodzę po domu, kuchnia. Pakuję garnki i sztućce, talerze i filiżanki. Coś czuję, jakiś niepokój. Może to tu? Uważnie rozglądam się po starych kątach. Jakie to wszystko małe, jakie ciasne. Fotel babci, nakryty kocami i poduszkami, uschnięte badyle w doniczkach. Zakurzony fresk nad drzwiami, drzwi odrapane, biała farba się łuszczy.

Jedno wspomnienie, wystarczy mi jedno. Może to tu?

Jedno wspomnienie, matka umarła rok temu. Ale nie tu, tylko w sypialni. Chodzę po domu, ale do sypialni nie. Cały rok, dopiero teraz chodzę, bo muszę zlikwidować.

Muszę zlikwidować mieszkanie i likwiduję, choć nie wiem, co to znaczy. Dlaczego muszę? Nie wiem, ale tak się robi. Matka umarła rok temu, rok czekałem. Może lepiej zamknąć na klucz i zapomnieć? Odciąć prąd i gaz, zamurować wejście i zostawić sarkofag przeszłości? Nigdy tu nie wrócę, ale będę wiedział, że jest, na pierwszym piętrze, w kamienicy przy ulicy S.

Muszę zlikwidować mieszkanie, ale nie chcę. Kiedy to wszystko wyniosą, co ze mną będzie? Będę chodził po pustych przestrzeniach, przypominał sobie układ mebli i ludzi, którzy pomiędzy nimi żyli? Muszę zlikwidować, ale jedno wspomnienie chcę zachować. Jedno mi wystarczy. Tylko muszę je odnaleźć.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Może tu? Kuchnia, stół, krzesła, kredens, stara lodówka, fotel babci, resztki kwiatów w doniczkach. Kalendarz i fresk nad drzwiami, kuchenka i terma z ciepłą wodą. W kątach pajęczyny i cienie kurzu. Jedno wspomnienie. Jest blisko, czuję je na języku, zaraz je dopadnę.

Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Chodzę po kuchni, wokół stołu. Kuchnia pusta, ludzie nie żyją. Matka umarła rok temu, na stole pierzyna kurzu. Piszę palcem swoje imię, ale zaraz zamazuję, nie kończąc.

Biorę ścierkę i przecieram cały blat, żeby nie było śladu. Wszędzie kurz, tylko blat czysty. Jednak jest ślad. Jedno wspomnienie.

Matka umarła rok temu, rok kurzu, muszę zlikwidować.

Chodzę po domu, chodzę po kuchni. To tu, chcę wspomnienia z kuchni. Krążę wokół niego, krążę wokół stołu. Niejasne obrazy, postaci ludzi, którzy nie żyją. Czy pamiętam ich twarze? Tak, bo pakowałem stare zdjęcia. Album dziadka z fotografiami pana Zygmunta. Czy pamiętałbym je bez tych zdjęć?

Chodzę po domu, chodzę po kuchni, chodzę dookoła stołu. Jedno wspomnienie chcę odnaleźć, jedno ocalić. Jest coraz wyraźniejsze. Dlaczego ono, dlaczego kuchnia? Nie wiem. Nie ja je odnalazłem, tylko ono odnalazło mnie.

Jedno wspomnienie chcę ocalić, jedno wspomnienie chcę odnaleźć. Dlaczego ono?

Jedno wspomnienie chcę ocalić, dlaczego? Napięcie tamtego dnia, wisząca w powietrzu cisza.

Jedno wspomnienie, ale ze wszystkimi szczegółami.

Jedno wspomnienie chcę ocalić. Kuchnia, w kuchni stół, przed chwilą nakryłem do obiadu.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Stół, cisza przed obiadem. Jaki to był dzień?

Jedno wspomnienie, kuchnia. Lato czy zima? Nie pamiętam. Jaki to dzień tygodnia? Wszyscy czekają, będziemy jeść razem, a więc niedziela.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Niedziela, zastawiony stół, czekamy. Dlaczego nie jedliśmy w salonie? Przecież niedzielne obiady w salonie,

dlaczego kuchnia? Nie wiem. Może nie niedziela? Ale wszystko inne jak w niedzielę.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Babcia przy kuchence, miesza w garnkach i próbuje. Zapachy domowe, zaparowane szyby; a więc zima. Babcia przy kuchence, a dziadek w fotelu babci.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Babcia przy kuchence, a obok niej Aza. Stara siwa suka. Czeka, aż babcia coś da. Wszyscy czekają.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Babcia przy kuchence, dziadek w fotelu. Niedziela, bo dziadek w fotelu, i zima, bo para na szybach. Przed niedzielnymi obiadami dziadek zawsze czytał fragmenty książki, tej samej; nie pamiętam tytułu.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, ale tej książki jeszcze nie.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Babcia przy kuchence, dziadek w fotelu. Ta sama książka, wyciągana z biurka raz w tygodniu. Dziadek czyta po parę zdań, zamyśla się i mruczy: „Wyborne, znakomite”. I cieszy się tym jak cukierkiem.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Dziadek zachwyca się i mruczy, a babcia jak zawsze: „Wstydu nie masz!”. I dalej miesza zupę. Jaka była zupa? Barszcz ukraiński, pamiętam.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Barszcz ukraiński w niedzielę? Chyba tak. Babcia tak zawsze, kiedy dziadek tę książkę. Tytułu nie pamiętam. Pamiętałem kiedyś? Czy dziadek ukrywał go przede mną? Może chociaż autor, to znajdę. Pamiętam tylko starą twarz, która była na okładce. Potem dziadek książkę zamykał. Kiedyś byłem ciekawy, potem przestałem i już nie jestem.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, ale tej książki nie pamiętam.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Wszyscy czekamy, coś wisi w powietrzu. Babcia przy kuchence, dziadek w fotelu babci, bo babcia przy kuchence. Matka stoi tyłem i ściera na tarce ogórki na mizerię. A ja?

Pakuję do pudeł stare rzeczy, tarka spakowana.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Wszyscy czekamy, w powietrzu zapachy, bo barszcz ukraiński. Co na drugie? Schabowe? Nie, bo mizeria, a do schabowych nigdy mizeria. Nie wiem dlaczego, ale u babci nigdy, tylko kapusta. Skoro barszcz, to nie sztuka mięsa, bo jak sztuka mięsa, to rosół. A przecież barszcz. Co na drugie? Pamiętam czy wymyślam? Przecież wymyślić teraz niedzielne danie łatwo. Co na drugie? Mizeria, do czego ta mizeria?

Jedno wspomnienie, kuchnia. Babcia przy kuchence, matka tyłem przy blacie, dziadek w fotelu babci. A ja? Jestem tam, bo widzę wszystko. Zamknę oczy, to widzę, że wtedy widziałem. Matka tyłem, babka tyłem, dziadek z książką, suka Aza bokiem. Pamięć podsuwa czy wyobraźnia? Tak było czy nakładam obrazy z różnych dni? Jedno wspomnienie chcę, nic więcej. Jedno, ale prawdziwe.

Jedno wspomnienie, dlaczego? Dlaczego chcę ocalić, dlaczego właśnie to? Siedzę w kuchni i widzę, pamiętam smak tamtego oczekiwania. Wszystko było tak samo, bo babcia przy kuchence, a matka tyłem przy blacie, bo dziadek w fotelu. A gdzie ojciec? Wszystko było tak samo, ale inaczej. Dlaczego inaczej? A gdzie ja?

Jedno wspomnienie, kuchnia. Niedziela, zima, mizeria i barszcz ukraiński. Gdzie ojciec? I co na drugie? Wiem już, gdzie ja. Ja na stołeczku, przy kaloryferze. A więc zima. Ja oparty o kaloryfer, bo zmarzłem. W kościele zimno, a więc zima; i niedziela, bo w kościele. Dlaczego nie jemy w salonie?

Jedno wspomnienie, kuchnia. Dlaczego nie salon? Może tylko to inaczej, a wszystko tak samo? W niedziele zawsze w salonie, najpierw wszyscy w kuchni, a potem obiad w salonie. Ale wtedy stół nakryty

w kuchni. Widzę wszystko wyraźnie, matka i babcia, dziadek, ja przy kaloryferze. Był taki mały stołeczek, pomalowany na biało. Ja na tym stołeczku. Zima i niedziela. A gdzie ojciec?

Pakuję do pudeł stare rzeczy, stołeczek niespakowany, bo stołeczka już nie ma.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Nie widzę ojca, bo ojciec za mną. Ja patrzę na babcię i mamę, a dziadek zasłania ojca. Ojciec ponad nami, na drabinie, nad drzwiami do dawnej służbówki. Cicho i uważnie na drabinie, czyli inaczej niż zwykle. Bo zwykle ojciec przy pustym stole. Fotel babci zajęty przez dziadka, więc ojciec przy stole. Dziadek książkę, a ojciec „Tygodnik Powszechny”. Zawsze zasłonięty zadrukowaną płachtą, ale nie wtedy. Czy tylko to inaczej?

Pakuję do pudeł rzeczy, stare roczniki „Tygodnika Powszechnego” spakowane.

Jedno wspomnienie chcę ocalić, przypomnieć każdy szczegół. Siadam na krześle przy kaloryferze i patrzę. Tamtego stołeczka już nie ma. Co się z nim stało? Kuchnia pusta, ale niewiele się zmieniło. Kuchenka, blat, fotel babci, stół. Teraz lato, okna otwarte, nie ma pary na szybach. Kuchnia pusta, tylko ja przy kaloryferze. A wtedy niedziela, babcia przy kuchence, matka przy blacie, stara siwa suka, dziadek czyta pełen zachwytu. Dlaczego nie pamiętam tytułu? Bo książka obłożona w papier. A starzec na okładce? Na okładce czy papierze? Może ojciec naszkicował starca? I jaki to był tytuł?

Jedno wspomnienie, już tak wiele mam. Na pewno barszcz i mizeria. Nie, nie barszcz ukraiński, tylko zwykły, czerwony. Na pewno czerwony, zabielany, jaki tylko babcia robiła, bo później już nikt. Dziadek czyta, a w kącie przy drzwiach ojciec na drabinie. Jest ponad nami, więc go nie widzę, bo patrzę oczami dziecka po podłodze. Nogi babci, nogi matki, nogi dziadka, stara siwa suka Aza. Dziadek noga na nogę, kiwa stopą, skórzany pantofel. A ojciec na drabinie, więc nie widzę ojca, tylko drabinę. Dziadek zasłania, więc słabo pamiętam. Co się stało z tym stołeczkiem?

Jedno wspomnienie, nie ma już stołeczka. Matka, dziadek i ojciec, przy kuchence babcia.

Jedno wspomnienie, babcia przy kuchence. A przy babci Aza, stara siwa suka.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Babcia miesza w garnkach, a Aza czeka cierpliwie. Stara siwa suka.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Na pewno nie ukraiński, tylko zabielany. Ojciec ponad nami maluje nad drzwiami służbówki ikonę. *Gościnność Abrahama*, wtedy jeszcze nie wiedziałem, pamiętam tylko trzech aniołów wokół stołu. Przy stole pusto, przed chwilą nakryłem. „Wyborne, znakomite” — mówi co chwila dziadek. Babcia tylko kiwa głową i nalewa zupę do wazy.

Pakuję do pudeł rzeczy, ale fresku przecież nie zabiorę. Tak zostanie? I ktoś go zamaluje? I tak nie wszystko zabiorę.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Ojciec maluje, bo spadł stary krzyżyk i się rozbił. Babcia zmiatała okruchy na śmietniczkę i płakała. Krzyżyk był sprzed wojny i z gliny. Skąd ten krzyżyk?

Pakuję do pudeł, a fresku nie da się do pudeł. Tyle rzeczy mogę zabrać, a fresku nie, szkoda.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Zima, niedziela, obiad; matka, babcia, dziadek i ojciec. Maluje w niedzielę i babcia kiwa głową. Ikony trzeba w niedzielę, odpowiada z drabiny. Kończy i schodzi. Babcia nalewa zupę do wazy. Siadamy. Skąd ten krzyżyk? Znałem tę opowieść czy tylko pamiętam skorupy? Dlaczego z gliny? Była jakaś opowieść.

Pakuję rzeczy, waza spakowana. Owinąłem gazetami, żeby się nie stłukła.

Jedno wspomnienie, niedziela. Dawno temu, byłem taki mały, że się mieściłem na białym stołeczku. Kiedy to było? Dziadek żył, babcia też, jedliśmy barszcz zabielany. Kiedy? W zimie, tylko tyle pamiętam. Siadamy. Z tym krzyżykiem to nie pamiętam. Taki z gliny, stary. Dlaczego z gliny?

Pakuję rzeczy, ale skorup krzyża nie ma nigdzie. Pewnie, bo i po co to trzymać. Waza spakowana, talerze do zupy spakowane, łyżki i widelce też.

Jedno wspomnienie, stół kuchenny. Ojciec myje ręce, dziadek odkłada książkę na kredens. Po obiedzie schowa ją w szufladzie biurka i zamknie na klucz. Wtedy byłem zainteresowany, potem zapomniałem. Co to była za książka? „Jak ci nie wstyd” — mówiła babcia. Co za książka? Co było na drugie?

Jedno wspomnienie, stół kuchenny. Siedliśmy, jemy w milczeniu. Ziemniaki na talerzu pośrodku, skwarki i koperek. Jak dawno tak już nie jadłem. Ziemniaki nie w zupie, tylko pośrodku. W dzieciństwie tak zawsze. W kawałkach czy utłuczone? Matka utłukła, kiedy już skończyła mizerię. Nakładam od razu porcję do talerza i mieszam z barszczem. Ziemniaki bordowe, „Nie baw się jedzeniem” — mówi babcia. Jemy w milczeniu. Może w kawałkach, a nie tłuczone? Ale koperek i skwarki na pewno.

Matka umarła rok temu, tłuczek do ziemniaków spakowany.

Jedno wspomnienie, stara suka Aza. Czy dostała coś? Kawałek mięsa? Tłuczone ziemniaki? Czy mnie to obchodziło? Jak wtedy nie, to teraz szukam bezskutecznie. Stara siwa suka.

Muszę zlikwidować mieszkanie, matka rok temu.

Jedno wspomnienie, stół kuchenny. Babcia obok mnie, dalej dziadek. Po drugiej stronie rodzice, ja na dostawkę, ale w głowie stołu. Za to daleko do ziemniaków. Jemy w milczeniu. Dziadek w zielonym swetrze i skórzanych pantoflach. A może w tym rudym? Ojciec w kraciastej koszuli, bo malował. Babcia zapomniała zdjąć fartuch. A może zdjęła? Zawsze zapominała, ale może wtedy nie? Matki nie pamiętam. Jak była ubrana?

A może nie zielony sweter, nie rudy, nie koszula w kratę. Może wszystko inaczej? Czy naprawdę to widzę? Pamiętam te ubrania na nich, ale czy tamtej niedzieli? Nie pamiętam. Siedzimy więc jakoś ubrani, ale barszcz zabielany na pewno. Bawiłem się wtedy jedzeniem? Może wtedy nie, bo bawiłem się zawsze, a wtedy było inaczej, więc może wtedy nie? Jedno wspomnienie chcę ocalić, tylko jedno. Bawiłem się czy nie?

Jedno wspomnienie, stół kuchenny. Skąd pamiętam ten nastrój? Może milczenie? Zawsze dziadek opowiada, żartuje; szturcha ojca słowami, babcia z mamą się śmieją. Albo mama coś opowiada; albo nad czymś dyskutują. Ale pamiętam ciszę. Obraz ukończony, ojciec chyba ubrudzony farbą. A może pamiętam inne ubrudzenie, może był czysty, bo *Gościnność Abrahama* niewielka? „Ładnie namalowałeś” — powiedziała babcia. Ale kilka lat później; wtedy jedliśmy w ciszy. Co było na drugie?

Jedno wspomnienie, tylko to jedno. Ale za to dokładnie, wszystko musi się zgadzać. Wyobraźnia podsuwa gotowe obrazy, ale to nie te. Łatwo zadowolić się innymi wspomnieniami, z innych niedziel, innych obiadów. Barszcz zabielany, to na pewno. A co na drugie? Mizeria, ziemniaki, ale jakie mięso? Coś zwykłego, bo gotowała babcia. Nie sztuka mięsa, bo nie rosół, i nie schabowy, bo mizeria, a nie kapusta. Może bitki? Gulasz też nie, bo niedziela. Może mielone? Bitki albo mielone.

Jedno wspomnienie wydobywam z siebie, mozolnie, krok za krokiem. Barszcz zjedzony, babcia nakłada drugie. Mizeria, ziemniaki i mięso. Bitki albo mielone, nie pamiętam. Pasuje, ale to nie to wspomnienie. Pasuje, bo inne nie pasują. Czyli wymyślone teraz, a nie zapamiętane. Jedno wspomnienie chcę ocalić. Bitki albo mielone.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Niedziela, zima, rodzice i dziadkowie, para na oknach i barszcz, ale już po barszczu. Teraz drugie danie. Siadamy w ciszy. Nie, siedzimy już i nie wstajemy; babcia z mamą podają, a my siedzimy. Ale w ciszy. I ojciec do mamy, zanim zaczniemy jeść:

— Przecież prosiłem, żebyś do mizerii nie tarła ogórków, tylko na plasterki.

Matka wstaje i wychodzi. Ojciec wstaje i wychodzi. Coś wisiało od rana w powietrzu. I ta cisza.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Kończę z dziadkami obiad, mięso staje mi w gardle. Matka gdzieś w mieszkaniu, ojciec chodzi po przedpokoju. Coś mówi do siebie, babcia chce do niego wyjść, ale dziadek kładzie swą dłoń na jej dłoni. Babcia siedzi. Kończę obiad z dziadkami, rodzicom stygną porcje. Jedno wspomnienie, kuchnia.

Jedno wspomnienie, kuchnia. Słyszę trzaśnięcie drzwiami i szybkie zbieganie po schodach. Niedziela, zima, barszcz zabielany, mielone albo bitki i mizeria. Na tarce, przez mamę, a tata lubi w plasterki. I cisza, do wieczora.

Pakuję rzeczy, tarka dawno spakowana. A może to nie tamta?

Jedno wspomnienie chcę ocalić, to jedno. Kuchnia, niedziela, zima i mizeria. Wtedy tata pierwszy raz zostawił mamę. Zostawiał ją dwadzieścia trzy razy, ale zawsze wracał. Wracał nawet więcej razy, bo mama też go zostawiała, ale to on musiał wracać. Czyli wracał w sumie trzydzieści pięć razy. Bitki albo mielone, zupełnie nie pamiętam. A może ogórki były w plasterkach, a tata wolał tarte? Ja tylko chciałem to jedno wspomnienie.

Matka umarła rok temu, a ja muszę zlikwidować.

Jedno wspomnienie chcę ocalić. Znalazłem, znalazło mnie i mam. I co? I nic.

Muszę zlikwidować mieszkanie, jedno wspomnienie ocaliłem. Odnalazłem, ocaliłem i nic. Matka umarła rok temu.

Matka umarła rok temu, a ja muszę zlikwidować mieszkanie.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, a te nie chcą się wyczerpać.

Matka rok temu, a mnie przy tym nie było.

Chodzę po domu, w którym kiedyś żyłem. Teraz żyję gdzie indziej, a tu nikt nie żyje. Ja tylko chodzę i likwiduję; żyję gdzie indziej.

Matka rok temu, a mnie przy tym nie było.

Chodzę po domu, likwiduję mieszkanie, pakuję rzeczy. W kuchni, salonie, gabinecie, ale nie w sypialni. Bo w sypialni matka, rok temu.

Pakuję do pudeł stare rzeczy. Książki, długopisy, kałamarz i gumkę do mazania. Kilka gumek, takie stare, różowe.

Matka umarła rok temu, a mnie przy tym nie było. Ale byłem wcześniej, byłem.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, mam pełno pudeł, bo przyniosłem ze sklepu, cały świat z kartonu. Pudła opisuję, żeby się nie zgubić, pudła wypełniają pokoje, piramidy po sufit. To nie jest już mój dom, który pamiętam sprzed lat. Żyłem tu kiedyś, a teraz same pudła po sufit.

Matka umarła rok temu, a mnie przy tym nie było. Ale byłem wcześniej, miałem dwanaście lat. Pamiętam wakacje, a może trzynaście? Pojechaliśmy z matką w góry, od schroniska do schroniska. We dwoje.

Pakuję do pudeł buty górskie mamy, i plecak, i getry, ale plecak się nie mieści, bo stelaż. Kiedy matka ostatni raz była w górach? Tamtego lata? Potem były inne plecaki, ale może chodziła ze starym.

Matka rok temu, mnie przy tym nie było, ale byłem wcześniej. Chodziliśmy po górach, tylko we dwoje, długie trasy po gorczańskich polanach. Schroniska, ludzie grający na gitarach. Matka też z gitarą, we flanelowej koszuli i dżinsach.

Jedno wspomnienie chciałem ocalić, ale czy najważniejsze? Wtedy ojciec odszedł po raz pierwszy. On dwadzieścia trzy razy, ona dwanaście. Zawsze wracał, razem trzydzieści pięć. Gdzie był, kiedy go nie było?

Znikał, jakby odchodził w niebyt. Wracał, jakby nic się nie stało, siadał przy stole i nic się nie stało. Razem z matką płakali albo długo rozmawiali.

Jedno wspomnienie chciałem ocalić, ale czy najważniejsze? Matka też odchodziła, ciągle się rozstawali. Bez kłótni, bez kłótni przy mnie; razem trzydzieści pięć razy. Wtedy w Gorce zabrała mnie, kiedy sama odeszła. Było tak, jakbyśmy razem uciekli. Brodaci ludzie w schroniskach, rajdowe piosenki, warkocze bukowe i jagody zbierane na polanach.

Jedno wspomnienie chciałem ocalić, przypomnieć sobie wszystko dokładnie. Ale nie znam szczegółów. Co dziadek czytał? Czy były mielone, czy bitki? Czy poszło o mizerię tartą, czy w plasterkach? Ile miałem lat, gdzie ja w tym wszystkim? A może potem matka mi opowiadała o mizerii, może ojciec opowiadał podczas jednego ze swoich powrotów?

Pakuję do pudeł stare rzeczy, pakuję przewodniki po górach i mapy. Na mapie Gorców zaznaczone na czerwono nasze noclegi. Maciejowa, Stare Wierchy, Turbacz. Pomiędzy Turbaczem a Lubaniem spaliśmy w pasterskiej kolibie, bo nie było już w Gorcach pasterzy. Pamiętam, jak rano poszliśmy się umyć do strumienia. Miałem dwanaście lat, a może trzynaście.

Jedno wspomnienie odnalazło mnie, kuchnia, zima i obiad z mizerią. Ale przecież mam jeszcze inne, może ważniejsze. Dlaczego uczepiłem się tamtego?

Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Mam wspomnienie z kuchni. Co bym znalazł, gdybym wszedł do sypialni? Tam matka umarła rok temu; do sypialni nie.

Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę i likwiduję mieszkanie. Prawie wszystko już zlikwidowane, kartonowe pudła po sufit. Spakowałem już mapy i przewodniki.

Jedno wspomnienie, ale mam przecież inne. Idziemy z matką do strumienia, ręczniki i mydło. I matka się rozbiera, jesteśmy sami na wielkiej

polanie. Ja odwracam wzrok, ale matka mówi, że nie muszę. Nie ma się czego wstydzić, mówi i zaczyna się myć w zimnej wodzie. Patrzę na jej ciało i jest mi wstyd. Nigdy nie widziałem nagiej kobiety, wstydzę się, ale zerkam na piersi, na pośladki, biodra. Matka wyciera się i wraca do koliby. Myję się w samotności.

Jedno wspomnienie, ale po co, skoro mam ich wiele. Lepiej pamiętam nagość matki niż tamten obiad. Wieczorem zeszliśmy do Ochotnicy i spaliśmy u jakiejś góralki. Wieczorem w kuchni matka grała na gitarze, rozpromieniona i wesoła. Pewnie góralka przyniosła butelkę śliwowicy. Śpiewały i rozmawiały, a ja patrzyłem na moją matkę i wspominałem jej poranne piękno.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, mamy majtki i staniki, i głupio mi dotykać jej bielizny. Majtki koronkowe, prześwitujące, mama takie nosiła? Czarny stanik, zwiewna halka, gorset, głupio mi, więc pakuję, upycham w kartonach i zaklejam taśmą.

Jedno wspomnienie, ale po co? Nie pamiętam mizerii, tylko matkę, która kąpała się nago w strumieniu. W górach nie nosiła stanika. Może lepiej to zapomnieć, a tamto za wszelką cenę ocalić? Mielone czy bitki?

Pakuję do pudeł stare rzeczy, spakowałem bieliznę po matce. Jak opisać? Ubrania do wyrzucenia, tak najlepiej. W nawiasie daję gwiazdkę, tak na wszelki wypadek.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, aluminiowe menażki. Tak, z nich jedliśmy. I plastikowa manierka, brązowa od herbaty. W schroniskach braliśmy przed wyjściem herbatę, która z manierki smakowała inaczej niż w domu. Potem wróciliśmy do domu, a tata już tam był z powrotem. Matka umarła rok temu.

Jedno wspomnienie, to przecież niemożliwe. Mam ich dziesiątki, każde niekompletne. Tamtego obiadu nigdy nie odtworzę. Co czytał dziadek?

Matka umarła rok temu, a mnie przy tym nie było.

Matka rok temu, a mnie nawet na pogrzebie.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, kruche filiżanki i resztki dawnych serwisów. Wyszczerbiony dzbanuszek do kawy, tak go wszyscy lubili, ale wyszczerbiony. Wzorek prawie niewidoczny, co to było? Kwiatuszki, listeczki, jak to na dzbanuszkach. Może wyrzucić, bo wyszczerbiony?

Matka umarła rok temu, a ja się dowiedziałem miesiąc temu.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, bloki rysunkowe, spinacze, kredki i ołówki. Gdzie dałem gumkę do mazania? Powinna być z kredkami i ołówkami, gdzie ją dałem? Może do dzbanuszka po kawie, tego wyszczerbionego, który był w listeczki albo w kwiatuszki?

Matka umarła rok temu, a mnie przy tym nie było.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, czasem daję się ponieść wspomnieniom. Zakurzone ślady wrażeń, z tego dzbanuszka to, do tamtego nocnika tamto. Po co mi to wszystko? Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę, nie potrzebujemy dzbanuszków i nocników.

Matka rok temu, a mnie przy tym nie było. Nie mogłem, nie wiedziałem, bo rodzina, zresztą i tak bym nic nie pomógł.

Matka rok temu, a ja nie wiedziałem aż do zeszłego miesiąca. Matka rok temu, na raka, w swej sypialni, w której kiedyś dziadek, a potem babcia.

Matka rok temu, a dziadek na starość. Babcia na żałobę, ale chyba na pamięć. Zapominała słów, imion, zapomniała wreszcie, że tęskni za dziadkiem, i umarła. Wiele lat temu.

Matka rok temu, a dziadek na starość. Babcia na pamięć, a matka na zapomnienie. Nie dzwoniłem, nie dzwoniła, ona tu, a ja tam, gdzie

zostawiłem teraz szczęśliwą rodzinę. Matka tu, a ja tam, matka zapomniana, więc na zapomnienie. Lekarze mówili, że rak.

Chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Ale do sypialni nie.

Matka rok temu, na zapomnienie. Rosło w niej i rosło, powoli wszyscy o niej zapomnieli, a ona nie wiedziała dlaczego, ja też nie wiem dlaczego, tak się zapomniało i już, matka na zapomnienie, które ją zjadło, a kiedy wyżarło ją doszczętnie, to umarła. Lekarze mówili, że rak.

Matka rok temu na zapomnienie, a ja zapomniałem. Dzwoniłem na święta, ale nie odbierała, więc pomyślałem, że poszła do sąsiadów, a do sąsiadów nie mam numeru.

Matka rok temu, kiedy ją widziałem? Ostatni raz będzie dwa lata, na cmentarzu, na grobie dziadków, bo trzeba na cmentarz w listopadzie. Przy grobie staliśmy, zimno, bo listopad, i chryzantemy, bo listopad, i nic nie mówimy, bo zimno.

Chodzę po domu, ale do sypialni nie. Muszę zlikwidować mieszkanie, więc w końcu będę musiał.

Matka rok temu, a my ostatni raz na cmentarzu. Jechałem z daleka, specjalnie, żeby matce miło, bo listopad i trzeba. A potem zapomniałem i umarła, i nie dzwoniła, że umiera, i cicho sobie umarła, bo na zapomnienie. A jak na zapomnienie, to cicho.

Matka rok temu, a ja teraz likwiduję to mieszkanie, pełne starych rzeczy i pudeł, bo rok minął, wszędzie kurz. Kto ją znalazł wtedy?

Matka rok temu, a ja nie wiem, czy była sama, czy ktoś przy niej był, jakaś pielęgniarka albo siostra z opieki, czy była sama? Nie dzwoniła, nie dzwoniłem, bo na zapomnienie. Ona umarła, a ja nie. Zostawiłem szczęśliwą rodzinę, o sobie pamiętamy,
a o matce nie, więc umarła, a ja nie. Lekarze mówią, że na raka.

Matka rok temu, a ja nawet na pogrzebie nie. Czy ktoś był przy niej, kto ten pogrzeb, tyle załatwiania, komu się chciało. I mogli zadzwonić.

Matka rok temu, a ja nic nie wiedziałem. I nawet o pogrzebie nic, bo nikt nie dzwonił i nie napisał. Może matka nie chciała, może wolała umrzeć zapomniana? Cicho, niezauważenie, a ja wtedy ze szczęśliwą rodziną.

Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę i chodzę po domu, który pamiętam sprzed lat. Kiedyś tu żyłem, kiedyś tu żyli moi bliscy. Ich już tu nie ma, a ja tu nie żyję, tylko likwiduję mieszkanie.

Matka rok temu, czyli w sierpniu, a ja wtedy ze szczęśliwą rodziną na wakacjach. Matka na zapomnienie w sierpniu, a my wtedy na Sycylii. Może dlatego nie dzwonili? Może dzwonili, tylko my na Sycylii? Jacy oni?

Chodzę po domu i muszę w końcu do sypialni.

Matka rok temu, a ja wtedy na wakacjach. W wakacje się zapomina, bo wakacje od zapominania. I z matką na wakacjach tyle razy, wcześniej.

Matka rok temu, czyli my wtedy nie na Sycylii, bo na Sycylii w lipcu. A wtedy w Beskidach, taka chałupa, sami, bez telefonu, żeby się odciąć, żeby oderwać, bo potem przez cały rok dzwonią. I nie dzwonili. Jacy oni?

Matka rok temu, na zapomnienie, ale ktoś pamiętał. Ktoś się zajmował, ktoś pochował, ktoś nie zadzwonił. Może zadzwonił, ale my w Beskidach, taka chałupa stara, przysiółek bez prądu.

Matka rok temu, a my w Beskidach. Bez prądu i Zosia też w strumieniu.

Matka rok temu, na zapomnienie, ale ktoś pamiętał. Ktoś się zajął, leki podawał, załatwił formalności, może zadzwonił. Podobno sąsiadka. Ja dopiero od miesiąca.

Muszę zlikwidować to mieszkanie, pokój po pokoju. Zlikwidowana kuchnia i salon, gabinet, spiżarka i stara służbówka. Nawet korytarz. Jeszcze tylko sypialnia, w której matka rok temu.

Matka rok temu, podobno sąsiadka. Która? Czy była przy śmierci mamy, czy zajęta była swoim życiem? Może odwiedzała raz dziennie, ale śmierć przegapiła? I mama sama, bez sąsiadki, na zapomnienie? A może była sąsiadka, może trzymała za rękę, może była? Która sąsiadka? Muszę zapytać.

Muszę zlikwidować to mieszkanie, muszę zlikwidować wszystko.

Matka rok temu, ale która sąsiadka? Głupio zapytać, bo przecież rok temu, a ja dopiero od miesiąca.

Chodzę po domu i w końcu wchodzę do sypialni. Jest jak zawsze, tylko wszędzie kurz. Łóżko zaścielone, narzuta, żadnych śladów śmierci.

Chodzę po domu i w końcu sypialnia. Otwieram okno, kurz się podnosi. Na nocnej szafce lekarstwa, ale nie na umieranie, bo tam zawsze lekarstwa.

Matka umarła rok temu, a ja się niepotrzebnie bałem. Sypialnia jak sypialnia, żadnych śladów śmierci.

Pakuję do pudeł stare lekarstwa, nie patrzę na nazwy, nie znam się na lekach. Może to tylko witaminy i aspiryna? Zgarniam szeleszczące listki, pełno kurzu.

Matka umarła rok temu, w tym łóżku. A może umarła w szpitalu? Może ostatnie dni w szpitalu?

Pakuję do pudeł stare rzeczy, nie patrzę, tylko wrzucam wszystko. Napiszę, że to z nocnej szafki. Muszę wszystko zlikwidować.

Matka umarła w tym łóżku, może spytam sąsiadki? Ale której? Nie będę przecież chodził po całej kamienicy i szukał. Muszę wszystko zlikwidować.

Matka umarła w tym łóżku, jednak trochę nieswojo.

Pakuję do pudeł stare rzeczy, bo w tym domu wszystko jest stare. Na szafce, oprócz leków, zegarek i różaniec, a przecież moja matka niewierząca. Trochę wierząca, ale nie na tyle, żeby różaniec.

Muszę zlikwidować stare leki, zegarek i różaniec, wszystko do jednego pudła. Na blacie zostaje jeszcze książka. Stara, obłożona w pakowy papier, nawet oprawa stara; wszystko stare.

Muszę zlikwidować, ale książka znajoma. Nie znam jej, ale poznaję.

Jedno wspomnienie chciałem ocalić i teraz mam w ręku książkę, którą czytał dziadek. Na oprawie rysunek mego ojca, profil starej twarzy. Zdzieram szary papier i patrzę na tytuł: *Dumanowski*, Jan Chochoł, Rój 1937.

Jedno wspomnienie chciałem, i teraz mam.

Chodzę po domu i czytam. Zostawiłem szczęśliwą rodzinę i czytam powieść dziadka, o której istnieniu nie wiedziałem. Widziałem ją tyle razy, „Znakomite, wyborne” — mówił dziadek w niedzielne popołudnia. Ale nigdy nie miałem jej w rękach.

Matka umarła w tym łóżku, a ja siadam na nim i czytam. Pobieżnie, raczej kartkuję. Historia prawdziwa, jak zapewnia narrator, opowiedziana przez Wita Chodnikiewicza, osobistego sekretarza tytułowego bohatera.

Jedno wspomnienie, dlaczego dziadek ukrywał tę książkę? Wszyscy wiedzieli poza mną. Czytam i nie znajduję żadnych powodów. Powieść o starcu, który wszystko przeżył, wymyślony bohater na miarę wyobraźni dziadka. Dumanowski, którego dziadek podarował Polsce zamiast. Zamiast

romantyków, zamiast mesjanizmu, zamiast całej dziewiętnastowiecznej mitologii. Wszystko wymyślone i wszystko zamiast.

Jedno wspomnienie chciałem. Jedno, ale naprawdę. Czy mam je naprawdę, czy mam je zamiast?

Pakuję do pudeł stare rzeczy i pakuję *Dumanowskiego* do kartonu, obok leków i zegarka mamy. Zalepiam taśmą pudło, opisane ląduje na piramidzie. Teraz jeszcze sukienki z szafy, i skarpetki, i haftowane chusteczki do nosa.

Pakuję do pudeł wyblakły mundur dziadka z wszystkimi orderami, pakuję stary habit, bo w końcu pochowaliśmy go w garniturze, pakuję rękopisy starego profesora i notatki matki do doktoratu. Pakuję wycinanki babci i stare, pocerowane skarpetki. Dlaczego matka ich nie wyrzuciła, kiedy dziadek umarł?

Muszę zlikwidować to mieszkanie, muszę zlikwidować wszystko. Czy zaklejone pudła to koniec likwidacji? A może to tylko przemeblowanie, bo przecież nie wyrzuciłem ani jednej karteczki? Wszystko jest takie samo, tylko w pudłach. Czy to już likwidacja?

Zostawiłem w domu szczęśliwą rodzinę i nie dzwonię, nie odbieram telefonów. Muszę zlikwidować mieszkanie, ale co to znaczy? Czy w pudłach to już likwidacja?

Pakuję do pudeł stare rzeczy, bo wszystko tu jest stare. W tym domu niczego się nie wyrzucało, wszystko lądowało na dnie szaf, w zapomnianych szufladach, pod łóżkiem. Wszystko stare, wszystko lepkie od wspomnień.

Muszę zlikwidować wszystko, ale nie będę rozpalał na podwórzu ogniska. Zamknę to wszystko na klucz i zapomnę.

Muszę zlikwidować i zapomnieć, jedno wspomnienie tylko zachowam. Zachowam ich więcej, ale jedno będzie specjalne. To były mielone, bo tak

chcę. I matka utarła mizerię, bo tak chcę. Dziadek czytał *Dumanowskiego*, którego sam przed wojną napisał. Była zima, niedziela i to będzie to właśnie wspomnienie; nie dlatego, że najważniejsze, bo pamiętam lepiej powroty ojca, dziadka w kłębach fajkowego dymu, pamiętam babcię w fotelu, a wtedy przecież w fotelu dziadek; pamiętam kąpiącą się w strumieniu matkę i wiele innych rzeczy. Ale to zachowam, bo tak chcę.

Pakuję do pudeł cały ten umarły świat, ale jedno rozrywam i wyciągam *Dumanowskiego.* Szczęśliwa rodzina czeka, pozostawiona, a ja, zamiast likwidować, czytam. Dziadek czytał co niedziela, napawał się sobą, to ja się będę napawać swoim odkryciem. Sam się będę napawać, bo nikogo nie ma, bym mógł się podzielić. A potem zlikwiduję wszystko.

Muszę zlikwidować to mieszkanie, w którym matka umarła, a wcześniej wszyscy inni. Wszyscy w tym samym łóżku, poza ojcem.

Muszę zlikwidować to wszystko. Popakowałem, powspominałem i mam dość. Nie muszę likwidować, niech tak zostanie. Może za rok tu wrócę?

Muszę zlikwidować to mieszkanie, ale nie teraz. A może wcale nie muszę? Niech zostanie, jak jest. Puste szafy i szuflady, otwarte na oścież, pudła pod ścianami i na środku pokojów, wszystko popakowane i opisane. Zostawiam to wszystko i wychodzę z domu, który pamiętam sprzed lat. Jedno wspomnienie zabieram, a wraz z nim setki innych, ważniejszych. Zamknę drzwi na klucz i już nigdy tu nie powrócę.

Fuga Va

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i jestem rencistą. Robiłem w życiu różne rzeczy. Wróciłem do domu. Nie było mnie jakiś czas. Mieszkanie jest puste. Czekam, aż wrócą. Noga ciągle boli.

Nie było mnie jakiś czas, ale niedługo. Może minęło kilka dni. Mieszkanie jest puste, ale zaraz wrócą. Czekam spokojnie.

Mieszkanie jest puste, ale jakby przed chwilą wyszły. Czajnik na piecu, filiżanki w zlewie. Chwilę tylko mnie nie było, poczekam. Pewnie wyszły na moment, jak ja.

Czekam, aż wrócą. Pewnie wyszły na chwilę, Zosia poszła po zakupy albo z Małą na spacer; jest ciepło, na pewno na spacer. Gdzieś blisko, może już wracają. Ucieszą się, że wróciłem, ucieszą.

Nie było mnie jakiś czas, ale niedługo. Kilka dni zaledwie, co to jest. Ale można się stęsknić. Ucieszą się. Wróci Zosia i zobaczy, że jestem. A to się Mała ucieszy!

Wróciłem do domu i nie mam żadnego prezentu dla Małej. Ale ucieszy się, jak mnie zobaczy. Ucieszy bez prezentu. Na pewno. Czekam, aż wrócą. Na pewno się ucieszy.

Wróciłem do domu i nikt mnie nie wita. Spokojnie otwarłem drzwi i stanąłem w przedpokoju, a tu cisza. Mieszkanie jest puste. Dziwnie tak wracać do pustego domu. Chodzę po pokojach, podłogi cicho skrzypią. Jestem sam. Nie było mnie jakiś czas, a tu nic się nie zmieniło. Co można zmienić w kilka dni? Te same meble, ten sam spokój. Dobrze jest w domu, nareszcie w domu.

Mieszkanie jest puste, tak cicho wszędzie. Słyszę własne kroki. Parkiet skrzypi, stary parkiet. Tylko ja. Ale wrócą, już powinny być. Mała się ucieszy, choć nie mam prezentu. A Zosia?

Mieszkanie jest puste, dlaczego nie wracają? Robi się ciemno, za chwilę będzie noc. Dlaczego ich nie ma? Zosia mogła zostawić choćby karteczkę, na stole albo na lodówce. Czy to takie trudne napisać te kilka słów? Przecież wiedziała, że mogę wrócić.

Czekam, aż wrócą, mogła choć karteczkę. Martwię się. Dom taki pusty bez nich, tak cicho. Za ścianą sąsiedzi włączyli telewizor, ktoś chodzi piętro wyżej i podłoga też skrzypi; stare parkiety. Poczekam, pewnie niedługo będą.

Czekam, aż wrócą. Umyję filiżanki, zaparzę herbatę. Zosia się ucieszy. Lubimy wieczorem siadać przy stole naprzeciw siebie, pomiędzy nami czajnik z herbatą. Zaparzę.

Wróciłem do domu, a ich nie ma. I żadnej informacji, a przecież Zosia wiedziała, że mogę właśnie dzisiaj; i że się będę martwił. Woda się gotuje, zaraz zaleję herbatę. Przecież wystarczy jedno zdanie. Okna w kuchni trochę brudne, teraz to widzę. Ale karteczka na stole, co za kłopot?

Jakiś czas mnie nie było, a wydaje mi się, jakbym wyszedł stąd przed chwilą. Wszystko tak samo, tylko okna brudne, trochę kurzu na szafce w przedpokoju. Pewnie Zosia była zajęta, sama została z Małą, i do tego praca. Mało czasu, wszyscy mają mało czasu.

Jestem rencistą i mam dużo czasu. Czekam, aż wrócą. Herbata już zaparzona. Nalać sobie? Nie, poczekam. Już robi się ciemno, trochę zaczynam się martwić. Mieszkanie takie puste bez nich. Noga ciągle boli, ale to nic. Dobrze, że mogę usiąść.

Czekam, aż wrócą. Mogła przecież napisać jedno zdanie. Herbata stygnie, napiję się, bo gorąca najlepsza. Jak zabraknie, to zaparzę znowu. Niedługo będą, nie wystygnie. Już ciemno, co mogłyby robić? Pewnie

tramwaj się spóźnił albo zasiedziały się w galerii. Na zakupach czas płynie inaczej. W galerii wszystko inaczej.

Mieszkanie jest puste i czuję się nieswojo. Zupełnie cicho. Nawet nie słychać skrzypienia podłogi, bo siedzę. Noga ciągle boli, ale pochodzę trochę po pokojach. Czas szybciej zleci. W galeriach płynie inaczej, zaraz wrócą. Już ciemno. I tak cicho.

Jestem rencistą i mam dużo czasu. Mogę poczekać, co mam do roboty. Robiłem w życiu różne rzeczy, ale teraz czekam. Noga ciągle boli. Na parapecie też trochę kurzu. Zosia zapracowana, nie ma czasu sprzątać.

Czekam, aż wrócą. Wstawię wodę, bo herbatę już wypiłem. Mieszkanie jest puste i tak cicho. Wszyscy poszli spać, nikt nie chodzi, telewizory zamilkły. Gdzie one są? Martwię się.

Jestem rencistą i mam dużo czasu. Robiłem w życiu różne rzeczy, teraz przypominają mi się, kiedy tak czekam. Mieszkanie puste, a ja chodzę po pokojach i wspominam. Noga ciągle boli, parkiet skrzypi, poza tym cisza. Różne rzeczy w życiu robiłem.

Jestem rencistą, dobrze być rencistą. Są ulgi i zniżki. Noga ciągle boli, ale mam dużo czasu. Mam legitymację i wiele mogę. Robiłem w życiu różne rzeczy.

Robiłem w życiu różne rzeczy, ale przed wypadkiem. Potem mniej, noga ciągle boli. Mam dużo wolnego czasu, sporo podróżowałem.

Jestem rencistą i mam dużo wolnego czasu. Szedłem na dworzec, wsiadałem do pociągu i jechałem. Do Przemyśla, Kołobrzegu, Gdańska, różnie. Mam zniżki i legitymację.

Jestem rencistą i sporo podróżowałem. Po Polsce, bo ładna jest Polska. Patrzyłem na nią z okien pociągu. Wszędzie mamy tory i dworce. Byłem wszędzie. Niektórych linii już nie ma, tory rozkradli, a w dworcach mieszkają ludzie. Lubię pociągi.

Mieszkanie jest puste, taka cisza. Ale czekam cały czas, aż wrócą. Muszą wrócić. Przecież można było zostawić kartkę, prawda?

Jestem rencistą i sporo podróżowałem. Jeździłem pociągami, jak wszyscy. Mam zniżki, to mogę wszędzie. Same miasta mnie nie interesują. Wysiadałem, kręciłem się koło dworca i z powrotem. Niekoniecznie z powrotem. Czasem jeszcze gdzieś indziej i dopiero potem z powrotem. Ludzie nie rozumieją, że tak jeżdżę. Ale lubię.

Robiłem w życiu różne rzeczy, jeździłem po całej Polsce. Są takie linie, o których wszyscy zapomnieli. Jeden pociąg dziennie, może mniej. Trawa rośnie na peronach, dworcowe okna zabite deskami. Mijam takie stacje i patrzę z okien. Nie wysiadam, bo tam są wysokie kładki, dużo schodów, a mnie ciągle boli noga.

Jestem rencistą i dużo podróżowałem. Ale zawsze wracałem do Krakowa, czasem nie było mnie kilka dni. Mam dużo czasu, to dni nie mają znaczenia. Inaczej, jak się pracuje. Chwile inaczej płyną. Robiłem w życiu różne rzeczy, ale przed wypadkiem. Potem jeździłem, bo mam zniżki.

Wróciłem do domu, nie było mnie kilka dni. Podróżowałem po Polsce, mijałem stacje i ludzi. Tu i tam, po całej Polsce. Ładna jest Polska, dużo torów, wszędzie kolej, naprawdę ładna.

Robiłem w życiu różne rzeczy, dużo podróżowałem. Nie było mnie jakiś czas, kilka dni. Wracałem do Krakowa. Lubię podróżować. W pociągach poznawałem ludzi. Ludzie są inni niż ja, każdy ma swoje życie.

Nie było mnie jakiś czas, ale powinny już wrócić. Czekam i się martwię, ale mam herbatę.

Robiłem w życiu różne rzeczy. Jestem rencistą i mam czas. Dużo podróżowałem, bo lubię poznawać ludzi. Kiedy się jedzie przez kilka godzin, to niewiele się dzieje. Można rozmawiać.

Jestem rencistą i dużo podróżowałem. Są zniżki. Dużo ludzi, którzy wracali do domów. Rozmawiałem z nimi albo słuchałem. Raczej słuchałem, bo ludzie lubią mówić. Wolą, jak się słucha. To słuchałem.

Jestem rencistą i dużo słuchałem. Ludzie wolą, jak się słucha, ale trzeba umieć. Ja potakuję, patrzę ze zrozumieniem, martwię się, kiedy trzeba, i śmieję, kiedy wypada. Ludzie to lubią. Wtedy opowiadają, najczęściej nieciekawie. Ciągle te same historie, wszyscy mają takie same historie do opowiedzenia. Im się wydaje, że mają swoje własne, ale to nieprawda. Ale lubię słuchać. Bo w tych zwykłych opowieściach widać życie.

Czekam, aż wrócą. Już ciemno, Zosia powinna już być. Mała powinna się już położyć. Martwię się.

Jestem rencistą i nie było mnie jakiś czas. Dużo podróżowałem i słuchałem. Słuchałem, a ludzie mówili. Zwykłe rzeczy, nieważne. Dla nich ważne, ale w ogóle nieważne. A ja słuchałem i przez chwilę żyłem życiem innych ludzi. To nawet prostsze. Słuchałem i wyobrażałem sobie, że jestem nimi. Siedzieliśmy w przedziale, za oknem Polska, a ja wyobrażałem sobie, że jestem nimi.

Mieszkanie jest puste, w mieszkaniu cisza. Ludzie lubią opowiadać. O pracy, o dzieciach, o sąsiadach. Cieszą się urlopem, grillem, martwią synami i córkami. Kobiety inaczej niż mężczyźni.

Mieszkanie jest puste, w mieszkaniu cisza. A ludzie dużo mówią. Ja ich słuchałem, a oni opowiadali, jakby wcześniej przez całe życie nikomu o sobie nie opowiadali. Żyłem ich życiem i słuchając, wyobrażałem sobie ich domy, ich żony i mężów.

Nie było mnie jakiś czas, nie zawsze słuchałem. Czasem ludzie nie chcą mówić. Albo dają opowieść za opowieść. Opowiadałem więc swoje życie, takie jakie chcieli usłyszeć. Miałem wiele opowieści, ale najczęściej byłem ofiarą. Byłem ofiarą polityków i transformacji, byłem ofiarą wypadku i zawistnych kolegów. Ludzie lubią słuchać ofiary. Patrzą ze współczuciem

i czują się lepiej. A potem opowiadają swoim bliskim, jakiego nieszczęśliwego człowieka spotkali.

Robiłem różne rzeczy, ale najczęściej żyłem życiem innych ludzi.
Jestem rencistą i nie wyglądam najlepiej. Byłem dobrą ofiarą.

Wróciłem do domu. Zawsze wracałem do Krakowa, czasem po paru dniach. Bo nie było dobrego pociągu albo był nocny do innego miasta. Po całej Polsce jeździłem, lubię to. Czasem wyłączali ogrzewanie, ale wtedy można iść do innego wagonu. W pociągach ludzie opowiadają swe życie inaczej niż zwykle. Zwykle nie opowiadają, bo rozmawiają ze znajomymi. A obcemu łatwiej powiedzieć. Pożegnamy się, nigdy nie zobaczymy. Łatwiej. Obcy nie zna imion i nazwisk, nie doniesie, nie będzie plotkował. Dlatego słuchałem. Ludzie mówili, a ja kradłem im opowieści. Żyłem ich życiem, a oni tego nie wiedzieli.

Jestem rencistą i robiłem różne rzeczy. Dużo podróżowałem, bo zniżki i ciepło. Ludzie opowiadali o sobie, a ja słuchałem. A potem wysiadałem z nimi i szedłem, a oni nawet nie wiedzieli.

Jestem rencistą i nie wyglądam najlepiej, taki szary i niewidoczny. Szedłem za nimi, a oni wsiadali w obcych miastach do taksówek albo do autobusów; jechali na swe wielkie osiedla i tam odwiedzali rodzinę albo kochanki; spali w hotelach, bo przyjechali w delegację, albo wracali do swych domów.

Jestem rencistą i nie wyglądam najlepiej. Jak jechali taksówkami, to wracałem na dworzec. A jak autobusem albo na piechotę, to szedłem. Mam zniżki, ale na taksówki nie.

Wróciłem do domu. Taka cisza.

Jestem rencistą, taki szary i niewidoczny. Szedłem za nimi, a noga ciągle bolała, szedłem wolno, pod ich domy, hotele i mieszkania kochanek. Stawałem na ulicy i patrzyłem, jak szukają kluczy, jak wyciągają listy ze skrzynki, jak się witają w progu. Potem zapalało się światło w kuchni,

potem w pokoju. Albo było zapalone i widziałem, jak biorą na ręce dzieci. Stałem długo, pod drzewami, w cieniu domów i żyłem życiem innych ludzi.

Mieszkanie jest puste, w mieszkaniu cisza. Tylko skrzypi parkiet, kiedy chodzę. Noga ciągle boli. Ale jest lepiej. Wróciłem, jest lepiej. Czekam, aż wrócą, już ciemno.

Noga ciągle boli, ale jest lepiej. Żyłem cudzym życiem, kradłem je i wyobrażałem sobie, że jest moje. Widziałem siebie wracającego do domu, witanego przez żonę i dzieci, czasem psa. Widziałem siebie zmęczonego po podróży, leżącego w wannie, siedzącego przed telewizorem. Umyte dzieci mówiły dobranoc, żona parzyła herbatę albo opowiadała o tym, co w pracy, a ja siedziałem i odpoczywałem.

Noga ciągle boli, bolała, kiedy tak stałem pod oknami albo na klatkach schodowych, słuchając przez ściany i drzwi cudzych rozmów. Kradłem ludziom życie, a potem opowiadałem o nim w pociągach. Wybierałem te najlepsze historie i lepiłem z nich własne życie. I słuchali mnie ze współczuciem. Piękne miałem to życie, choć smutne.

Wróciłem do domu, a tu tak pusto. Nikt nie czeka, nikt się nie wita. Ich też często nikt nie witał. Wracali do pustego domu i zapalali światło. A ja byłem niedaleko i wszystko widziałem. Jak się krzątają, jak oglądają telewizję. Stałem blisko i patrzyłem.

Noga boli, bolała, a ja w końcu wracałem na dworzec, wsiadałem do pociągu i słuchałem dalej. Jestem rencistą, mam zniżki, konduktorzy mnie znali. Tylko pospieszne i osobowe, żadnych ekspresowych. Siadałem cicho w kącie przedziału, a ludzie sami zaczynali mówić. Opowiadali o swych nieszczęściach i sukcesach, o pracy i o rodzinie.

Mieszkanie jest puste, taka cisza. Nikt nie opowiada.

Wróciłem do domu i mieszkanie jest puste. Dużo podróżowałem. Kiedyś młoda kobieta w przedziale cały czas opowiadała, ale niewiele o sobie. Ja słuchałem, bo chciała, żebym słuchał. Nie mówiła o rodzinie

i pracy, tylko o zainteresowaniach. Takie miała rumieńce, jak opowiadała o tych zainteresowaniach, nie pamiętam już, co to było. I poszedłem za nią, szary, bo jestem rencistą, a ona mieszkała w bloku. I nie znałem jej życia, tylko jej hobby, ale życia nie mogłem ukraść. I zniknęła w klatce, a ja stałem i wyobrażałem sobie, że wchodzi po schodach, otwiera drzwi. A przed telewizorem mąż, który przysnął, bo wykąpał dziecko i się zmęczył. Ale w kuchni czeka obiad albo mrożona pizza, mąż się budzi, rozmawiają o tych jej zainteresowaniach, a potem idą spać.

Jestem rencistą, noga ciągle boli. Bolała, kiedy stałem pod oknami tej kobiety, nawet nie wiedziałem, które to, bo taki duży blok. I wyobrażałem sobie, co robi w swoim mieszkaniu, ale nie potrafiłem do końca, bo ona tylko o tych zainteresowaniach i nic nie mogłem ukraść. Dużo mówiła, ale o sobie niewiele. A może nie ma męża, tylko wraca do pustego mieszkania albo do chorej matki, albo do kota, który zjadł już wszystko i nasikał na fotel, albo wraca do siostry, bo mieszka z siostrą, która studiuje zarządzanie, i wieczorami się kłócą, bo siostra nie lubi zainteresowań tej kobiety. Stałem pod tymi oknami, a może to nie były te okna, a może jej mąż pije i ją bije albo ją zostawił i mieszka z kochanką, albo mieszka z nią i równolegle zdradza, albo sprowadził kochankę do domu i mieszkają razem. Stałem godzinę, ciemno się zrobiło, to postałem tak i poszedłem.

Czekam, aż wrócą. Słyszę kroki na schodach, może to Zosia? Ale kroki mijają nasze drzwi i wspinają się wyżej. Noga mnie boli, pewnie od tych schodów.

Robiłem w życiu różne rzeczy, ale ostatnio tylko żyłem życiem innych. Okradałem podróżnych, ale nawet o tym nie wiedzieli. A ja mogłem jakoś żyć. Piękne miałem to ukradzione życie, tylko trochę smutne. Pamiętam jednego mężczyznę, tylko imienia nie pamiętam. Taki zwyczajny, może trochę za gruby. Nie chciał słuchać, chciał mówić. Nawet nie potrzebował moich reakcji, bo mówił, nie patrząc na mnie. Dużo mówił. Był człowiekiem sukcesu, tak mówił. Wszystko mu się udawało i był z tego zadowolony. Ja też, ale jemu nie zależało.

Jestem rencistą i nie mam żadnych sukcesów. Robiłem w życiu różne rzeczy, ale od wypadku tylko podróżuję. Lubię to. W pociągach jest

wszystko: ludzie, opowieści, ich życie. Jest więcej tego życia niż na ulicach. Ja je kradnę i nikt o tym nie wie.

Jestem rencistą i nie mam żadnych sukcesów. Ale tego mężczyznę też okradłem. Poszedłem za nim, a on tego nie wiedział. Wstąpił do kawiarni, a ja czekałem na ulicy. Potem ruszył do odnowionej kamienicy i tam został na noc. Czekałem pod oknami. A potem rano wyszedł, poszedł do swojej firmy, razem z panią, która mieszkała w kamienicy. Mam dużo czasu, więc szedłem za nimi. Po pracy wyszedł do domu, odebrał dziecko z przedszkola. A ja wróciłem na dworzec.

Wróciłem do domu, ale nikogo nie ma. Tak pusto i cicho. Herbata zupełnie zimna. Ciemno, martwię się.

Robiłem w życiu różne rzeczy, ale tego mężczyznę okradłem naprawdę. Z dworca poszedłem do kawiarni i usiadłem przy tym samym stoliku, przy którym poprzedniego dnia pił kawę. Wypiłem i poszedłem do jego kochanki. Powiedziałem jej w progu, że on zamierza ją rzucić, bo mu się znudziła i jest z nią tylko z litości. Potem poszedłem do firmy i powiedziałem prezesowi, że jego pracownik z księgową go oszukują. A na koniec odwiedziłem żonę i opowiedziałem o kochance, podałem adres i imię. Dziecko było w przedszkolu. Wróciłem na dworzec i wsiadłem do pociągu. W przedziale siedziały dwie starsze zakonnice. Opowiadałem, one słuchały, a ja pozwoliłem im słuchać.

Wróciłem do domu, a tu taka cisza. Za oknem gołębie.

Wróciłem do domu, ale mieszkanie jest puste. Trochę kurzu, pewnie Zosia nie ma czasu. Gdzie one są? Przecież już ciemno.

Nie było mnie jakiś czas. Kilka dni, może trochę dłużej? Wydaje mi się, jakbym zniknął na chwilę, jakbym wyszedł na godzinę.

Mieszkanie jest puste, za oknem gołębie.

Czekam, aż wrócą, może pojechały na wakacje? Jest sierpień; tak, pewnie na wakacje. Zebrało się trochę kurzu, bo w Krakowie się kurzy. Nie ma walizek, które leżały na szafie w przedpokoju. Tak, na wakacje. Dobrze, bo słońce i nie pada. Wrócą niedługo, wrócą.

Czekam, aż wrócą i chodzę po mieszkaniu. Pusto i cisza, tylko moje kroki. Jestem rencistą, noga ciągle boli i utykam. Kroki nierówne, słyszę, że kuleję. Robiłem w życiu różne rzeczy, ale od tamtego czasu niewiele. Mam zniżki, jeździłem koleją. Nie było mnie jakiś czas. Ile? Nie pamiętam. Może parę dni, może dłużej. Wakacje, pewnie Zosia z Małą pojechały na wakacje.

Wróciłem do domu, a tu pusto. I kurz na meblach, bo Zosia wyjechała na wakacje. Odpoczywa, a tu się kurzy. Jestem rencistą, mam dużo czasu, to posprzątam. I tak czekam i nie mam nic do roboty. Posprzątam.

Mieszkanie jest puste, za oknem gołębie.

Wróciłem i sprzątam. Nie było mnie jakiś czas, i tyle kurzu. Flanelowe szmatki tam gdzie zwykle, jest taka szuflada w przedpokoju. Poleruję pianino i stare meble. Są też nowe, ale lubię wycierać stare. Takie gładkie. Za oknem gołębie.

Wróciłem i sprzątam. Wszedłem do kuchni i zobaczyłem, że krzesła i stół też zakurzone. W świetle lampy od razu widać. Tylko na jednym krześle, tym moim, kurz naruszony. Bo usiadłem i teraz wygląda jak zabrudzone. A na innych taka równa warstwa. Więc wycieram dokładnie to moje, już się świeci, bo stare, fornirowane. Jakie tu wszystko stare, nie było mnie jakiś czas. Wcześniej też było stare.

Mieszkanie jest puste, za oknem gołębie. Zupełnie mnie nie obchodzą. Czekam na Zosię.

Mieszkanie jest puste i zakurzone. Chodzę po pokojach i sprzątam. Wszędzie zachodzę, wszędzie kurz. Tylko do sypialni nie. Jakoś nie.

Jestem rencistą i noga ciągle boli. Dobrze być rencistą, ale boli. Za to są zniżki. Siadam na fotelach i odpoczywam. A potem muszę po sobie posprzątać, bo naruszam ten kurz. On tak spokojnie leży, w ogóle nie czuć, że to nieporządek. Tylko kurz. Wszędzie cisza.

Mieszkanie jest puste i wszędzie tumany kurzu. Kaszlę, ale chodzę i ścieram. Otwarłem okna, żeby przewietrzyć. Za oknem gołębie, zupełnie mnie nie obchodzą.

Robiłem w życiu różne rzeczy, dużo podróżowałem. Po Polsce, ale podróżowałem. Teraz wróciłem do domu i sprzątam. Nie było mnie jakiś czas, pełno kurzu. Czekam i sprzątam. Chodzę po mieszkaniu, ale do sypialni nie. Jakoś nie.

Nie było mnie jakiś czas. Ile? Próbuję liczyć, ale to na nic. Jest sierpień, pewnie wyjechały na wakacje. Czekam i sprzątam, ucieszą się, jak wrócą. Wszystko będzie posprzątane, podłoga odkurzona, gdzie jest odkurzacz? Teraz nie, bo noc, ale rano zacznę odkurzać. Wszystko będzie lśniło, na pewno się ucieszą. I Mała się ucieszy, choć nie mam prezentu. Ale wróciłem. Za oknem gołębie, zupełnie mnie nie obchodzą.

Czekam, aż wrócą. Gołębie w ogóle mnie nie interesują.

Wróciłem do domu, nie było mnie jakiś czas. Myślałem, że kilka dni, a tu tyle kurzu. Robiłem w życiu różne rzeczy. Muszę odpocząć, bo noga ciągle boli. Nie muszę się śpieszyć, mam dużo czasu. Jestem rencistą.

Mieszkanie jest puste, na parapecie gołębie. W ogóle mnie nie interesują, odpoczywam. Już jasno, ranek, szybko czas zleciał. Czekam, aż wrócą.

Mieszkanie jest puste i posprzątane, wszystko lśni. Tylko sypialnia nie, do sypialni jakoś nie mogę. Nie teraz. Siedzę w kuchni, piję herbatę. Zjadłem śniadanie, lubię sam chleb. Kruszę w rękach i zjadam. Dobry chleb, lubię bez niczego. Za oknem gołębie, w ogóle mnie nie interesują.

Czekam, aż wrócą. Za oknem gołębie, w ogóle mnie nie interesują. Nie chcę podziwiać przyrody. Czekam, aż wrócą.

Nie było mnie jakiś czas. Ale niedługo, kilka dni. Może więcej, bo zakurzyło się wszystko. Już starłem. Czekam, aż wrócą. Wrócą.

Robiłem w życiu różne rzeczy, ale po wypadku tylko podróżowałem, słuchałem ludzi. Żyłem ich życiem, kradłem je, a oni nawet nie zauważali. Aż kiedyś spotkałem kogoś, kto był podobny do mnie. Też jeździł pociągami. Z początku go nie zauważyłem. Dopiero potem.

Jestem rencistą, jeżdżę pociągami. Kiedyś wracałem do Krakowa, bo zawsze wracałem, i opowiadałem starszej pani o moim życiu. Opowiadałem o życiu, o jakim chciała słyszeć, a przecież miałem wiele opowieści. Pod oknem siedział mężczyzna w moim wieku, podobny, szary i niewidoczny. Słuchał mnie, patrzył na starszą panią.

Jestem rencistą i jestem raczej szary. Tamten mężczyzna też był szary i nie zauważałem go przez cały czas. Widziałem, ale nie zauważałem. A on słuchał. Pani wysiadła w Skarżysku, to pamiętam, w Skarżysku, bo mówiła o tym cały czas, że musi wysiąść, bo córka czeka, bo jej potrzebuje, bo musi zająć się wnukami. I starsza pani wysiadła, pociąg ruszył, a szary mężczyzna podobny do mnie zapytał:

— Dlaczego pan kłamał?

Jestem rencistą i co komu do tego, czy kłamię. Starsza pani była zadowolona, pewnie opowiadała potem córce o mym losie. Ale chyba nie, bo wiedziałem, że nie jechała do córki, że nie ma wnuków, że nikt na nią nie czeka. Dlatego tak słuchała. Ale była zadowolona.

— Dlaczego pan kłamał?

Tak zapytał mnie ten szary mężczyzna. Skłamałem, że nie kłamałem.

— Skłamał pan. Jechałem już kiedyś z panem, pan nie pamięta, i pan opowiadał coś innego.

Nic mu nie odpowiedziałem, tylko tak siedziałem. I siedziałem tak jakiś czas, a potem pożegnałem się i poszedłem do innego przedziału.

I spotkałem tam dwie starsze zakonnice, które chciały, żebym ich słuchał. Choć zakonnice na ogół bardziej słuchają, niż mówią.

Wróciłem do domu, nie było mnie jakiś czas. Dużo podróżowałem, głównie koleją, bo lubię kolej. Ludzie wsiadają i wysiadają, nikt nie zostaje na dłużej. Po miesiącu znowu spotkałem w pociągu tego samego człowieka. Już go poznałem, bo był taki szary i niewidoczny. Ukłonił się, usiadł naprzeciwko mnie i nic nie mówił. Było ciasno, ludzie wracali z ferii, trudno było o miejsce, więc zostałem. A na korytarzu zimno, więc zostałem. Siedzieliśmy, każdy z nas czekał, aż wreszcie tamten człowiek zapytał. Zapytał jak żona. Ta z opowieści. A potem zapytał o inne rzeczy, z różnych opowieści. I zrozumiałem, że jeździł ze mną nie pierwszy raz, a ja go nie widziałem. Zacząłem odpowiadać i poczułem, że on jest podobny do mnie.

Wróciłem do domu, a tu pusto. Nie było mnie jakiś czas, więc pusto. Sporo podróżowałem, a tamten człowiek ze mną. Jestem rencistą i on też był, bo widziałem, jak pokazał konduktorowi legitymację. Ludzie wysiedli, wrócili z ferii, a my jechaliśmy dalej. Opowiadałem o sobie, a on o sobie. Miał na imię Józafat.

Jestem rencistą, Józafat też. Kiedy byliśmy sami, opowiedział mi o swym życiu. Robił różne rzeczy, przez kilka lat pracował na Wawelu. Siedział w komnatach królewskich i pilnował, żeby turyści niczego nie dotykali, bo stare. I cenne. Patrzył na nich, dużo czytał, zarabiał niewiele. Skończył historię sztuki i mu się nie udało. Tylko turyści i książki.

Czekam, aż wrócą. Tylko ja i cisza.

Jestem rencistą, Józafat też. Kiedyś mu się znudziło, cały czas na tym Wawelu. Postarał się o rentę i rzucił pracę.

Wróciłem do domu, a tu taka cisza.

Jestem rencistą, Józafat też. Kiedy znudził się pracą, załatwił sobie rentę i nie musiał pracować. Mieszkał z żoną pod Krakowem, w starym domku obrośniętym dzikim winem. Mieli wielki ogród, o który nie dbali,

starego psa i siebie. Jak się ten pies nazywał? W lecie siedzieli całymi godzinami na werandzie, czytali książki i pili kompot z wiśni. Zimą przy kominku rozmawiali o swej młodości, o pierwszych tygodniach swej znajomości, wspominali dawne czasy. I tak żyło im się całkiem znośnie, bez kłótni i napięć.

Czekam, aż wrócą. Wrócą.

Jestem rencistą, Józafat też. Mieszkał pod Krakowem, w domku pośrodku starego ogrodu. Jego żona była dobrą kobietą, poznali się na Wawelu. Też pilnowała królewskich komnat. Przez lata się nie zauważali, bo każde w swoim oknie, ze swoją książką. Kiedyś poszli na kawę i tak zostało. Zamieszkali w domku pod Krakowem po jej rodzicach.

Jestem rencistą i mam dużo wolnego czasu. Mój przyjaciel Józafat też. Kiedyś nie jeździł, tylko spędzał czas z żoną. Żyli skromnie, mieli psa i koty, niewiele potrzebowali. Jak się ten ich pies nazywał? Chyba Aza. Nie jeździli na wakacje, bo mieszkali przecież poza miastem. Byli szczęśliwi, aż ona zachorowała. To dziwne, nigdy mi nie powiedział jej imienia.

Wróciłem do domu i czekam, aż wrócą. Myślę o Józafacie Dumanowskim, z którym przez jakiś czas jeździłem razem pociągami. Dużo sobie opowiadaliśmy, kiedy inni pasażerowie wysiadali. Wybieraliśmy długie trasy, czasem milczeliśmy przez kilka godzin. Dobrze jest milczeć razem w pociągu. Koła stukają o tory, za oknem mijają słupy i krajobrazy. Tak cicho, dobrze milczeć.

Czekam, aż wrócą i myślę o Józafacie Dumanowskim. Nigdy nie wymienił imienia swojej żony, a mówił o niej wszystko. Zachorowała, z początku drobne zmiany w zachowaniu. Z początku nie zauważył. Z początku tylko niegroźne zmiany. Jakieś wahania nastroju, chwila nieuwagi, upuszczona filiżanka.

Czekam, aż wrócą, wszystko posprzątane, mogę się napić herbaty. Trzymam w dłoniach filiżankę, z której tyle razy piliśmy z Zosią.

Jestem rencistą, Józafat także. Siedział w domu, a stan jego żony się pogarszał. Traciła wolę, traciła życie. Nie chciała chodzić, nie chciała pracować, nie chciała wstawać. Z początku brał ją do lekarzy, ale nic nie pomagało. Jakieś pastylki, których nie chciała zażywać. Chudła i oddalała się od niego. Oddalała się, choć nic nie robiła. Ciągle była w tym samym łóżku, w tym samym fotelu, na tej samej werandzie. Sąsiedzi pewnie nic nie zauważyli. Dumanowski widział.

Mieszkanie jest puste i myślę o Dumanowskim. Opowiadał mi o szczegółach, których wolałem nie znać. Ale słuchałem, bo wiedziałem, że muszę. Opowiadał, a ja nie miałem dla niego opowieści. Jego żona umarła, on stracił dom, bo wróciła z Ameryki siostra żony, Józafat został sam. Był rencistą, więc zaczął jeździć. Nigdy nie opowiedziałem mu prawdy o sobie. Ale wymyśliłem życie, w które uwierzył. Tyle mogłem. Piękne miałem to życie, tylko trochę smutne.

Nie było mnie jakiś czas. Sporo kurzu, ale posprzątałem wszystko. Tylko odkurzacza nie mogłem znaleźć. Ale owinąłem miotłę mokrą szmatą i też dobrze się zrobiło. Wszystko lśni. Do sypialni nie wchodzę, na razie nie.

Mieszkanie jest puste i nie było mnie tu przez jakiś czas. Myślę o Dumanowskim, o jego bezimiennej żonie. Myślę o tym, że był z nią do końca. Taka cisza, spaceruję, żeby choć podłoga skrzypiała. Noga boli, ale spaceruję.

Nie było mnie jakiś czas. Sporo podróżowałem. Józafat Dumanowski też podróżował i opowiadał w pociągach o swoim życiu. Jeździł, bo nie miał gdzie wracać. Dom zajęła siostra żony, żona zmarła, nie miał dokąd wracać. To był dobry człowiek, dobry człowiek i nieszczęśliwy. Takich żal.

Wróciłem do domu, a Józafat nie ma gdzie wracać. Jeździliśmy po całej Polsce, wszędzie nas znali. Konduktorzy nas lubili, nieraz w swoim przedziale dali nam kawy z termosu. Dobrzy ludzie, mają swoje rodziny, potem wracają, zdejmują granatowe mundury i biorą dzieci na kolana.

Wróciłem do domu, a Józafat nie, bo nie miał domu. Czekam, aż wrócą i myślę o nim. Pewnie dalej jeździ. A może został na którymś dworcu? Może wrócił na Wawel? Muszę kiedyś sprawdzić, może siedzi w oknie, czyta książki i patrzy, żeby turyści nie dotykali arrasów; bo stare i nie wolno dotykać. Dawno go nie widziałem.

Czekam, aż wrócą i myślę o nich. Myślę o Józafacie Dumanowskim. Długo jeździliśmy razem, po całej Polsce. Czasem nie było pociągu i musieliśmy gdzieś szukać noclegu. Robiłem w życiu różne rzeczy. Wiele razy Józafat opowiadał mi o swej żonie, znałem ją tak dobrze jak Zosię. Tylko imienia nie, ale to lepiej. Bez imienia lepiej. Opowiadał tę samą historię po kilka razy, jakby chciał zrozumieć, jakby chciał poznać, co naprawdę się wydarzyło. Za każdym razem trochę inaczej, ale to była ta sama historia. Zaczęła więdnąć jak kwiatek. Zamknęła się, zwiędła i umarła. Mówił, że nie ma grobu, tylko rozsypał jej prochy. Z Wawelu.

Jestem rencistą, Józafat też. Rozumieliśmy się dobrze, szarzy ludzie i niewidoczni. Kiedy siedzieliśmy sami w przedziale, ludzie wchodzili, patrzyli na puste miejsca i szli dalej. Dobrze nam było. Józafat opowiadał o sobie, o sobie, zanim zaczął pracować na Wawelu. Był zdolny, dobrze się zapowiadał. Studia, stypendia, początek kariery. Pisał pracę o ikonach, ale nie skończył. Poszedł w politykę, bo wtedy wszyscy szli. Coś się nie udało i trafił na Wawel. Bardzo zdolny, szkoda. Dobry człowiek i nieszczęśliwy, takich najbardziej żal. Takich najczęściej trzeba żałować.

Jestem rencistą i mam dużo czasu. Czekam, a wtedy chwile przepływają wolno. Wtedy człowiek musi być sam ze sobą. Dużo czasu sam ze sobą. To trudne. Nie było mnie jakiś czas, ale wróciłem.

Czekam, aż wrócą, podłoga lśni. Tylko cisza została. Wstaję czasem i trochę pochodzę, żeby chociaż podłoga zaskrzypiała. Na pewno wrócą, przecież tylko na wakacje, już się sierpień kończy. Wrócą. Na szafce znowu brudno. Skąd się bierze tyle kurzu?

Wróciłem do domu i myślę o Józafacie. Taki zdolny, utalentowany. Grał nawet na skrzypcach. Mógł zrobić karierę, poszedł nawet do polityki, takie

czasy. Bardzo utalentowany, naprawdę. Myślę o nim i mi smutno. On nie ma nikogo. Ja mam dom, Zosia z Małą niedługo wrócą, napijemy się herbaty, ja będę mniej jeździł. Mogę sprzątać, bo jestem rencistą i mam dużo czasu. Mogę odkurzać. Ale mam dla kogo, niedługo wrócą. A Józafat sam, bez domu.

Noga ciągle boli, ale to nic. Inni mają gorzej, Józafat ma gorzej. Gdzie on teraz jest, biedny? Zżyliśmy się ze sobą, co tu kryć. Dwaj renciści, szarzy i niewidoczni. Na kolei nas znali. Józafat odszedł, kiedy skończyły mu się opowieści. Kiedy opowiedział całego siebie, to odszedł. Nie chcę kłamać, powiedział, i odszedł. Myślałem, że go kiedyś spotkam, ale nie.

Nie było mnie jakiś czas. Ile? Nie pamiętam. Wydaje mi się, że dopiero co wyszedłem, robiłem różne rzeczy, a przecież czas jakby stanął w miejscu. Teraz wróciłem i czekam. Myślałem, że Dumanowski wróci, że spotkamy się znowu w pociągu, jak dawniej. Czekałem na dworcach, pytałem o niego kolejarzy. Ale nie wiedzieli nic. Kiedy wróciłem do Krakowa, poszedłem na cmentarz, ale przypomniałem sobie, że prochy rozsypał. Nie miał adresu, telefonu. Imię jakieś dziwne; a tej jego żony to nawet nie znałem.

Noga ciągle boli, kiedy tak chodzę po pokojach. Po całym mieszkaniu chodzę, ale do sypialni nie. Na razie lepiej nie. Ale wolę chodzić, bo wtedy nie jest tak cicho. Znowu kurz, skąd się go tyle bierze? Józafat się rozpłynął. Nigdy go nie spotkałem. Rencista, szary i niewidoczny człowiek, jak ja. Takich najbardziej żal. Dobrzy, utalentowani, a tu taki los. Jeszcze trochę jeździłem.

Wróciłem do domu, kiedy uznałem, że nie chcę już jeździć. Nie chcę słuchać i opowiadać. Mieszkanie jest puste, taka cisza. Teraz czekam, aż wrócą. Trochę chodzę, noga ciągle boli. Czekam. Jestem rencistą, mam czas.

Wróciłem do domu, jakiś czas mnie nie było. Jak długo?

Nie było mnie jakiś czas i mieszkanie jest puste. Zosia wyjechała, zabrała Małą, wakacje się kończą.

Mieszkanie jest puste, zakurzone, ale posprzątałem wszystko. W zlewie były dwie filiżanki, nieumyte, ale wszystko inne na miejscu. Zosia nie wyjechała nagle. Szuflady zamknięte, szafy pozamykane, wszystko na swoim miejscu. Nie ma walizek i w szafach całe półki puste. Nie ma rzeczy Zosi i Małej, nie ma. Kiedy wyjechała? Gdzie jest?

Nie było mnie jakiś czas, choć wydaje mi się, że wyszedłem przed chwilą. Kilka dni, może dłużej. Jak długo? Kurz miał kilka miesięcy, od dawna nikt tu nie sprzątał. Nikogo tu nie było, bo kurz pokrył cały dom. Żadnych śladów na parkiecie, pokrył cały dom. Szafki pozamykane, szuflady puste. W gabinecie brakuje książek. Te, które zostały, przewracają się. Wyjechały, i tylko te filiżanki w zlewie. Nie ma odkurzacza, nie ma ubrań.

Nie było mnie jakiś czas, ale wróciłem do domu. Mieszkanie było puste i wyglądało, jakby spało. Wszędzie kurz, taka cisza. Wszystko na swoim miejscu i dopiero potem zauważyłem, że brakuje kilku mebli. Szafka pod telefon, puste miejsce pokrył kurz; maszyna do szycia, podłoga też zakurzona; fotel z gabinetu, komoda z salonu. Może coś z sypialni, ale nie byłem. Trzeba do sypialni, ale jeszcze nie teraz.

Mieszkanie jest puste. Wszystkie puste miejsca zakurzone, nie widać zupełnie, że czegoś brakuje. Teraz odkurzyłem, więc widać braki. Dużo braków, choć taki porządek i cisza. Jakby nikt nie ruszał. Jakby mnie nie było przez chwilę. Wszystko na miejscu i tylko te filiżanki. Też są na miejscu, bo umyłem i schowałem. Z jednej piję herbatę.

Mieszkanie jest puste, ale czyste. Zatarłem sprzątaniem wszystkie ślady i nie wiem, kiedy Zosia odeszła. Nie pamiętam, kiedy ja wyszedłem. Pamiętam, że wyszedłem na godzinę, może na dwie. Nie było mnie jakiś czas.

Czekam, aż wrócą. Pewnie wrócą, choć wyjechały dawno, tyle kurzu. Może czegoś zapomniały i Zosia wróci? Może jakaś książka, pamiątka albo potrzebny mebel? Ma klucze, to może wróci; ja czekam.

Wróciłem do domu i jestem sam. Tak samo jak przed powrotem. Czekam, ale nie wiem, czy ktoś przyjdzie. Spytałbym sąsiadów, ale sam nie wiem. Czy w ogóle mnie pamiętają? Starzy pewno pomarli, młodzi nie pamiętają. Czy wiedzą, gdzie Zosia? Może zostawiła u dozorcy adres? Jutro spytam, mam czas. Jestem rencistą, mam czas.

Wróciłem do domu, a tu mieszkanie puste. Dziwnie być samemu w tym domu. Zawsze było tu tyle ludzi, teraz nikogo. Sąsiadów prawie nie widuję, mijają mnie na schodach. Jestem szary i niewidoczny, to mijają. Sąsiadów mniej, pewnie poumierali. Jakiś czas mnie nie było. Pamiętam, że wyszedłem na godzinę, może dwie.

Jestem rencistą, ale jakoś sobie radzę. Jestem sam w pustym mieszkaniu, ale sobie radzę. Radzę sobie i czekam, noga ciągle boli, ale czekam. I chodzę, żeby nie było tak cicho. Gołębie odleciały, ale to obojętne. Nie chcę gołębi. Czekam, aż wrócą.

Czekam, aż wrócą. Jak długo ich nie ma? Kiedy Zosia odeszła? Kurzu było dużo, starłem i teraz nie wiem. Ale dużo. Jak się czuje Mała? Już nie taka mała, przecież nie było mnie jakiś czas.

Nie było mnie jakiś czas, jak długo Zosi nie ma? Jak długo była tu beze mnie, aż spakowała ubrania, książki, wzięła parę mebli i odeszła z Małą? Gdzie teraz są? Mała już pewnie nie jest taka mała. Wyszedłem tylko na godzinę.

Mieszkanie jest puste, jak długo stoi puste? Może spytam sąsiadów, ale jutro. I jeszcze ta sypialnia, ale też jutro. Nie chcę tam wchodzić.

Mieszkanie jest puste, ale jak długo stoi puste? Sprawdzę śmieci, w śmieciach może będzie jakaś gazeta, jakaś data ważności na kubeczku po jogurcie. Ale śmieci nie ma, sam wyrzuciłem kilka dni po powrocie. Bo

wróciłem do domu, zacząłem sam śmiecić i wyrzuciłem stare. Jakieś były na dnie, pamiętam. Ale teraz już nie ma. Już pewnie wywieźli, z tych niebieskich pojemników, które są na podwórku.

Nie było mnie jakiś czas i szukam śladów. Kiedy Zosia odeszła? Jak dawno? Trzeba spytać sąsiadów, ale jutro. Trzeba wejść do sypialni, ale jutro. Wszystko jutro; mam czas, jestem rencistą. Mam dużo czasu. Nic nie mam poza czasem. Pewnie wielu ludzi mi zazdrości.

Czekam, aż wrócą. Muszą wrócić. Muszą? A może Zosia wróci przypadkiem? Sprawdzam, czy wszystko zabrała. Zostawiła album z naszymi zdjęciami, ale może go nie potrzebuje? Po co jej nasze zdjęcia? Oglądam i widzę Zosię sprzed lat. Kiedy to było? Za okładką koperta, w kopercie zdjęcia Zosi. Bez bluzki. Stoi na polanie, żuje źdźbło trawy i patrzy uśmiechnięta w obiektyw. Nie ma bluzki, nie ma nic. Tylko trawa. Pamiętam.

Czekam, aż wrócą, ale po co Zosi te zdjęcia? Nagie piersi, wiele lat temu, jeszcze ze starej lustrzanki. Zdjęcie niedobre, ale Zosia piękna. Dobra Zosia, piękna Zosia. Jestem rencistą, ale zaczynam tęsknić. Może wrócą?

Wróciłem do domu, a dom pusty. Chodzę i pogwizduję, bo cisza. Wychodzę tylko po chleb i konserwy. Jestem rencistą, to muszę oszczędzać. A teraz konserwy dobre, pożywne. Chleb się zepsuł, ale i tak lubię. Czekam, może wrócą.

Wróciłem do domu, to mój dom. Pamiętam tu każdy kąt, teraz zaglądam i mi się przypomina. Może Zosia coś zostawiła? Może napisała jakiś list. Tylko po co? Jeśli napisała, to w sypialni. Trzeba do sypialni. Ale jutro.

Nie było mnie jakiś czas. Robiłem w życiu różne rzeczy. Jak długo je robiłem? Jak długo mnie nie było? Dzień? Miesiąc? Rok? Wyszedłem przecież tylko na godzinę, może dwie.

Wróciłem do domu, to mój dom. Mój, ale nie mój. Nie ma Zosi, nie ma Małej, nikogo nie ma. Co mi po tym domu, to tylko puste mieszkanie. Moje było pełne. Są rzeczy, ale ja nie chcę rzeczy. Nie było mnie jakiś czas i żyłem bez rzeczy. Nie chcę rzeczy. Może wrócą? Może Zosia zostawiła list? Trzeba do sypialni; ale jutro.

Czekam, aż wrócą. Gołębie przylatują i odlatują. Jest mi to zupełnie obojętne. Nie chcę podziwiać przyrody. Chcę, żeby wróciły.

Nie było mnie jakiś czas. Pamiętam, że wyszedłem na godzinę. Nie było mnie kilka lat.

Nie było mnie jakiś czas, nie było kilka lat. Wróciłem i chodzę po pustym domu. Trzeba w końcu wejść do sypialni. Może jutro.

Wróciłem i chodzę po pustym domu. Trzeba do sypialni, ale przecież w sypialni dziadek i babcia, w sypialni matka, a potem na tym samym łóżku my z Zosią. Sypialnia zamknięta, pewnie pełno kurzu, reszta mieszkania lśni.

Wróciłem i muszę wejść do sypialni. Otwieram ostrożnie drzwi, ale nie wchodzę. Przez szparę nic nie widzę, zasłony zaciągnięte. Dlaczego się boję? Wyszedłem na godzinę.

Mieszkanie jest puste, sypialnia jest pusta. Czego się boję? Przecież minęło tyle lat, choć wyszedłem na godzinę. Te meble nie pamiętają już tamtych czasów. Stoją zakurzone i nie pamiętają.

Czekam, aż wrócą. Może kiedyś wrócą? Za oknem gołębie, nie będę podziwiać przyrody. Może wrócą? Może z Zosią wejdziemy do sypialni razem. Może jutro.

Czekam, aż wrócą. Czekam z wejściem do sypialni. Przecież meble nie pamiętają, można wejść. Skoro ja pamiętam poza sypialnią, to czego się boję? Mieszkanie jest puste, same rzeczy i ja. Pełne rzeczy i puste. Czego się boję?

Wróciłem do domu i muszę do sypialni. Naciskam klamkę i popycham drzwi. W sypialni ciemno, w sypialni pusto.

Wróciłem do domu i muszę do sypialni. Czego się boję? Czego się bałem? W sypialni pusto, wchodzę i zapalam światło. Nie poznaję.

Mieszkanie jest puste, sypialnia jest pusta. Wyniesiono łóżka i szafę, nie ma nakastlików. Nie poznaję tego pokoju. Nigdy go nie widziałem. Dawniej był inny.

Mieszkanie jest puste, sypialnia jest pusta. Ale ktoś tu był. Na podłodze świece w misach pełnych piasku, na ścianach ikony. Ktoś tu był, ktoś tu żył. Nie było mnie jakiś czas.

Wróciłem do domu i nie poznaję sypialni. To obcy pokój. Ze ścian spoglądają święte twarze, wszędzie świece. Na środku krzesło, na nim Biblia. Kto tu był? Gdzie się podziały meble?

Nie było mnie jakiś czas, ale mieszkanie nie było puste. Zosia zabrała meble, a ktoś w dawnej sypialni urządził kaplicę. Chodzę ostrożnie między misami. Przez oparcie krzesła przewieszony habit, w kieszeni wełniane czotki. Dookoła mnie ikony, malowane tu, bo widać w kącie skromny warsztat.

Mieszkanie jest puste. Sypialnia jest pusta, ale pełna śladów. Kto tu mieszkał? Czy Zosia o tym wiedziała? Kto zmienił pusty pokój w kaplicę, modlił się i malował ikony? Gdzie teraz jest?

Czekam, aż wrócą. Czekam z nadzieją. Ale czekam też z niepokojem, bo może wrócić ten, kto się tu modlił. Na wszystkim w sypialni warstwa kurzu, ale cieńsza niż w całym domu. Ktoś tu był przede mną. Siadam przy stole, sypialnia jest daleko, kaplica daleko. Siadam i piję herbatę. Kim był? Czy wróci?

Czekam, aż wrócą, aż wróci, i próbuję sobie go wyobrazić. Widzę starego mnicha, długa siwa broda. Odciął się od świata, zamieszkał w moim domu, pustym domu. Malował ikony, modlił się i czuwał. Na co czekał? Widzę go w czarnym habicie, jak odmawia Modlitwę Jezusową, wargi powtarzają setki razy krótką frazę, oddech równy, wdech i wydech, mnich lekko się kiwa, w przód i w tył, wdech i wydech.

Czekam, aż wrócą i zastanawiam się, czy mnich wróci. Chodzę po domu i szukam jego śladów. Może zostawił jakieś rzeczy poza tym, co w sypialni; w kaplicy. Chodzę i nie znajduję. Wszystko na miejscu, tylko szafy puste. Żadnych męskich ubrań. To dobrze. Żadnych śladów w łazience, maszynki, żyletek, grzebienia. Wszystko zabrał. Dlaczego zostawił ikony i świece?

Czekam, aż wrócą i łapię się na tym, że czekam, aż wróci. Co mu powiem? Ostrożnie sprzątam sypialnię; kaplicę. W kącie niewielki warsztat ikonopisa. Na warsztacie niedokończona *Gościnność Abrahama*. Kontury trzech aniołów, w tle zarys budowli. Aniołowie bez twarzy, stopy wysunięte spod długich szat. Sprzątam i patrzą na mnie smutne oczy świętych. Jest tak cicho, staram się nie naruszyć tej ciszy. Zamiatam ostrożnie, żeby nie piętrzyć dźwięków. Tyle kurzu.

Czekam, aż wrócą, aż wróci. O czym będziemy rozmawiać? Jak on wygląda? Łapię się na tym, że nazywam go w myślach bratem Józafatem. Ma twarz Dumanowskiego, dodałem tylko brodę. Jak wygląda naprawdę?

Wróciłem do domu i odnalazłem czyjąś obecność. Żyję sobie obok śladów brata Józafata i nie czuję już tej pustki. Kim był? Dlaczego znalazł sobie pustelnię w środku świata, w środku miasta, w starej kamienicy przy ulicy S.? Czy Zosia go znała, czy dała mu klucze? Czy zajął puste mieszkanie wiele miesięcy po jej odejściu? Skąd przyszedł?

Czekam, aż wrócą, aż wróci. Coraz więcej czasu spędzam w kaplicy, oglądając ciemne ikony. Czuję, że to one mnie oglądają. Myślę o bracie Józafacie. Ma twarz innego Józafata. Jest dobry i samotny. Żal takich ludzi.

Mieszkanie jest puste, ale pełne czyjejś obecności. Chodzę po pokojach, podłoga skrzypi i wyobrażam sobie, że w kaplicy modli się brat Józafat. Skąd przyszedł? Czy wybrał sobie to miejsce na pokutę, w środku świata, w środku miasta?

Czekam, aż wrócą, czekam, aż wróci. Dlaczego odszedł? Czy skończyła się pokuta? Czy stracił wiarę? Wszędzie czuję jego obecność, nie jestem sam. Chodził po tej podłodze, choć pewnie spędzał większość czasu w kaplicy. Gdzie spał? Co jadł?

Mieszkanie jest puste, lubię brata Józafata. Nie znam go, ale lubię. Święty człowiek, utalentowany. Oglądam ikony, a one patrzą na mnie. Kaplica w sypialni.

Wróciłem do domu i znalazłem w zlewie dwie filiżanki. Ktoś pił herbatę, w pośpiechu, bo nie zdążył umyć. Brat Józafat, bo on tu był ostatni. Kto jeszcze? Może Zosia? Może przyszła, wypili herbatę i w pośpiechu odeszli, zostawiając za sobą to mieszkanie? Kim był? Gdzie teraz są? Czekam, aż wrócą. Może przyjdą razem?

Mieszkanie jest puste, ale pełne brata Józafata. Święty człowiek, dobry i pokorny. Chciałbym go poznać; chciałbym być taki jak on.

Wróciłem do domu, nie było mnie jakiś czas. Wszędzie ślady brata Józafata, mieszkanie jest puste, ale pełne śladów. Idę do kaplicy i ubieram habit. Nie goliłem się od wielu dni i mam brodę pustelnika. Noga ciągle boli, ale to nic. Czekam, aż wrócą. Czekam, aż wróci. Patrzę na ikony i one na mnie patrzą. Nie jestem sam.

Mieszkanie jest puste, a ja czekam, aż wróci. Święty i pokorny brat Józafat, który odrzucił sławę tego świata i wygrał swoje życie. Gdzie jest teraz?

Jestem rencistą, mam dużo czasu. Chodzę po pustym mieszkaniu w habicie, myślę o bracie Józafacie, myślę o Zosi. Czekam, aż wrócą. Mam czas, jestem rencistą. Noga boli, kiedy klękam.

Nie było mnie jakiś czas, ale jestem. Wyszedłem na godzinę, nie było mnie kilka lat. Wróciłem, ale nie wróciłem od razu.

Wróciłem, ale nie od razu. Wiele razy przez te lata wracałem. Zawracałem na ulicy S. albo stałem chwilę pod kamienicą i szedłem dalej. Bałem się, że ktoś mnie rozpozna. Widziałem wieczorami światła w oknach, wyobrażałem sobie, że w środku czekają na mnie. I szedłem z powrotem na dworzec, do pociągów. Noga ciągle boli, jestem rencistą.

Nie było mnie jakiś czas, nie było kilka lat. Wróciłem, ale bałem się wrócić. Dalej się boję. Czekam, aż wrócą i boję się, że nie wrócą. Boję się, że wrócą. Co ja im wtedy powiem?

Jestem rencistą, dużo podróżowałem. Aż skończyłem z pociągami i postanowiłem wrócić.

Wróciłem, ale nie od razu. Długo krążyłem, bo się bałem. Stałem na ulicy i patrzyłem na bramę. Dozorca zamiatał podjazd, potem wystawiał śmieci w niebieskich pojemnikach. Bałem się, że mnie zauważy, więc odszedłem.

Nie było mnie jakiś czas, bałem się. Dozorca mógł mnie przepędzić, więc stałem po drugiej stronie, taki szary i niewidoczny. Ludzie mnie mijali, ale mało ludzi tu chodzi. Czasem ktoś rzucił parę monet.

Nie było mnie jakiś czas. Wydaje mi się, że kilka chwil. Ile to czasu? Pewnie kilka lat. Dozorca pilnował wejścia, bałem się. Kiedy wyszedł, ostrożnie zakradłem się na podwórko. Stary jesion, ławeczka, trzepak. Teraz śmieci w takich niebieskich pojemnikach, na kółkach; dawniej w takich okrągłych. Nie było mnie jakiś czas.

Wróciłem do domu. Zaszedłem na podwórko, usiadłem na ławeczce i zapaliłem papierosa. Bałem się dozorcy, ale ten tylko podszedł i zapytał.

— Ja tu kiedyś mieszkałem — odpowiedziałem mu.

Zrozumiał i poszedł, a ja siedziałem kilka godzin. Kiedy zrobiło się ciemno, poszedłem, bo co tu po mnie.

Nie było mnie jakiś czas, ale wróciłem. Bałem się, ale poszedłem na górę. Noga ciągle boli, przystawałem co kilka stopni. Mijali mnie dawni sąsiedzi i nikt nie poznawał. Uśmiechałem się i mówiłem dzień dobry, ale nikt nie opowiadał, bo byłem taki szary. Przed drzwiami też się bałem, więc tylko nasłuchiwałem. Cicho, jakby nikogo nie było. Potem zszedłem na dół.

Wróciłem do domu, otwarłem drzwi i wszedłem do korytarza. Mieszkanie jest puste, taka cisza wokoło. Dawno wyjechali, bo widzę kurz na meblach.

Wróciłem do domu, ale chyba nikogo nie ma. Czekałem do wieczora, w oknach ciemno. Wakacje, pewnie wyjechali. Wiadomo. Bałem się dozorcy, że pewnie mnie przegoni. Nie wyglądam najlepiej, jestem rencistą.

Mieszkanie jest puste, taka cisza. Wszędzie kurz, unosi się przy każdym kroku. Usiadłem na krześle i od razu zostawiłem ślad. Wytarłem dokładnie szmatką i teraz stoi takie czyste, a pozostałe brudne. Od razu widać, że nie pasuje. Muszę wytrzeć wszystkie, to nikt nie zauważy. Kto? Mieszkanie jest puste, nikt nie zauważy. Ja i tak będę wiedział, że wytarłem.

Mieszkanie jest puste, pewnie dawno wyjechali. Chodzę i oglądam, co zostało. Wszystko w kurzu, więc nie widać, co zniknęło. Ale pamiętam. Brakuje szafki pod lustrem i dwóch foteli. Pianino zostało. Szafa w przedpokoju pusta, książki w gabinecie przebrane. Do sypialni długo nie zaglądałem, boję się.

Mieszkanie puste, wyjechali na dobre. Zosia spakowała ubrania, zabrała potrzebne rzeczy. Była spokojna, wszystkie szuflady zamknięte, żadnego bałaganu. Tylko ten kurz, ale to nie Zosia, tylko czas. Długo mnie nie było.

Nie było mnie jakiś czas. Jak długo? Wydaje mi się, że wyszedłem wczoraj. I tyle kurzu? Nie było mnie kilka lat, kurz nie kłamie.

Mieszkanie jest puste, kilka lat. Gdzie oni są? Czy wrócą? Na schodach słyszę kroki. Wstrzymuję oddech, bo się boję. Co powiem, kiedy ktoś tu wejdzie? Nikt mnie nie pamięta. Tamci ludzie poumierali. Pewnie zawołają dozorcę i mnie przepędzą. Nie wyglądam najlepiej, jestem rencistą.

Wróciłem i chodzę po domu. Chodzę po całym domu, już się nie boję sypialni. Bo sypialnia jest teraz kaplicą, nie ma się czego bać. Nie ma starych mebli, nie ma wspomnień. Są ikony i świece. Mieszkanie jest puste, ale odnajduję ślady brata Józafata. Dobry, święty człowiek. Kim był? Czy wróci? Oddam mu habit, jak przyjdzie. A może nie będzie potrzebował?

Wróciłem do domu. Mieszkanie jest puste. Noga boli, ale to nic. Zrobię sobie herbaty i poczekam, aż wrócą. Kiedyś muszą wrócić. Boję się, ale czekam. Co będzie, jak wrócą?

Fuga Vb

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i jestem rencistą. Robiłem w życiu różne rzeczy. Wróciłem do domu. Nie było mnie jakiś czas. Mieszkanie jest puste. Czekam, aż wrócą. Noga ciągle boli.

Jestem rencistą i to wyznanie mnie upokarza. Brzmi jak dobre wytłumaczenie dla wszystkich moich porażek.

Jestem rencistą. Wstydzę się, kiedy muszę to wyznać publicznie.

Jestem rencistą, jestem nieudany, popsuty, to dobre usprawiedliwienie moich klęsk.

Jestem rencistą, a kiedyś byłem człowiekiem. I nie potrzebowałem wymówek.

Mieszkanie jest puste. Nie ma wątpliwości. Wiem, że wyjechały. Szafy opróżnione, zakurzone półki, na których kiedyś leżały ubrania Zosi i Małej. Żadnego pośpiechu, żadnych śladów ucieczki. Zosia spakowała wszystko skrupulatnie, zapewne według listy, na której odznaczała kolejne pozycje. Wszystko według listy, życie według listy. W tym domu nikt nie mieszkał od dłuższego czasu, kurz i pustka, lekki zapach pleśni i zatęchłe, niewietrzone od miesięcy powietrze. Nawet nie wiem, gdzie są.

Robiłem w życiu różne rzeczy, byłem malarzem, podróżowałem. Miałem przyjaciół, rodzinę, dobre życie. Ale to się skończyło. Nie wiem, jak do tego doszło, świat zaczął się kruszyć niezauważalnie. I w końcu zostałem sam. Miałem wszystko, teraz jestem rencistą.

Mieszkanie jest puste, a ja zostałem sam. Może to dobrze?

Nie było mnie jakiś czas. Wypisałem się z życia na kilka miesięcy, może kilka lat. Jakie to ma teraz znaczenie? Czas stracony, pusty, przeciekł przez palce. Roztrwoniłem resztki dobrej woli, która mnie kiedyś otaczała. Teraz jestem sam, jestem rencistą. Chodzę po pustych pokojach i z trudem potrafię sobie przypomnieć dawne lata. Nie poznaję tego mieszkania. W mojej pamięci zawsze było pełne życia. Teraz jest zakurzonym składem niepotrzebnych nikomu przedmiotów, z którego ktoś wykradł wszystkie wspomnienia.

Czekam, aż wrócą. Ale nie wrócą. Zosia wyjechała, żeby nigdy nie wracać. Zostawiła to ponure mieszkanie za sobą. Zostawiła klucze na stole w kuchni i zatrzasnęła drzwi. Nie wróci. Też bym nie wracał, ale nie miałem się gdzie podziać. Kiedy już podjąłem decyzję, by tu powrócić, jest za późno. To mieszkanie będzie mi przypominało o tym wszystkim, co utraciłem. Nie utraciłbym, gdybym nie chciał.

Noga ciągle boli i nie daje o sobie zapomnieć. Wlokę ją za sobą jak strzęp dawnego życia.

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku.

Nie było mnie jakiś czas. Jak to się wszystko zaczęło? Chodzę po pustym mieszkaniu i próbuję sobie wszystko ułożyć w głowie. Był remont, wyprowadziłem się na jakiś czas, potem wypadek, szpital, sanatorium, podróże tu i tam. Kiedy wróciłem, Zosi już nie było. Prosta historia, nic do opowiadania.

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku.

Nie było mnie jakiś czas. Był remont. Wszystko się przeciągało, brakowało nam siły i pieniędzy. Ja ciągle wyjeżdżałem, nie było mnie całymi tygodniami. Zarabiałem na kolejnych zleceniach, wszystko szło w mieszkanie. Kiedy wracałem, dom był w ciągłej przebudowie. Folia na meblach, tektury na parkietach, wszędzie pył. Ale przecież tego chcieliśmy, to miał być początek nowego życia. Wszystko się popsuło.

Jestem rencistą, ale wcześniej byłem malarzem. Restaurowałem polichromie w kościołach, często wyjeżdżałem z domu na długie tygodnie. Całe dnie spędzane na rusztowaniach, zimno i wilgoć, słabe oświetlenie. Potrzebowaliśmy pieniędzy z tych zleceń, musieliśmy skończyć nasz remont. Dopiero wtedy dom miał być naprawdę nasz.

Mieszkanie jest puste i nie poznaję go. Nie widziałem go po remoncie. Zosia dokończyła go beze mnie. Przebudowała nasz dom według wspólnych planów. Ale mnie w nim nie było, więc spakowała się i odeszła. Nigdy nie zaczęliśmy tego nowego życia.

Nie było mnie jakiś czas. Kiedy ekipa weszła do salonu, wyniosłem się do przyjaciół. Najpierw odwiedzałem Zosię i Małą codziennie, potem co kilka dni. Potem przestałem przychodzić i tak zostało. Remont trwał, przebudowa naszego życia się przedłużała.

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku.

Mieszkanie jest puste. Zakurzone, ale schludne. Zosia musiała się wyprowadzić, jak tylko zakończył się remont. Zwinęła zachlapane farbą folie, wszystko umyła, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi.

Czekam, aż wrócą. Ale nie wrócą. Kto z nas wymyślił ten remont? Chcieliśmy uwolnić się od tamtego mieszkania, pełnego starych mebli po dziadkach i międzywojennej, zatęchłej atmosfery. Moi rodzice próbowali, ale im się nie udało. Kiedy mama umarła, postanowiliśmy, że przebudujemy nasze życie. Stare meble na śmietnik, pamiętam, jak niepotrzebne nikomu graty paliły się na podwórzu, ogień sięgał do drugiego piętra. Za pieniądze ze sprzedanych antyków zamówiliśmy u znajomego stolarza prosty wystrój. Wszystko oszczędne, nowoczesne. Trzeba było zrobić nową elektrykę, wycyklinować parkiet, pomalować ściany. Podczas prac zaczęły wychodzić kolejne rzeczy do poprawienia, stare mieszkanie pełne ukrytych chorób. Nowa kuchnia, nowa łazienka, wszystko nowe. Nowe życie.

Noga ciągle boli, wtedy nie bolała. Bolało wszystko inne. Skakaliśmy sobie z Zosią do oczu. Kłótnie o byle co; byle co stawało się sprawą życia i śmierci. Wszystko się ciągnęło, ja nie miałem czasu, ciągle mnie nie było. Nie lubiłem wracać do tego tymczasowego życia, tej poczekalni stłoczonej w jednym pokoju, domu pełnego robotników, pyłu i szeleszczącej folii. Zosia to jakoś znosiła, ale mnie te powroty przygnębiały. Czułem się jak uchodźca, który nigdy nie dostanie azylu.

Mieszkanie jest puste i go nie poznaję. Nie zdążyłem się z nim zaprzyjaźnić, czyste pokoje i nowe meble są dla mnie obce. Nie ma starych zapachów, znajomych kątów i detali. Jakbym zamieszkał w wynajętym domu. Tylko topografia nie uległa zmianie. Nie zdążyłem się tu zadomowić. Teraz jest już za późno. Sam przecież tego nie zrobię. Mogę tu co najwyżej mieszkać.

Noga ciągle boli. Rzadko schodzę na dół. Robię zakupy na kilka dni, chleb, konserwy i wódka. Renta starcza. Noga boli, większość czasu spędzam w kuchni. Siedzę przy stole, patrzę na szare podwórko. Zakurzone klucze Zosi ciągle leżą pomiędzy pustymi puszkami. Wszędzie plamy po oleju, zapach szprotek i kurz. Nie radzę sobie z porządkiem. Nigdy sobie nie radziłem. Zosia dbała o ład. Ja potrafię tylko bałaganić. Butelki i puszki, wszędzie kurz. Tak nie wygląda prawdziwy dom.

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku.

Nie było mnie jakiś czas, bo wyprowadziłem się do przyjaciół. Nie mogłem wytrzymać i postanowiłem przeczekać. Wtedy wierzyłem jeszcze, że kiedy wrócę po remoncie, zaczniemy od nowa i wszystko będzie dobrze. Zamieszkałem u Ani i Kozła, po drugiej stronie podwórka. Przez okna widziałem brudne szyby naszego mieszkania i robotników palących papierosy i wynoszących w wiadrach gruz.

Noga ciągle boli, ale wtedy byłem zdrowy. To było jeszcze przed wypadkiem. Do domu zachodziłem coraz rzadziej, mijałem się czasem z Zosią w bramie. U Kozła i Ani spałem na kanapie. Kozioł wyjeżdżał

w trasy, a my z Anią wspominaliśmy dzieciństwo w kamienicy. Dobrze nam było, z dala od remontu. Dookoła schludnie. Kanapa była wygodna.

Jestem rencistą. Wstydzę się za każdym razem, kiedy muszę to publicznie powiedzieć. Nie chodzi o nogę i kalectwo. W tym słowie zawiera się cała moja klęska, całe przegrane życie. Teraz z trudem wracam do czasów, kiedy nie musiałem się tak przedstawiać. Kozioł wyjeżdżał w trasy, dopiął swego, został saksofonistą, miał zespół, nagrywał płyty. Dziwny jazz, grał mi kiedyś, ale mi się nie podobało. Jazgot taki, wszystko nowoczesne i niszowe. Pamiętam, jak postanowił powiedzieć swemu ojcu, że nie będzie fotografem. Piliśmy wódkę, a potem Kozioł poszedł i powiedział. Stary Ostrowski siedział w milczeniu. Spodziewał się, ale do końca miał nadzieję. Zakład Ostrowskich, przed wojną nazywali się Hochsteinowie, istniał od przeszło stu lat. Śmialiśmy się, że robili zdjęcia, zanim wynaleziono fotografię. I Kozioł pierwszy się wyłamał. Zakład zamknięto, Kozioł koncertował w małych klubach. Było ciężko.

Mieszkanie jest puste. Siedzę teraz w kuchni, której nie poznaję, i wspominam kuchnię Kozła i Ani, gdzie siedziałem z Anią, a Kozła nie było. Ale nie wspominam Ani, tylko jego sprzed lat, kiedy piliśmy wódkę, zanim powiedział swemu ojcu, że to koniec fotograficznej tradycji rodu. Pamiętam, że stary Ostrowski zrobił mu wtedy serię zdjęć z saksofonem. Zrobił, co mógł. Kiedy umarł, zamknięto zakład. Widać odrapany szyld. Trochę szkoda, stary pan Zygmunt.

Czekam, aż wrócą, ale wiem, że nie wrócą. Chodzę po pustym mieszkaniu i łapię się na tym, że nie wspominam Zosi. Nic mi w tym mieszkaniu jej nie przypomina. Nowe meble, nowe kolory ścian, nowy kurz. Wspominam Kozła, wspominam Anię, ale Zosi nie. Ile lat ma teraz Mała? Czy poznałbym ją na ulicy? Pewnie już nie jest mała.

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku.

Mieszkanie jest puste, chodzę po nim i otwieram nieznane mi szuflady. Nie było mnie, kiedy remont się skończył. Zosia przepakowała całe nasze życie do nowych mebli. Z trudem znajduję cokolwiek. Wiem, że wiele

wyrzuciła. Niepotrzebne pamiątki, do których się nigdy się nie wraca, ale człowiek nie ma odwagi się ich pozbyć. Zosia miała. Chodzę po domu i znajduję albumy ze zdjęciami. Jacy byliśmy młodzi, jacy inni niż teraz. Jak teraz wygląda Zosia? Zza okładki wypada koperta. Do niej schowałem akty Zosi, raz pozwoliła się sfotografować nago. Były wakacje, łąka pełna kwiatów i wysokich traw, Zosia wśród kłosów. Pamiętam, jacy byliśmy młodzi.

Nie było mnie jakiś czas. Wyprowadziłem się na kilka dni do Ostrowskich i tak zostało. Spałem na kanapie, Kozioł wyjeżdżał w trasę. Kiedyś przebudziłem się w nocy, bo usłyszałem kroki. Leżałem z zamkniętymi oczami i nasłuchiwałem. Po starej podłodze boso szła Ania, stąpając ostrożnie. Poczułem, że podchodzi do kanapy i pochyla się nade mną. Czułem jej przyśpieszony oddech, jej włosy połaskotały mnie po twarzy. Postała chwilę i odeszła.

Robiłem w życiu różne rzeczy. Niektórych się wstydzę. Ale wtedy to nie ja zacząłem. Przychodziła tak co noc, Kozła nie było, a ja udawałem, że śpię. Spod półprzymkniętych powiek zacząłem podglądać, jak Ania mnie podgląda. A ona siadała naprzeciw na fotelu, czasem w koszuli, czasem naga, i patrzyła.

Noga ciągle boli, bolą wspomnienia, wszystko boli. Patrzę na zdjęcia nagiej Zosi, niewinne, czarno-białe. I wspominam Anię, jak siedziała w fotelu i dotykała się, patrząc na mnie. Pewnej nocy podszedłem do niej i kochaliśmy się całą noc. Moje życie było w przebudowie, po drugiej stronie podwórka Zosia wpuszczała rankiem ekipę robotników, a ja leżałem ścierpnięty na wąskiej kanapie, Ania poszła robić śniadanie.

Jestem rencistą, niewiele mogę. Chodzę po domu i wspominam, ale w tym mieszkaniu nie ma żadnych wspomnień. To dobrze. Po co zaczęliśmy ten remont? Może gdyby nie on, wszystko potoczyłoby się inaczej? Dlaczego się łudzę? Zaczęliśmy remont, bo bez niego wszystko byłoby jeszcze gorzej; i szybciej. Mieliśmy zacząć nowe życie, bo stare nam umarło. Nie udało się nam doczekać tego nowego. Szkoda.

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku.

Robiłem w życiu różne rzeczy. Był remont, wyprowadziłem się do Ostrowskich. Dużo wyjeżdżałem, konserwowałem stare freski w kościołach albo malowałem nowe polichromie. Kłótnie z proboszczami, ich niezadowolenie, niedotrzymywanie umów. Podobne do siebie pokoje na plebanii albo gościnne izby w chłopskich chałupach. Pobielane i zimne. Ile dni spędziłem w swoim życiu na rusztowaniu? Wyjeżdżałem od domowego remontu w sam środek remontów kościelnych. Miesiące spędzone pod sklepieniami, pył i zapach farb. Gdzie wtedy malowałem? Twarze świętych, biblijne historie. To był mój świat. Potem wracałem do Ostrowskich, Zosia i tak wiedziała, że jestem. Czasem brałem Małą na spacer, ale coraz rzadziej.

Jestem rencistą i nikt by nie powiedział, że kiedyś biegałem po rusztowaniach jak małpa. Życie pod sklepieniami kościołów, prawie pod samym niebem. Malowałem poważne twarze aniołów, złote gwiazdy i głęboki błękit nieba. Całymi dniami nie rozmawiałem z ludźmi, mieszając farby i nakładając kolejne warstwy. W tym czasie w moim domu jacyś obcy ludzie poprawiali wszystko, co było do poprawienia. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, dokąd nas ten remont zaprowadzi, może byśmy próbowali się przed tym ratować. Ale było za późno. Nie potrafiliśmy już ze sobą rozmawiać, wyprowadziłem się do przyjaciół.

Noga ciągle boli, ale przed wypadkiem byłem zdrowy. Kozioł też dużo wyjeżdżał i kiedy ja wracałem, całe dnie spędzaliśmy z Anią. To ja ją uwiodłem. Pewnego wieczora wsunąłem się do łazienki. Nie widziała mnie, kabina prysznicowa była zaparowana, o dno brodzika uderzał strumień wody. Siadłem w kącie i patrzyłem, jak goli sobie nogi. Nie uciekłem, kiedy otwarła drzwi kabiny. Zdziwiła się, ale nie przestraszyła. Tamtej nocy spaliśmy razem po raz pierwszy. Kozioł wrócił następnego dnia. Chyba od razu się domyślił.

Mieszkanie jest puste. Wygląda, jakby nikt w nim nie mieszkał. Zosia wszystko urządziła, po czym spakowała rzeczy i wyprowadziła się z Małą. Nie mogę znaleźć jej kluczy, musiałem je wyrzucić, kiedy sprzątałem kuchenny stół. Zaplątały się między puste puszki i przepadło. Wszystko

przepadło. Nie sprzątam tego kurzu, niech sobie leży. Czasem otrę się przypadkiem o jakiś mebel, wszędzie są ślady mojej nieporadności. Tu się oparłem, tam przysiadłem, wszędzie dowody mojej obecności. Ale nie sprzątam. Nie potrafię dbać o ten obcy dom. Nie dbałem też, kiedy był mój.

Nie było mnie jakiś czas, po wypadku bywałem tu i tam. Szpital, sanatorium, nie chce mi się do tego wracać. Od tamtej pory nie malowałem. Jakbym zapomniał to wszystko, co przez lata stanowiło o moim życiu. Może powinienem do tego wrócić? Cóż innego mi pozostaje?

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku.

Nie było mnie jakiś czas. Był remont, skakaliśmy sobie do oczu. Czuliśmy, że to początek końca i trzymaliśmy się tylko nadziei, że po remoncie wszystko się zmieni. Nowy dom, nowe życie, możliwość zapełnienia naszej przestrzeni nowymi wspomnieniami. Ziemia obiecana, do której nie doszliśmy. Kiedy to zrozumiałem, wyprowadziłem się do Ostrowskich. Zosia nie protestowała.

— Tak będzie lepiej dla wszystkich — powiedziała.

Zgodziłem się z nią po raz ostatni. Nie rozmawialiśmy już więcej. Dokończyła remont, mnie wtedy nie było, potem odeszła. Dlaczego wszystko posprzątała, dlaczego zostawiła mieszkanie w tak dobrym stanie? Nie wiem.

Jestem rencistą i upokarza mnie to. Nie wyglądam zbyt dobrze i teraz nikt nie uwierzy w moje opowieści. Zarośnięty, kulawy mężczyzna bez wieku. Chodzę w starym płaszczu na zakupy, wynurzam się z mieszkania raz na kilka dni. Sąsiedzi mnie nie zauważają. Głównie siedzę w kuchni i patrzę przez podwórko na okna mieszkania Ostrowskich. Chyba też wyjechali, nikogo nie widzę. Dawni lokatorzy poumierali, spotykam na schodach obcych ludzi. Oni mnie nie rozpoznają, ja nie rozpoznaję mieszkania moich dziadków. Wszystko się zmieniło.

Noga ciągle boli, przypomina mi o wypadku. Pamiętam, kiedy to było. Wcześniej siedzieliśmy z Anią w ich mieszkaniu, Kozioł był w trasie. Piliśmy wino, wspominaliśmy czasy dzieciństwa. Śmialiśmy się z tego, jak

ją kiedyś podglądałem. Po latach mogliśmy się tylko śmiać. Przysunąłem się bliżej i zaczęliśmy się całować. Byliśmy pijani, Ania z początku mnie odpychała. Potem poszliśmy do łóżka. Rano powiedziała, że to się nie może powtórzyć; że to był ten jeden raz, że nie powinien się wydarzyć. Zgodziłem się z nią i spakowałem torbę. Miałem jechać malować kościół pod Dębicą. Tamta noc nigdy się nie powtórzyła. Następnego dnia miałem ten wypadek.

Noga ciągle boli. Zrastała się długo, lekarze łamali ją dwa razy. Pod Dębicą wspiąłem się na rusztowanie z flaszką wódki w kieszeni fartucha. Wypiłem prawie duszkiem i zasnąłem. Musiałem się wiercić, bo w środku nocy spadłem na posadzkę. Pamiętam ból i zimno, i tylko tyle, bo zaraz zemdlałem. Obudziłem się w szpitalu. Nigdy już potem nie widziałem ani Ani, ani Zosi. Zostałem zupełnie sam. Przewieziono mnie do Krakowa, ale nikt mnie nie odwiedzał.

Mieszkanie jest puste. Chodzę po nim i nie mogę się zadomowić. Jest mi trudno, bo jestem zupełnie sam. Te ściany zawsze będą obce. Kupiłem farby, pędzle i kilka desek. Chcę zacząć malować, ale nie mogę się zebrać. Wszystko leży w naszej sypialni, przygotowane. A ja omijam tamten pokój. Patrzę na nowe łóżko, w którym nigdy nie spałem, nowe szafki nocne. Nie znam tego miejsca, wszędzie jestem intruzem.

Wróciłem do domu i muszę wszystko zacząć od początku.

Mieszkanie jest puste, wszystko nowe i nieoswojone. Zacząłem malować. Na deskach maluję twarze bliskich, którzy zdążyli stać się zupełnie obcy. Nic nas nie łączy, już ich nie zobaczę. Nie pamiętam ich twarzy, ale to nie ma znaczenia. Ta kobieta o smutnym spojrzeniu to Zosia, ta zdziwiona to Ania. Kozioł ma brodę, dziadek wygląd patriarchy. Tyle pamiętam.

Robiłem różne rzeczy, a kiedyś naprawdę malowałem. Nie wiem, dlaczego kościoły. Tak się złożyło. Nie wierzyłem, ale malowałem. Czułem pustkę tych sakralnych przestrzeni, które trzeba zapełnić pobożnymi

twarzami i korowodami świętych figur. Trzeba, żeby wierni mogli się jakoś zadomowić, jakoś znieść bezmiar domu Bożego.

Noga ciągle boli, ale dłonie przypominają sobie o dawnej sprawności. Maluję na siedząco, trochę czuję to w krzyżu. Twarze wychodzą mi smutne i ciemne, nie mam powodów do radości. Skupiam się na tym, by dobrze namalować. Nie myślę, nie wspominam. Czasem na chwilę mignie mi przed oczami jakiś strzęp. Ania też u nas mieszkała, kiedy u niej był remont, wiele lat temu.

Mieszkanie jest puste, ale w sypialni wisi już kilka obrazów. Ciemne twarze spoglądają na mnie poważnie. Zosia, Ania, Kozioł. Rodzice i dziadkowie. Trochę się ich boję, ale tak chyba musi być. Inaczej byłoby to kłamstwo.

Jestem rencistą, bo koledzy się postarali. Zapłacili komu trzeba i mam pierwszą grupę. Kozioł odwiedził mnie w szpitalu. Jakby wszystko wiedział. Ale nawet nie wspomniał, żartował tylko i błaznował; jak zawsze. W końcu położył na blacie szafki kopertę z legitymacją i papierami. Potem się pożegnał, uciekał wzrokiem. Wiedziałem, że go już nigdy nie zobaczę.

Robiłem w życiu różne rzeczy. To nie moja wina, Ania przecież chciała. Oboje chcieliśmy, przypomniała nam się nasza studencka miłość. Krótko to trwało, ale wspomnienia zostały. Wszyscy wiedzieli. Pełno kurzu, maluję całymi dniami. Maluję i piję, wszędzie puste butelki. Postanowiłem ich nie wyrzucać, tylko układam na pustych płaszczyznach, żeby po jakimś czasie zobaczyć, ile wypiłem. Pretensjonalne; ale nikt nie widzi, jestem sam.

Jestem rencistą. W samotności łatwiej być żałosnym.

Wróciłem do domu i muszę zacząć wszystko od początku.

Mieszkanie jest puste, moje życie jest puste. Wypełniam dni malowaniem i gapieniem się przez okno. Trochę piję. Wszystko robię trzy razy dłużej, żyję na zwolnionych obrotach. Długo siedzę, długo śpię, długo leżę. Nic nie muszę i nic mi się nie chce. Nie czytam, nie słucham, nie

oglądam. Maluję z musu, z musu się myję raz na tydzień, z musu chodzę do sklepu. Nie wiem, skąd ten mus. Jest obcy, ale jest ze mnie. Trochę dużo piję, butelek coraz więcej. Stoją pod ścianami, ale ich królestwo się rozrasta. Czasem jedną trącę nogą i wszystko się przewraca. Układam je potem na kolanach. Kiedyś bawiłem się żołnierzykami, godzinami rozstawiałem armie na parkiecie. Wódka, piwo, wino.

Robiłem różne rzeczy, obrazów coraz więcej. Maluję twarze bliskich. Bliscy stali się obcy, nie ma ich, jestem sam. Twarze też są obce. Nikt by ich nie rozpoznał, ale ja wiem, że to oni. Bardziej oni niż na zdjęciach. Dlaczego? Nie wiem. Patrzą na mnie ze ścian sypialni. Przestałem tam sypiać, mam barłóg na kanapie w salonie. Nowa kanapa, trochę zakurzona, nie znam jej. Czy taki kolor obicia wybraliśmy wtedy z Zosią? Nie pamiętam. Ania prowokowała mnie, kiedy spałem u nich. Przechodziła przez pokój w samym szlafroku albo zawinięta w ręcznik. To nie moja wina, Kozioł był moim przyjacielem.

Czekam, aż wrócą, ale nie wrócą. Czasem wydaje mi się, że idą, ale to nie one. Raz zadzwonił telefon, ale nie odebrałem. Pewnie dzwonili z ofertą. Ani i Kozła też nie ma, nikt już tu nie wróci.

Nie było mnie jakiś czas, wiele się zmieniło. Ledwo poznałem podwórko, ledwo poznałem mieszkanie. Ile lat mnie nie było? Wyszedłem ze szpitala i błąkałem się po sanatoriach. Długie rehabilitacje, jakieś znajomości ze starszymi paniami. Tłumy starszych pań, podobne fryzury i stroje. Byłem uprzejmy. Słuchałem ich nudnego życia, spacerowałem z kuracjuszami po opustoszałych i zapomnianych kurortach. Potem włóczyłem się długo po Polsce, tu i tam.

Robiłem w życiu różne rzeczy, a teraz nie robię nic. Czasem próbuję sobie wyobrazić, jak mogłoby się potoczyć moje życie. Nie robimy remontu, nie kłócimy się, nie wyprowadzam się do Ostrowskich; nie spadam z rusztowania, nie spędzam lat na tułaczce, Zosia czeka, Mała czeka. Próbuję wtłoczyć te sceny w pomieszczenia pustego mieszkania i nie potrafię. To nowe życie nie mogło się udać. Przynajmniej remont wyszedł.

Czekam, aż wrócą, i wyobrażam sobie, co by było, gdyby wszystko było inaczej. I nic nie czuję. Nie czuję żalu, smutku, nadziei, niczego. Próbuję coś poczuć i nie potrafię. Kiedy przestałem czuć?

Wróciłem do domu i muszę zacząć wszystko od początku.

Mieszkanie jest puste, jakby ktoś wyremontował je tylko po to, by wystawić na sprzedaż. A może Zosia dała ogłoszenie? Może chodzili po nim obcy ludzie, wyobrażając sobie swoje nowe życie w starej krakowskiej kamienicy? Może dlatego dokończyła remont? A może ktoś mieszkanie kupił, ale stoi puste, bo ten nowy właściciel mieszka gdzie indziej? Chodzę po pokojach i wyobrażam sobie różne scenariusze. Cudze mieszkanie, w końcu nowy właściciel wróci i będę się musiał wytłumaczyć z tego bałaganu. Wszędzie puszki po konserwach, butelki, podłoga w sypialni zachlapana farbą. Moją, nie z remontu.

Nie było mnie jakiś czas i wyobrażam sobie, co się przez ten czas wydarzyło. Zosi nie ma, Małej nie ma, Mała jest duża i nikt nie nazywa jej Mała. Tylko ja ją tak nazywałem. Czyli nikt. Całymi dniami leżę w barłogu na kanapie. Ania chciała wtedy seksu, ja jej nie zmuszałem.

Jestem rencistą i próbuję sobie wyobrazić, jak byśmy z Zosią żyli, gdyby nowe życie nam się udało. Mała by dorosła, wyprowadziłaby się do chłopaka. Albo wyjechała za granicę, na stypendium. A może by została, a my kupilibyśmy pod Krakowem mały domek ze starym ogrodem i tam zamieszkali. Ja byłbym rencistą, namówiłbym Zosię na rentę, bo renta jest dobra. Renta we dwoje jest dobra. Żylibyśmy ze skromnych świadczeń w małym domu obrośniętym dzikim winem, jak w bajce.

Noga ciągle boli, ale w tym marzeniu by nie bolała, bo w tamtym życiu nie byłoby wypadku. Żylibyśmy pod Krakowem, próbuję to sobie wyobrazić i coś poczuć. Nic nie czuję. Renta nie jest dobra. Rencista to imię mojej porażki.

Robiłem w życiu różne rzeczy, teraz nie robię nic. Trochę piję, coraz więcej. Renty ledwo starcza, ale odkryłem tańsze trunki. Mogą być tanie,

jest mi wszystko jedno. Budzę się w różnych miejscach; na podwórku, na półpiętrze. Sąsiedzi, których nie znam, mijają mnie z obrzydzeniem. Dzieci się boją, bo śmierdzę i nie najlepiej wyglądam. Uśmiecham się do nich, ale wtedy uciekają. A ja podnoszę się, wracam do domu, zmieniam zasikane spodnie i idę spać.

Noga ciągle boli. Czasem przestaje, ale odzywa się po nocy spędzonej na schodach. Trochę piję, trochę maluję. Twarze obcych mi bliskich patrzą na mnie. Raz patrzą z wyrzutem, raz ze spokojem. Sam nie wiem, co o tym myśleć.

Czekam, aż wrócą, i nie wiem, co wtedy zrobię. Czy padniemy sobie w objęcia? Czy będziemy długo rozmawiać przy kuchennym stole? Czy Mała będzie chciała mnie znać? Wiem, że nie wrócą, że nie padniemy, że nie będziemy rozmawiać. Nikt mnie nie chce znać.

Jestem rencistą, ale w monopolowym to nie działa.

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku.

Noga ciągle boli, a ja już nic nie muszę. Kiedy obudziłem się w szpitalu, powiedzieli mi, że spadłem z rusztowania. Nic nie pamiętam. Nie pamiętam, jak jechałem pod Dębicę, nie pamiętam kościoła, nic. W szpitalu myślałem, że wszystko zacznę od nowa. Ale wtedy wszystko się skończyło.

Mieszkanie jest puste i jestem zupełnie sam. Twarze na obrazach są martwe. Nic nie czuję. Kiedy przestałem czuć? Wyobrażam sobie, że udało nam się tamto życie. Wyobrażam sobie to, aby się wzruszyć. Mieszkamy z Zosią w domku ze starym ogrodem, siedzimy na werandzie obrośniętej dzikim winem. Jesteśmy rencistami. Aby się zranić, próbuję wyobrazić sobie, jak Zosia umiera. Jak zapada na depresję i oddalamy się od siebie, jak opiekuję się nią ze świadomością, że ją tracę, jak umiera, a ja zostaję sam w pustym domu z bajki. Wzruszające, ale nic nie czuję.

Noga ciągle boli, ale poza tym nic nie czuję. Kiedy odkryłem, że nie potrafię się wzruszyć nawet wyobrażeniem umierającej Zosi, rozpłakałem się. Nic nie czuję, jedyne, co we mnie coś czuje, to noga. W mojej bajce Zosia umiera w domku pod Krakowem, bajka się kończy, a ja nie wstaję z łóżka.

Jestem rencistą i to mnie trzyma przy życiu. Co miesiąc przychodzi listonosz, wypłaca mi należne świadczenie. Patrzy z odrazą w głąb mieszkania, wszędzie butelki. Trącam je, przewracają się, ale ich nie poprawiam. Niech leżą. Wszędzie pełno kurzu.

Czekam, aż wrócą. Nie czekam już. Czekam tylko na listonosza.

Wróciłem do domu. Muszę zacząć wszystko od początku. Nic nie zacznę, bo nie mam czego zaczynać.

Jakiś czas mnie nie było. Przez ten czas skończyło się moje życie. Teraz trwam sobie, nie musząc nic zaczynać. Nawet gdybym chciał, to co ja mogę zacząć?

Jestem rencistą, pozostaje mi tylko czekać na listonosza. Czy Kozioł wiedział o nas, kiedy odwiedził mnie w szpitalu?

Wróciłem do domu. To już nie jest mój dom.

Mieszkanie jest puste. Wszędzie tylko kurz, butelki i nieudane obrazy.

Czekam, aż wrócą. Po co miałyby wracać? Zosia pewnie zrobiła wszystko, by zapomnieć o tym mieszkaniu. Zostawiła tu wszystko, co łączyło ją z dawnym życiem. Oglądam czasem fotografie z jej nagim ciałem. Niewiele widać, wszędzie źdźbła trawy i kłosy. Nawet to zostawiła, jakby to nie były jej zdjęcia.

Czekam, aż wrócą. Ale nie wrócą. A jeśli wrócą, to spakuję się i odejdę. Znów będę musiał zacząć wszystko od początku. Tylko nie będę miał już nic do zaczęcia.

Fuga VI

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i jestem człowiekiem sukcesu. Mam dobre życie. Mówią o mnie różne rzeczy. Kupiłem mieszkanie. Przychodzę tu codziennie. Jest tak pusto i cicho. Trzeba wszystko urządzić. Kto tu wcześniej mieszkał? Nachodzą mnie już sąsiedzi. Jutro powiem Zosi. Tu będzie nasz dom.

Jestem człowiekiem sukcesu i mam dobre życie.

Kupiłem mieszkanie w starej krakowskiej kamienicy. Szukałem takiego od dawna i trafiła się okazja. Duże, słoneczne, przestronne pokoje. W dobrym stanie, bez grzyba, parkiet na całej podłodze. Od razu mi się spodobało.

Tu będzie nasz dom, pomyślałem. Powstrzymywałem się przed pośrednikiem, by nie okazać radości. Zamierzałem się targować i to mi się udało.

Jestem człowiekiem sukcesu, tak o mnie mówią. Ale co to znaczy?

Mówią o mnie różne rzeczy, ale najczęściej dobrze.

Kupiłem mieszkanie w krakowskiej kamienicy. Z początku nie podobało mi się otoczenie. Kamienica odrapana, brudne podwórko, uschnięte drzewo i kubły na śmieci. W oknach sami starcy, blade twarze ożywione czyjąś obecnością. Szedłem po schodach za pośrednikiem, śmierdziało starością i wilgocią. Przyznaję, odpuściłem. Z uprzejmości postanowiłem obejrzeć wnętrze. Ale kiedy otwarły się drzwi, wiedziałem, że to jest to.

Tu będzie nasz dom, pomyślałem. Chodziłem po skrzypiącej podłodze i czułem radość. To jest to miejsce.

Przychodzę tu codziennie, nie mogę się nacieszyć.

Jestem człowiekiem sukcesu. Teraz będę miał dobre życie.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Przychodzą nieoczekiwanie, pukają albo wchodzą bez pytania. Zawsze pojawiają się w czasie, kiedy chodzę po pustych pokojach. Jak zjawy wywołane moimi krokami.

Kupiłem mieszkanie w krakowskiej kamienicy, bo zawsze o takim marzyłem. Wychowałem się w bloku, w ciasnych dwóch pokojach, potem takie same klitki z Zosią, potem to strzeżone osiedle, mam tego dość. Marzyłem o amfiladach, starym budownictwie, marzyłem, by spacerem chodzić na Rynek. Wyobrażałem sobie od lat, jak będę je urządzał, jak będę wybierał kolory ścian i meble. Stare mieszkanie, stara kamienica, na ulicy wysokie drzewa. Wymarzyłem sobie i mam.

Jestem człowiekiem sukcesu i mam dobre życie. Niekiedy myślę, że to znaczy to samo.

Kupiłem mieszkanie. Mam pieniądze, bo jestem człowiekiem sukcesu.

Tu będzie nasz dom. Nie będę go sprzedawał. To jest mieszkanie na całe życie. Może jeszcze jakiś domek za miastem, żeby na weekendy wyskoczyć poza mury. Działka albo chałupa z bali, w jakiejś głuszy. Ale tego nie sprzedam. Jest moje.

Trzeba wszystko urządzić, jest tak pusto i cicho.

Kupiłem mieszkanie, choć w pewnym momencie przeżyłem zwątpienie. Zanim trafiłem na ulicę S., pośrednik pokazał mi kilkanaście lokali. Wszędzie czegoś brakowało. A to za małe, a to za drogie, a to z widokiem na odrapaną ścianę; grzyb na ścianach, lokatorzy kwaterunkowi, niejasności prawne. Miałem dość, ale zaciskałem zęby i umawiałem się na oglądanie kolejnego lokalu.

Jestem człowiekiem sukcesu i się tego nie wstydzę.

Mówią o mnie różne rzeczy. Słyszałem, jak mnie obgadują, ale to z zazdrości. Najgorzej, jak ci się uda. Zwycięstwa przeżywa się w samotności.

Mam dobre życie. Ale będę miał lepsze.

Przychodzę tu codziennie po pracy i chodzę po pokojach. Ostatnie godziny w biurze dłużą się niemiłosiernie. Nie mogę się na niczym skupić, co chwila zerkam na zegarek. Wreszcie mogę uciec, żegnam się w biegu i pędzę na ulicę S.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, choć jeszcze się nie sprowadziłem. Skąd wiedzą o moim istnieniu?

Jest tak pusto i cicho. Chodzę i słyszę własne kroki. Przemierzam długi korytarz i zaglądam do wielkich pokoi. Bez mebli są naprawdę ogromne, nie to co w bloku. Wielka płyta, małe klitki, sufit tuż nad głową. Tu można oddychać. Nie to co na tym strzeżonym osiedlu, wokoło sami ludzie sukcesu. Tu czuję się jak w pałacu.

Jestem człowiekiem sukcesu. Ale jestem inny, przynajmniej mam jakąś ideę.

Trzeba wszystko urządzić, jest tak pusto i cicho. Sam wszystko wymyślę, to będzie niespodzianka. Zosia się ucieszy.

Tu będzie nasz dom. Zostawimy nasze dawne życie, tak jak zostawiliśmy tamtą ciasnotę, to ciągłe wpadanie na siebie. Zosia się ucieszy. Na wszystko będzie miejsce. Zaczniemy wszystko od nowa.

Kupiłem mieszkanie w krakowskiej kamienicy. Pośrednik chciał mnie trochę naciągnąć, ale ja jestem za stary wróbel. Udawałem znudzonego, oglądnąłem jeszcze kilka lokali. Udawałem, że ten mnie w ogóle nie interesuje. Podziałało. Pośrednik sam zaproponował, żebyśmy obejrzeli

lokal jeszcze raz. Ociągałem się, on namawiał. Taka gra. Grunt to cierpliwość i żelazne nerwy.

Trzeba wszystko urządzić, jest tak pusto i cicho. Sam wszystko wymyślę, to będzie niespodzianka. Zosia się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, choć jeszcze się nie sprowadziłem. Skąd wiedzą o moim istnieniu?

Trzeba wszystko urządzić. Z początku wyobrażałem sobie wszystko nowoczesne. Ale to mieszkanie ma swoją duszę, ma swoją historię. Nie można wszystkiego niszczyć. Może kuchnię zostawić tradycyjną? Zamiast szafek kupić dwa stare kredensy? I stół nieco zniszczony, jakbyśmy sami go używali przez lata? Nie mamy z Zosią takiego stołu, nasz zaraz się rozleci. Tu trzeba kupić nowy, ale żeby był stary. A może kredensy pomalować na biało, jak w prowansalskich domach? A może surowe drewno jak w Toskanii? Chcę, żeby było domowo i przytulnie.

Jestem człowiekiem sukcesu, od dwudziestu lat na krzywej wznoszącej. Wiem, co mówię. I mam dobre życie. Mam je.

Kto tu wcześniej mieszkał?

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Przychodzą nieoczekiwanie, pukają albo wchodzą bez pytania. Zawsze pojawiają się w czasie, kiedy chodzę po pustych pokojach. Jak zjawy wywołane moimi krokami.

Jest tak pusto i cicho. Wyniesiono meble, zdjęto obrazy, nawet gwoździe zabrano. Tylko ściany i drewniana podłoga. Mimo to odnajduję ślady czyjejś obecności. Widzę jaśniejsze prostokąty parkietu w miejscu, gdzie kiedyś stały meble. Na środku okrągła plama, pewnie dywan. W salonie wisiały pojedyncze obrazy, ale w pokoju, w którym będziemy mieli z Zosią sypialnię, jest wiele dziur po gwoździach. Co tu wisiało? Rodzinne portrety? Miniatury? Pejzaże i akwarele? Na ścianie jaśniejsze prostokąty i ramki z kurzu.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Przychodzą nieoczekiwanie, pukają albo wchodzą bez pytania. Zawsze pojawiają się w czasie, kiedy chodzę po pustych pokojach. Jak zjawy wywołane moimi krokami.

Mówią o mnie, że mam w życiu szczęście. Ale szczęściu trzeba pomagać. Znałem takich, co mieli szczęście. I gdzie teraz są?

Jestem człowiekiem sukcesu, tak mówią. Ale co to znaczy? Czy sukces to dobre życie? Mam szansę na dobre życie. Będzie dobre.

Trzeba wszystko urządzić, jest tak pusto i cicho. Sam wszystko wymyślę, to będzie niespodzianka. Zosia się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Sami przegrani ludzie, jacyś starcy, emeryci, wszyscy tacy kalecy, schorowani; nie chcę takich sąsiadów.

Jestem człowiekiem sukcesu. Pewnie dlatego mnie nachodzą. Pewnie wyobrażają sobie nie wiadomo co. Trudno, będę się musiał przyzwyczaić. Oni też. Nic im się nie należy. Kupiłem to mieszkanie i to wszystko.

Tu będzie nasz dom. A sąsiedzi się przyczają. Żadnych wizyt, żadnych bliższych znajomości. Mam swoich przyjaciół, nie potrzebuję tych rencistów. Niech się spotykają sami ze sobą, jak już muszą.

Kto tu wcześniej mieszkał? Mieszkania nie podzielono po wojnie, czyli pewnie zostali tu dawni właściciele. Stara krakowska rodzina, przedwojenne mieszczaństwo. Pewnie mieli wiele antyków, bibeloty z dziewiętnastego wieku, w kredensach serwisy rodowej porcelany. Może jakaś zubożała szlachta? W dużym mieszkaniu musieli stłoczyć dobytek z opuszczonego dworku. Wyobrażam sobie te ciężkie fotele i stoły, rogi jelenia i dychawiczną fisharmonię.

Przychodzę tu codziennie, zawsze po pracy. Punktualnie, jak w zegarku. Chyba że korki.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Pojawiają się nieoczekiwanie, pukają albo wchodzą bez pytania. Zawsze przychodzą w czasie, kiedy spaceruję po pustych pokojach. Jak zjawy wywołane moimi krokami.

Trzeba wszystko urządzić. Wybrałem już kolory. Kuchnia będzie błękitna, do tego jasne meble. Salon biały. W sypialni lilaróż. U Zuzi seledyn, seledyn jest ładny, na pewno się spodoba. Będzie zła, że nie różowy, ale nie może być różowy. Trzeba przecież dbać o jej dobry smak, to jeszcze dziecko. Kiedy ma się uczyć jak nie teraz? Postawy trzeba kształtować w dzieciństwie. Potem będzie za późno. Na pewno nie różowy. Widziałem taki stalowy komplet do sypialni. Oszczędny, lekki, w sam raz. Do tego szafki i lampy. Na krótszej ścianie szafa z przesuwanymi drzwiami, cała w lustrach.

Mam dobre życie. To chyba sukces?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, choć jeszcze się nie sprowadziłem. Skąd wiedzą o moim istnieniu? Wścibscy, starzy ludzie, którzy nie mają własnego życia i żerują na innych. Pewnie sami renciści.

Mam dobre życie. Tu będzie jeszcze lepsze. Cały czas do przodu.

Trzeba wszystko urządzić, sypialnia. Na środku wielkie łoże, naprzeciw toaletka dla Zosi. Łoże metalowe, toaletka z rattanu. Nocne szafki z rattanu i ze szklanymi blatami. Kolor, jaki kolor? Lilaróż, a może brzoskwiniowy? Szafki z rattanu, a może z drewna, kolor syberyjskiej sosny. Jeśli sosna, to nie lilaróż. Może błękit? Błękit w kuchni, a więc może brzoskwinia. Jaka szafa? Musi być szafa, w sypialni szafa obowiązkowo. Na całej ścianie, żeby się wszystko zmieściło. A może wstawić ściankę i zrobić garderobę? Zosia marzyła o garderobie, ucieszy się.

Jutro powiem Zosi. Na pewno się ucieszy.

Kto tu wcześniej mieszkał? Czy mieli służbę, czy też radzili sobie sami? A może to byli Żydzi? Na Kazimierz kilka kroków, może mieszkali tu od dawna? Ocaleli z Zagłady, wrócili tu po wojnie, odkupili swoje meble

albo zdobyli inne. Mało to było niczyich mebli po wojnie? Urządzili wszystko tak jak w tamtym świecie, który odszedł, i żyli sobie przez dziesiątki lat. Pewnie zasymilowali się dawno temu, może nawet zmienili nazwisko. Krakowska inteligencja o żydowskich korzeniach.

Mówią o mnie, że jestem duszą towarzystwa; że imprezy beze mnie to nie to samo; że jak wejdę, to rozruszam każdą grupę. Choćby usypiali, to ja ich obudzę. Zazdroszczą mi tego. To niech się bawią sami.

Jest tak pusto i cicho. Wyobrażam sobie poprzednich lokatorów, dla których to mieszkanie nie miało tajemnic. Żyli w nim od dziesiątków lat, obrastało nimi i kolejnymi wspomnieniami, meble i obrazy od lat nie zmieniały swego miejsca.

Kto tu wcześniej mieszkał? A może po wojnie puste mieszkanie zajął jakiś partyjny dygnitarz? Może jakiś generał ludowego wojska? Może ubek? Radziecki oficer? Sprowadził rodzinę z małego miasteczka, kupili pożydowskie mienie i udawali zakorzenionych od lat. Poznali sąsiadów, chodzili Plantami na spacery i po dwudziestu latach sami uwierzyli, że żyją tu od zawsze. Nigdy nie pytali o poprzednich właścicieli, nowym znajomym mówili, że to ich przodkowie sprowadzili się w to miejsce, kiedy zbudowano kamienicę. Wydawali przyjęcia, pan domu jeździł na polowania, mieli biblioteczkę, z której nie korzystali.

Trzeba wszystko urządzić, salon. Budować kominek czy nie? I tak nie będzie się paliło codziennie. Znajomi postawili i używają przez dwa tygodnie w roku. Trochę szkoda zachodu. Ale kominek ładny, nawet jak się nie pali. Kominek nowoczesny czy tradycyjny? Może zrobić starodawnie i powiedzieć, że był? Będę opowiadał, że dziadek przy nim siadał. Dziadek nie żyje, nie miał kominka, ale pewnie by siadał, gdyby miał. W rogu kominek, wokół kominka fotele.

Mówią o mnie, że gram nieczysto. Mówić to najłatwiej. Niech mówią.

Jestem człowiekiem sukcesu i mam dobre życie.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Pojawiają się nieoczekiwanie, pukają albo wchodzą bez pytania. Zawsze przychodzą w czasie, kiedy spaceruję po pustych pokojach. Jak zjawy wywołane moimi krokami. A ja chcę być sam, to moje mieszkanie.

Kupiłem mieszkanie i sam będę decydował, kto mnie będzie odwiedzał. To, że ktoś mieszka za ścianą, nic nie znaczy. Co to znaczy: sąsiad? Jaka to bliskość? Znamy się? Lubimy? Skąd ta poufałość?

Kto tu wcześniej mieszkał? Nie wiem, nigdy nie poznałem dawnych właścicieli. Reprezentował ich jakiś adwokat, nazwisko brzmiało zupełnie zwyczajnie, muszę sprawdzić w papierach. Kim byli? Czy byli tu szczęśliwi?

Trzeba wszystko urządzić, więc przez cały czas obmyślam nowe projekty. Początkowo chciałem wyburzyć jedną ścianę, z planów wynika, że można. Ale nie trzeba, salon i tak jest ogromny. Zmieści się jadalnia, wielka kanapa i fotele.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. W progu stoi szczupły człowieczek z naręczem reklamówek. Wygląda jak baśniowy gnom: kozia bródka, świdrujące oczka i fantazyjny beret. Wygląda, jakby uciekł z wernisażu młodopolskiego malarstwa. Chyba ma garb, ale przecież nie będę się wpatrywał.

Mówią o mnie, że zadzieram nosa. I niech mówią. Jestem uprzejmy, kłaniam się kobietom, przepuszczam w drzwiach. Musi im wystarczyć.

Mam dobre życie. To najważniejsze. To chyba sukces?

Trzeba wszystko urządzić, salon. Kominek w rogu, wokół niego fotele, naprzeciw kanapa. Nowoczesne czy antyki? Antyki ładne, ale niewygodne. Nowoczesne wygodne, ale takie chłodne. Kanapa rozkładana, dla gości, czy tylko sofa? Sofy ładniejsze, gości będzie się kładło w tym małym pokoju. I jaki kolor? Kiedyś widziałem salon w ciemnej zieleni. Nie, Zosia się nie

zgodzi, ciemna zieleń nie. Ale jak pomaluję, zanim się zgodzi, to się jej spodoba. Ciemna zieleń ładna.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, w progu gnom z kozią bródką. Stoi nieśmiało, palce ma sine od ciężkich reklamówek. W środku pieczywo, kiełbasa, flaszka wódki. Przywiędła włoszczyzna wyłazi z plastikowych toreb. Czeka, aż go zaproszę. Stoimy chwilę, mierząc się wzrokiem. Wreszcie witam go uprzejmie. Uradowany, pakuje się do mieszkania, odkłada zakupy i zamyka za sobą drzwi. Sprawdza uważnie, czy nikt nie idzie po schodach.

— Pan wie, kto tu mieszkał? — pyta.

Kupiłem mieszkanie w najlepszym momencie. Wszystko mi się udało.

Jestem człowiekiem sukcesu, to miałem pieniądze.

Jestem człowiekiem sukcesu. Ja tak powiedziałem o sobie? Nie, chyba nie.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, brodaty gnom zaczyna swoją historię. Zły człowiek tu mieszkał, dziwak i pijak. Miał przyjaciela, ten mieszkał w oficynie. Znali się od dziecka, razem wychowani na jednym podwórku. Zły człowiek z początku nie był zły. Był przyjacielski i uczynny. Ale życie go zmieniło. Stał się mrukliwy i zaczął pić. Rodzina go zostawiła, a on topił smutki w wódce. Gnom nieśmiało zasłania sobą zakupy. Stoimy w pustym przedpokoju, nie zapraszam go na pokoje. Zresztą i tak nie ma na czym usiąść.

Jestem człowiekiem sukcesu. Nie przypominam sobie żadnej życiowej porażki. W pracy świetnie, w życiu świetnie.

Jestem człowiekiem sukcesu. Kiedy zacząłem tak o sobie mówić? Trochę głupio. Ważne, że mam dobre życie.

Mam dobre życie. Mam.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, brodaty gnom snuje swoją historię. Zły człowiek był utalentowanym malarzem. Miał szansę na karierę, ale wszystkich ze środowiska poobrażał i szanse się rozwiały. Obraził żonę, obraził dziecko, żona wyjechała, nie wiadomo, gdzie jest. Zły człowiek pił bez opamiętania. Ale zły człowiek miał przyjaciela. Ten go wspierał od najmłodszych lat, razem wiele przeszli. Przyjaciel był muzykiem, często wyjeżdżał na koncerty, odniósł pewien sukces na polskiej scenie jazzowej. Zły człowiek zniszczył jednak tę przyjaźń.

Kupiłem mieszkanie, rodzice będą ze mnie dumni. Zaproszę ich, jak się urządzimy, przyjadą do Krakowa, zjemy kolację. Będzie dobrze. Na pewno będą dumni, wreszcie mnie docenią.

Trzeba wszystko urządzić, kuchnia. Ściany niebieskie. A może niebieski w sypialni? To wtedy w kuchni ściany białe. Albo niebieski w innym odcieniu. Błękit i ultramaryna. Tylko rozjaśniona. Widziałem na filmie, ładne. Stół na środku. Będzie zawadzał, ale na środku lepiej. Pod ścianą to jak w bloku. A może na środku wyspa? Nie, lepiej zrobić tradycyjnie. Teraz wszyscy mają wyspy. A to stara kamienica, wyspa nie. Dobrze, że jest spiżarka, bo będzie mało szafek. Kredens albo dwa, reszta w spiżarce. I przy tym stole będziemy wszyscy rano, razem z przyjaciółmi, którzy zostaną na noc. Przy stole w kuchni, musi być przy stole. Może ultramaryna na ściany? A wtedy co z oknami? I tak trzeba wymienić na nowe, bo wieje. Ale białe czy w kolorze drewna? Widziałem taki ładny ciemny orzech. A może jednak białe? I zostawić białe drzwi i futryny? U cioci był taki kredens. Czy ciocia jeszcze żyje? Może by zadzwonić, pewnie ten kredens niepotrzebny. Da się przekonać, kupię jej szafki.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, brodaty gnom, niepytany, rusza w głąb mieszkania, ciekawie zaglądając do pustych pokoi. Klaszcze i cieszy się z akustyki.

Trzeba wszystko urządzić. W salonie jadalnia, pod oknem, w kącie kanapa i fotele. Telewizor na ścianie, naprzeciw kanapy. A może lepiej naprzeciw foteli? W drugim kącie kominek, rozmawiałem już z architektem. Zimowymi wieczorami będziemy siedzieć z Zosią w fotelach

i patrzyć w trzaskające polana. Czyli telewizor naprzeciw kanapy, bo kominek przed fotelami. Tak wiele jest do zrobienia.

Jutro powiem Zosi, Zosia się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, brodaty gnom zatrzymuje się w kuchni i wyglądając przez okno, snuje swą opowieść. Przyjaciel często wyjeżdżał, a zły człowiek zaczął uwodzić mu żonę. Ta z początku się opierała, bo była dobra i wierna, ale w końcu uległa, słaba kobieta. Zły człowiek zamieszkał w domu przyjaciela, bezczelnie czekając na jego powrót. Któregoś dnia przyjaciel wrócił i zastał wiarołomnych w sypialni. Doszło do kłótni. Nagi zły człowiek wybiegł za przyjacielem na korytarz, zaczęli się szamotać i zły człowiek spadł ze schodów. Złamał nogę, coś się pokomplikowało i został kaleką. Po pobycie w szpitalu przeszedł długą rehabilitację. Wrócił, ale tylko po to, by sprzedać mieszkanie. Potem nikt go nie widział. A żona przyjaciela odeszła. Taka historia.

Mam dobre życie. Czy to moja wina, że ten brodaty gnom nie?

Trzeba wszystko urządzić. Wybrać kolory, meble, flizy do łazienki. Czy w kuchni będzie stół? Mamy przecież jadalnię. Ale dobrze jest mieć stół w kuchni, u mnie w domu zawsze tak było. Jadalnia dla gości, a dla rodziny kuchnia. Przy kuchence, są duże okna, stół koniecznie.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Brodaty gnom skończył opowieść o złym człowieku i ruszył do wyjścia. Zebrał rozrzucone zakupy i pożegnał się smutno.

— Niech pan uważa — powiedział, a ja z ulgą zamknąłem za nim drzwi.

Jestem człowiekiem sukcesu i znajomi mi zazdroszczą. Nic nie mówią, ale to widzę. Dawni przyjaciele gdzieś zniknęli, przestaliśmy się spotykać. Oni w wynajętych pokojach, u rodziców, a my we własnym mieszkaniu. Sam kupiłem. Na urlop my za granicę, oni do cioci pod Kraków. Rozeszło się, nie moja wina, życie. Ja innym nie zazdroszczę.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Skąd się tacy ludzie biorą? To kamienica czy jakiś szpital? Wszyscy wyglądają jak z przytułku. Pewnie renciści. Pojawiają się nieoczekiwanie, jakby czekali na moje przybycie. Witają mnie kordialnie i zaczynają opowiadać. Wszyscy są przekonani, że koniecznie chcę poznać historię swego nowego mieszkania.

Kto tu wcześniej mieszkał?

Przychodzę tu codziennie.

Jest tak pusto i cicho. A potem pojawiają się sąsiedzi i zaczynają opowiadać. Prosił ich ktoś? Dlaczego ludzie ciągle muszą coś mówić? I do tego sami renciści. Czas im się dłuży, to się czepiają każdego, żeby tylko nie być sami.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, przekonani, że chcę poznać historię swego mieszkania.

Kupiłem mieszkanie w starej kamienicy. Nieważne, kto tu wcześniej mieszkał.

Tu będzie nasz dom. Zosia się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, jakby czekali, aż się pojawię. Wchodzę w ciemną bramę, a tu wita się ze mną dystyngowany staruszek, uchylając kapelusza.

Kupiłem mieszkanie, które ma duszę. Wiem, że muszę ją odnaleźć. Nic na siłę, potrzebuję tylko czasu.

Trzeba wszystko urządzić, łazienka. Tu potrzeba gruntownego remontu, nieodnawiana od lat. Wanna i kabina, bo Zosia lubi kąpiel, a ja tylko prysznic. Trzeba hydraulika wezwać, poprzesuwać to wszystko. Nie ma miejsca na pralkę, jednak łazienka mała; prawie jak w bloku. A może pralka w spiżarce? Zmieści się obok szafek. Tak, tam pralka, suszarka, a tu można ładnie wszystko urządzić. A gdzie zmywarka? Do kredensu nie pasuje,

a bez zmywarki kiepsko. Może zmywarka do spiżarki, a pralka do łazienki? Bez sensu. Trzeba spytać Zosi, to przecież ona pierze. Nie, wszystko do spiżarki. Jest pomieszczenie gospodarcze, to trzeba korzystać. Trzeba tylko podciągnąć wodę. Muszę spytać hydraulika. Nie ma miejsca na bidet. A jak się już robi remont, to bidet musi być. Gdzie wstawić ten bidet?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, na przykład ten dystyngowany staruszek. Wszedłem w bramę, a on już tam czekał. Sprawdził tylko na zegarku, czy przychodzę punktualnie, i przywitał się uprzejmie. Ma na imię Zygmunt, nazwiska nie zapamiętałem.

Przychodzę tu codziennie i wyobrażam sobie nowe ustawienia. Wsłuchuję się w duszę tego mieszkania.

Trzeba wszystko urządzić, salon. A może bez kominka? Duża przestrzeń, lepiej zostawić wolne miejsce. Pod oknami jadalnia, trochę w rogu. Po przekątnej część z fotelami, pośrodku przejście. I regał na książki. Nie, zagraci tylko. Właśnie, co z książkami? W sypialni nie, w salonie nie bardzo? Może ten mały pokoik obok kuchni? Taki gabinecik będzie. Trochę ciemno, ale trudno. A gdyby salon na pistacjowo? Trzeba poczekać do cyklinowania. Nowy kolor podłogi, wtedy dobierze się ściany. Jednak kominek to dobra rzecz. Widziałem w takim czasopiśmie, dobra rzecz. Zosia się ucieszy. Na pewno się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Zygmunt zatrzymuje mnie w bramie.

— Wie pan, kto tam mieszkał przed panem? — pyta mnie szeptem, rozglądając się na boki.

Czego oni wszyscy się boją? Pewnie jeden pod drugim dołki kopie; renciści. Nie czekając na moją odpowiedź, pan Zygmunt zaczyna swoją historię. Wspinamy się po schodach, wolno, noga za nogą. Pan Zygmunt co chwila staje, jakby nie potrafił mówić i iść jednocześnie.

— Stary jestem, nikt panu nie powie tyle co ja.

Idziemy noga za nogą.

Jestem człowiekiem sukcesu. Ale co to znaczy? Nigdy na bezrobociu, dobra pensja, pewna przyszłość, awanse i podwyżki. Czy to jest dobre

życie?

Mam dobre życie. Na pewno.

Trzeba wszystko urządzić, przedpokój. Niby to tylko przedpokój, ale robi pierwsze wrażenie. Człowiek wchodzi i pierwsze, co widzi, to przedpokój. Na wprost może lustro i stara maszyna do szycia po babci. Gdzie ona jest? Może rodzice mają? Będzie wyglądała jak ołtarz. A nad tym wieniec, tylko skąd ja wezmę takie rogi? Wuj Zosi miał, trzymał na strychu, bo mało miejsca. Skąd u niego rogi jelenia, przecież nie polował? Jednak w salonie kominek, bo kominek to klasa. U tego aktora, jak on się nazywa, jest taki z czerwonych kafli. To się nazywa… nieważne, w zakładzie mi powiedzą. Znam jakiegoś zduna? Kto ostatnio robił kominek? Muszę popytać, bo to trzeba zrobić przed wszystkim innym. I ten wieniec, dobrze będzie wyglądał. Może poprzedni właściciel też miał tam rogi? Coś wisiało, jest ślad. Ciekawe.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Zygmunt opowiada swoją historię. Dawno temu w moim mieszkaniu mieszkał starszy pan, który nazywał się Chodnikiewicz. Pan Chodnikiewicz był eleganckim mężczyzną, zawsze się kłaniał i pamiętał imiona wszystkich sąsiadów. Pan Chodnikiewicz nikogo do siebie nie zapraszał, grzecznie też wymawiał się zaproszeniom sąsiadów. Pan Chodnikiewicz co rano opuszczał mieszkanie, starannie zamykał drzwi i szedł na Kleparz po zakupy. Wracał, otwierał drzwi tylko wtedy, kiedy nikogo nie było w pobliżu, po czym zamykał się w mieszkaniu i nie wychodził aż do następnego ranka.

Trzeba wszystko urządzić. W salonie nowoczesna jadalnia, ale pomiędzy meblami trochę staroci. Sypialnia nowa, surowa, Zosi się spodoba. Zosia lubi surowe; taka moda. Zuzia sama urządzi sobie pokój, niech się cieszy. Żeby tylko nie chciała różowych ścian, bo teraz wszystko chce na różowo, taki wiek. Sama może wybrać, ale różowego nie. I żeby nie chciała takiego łóżka jak z amerykańskich filmów, z poręczami na biało, gdzie przez cały dzień leżą poduszki i pluszowe misie. Niech sama urządzi, ale trzeba jej w tym pomóc. To dla jej dobra, żeby się dobrze czuła. W końcu będzie musiała tam mieszkać.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Zygmunt opowiada swoją historię. Pan Chodnikiewicz niewiele mówił i wszyscy wiedzieli, że skrywa jakąś tajemnicę. Pan Zygmunt zauważył przypadkiem jednego dnia, że za firanką drzwi balkonowych siedzi jakaś postać. Siedziała nieruchomo, jakby na wózku inwalidzkim, aż zaintrygowany pan Zygmunt zrobił jej zdjęcie. Wtedy firanka poruszyła się, na chwilę ukazała się twarz pana Chodnikiewicza. A potem pan Chodnikiewicz odtoczył wózek z postacią w głąb pokoju.

Przychodzę tu codziennie i odnajduję duszę tego domu. Kamienica ma sto lat, może trochę więcej. Pośrednik mi mówił, że inne mieszkania po wojnie dzielono na mniejsze, ale to zostało bez zmian. Trzy duże pokoje od strony ulicy, kuchnia, łazienka, mały pokój i spiżarka z oknami na podwórze. Przez całą długość przedpokój, chyba większy niż całe nasze mieszkanie. Po co ludziom był taki przedpokój?

Tu będzie nasz dom, Zosia się ucieszy.

Trzeba wszystko urządzić, przedpokój. Jak wstawimy te szafy ze starego, to będzie porażka. Goście wchodzą, a tu odrapana płyta meblowa. I porysowana przez Zuzię pisakami. Szafy do wywalenia. Trzeba zamówić u stolarza, mam namiary na dobrego fachowca. Terminowy, to najważniejsze. Teraz ze stolarzami to nie wiadomo. Zaraz, wujek Zosi był stolarzem, może on? Zawsze to rodzina. A nie, zmarł trzy lata temu. Nie byłem na pogrzebie, pewnie jakaś delegacja. Zresztą prawie go nie znałem, tyle co z wesela. A na weselu wiadomo.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Zygmunt wspina się bardzo powoli. Co chwila przystaje, pociera nogę i kontynuuje swoją opowieść. Od tamtej pory zaczął uważnie obserwować mieszkanie i kilka razy widział, że poza panem Chodnikiewiczem ktoś w środku mieszka. Sekret rozpalał jego wyobraźnię i szukał sposobu, by poznać tożsamość tajemniczego lokatora. Raz zagadnął pana Chodnikiewicza na schodach, ale tamten zmieszał się tylko i pożegnał od razu. Pan Zygmunt postanowił użyć sposobu.

Tu będzie nasz dom, Zosia się ucieszy. My będziemy szczęśliwi. Uwolnimy się od tamtego mieszkania, od tego osiedla i prymitywnych sąsiadów. Sami nowobogaccy. Tu będziemy żyli naprawdę.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Zygmunt porusza się bardzo wolno. Kuleje i przystaje na każdym stopniu. Sprawia wrażenie, jakby nie potrafił myśleć i wspinać się jednocześnie. Niektórzy tak mają. Pan Zygmunt szukał sposobu i postanowił się z panem Chodnikiewiczem zaprzyjaźnić. Zaprosił go do swej pracowni, bo pan Zygmunt jest fotografem i zrobił mu zdjęcia portretowe do dokumentów. Za darmo, w ramach sąsiedzkiej pomocy. Mnie też może zrobić. Innym razem, niby przypadkiem, dołączył do pana Chodnikiewicza idącego na Kleparz. Po kilku miesiącach poznał sekret swego sąsiada.

Tu będzie nasz dom, Zosia się ucieszy. Lubi tamto mieszkanie i kiedyś powiedziała mi, że nie chce się ruszać. Tam urodziła się Zuzia, tam spędziliśmy pierwsze lata naszego małżeństwa. Zosia ma wspomnienia, jest jej tam dobrze. Ale przecież to miało być tylko na chwilę, na parę lat, aż staniemy na nogi. Wiadomo, prowizorki są najtrwalsze. Ale jak zobaczy to mieszkanie, to się ucieszy. Zakocha się w nim tak jak ja. I Zuzi się spodoba, na pewno. Będzie miała pokój ładniejszy niż teraz. Zosia się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Zygmunt zawiesza dramatycznie głos. Pan Chodnikiewicz wyznał mu, że nie mieszka sam. Opiekuje się wiekowym starcem, Józafatem Dumanowskim, który był ostatnim królem Polski. To jest największa tajemnica naszej Ojczyzny. Dumanowski został potajemnie koronowany i pozostawał w ukryciu przez całe dziesięciolecia, przechowując insygnia koronacyjne. Dumanowski walczył w powstaniach, był politykiem, poetą i mężem stanu. Bez niego nie byłoby wolnej Polski. Ale po wojnie komuniści zniszczyli niemal wszystkie źródła, które o nim mówiły. Świadkowie nie żyją, z książek powyrywano całe arkusze, podręczniki spalono. Tak sfałszowano historię Polski.

Jutro powiem Zosi, Zosia się ucieszy. Zosia o niczym nie wie, wszystko w tajemnicy przed nią. To będzie niespodzianka.

Trzeba wszystko urządzić, kuchnia. Najważniejsze są meble. Stylowe, gustowne, żeby nie było mieszczańsko. Ja lubię oszczędność, ale Zosia pokazywała mi kiedyś taką kuchnię rustykalną, że chciałaby mieć. Sypialnia surowa, a kuchnia rustykalna. Bez sensu, ale nie wytłumaczysz. A przecież to cepelia, miedziane rondle zupełnie nieużywane, pęta czosnku u powały i suszona papryka. W strąkach, na sznurku. Cepelia nad rozlewiskiem. Będę musiał jej wytłumaczyć, bo żadnego czosnku u mnie nie będzie. Ale Zosia się zgodzi. Wysłucha i zgodzi się. Może jeden rondel, jeden można powiesić. Tylko się będzie kurzyć. Ale czosnek?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Zygmunt przysiada na półpiętrze. Oparty o parapet, opowiada dalej, a jego szept dociera tylko do moich uszu. Pan Chodnikiewicz opowiadał mu, że Józafat Dumanowski został obdarzony nadzwyczaj długim życiem, nikt by nie uwierzył, że ma prawie dwieście lat. Przeżył wszystkie wojny i zrywy niepodległościowe, pamięta cesarzy i marszałków. Pan Chodnikiewicz musiał go chronić przed komunistami. Zmieniał adresy, gubił pościgi. Wreszcie osiadł w tej starej kamienicy przy ulicy S., ukrywając sędziwego Dumanowskiego przed światem. Kiedy ostatni król Polski stanął nad grobem, pan Chodnikiewicz postanowił zrzucić z barków brzemię sekretu. I stąd pan Zygmunt wie to wszystko.

Przychodzę tu codziennie i przez godzinę chodzę po pustych pokojach. Powoli widzę już nowy wystrój. Nie zauważam starej farby na ścianach.

Trzeba wszystko urządzić, salon. Jednak pistacja. Tak mi się zdaje, że pistacja. Zosia by chciała pewnie na biało, bo wszystko na biało, że czysto i elegancko. Ale na biało to wygląda jak w urzędzie. Szkoda takiego mieszkania, żeby na biało. Jak to się mówi? Groby pobielane chyba. Biała sypialnia, wchodzimy do białego salonu, a potem do przedpokoju, i tu niespodzianka, bo na biało. Nie, każę pomalować od razu, potem nie będzie gadania. Jedna na biało, druga na różowo, ładnie bym wyglądał, gdybym ciągle ulegał. Już w starym mieszkaniu wszystko jest na biało. I co? Starczy tego białego. Tu będzie pistacja, sypialnia w moreli. A może brzoskwinia? Nie za intensywna? Zrobi się na próbę kawałek, w razie czego potem się doda białego i wyjdzie morela. Morela chyba jaśniejsza? Sam nie wiem.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, opowieść pana Zygmunta nie chce się skończyć. Minęły miesiące, pan Chodnikiewicz przestał wychodzić po zakupy. Zaniepokojony pan Zygmunt kilkakrotnie pukał do drzwi, których progu nigdy nie przekroczył. Po kilku dniach zawiadomił dozorcę, a ten milicję; bo wtedy była milicja. Kiedy weszli do zagraconego mieszkania, znaleźli zasuszone zwłoki w granatowym mundurze przedwojennego kolejarza. Twarz zmarłego nie przypominała panu Zygmuntowi pana Chodnikiewicza. Była dużo starsza, a po samym Chodnikiewiczu nie było ani śladu. Zwłoki pochowano, mieszkanie zaplombowano, a po kilku latach wprowadzili się nowi lokatorzy.

— Mam na zdjęciu, jak leży na łóżku w tym mundurze. Ostatni król Polski! — chwali się pan Zygmunt i tak się żegnamy.

Trzeba wszystko urządzić. Parkiet się wycyklinuje, zamówiłem już ekipę. Nie chcę lakieru, niech mi potem wszystko zapuszczą olejem. A może urządzę wszystko sam i dopiero wtedy przyprowadzę Zosię? Tak, niech przyjdzie na gotowe, nie będzie musiała o niczym myśleć. Tyle ma na głowie, na pewno się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, skąd oni się biorą? Wyrastają jak spod ziemi. Wszyscy jacyś pokurczeni, jeden kulawy, drugi stary, ten brodaty gnom ma chyba garb i tak dziwnie patrzy. Skąd się tacy ludzie biorą? Pewnie wszyscy z kwaterunku, siedzą za marne czynsze i blokują lokale, a mogliby mieszkać w bloku. Są przecież mieszkania komunalne. Luksusów nie ma, ale jak się nie ma pieniędzy, to nie wolno wybrzydzać. Rozumiem, na bruk nie można, ale przecież jakiś samotny staruszek nie musi zajmować wielkiego mieszkania w centrum, prawda? Ktoś za to płaci, ja za to płacę. I jeszcze muszę wysłuchiwać. Sami renciści. Ciekawe, czy wiedzą, kto ich utrzymuje. I jeszcze nachodzą.

Jestem człowiekiem sukcesu. Tak mówią inni, nie ja. Spotkałem kiedyś kolegów z liceum. Jeden na bezrobociu, żona go utrzymuje, drugi pracuje w sklepie płytowym. Studia skończył i w sklepie płytowym. Dalej długie włosy, dalej tłuste jak w szkole, tylko łysieje. Ten żony nie ma, zresztą się nie dziwię, mieszka u mamy, słucha metalu. Zero ambicji. A potem te

opowieści o układach, o nepotyzmie. Trzeba się wziąć w garść, a nie pierdolić o układach. Sam jesteś układ. W sklepie płytowym dwadzieścia lat po maturze.

Mam dobre życie. Ale przynajmniej nikogo nie obwiniam.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pojawiają się znikąd, jak zjawy. Chodzę po mieszkaniu i słyszę kroki w przedpokoju. Przestraszony, wychodzę z salonu i widzę wąsatego dozorcę, który sprawdza skrzynkę z bezpiecznikami.

— Musi pan wymienić na nowe, mogę się tym zająć — mówi pan Andrzej. — Ja się na tym znam.

Złota rączka, wiedziałem. Poznaliśmy się kilka dni temu, u niego pośrednik zostawił klucze. Pan Andrzej ciągle pali i finezyjnie przeklina.

Przychodzę tu codziennie, o tej samej porze, a ci sąsiedzi tylko czekają. Ten dozorca to niezły chlor, w przedpokoju skład butelek. A na podwórku syf, z kubłów się wysypuje. Ale pensję bierze. Jak sobie pomyślę, że moja Zuzia będzie fikać koziołki na tym trzepaku, w tej odrapanej studni, to mi się serce ściska. Będziemy ją wozić na jakiś plac zabaw. Taki ogrodzony, żeby psy nie srały.

Trzeba wszystko urządzić, kolory wybrane, malarzy polecił mi kolega z biura. Porządne chłopaki, tanio biorą, bez faktury, szybko robią i nie bałaganią. To najważniejsze. Kiedyś malowaliśmy to nasze mieszkanie, to malarze zostawili taki chlew, że potem przez miesiąc zdrapywaliśmy farbę z podłogi. Kiedy w tym kraju ludzie nauczą się porządnie pracować? Ale ci są dobrzy, sam widziałem. Już do nich dzwoniłem. Mają wolny termin, to najważniejsze.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pojawiają się znikąd. Pan Andrzej zamyka skrzynkę i zaczyna. Opieram się o ścianę i pokornie słucham.

Jutro powiem Zosi. Na pewno się ucieszy. Przekonam ją, że to lepsze niż to osiedle. Ile lat tam siedzimy? Już nie mogę dłużej. A tu ładnie. Na pewno się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Andrzej odpala papieros od papierosa. Te bezpieczniki to sam instalował jeszcze wiele lat temu pani Marii, która z mężem tu kiedyś mieszkała. Mąż stary, schorowany, leżał już od miesięcy w łóżku. Bezpieczniki padły, pan Andrzej złota rączka, to zrobił, co trzeba.

Jutro powiem Zosi. Umówię się z nią na spacer, po pracy. Powiem, żeby przyprowadziła Zuzię. Będziemy chodzić po Plantach, potem ja skręcę w ulicę S. Będziemy jedli lody, jest sierpień, żeby tylko nie padało. Deszcz może wszystko zepsuć, bo to podwórko, i klatka schodowa, żeby nie padało. Będziemy jeść lody, wejdziemy w ulicę S. Zuzia będzie biegać przed nami, zaglądać pod samochody, czytać szyldy. Jak to Zuzia. A ja w pewnym momencie skręcę i powiem:

— Chcę wam coś pokazać.

Zosia pomyśli, że może jakieś ładne podwórko albo secesyjny witraż w klatce schodowej. Wiele razy pokazywałem jej takie perełki, więc pomyśli, że pewnie i tym razem. A ja wejdę po schodach, one za mną, otworzę drzwi i powiem, że kupiłem mieszkanie.

— Tu będzie nasz dom, powiem, a Zuzia wbiegnie do środka i powie:

— Ile tu miejsca!

Zosia się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Andrzej opowiada o pani Marii. Dobra kobieta była, dla każdego miła. Na starość mąż jej zachorował, szanowany pan profesor, wszyscy go znali. Mąż zachorował, a pani Maria zdziwaczała. Zaczęła spraszać do domu żebraków z całego Krakowa. Sprowadzała ich z dworców i noclegowni, starych, zmęczonych życiem, brudnych.

Jutro powiem Zosi. O siedemnastej tu jest najlepsze oświetlenie, złociste plamy na podłodze. Wszystko jest takie uroczyste. Na pewno się ucieszy. Przytuli się i powie mi szeptem:

— Tu będzie nasz dom.

Będziemy wzruszeni.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Andrzej opowiada o pani Marii. To były dawne czasy, pan Andrzej jako dozorca musiał pilnować meldunków,

a tu tyle obcych ludzi. Nikt nie wie, ilu bezdomnych mieszkało u pani Marii, ale na pewno wielu. Byli spokojni, nie awanturowali się, nawet pili niewiele. Pan Andrzej wie, bo nieraz pomagał nosić pani Marii zakupy dla tego całego towarzystwa. I nigdy wódki nie było, tylko chleb, mięso, warzywa. Dobra była pani Maria, ale chyba za dobra.

Przychodzę tu codziennie i wyobrażam sobie tę scenę. Otworzę drzwi, przepuszczę je przodem. Zuzia pobiegnie, a Zosia przystanie w progu. Zapyta, co to za mieszkanie. Domyśli się od razu i zapyta, czy kupiłem. Ucieszy się, na pewno się ucieszy. Będziemy wzruszeni. Ja już jestem, zawsze kiedy sobie to wyobrażam.

Trzeba wszystko urządzić. Wiem: sam urządzę, a potem powiem Zosi, że było już urządzone. Zosia się ucieszy. Na pewno.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Andrzej opowiada o pani Marii. Istne przytulisko tu było, wspomina. Kiedyś pani Maria zeszła wieczorem, że coś z bezpiecznikami nie tak. Pan Andrzej ubrał się, wziął narzędzia i wszedł do mieszkania. Wszędzie świece, żebracy umyci, ogoleni, siedzieli grzecznie w kuchni i grali w domino; a może w szachy, pan Andrzej nie pamięta, bo przecież było ciemno. Starzy, bez nóg, z bliznami na twarzach. Ale spokojni, przywitali pana Andrzeja uprzejmie, kiedy skończył robić, zaprosili do stołu. Usiadł, wypił herbatę i poszedł, bo czuł się nieswojo.

Jutro powiem Zosi. A jak się nie ucieszy? A jak będzie zła, że wszystko załatwiłem sam? Może chciała chodzić ze mną po tych wszystkich brudnych lokalach, które oglądałem? Może chciała wybierać i dyskutować, która oferta lepsza? A ja to wszystko zrobiłem po cichu, nic nie mówiłem.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Andrzej zbiera się do wyjścia.

— Złego słowa na panią Marię nie powiem.

Anioł, nie kobieta, opowiada pan Andrzej. Z bezdomnymi nigdy kłopotu nie było, siedzieli cicho, pomogli pani Marii odremontować mieszkanie. Bez nóg, bez rąk, ale malowali, skakali po drabinach, potrafili się odwdzięczyć za dach nad głową. Jedni odchodzili, pojawiali się nowi. Pan Andrzej jest dozorcą, to wie. Czasem słyszał, jak śpiewają wieczorami

patriotyczne pieśni. Ale nikt z sąsiadów się nigdy nie skarżył. Anioł, nie kobieta.

Jutro powiem Zosi. Boję się, co zrobi. A może przyprowadzę ją tutaj, po spacerze, o siedemnastej, i na parterze dam jej klucze? Niech sama wejdzie po schodach, otworzy drzwi i zobaczy. Ja będę szedł za nią.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Andrzej stoi w progu. Anioł, nie kobieta, taka była pani Maria. Święta osoba, mówi pan Andrzej. Choć dziwaczka przy tym. Kiedyś spytał ją, dlaczego zaprasza do domu krakowskich meneli.

— Trochę szacunku! — zaprotestowała. — To nie są menele; to są bohaterowie narodowi!

Taka była pani Maria, która zmarła w opinii świętości.

— Te bezpieczniki to panu niedrogo wymienię, znam się na tym — żegna się pan Andrzej.

Jestem człowiekiem sukcesu. Płacę podatki, dzięki takim jak ja ten kraj się rozwija, budują się drogi, wszystko jakoś idzie do przodu. To my jesteśmy bohaterami narodowymi.

Jest tak pusto i cicho. Chodzę sam po wielkim mieszkaniu. Brakuje mi ich.

Jutro powiem Zosi. A jak się nie ucieszy? A może inaczej to rozegrać? Może podam jej adres, klucze i poproszę, żeby podeszła tam po pracy podlać kwiatki. Skłamię, że to mieszkanie znajomych, są na urlopie, a ja nie dam rady. Zosia przyjdzie, a ja będę czekał z kieliszkami i z szampanem. Albo nie. Kupię włoskie wino, Zosia nie lubi szampana. I kupię materac, wzniesiemy toast, a potem będziemy się kochać; po raz pierwszy w nowym domu.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pojawiają się znikąd jak zjawy. Jeszcze się dobrze nie sprowadziłem, a oni już mnie znają. Pytają, kiedy przywiozę żonę, czy będę wymieniał okna, czy potrzebuję jakiejś pomocy.

Jutro powiem Zosi. A jak się nie ucieszy? Albo zrobię tak: kupię materac, zaniosę wcześniej, zaprowadzę tam Zosię. Zuzia zostanie z babcią. Powiem, że znajomi kupili mieszkanie i jeszcze nie urządzili. Dali mi klucze, żebym podlewał kwiatki. Muszę kupić kwiatki. Zosi się spodoba, bo mieszkanie jest ładne. Zapytam, czy chciałaby, żebyśmy takie kupili, bo nas stać. A potem będziemy się kochać na tym materacu i będziemy pić włoskie wino, jakie Zosia lubi, a na koniec powiem, że to nasze mieszkanie.

Tu będzie nasz dom. Zosia na pewno się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, jednego o mało co nie nadepnąłem, kiedy spał na półpiętrze. Biegłem i potknąłem się o zwiniętą postać. Pan Łukasz, zdążyłem go poznać, bo pan Łukasz sypia, gdzie popadnie. Kiedy kupowałem mieszkanie, widziałem pana Łukasza na ławce pod trzepakiem. Kiedy oglądałem mieszkanie z pośrednikiem, pan Łukasz drzemał pod skrzynkami na listy. A teraz na półpiętrze, pan Łukasz owinięty brudnym trenczem, zarośnięty i nie do końca trzeźwy.

Jutro powiem Zosi. Będzie trochę zła, bo przecież teraz Zuzia ma szkołę blisko domu i trzeba ją będzie przenieść albo dowozić. I teściowa mieszka niedaleko, zawsze to wygoda, jak chcemy gdzieś wyjść. Ja jej to wszystko wytłumaczę, przecież mieszkanie jest ładne i taka okazja. A poza tym, niech zobaczy, że też staram się o dom. Sam o wszystkim pomyślałem, nie ciągałem jej po tych ruderach, które pokazywał mi pośrednik. Sam wszystko załatwiłem. Powinna się ucieszyć. A jak będzie zła?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Łukasz wstaje i mruczy na powitanie:
— Niech pan uważa, tu ludzie śpią.
Ludzie, czyli on.
— Niech pan uważa, bo kupił pan niezwykłe mieszkanie.
Siada, przeszywa go dreszcz, poprawia wymięty płaszcz i ziewa. Pan Łukasz ma braki w uzębieniu, jest brudny i śmierdzi.

Przychodzę tu codziennie i zawsze muszę na kogoś wpaść. Skąd oni się biorą? Rosną jak grzyby. Pewnie wszyscy na rencie.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Łukasz każe mi uważać. Częstuję go papierosem, z sąsiadami lepiej dobrze żyć, a zwłaszcza z alkoholikami. Nigdy nic nie wiadomo. Obrażę go, a on mi jeszcze nasra na wycieraczkę. Pan Łukasz unosi się honorem:

— Ale tylko jednego. Na używki mnie stać, mam dobrą rentę.

Wyciąga z kieszeni małpkę, ale małpka pusta, więc ustawia ją na parapecie. Przyjdzie pan Andrzej, to zabierze.

Kupiłem to mieszkanie sam. A jak Zosia będzie zła? Może jej będzie przykro. Wspólne mieszkanie, a ja sam. Tu będzie nasz dom, ale ja wszystko wybrałem. Może się nie ucieszy? Nie chcę o tym myśleć.

Mam dobre życie, nie chcę o tym myśleć.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Łukasz każe mi uważać. To niezwykłe mieszkanie, bo poprzedni lokator był niezwykły. Święty człowiek. Przedstawiał się jako brat Józafat, nosił długą brodę, był szczupły i cichy. Zawsze człowiekowi pomógł, podzielił się chlebem i wodą. Sam więcej nie miał, ale chlebem i wodą zawsze.

Kupiłem mieszkanie, jest niezwykłe. Tylu ludzi tu mieszkało i byli chyba szczęśliwi. My też będziemy, muszę tylko powiedzieć Zosi.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Łukasz opowiada o bracie Józafacie. Pan Łukasz sporo czasu spędza na klatce schodowej i podwórku, to zdążył poznać dziwnego lokatora lepiej niż inni. Nie wiadomo, skąd się wziął, na pytania pana Łukasza tylko się uśmiechał. Miał dobry uśmiech, szczupłe palce. Żył jak pustelnik, nie przyjmował gości. Nie było na niego ani jednej skargi. Miał niewiele, a tym, co posiadał, dzielił się z innymi. Ten płaszcz dostał pan Łukasz od brata Józafata.

Przychodzę tu codziennie po pracy. Nikomu nie mówię, dokąd idę. To moja tajemnica.

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Pan Łukasz każe słuchać o bracie Józafacie. Święty człowiek i dobry. Modlił się całymi dniami i malował

ikony. W jednym z pokojów urządził kaplicę, wszędzie świece i święte obrazy. Nie wiadomo, skąd przybył. Pojawił się pewnego dnia, przez kilka lat mieszkanie stało puste. Wprowadził się i tak zostało. W Boże Narodzenie zaprosił pana Łukasza do siebie i zjedli razem wieczerzę wigilijną. Wtedy pan Łukasz po raz pierwszy od wielu lat nie pił. Dostał ikonę w prezencie, trzej aniołowie siedzący wokół stołu. Ma ją do dziś, choć brata Józafata już nie ma. Powiesił ją w kuchni, nad drzwiami i często patrzy na nią całymi godzinami. Jest rencistą, ma dużo czasu, to może całymi godzinami.

Jest tak cicho i pusto, kiedy sam chodzę po pokojach. Podłoga skrzypi, a mnie się wydaje, że słyszę głosy dawnych lokatorów. Tyle opowieści.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Łukasz nie przestaje opowiadać o bracie Józafacie.

— On jedyny mną nie pogardzał — mówi, patrząc w ziemię.

Brat Józafat po domu chodził w czarnym habicie, ale do sklepu wychodził ubrany normalnie. Jednak wszyscy w kamienicy szybko się zorientowali, że to święty człowiek. Czasem zachodzili do niego i prosili o radę albo o modlitwę. Zwłaszcza stare kobiety, ale nie tylko. Pan Łukasz mówi, że nigdy nie spotkał kogoś takiego. I może gdyby spotkał brata Józafata wcześniej, to jego życie potoczyłoby się inaczej. Ale gdyby go w ogóle nie spotkał, na pewno potoczyłoby się jeszcze gorzej.

Jestem człowiekiem sukcesu. Ale co to znaczy?

Mam dobre życie. Mam, prawda?

Mówią o mnie różne rzeczy. Mówią, że zaniedbuję rodzinę. Ale przecież to wszystko dla nich. Przecież kupiłem mieszkanie, rodzice będą dumni. Zosia się ucieszy; na pewno się ucieszy.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pan Łukasz kończy palić, wrzuca niedopałek do pustej flaszki i żegna się ze mną. Brat Józafat zniknął tak niespodziewanie, jak się pojawił. Pewnego dnia przestał się pojawiać. Mieszkańcy z kamienicy znaleźli tylko pod swymi drzwiami owinięte

w papier ikony. Tylko tyle zostało. Z początku myśleli, że brat Józafat wróci, czekali, ale próg jego mieszkania pokrywał się kurzem. Nigdy nie spotkali już tego dziwnego pustelnika z długą brodą i łagodną dobrocią w spojrzeniu. Pan Łukasz kończy i wzdycha ze smutkiem.

— Jak mógł nas tak zostawić? Odszedł bez słowa, bez słowa…

Mam dobre życie. Mam, prawda?

Jest tak cicho i pusto. Chodzę po pokojach. Tu kiedyś żyli ludzie, było jakieś życie. Teraz są gołe ściany. Czy będziemy mogli tu zamieszkać? Czy tu będzie nasz dom?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pojawiają się na mojej drodze, jak zjawy. Skąd wiedzą, że akurat przyszedłem? Wszyscy mieszkańcy tej starej kamienicy zachowują się, jakby tylko na mnie czekali. Życie upływa im na nasłuchiwaniu, aż przyjdę.

Trzeba wszystko urządzić. Mam to już obmyślone. Tym razem musi się udać. Zaczniemy od nowa i na pewno się uda.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, życie upływa im na nasłuchiwaniu. Staram się wchodzić po cichu, ostrożnie wspinam się po schodach. Wstrzymuję oddech, a stare stopnie na szczęście nie skrzypią pod moimi krokami. Mimo to na piętrze drzwi się otwierają i staje w nich starsza kobieta w nylonowej podomce.

Kupiłem mieszkanie, nie prosiłem się o sąsiadów. To starzy ludzie, niedługo umrą. Sprowadzą się młodzi, zaprzyjaźnimy się z nimi. Odnowimy razem podwórko, może urządzimy mały plac zabaw, będziemy się spotykać. Będzie dobrze. A na razie sami renciści.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, starsza kobieta w nylonowej podomce zaprasza mnie do siebie. Ma na imię Genowefa, mieszka tu od lat i prowadzi mnie do kuchni. Nie chcę tam iść, ale idę, a pani Genowefa opowiada mi o swym życiu.

Kupiłem mieszkanie. Teraz zauważyłem, że nie ma tu żadnych dzieci. Spotykam tylko starców i ludzi przegranych. Jakby życie uciekało z tej kamienicy. A może zrobiłem błąd? Może powinienem się dwa razy zastanowić? Nie rozmawiałem z poprzednimi właścicielami, tylko ten pełnomocnik. Może też kupili, ale szybko zorientowali się, że ładne mieszkanie to nie wszystko? Może uciekli stąd, a teraz ja zostałem z pustym mieszkaniem w starej kamienicy, otoczony rencistami i samotnymi emerytami?

Nachodzą mnie już sąsiedzi. Pani Genowefa zmusiła mnie, żebym naszedł ją. Siedzę na krześle w kuchni, rozkład mieszkania podobny do mojego, tylko to jest mniejsze. Wszędzie stare meble i rośliny, istna oranżeria. Przez to pokoje wydają się mniejsze. U pani Genowefy jest nieprzyjemny zaduch, okna pewnie nieotwierane od lat. Na parapetach stoją doniczki, wszędzie pełno paprotek, kaktusów, trzykrotek i geranium. Nikt już tego nie hoduje. Pani Genowefa zalewa wrzątkiem granulowaną herbatę. Udaję, że piję. Co ja tu robię?

Mam dobre życie. Mam, prawda?

Kupiłem mieszkanie, ale może zrobiłem błąd? Może nie jest za późno? Sprzedam, nawet ze stratą, nic nie powiem Zosi i będzie jak dawniej. Wybierzemy razem inne mieszkanie, gdzie indziej zbudujemy nasz dom. A może domek pod Krakowem? Ogródek, Zuzia będzie zadowolona?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, ale pani Genowefa zmusiła mnie, żebym naszedł ją. Udaję, że piję granulowaną herbatę i słucham o poprzednich właścicielach mojego mieszkania. Dawno temu mieszkali tam profesorostwo, zacni ludzi, przedwojennej daty. Mieli jednego syna i całe mieszkanie dla siebie. Pani Genowefa miała sublokatorów. Profesorostwo podejmowali gości, sami też bywali i w owych czasach można było spotkać na schodach same znakomitości Krakowa. Pani Genowefa lubiła stać w uchylonych drzwiach i obserwować, jak uczeni, artyści i duchowni wspinają się po schodach na kolację do państwa profesorostwa. Kiedyś to przychodził nawet jeden biskup.

Kupiłem mieszkanie. Czy dobrze? Czy rodzice będą ze mnie dumni? Nigdy nie lubili starego budownictwa, sami z ulgą przeprowadzili się do domku. Co ja najlepszego zrobiłem? A wydawało mi się, że mam takie szczęście.

Mam dobre życie. A może coś zepsułem?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pani Genowefa w swojej kuchni opowiada o dawnych czasach. Profesorostwo mieszkali tu jeszcze przed wojną, pani Genowefy jeszcze tu nie było, więc nie wie, jak długo. Ale jest dumna, że miała takich sąsiadów. Potem rozpoznawała twarze gości w gazecie albo nawet w telewizji, same znakomitości. Jeden został nawet ministrem. I biskup przychodził. Ma wycinki, kiedyś mi pokaże. I nekrologi z gazet, bo wszyscy już umarli. Ten biskup też; młody był.

Jestem człowiekiem sukcesu. Tak mówią. Czy ja wiem?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, pani Genowefa w swojej kuchni opowiada o dawnych czasach. Po przejściu na emeryturę pan profesor nadal miał studentów, przychodzili do niego na prywatne seminaria. Tak to się nazywało, mówi poważnie pani Genowefa. W każdy wtorek młodzi ludzie śmiejąc się, wbiegali po schodach, a pani Genowefa patrzyła przez uchylone drzwi. I zdarzyło się, że się pan profesor na starość zakochał w jednej studentce. Przychodziła częściej niż inni, a pani Genowefa nieraz widziała ich dwoje, jak spacerują Plantami. Studentka była oczarowana, pan profesor dystyngowany, elegancki. I coś pomiędzy nimi musiało być. Tak na siebie patrzyli.

Mówią o mnie, że odniosłem sukces. Mam pracę, pieniądze, to prawda. Ale czy to jest sukces?

Mam dobre życie. Czy to sukces? Ale mam. Naprawdę?

Nachodzą mnie już sąsiedzi, a pani Genowefa o dawnych czasach. Przez kilka miesięcy trwała ta niewinna miłość, pani profesorowa przez palce patrzyła na zachowanie swego męża. Nieraz to sobie z panią

Genowefą żartowały, że profesorowi zachciało się na starość amorów. Wszyscy w kamienicy wiedzieli, ale nikt nie myślał pana profesora krytykować. Wszyscy wierzyli w dobre maniery i rozsądek. Aż zdarzyło się, że syn państwa profesorostwa rozkochał w sobie studentkę i ją uwiódł. Były wakacje, profesorostwo wyjechali do wód. Studentka raz przyszła po książki, które miała obiecane, trafiła na syna i tak się zaczęło.

Kupiłem mieszkanie, bo mnie na to stać. I mogę je sprzedać, mogę kupić następne. Jest dobrze, będzie dobrze.
Musi być.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, a ja chcę być sam. Zamiast oglądać mieszkanie, planować jego urządzenie, siedzę w kuchni pani Genowefy i słucham romansu sprzed lat. Kiedy profesorostwo wrócili z wód, syn oświadczył, że się żeni. Profesor bardzo to przeżył. Postarzał się w ciągu jednego dnia, popadł w melancholię i chodził odtąd na spacery sam, nie zauważając sąsiadów, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Pani Genowefie bardzo było go żal, ale nie potrafiła pomóc. Miała wprawdzie wiele dobrych rad, ale pan profesor puszczał je mimo uszu.

— Gdybym była młodsza — mówi i zawiesza głos.

Jesienią odbył się ślub i młodzi małżonkowie zamieszkali z profesorostwem. Dziewczyna rozkwitała, a profesor przygarbił się i usychał z tęsknoty. Przez grube ściany przenikały na korytarz pierwsze rodzinne kłótnie. A wcześniej to nie bywało.

Przychodzę tu codziennie. Nauczyłem się nie zauważać tego zapachu na klatce schodowej i brudnego podwórka. Ale czy Zosia też nie zauważy? Czy Zuzia będzie chciała się bawić przy zardzewiałym trzepaku? Jest tak ponuro, tynk obłazi z cegieł, przydałby się remont.

Nachodzą mnie już sąsiedzi, a ja chcę być sam. Romans sprzed lat dogasa, herbata zupełnie wystygła, pani Genowefa pyta mnie, czemu nie piję. Profesor zaczął chorować, wreszcie położył się do łóżka i nie wstał już do śmierci. Obecność synowej, niegdyś ukochanej, wpędziła go do grobu. A między młodymi małżonkami nie układało się najlepiej. Kłócili się i rozstawali, syn profesora wyprowadzał się z domu i wracał. Niedługo po

tym jak profesorostwo umarli, jedno po drugim, małżonkowie rozstali się ostatecznie. On gdzieś zniknął, przez lata go nie widziano. Ona przez kilka miesięcy czekała, ale w końcu spakowała rzeczy i odjechała. Co się z nimi stało, pani Genowefa nie wie.

Mam dobre życie. Ja mam dobre życie.

Kupiłem mieszkanie. Czy dobrze zrobiłem?

Jutro powiem Zosi, może się ucieszy.

Jutro powiem Zosi. Kiedy ją tu przyprowadzę, to może do mnie wróci?

Fuga VII

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i nie wiem, gdzie jestem. Wydawało mi się, że umarłem. Obudziłem się zupełnie sam. Mieszkanie jest puste. Boli mnie noga. Nie pamiętam, skąd się tu wziąłem. Uciekałem. Wszystko coś mi przypomina. Słucham kroków na schodach. Czuję się bezpiecznie. Chyba mogę tu zamieszkać?

Wydawało mi się, że umarłem. Było tak cicho i ciemno.

Nie pamiętam, skąd się tu wziąłem.

Wydawało mi się, że umarłem. Było tak pusto, a ja byłem taki samotny. Na początku bałem się poruszyć, bałem się oddychać. Potem zacząłem cicho płakać. Cicho wołałem pomocy, ale nikt mi nie odpowiadał.

Obudziłem się zupełnie sam.

Wydawało mi się, że umarłem. A może naprawdę umarłem? Było tak cicho i ciemno. Ktoś mnie zamurował w wielkim grobowcu. Wyciągnąłem ręce i nie mogłem sięgnąć do ścian. Próbowałem wstać.

Boli mnie noga.

Wydawało mi się, że umarłem. A więc tak to wygląda? Człowiek jest sam ze swoimi myślami, zamurowany w sarkofagu, znikąd żadnej pomocy. Próbowałem wstać.

Boli mnie noga, dlatego zacząłem się czołgać. Tak dotarłem do ściany. Była zimna.

Obudziłem się zupełnie sam. Było tak ciemno, że nie mogłem niczego zobaczyć. Po jakimś czasie oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Z mroku

zaczęły wyłaniać się pojedyncze kształty. Nade mną wielkie grobowce, starożytne i zakurzone. Wszędzie pełno kurzu.

Nie pamiętam, skąd się tu wziąłem.

Uciekałem.

Obudziłem się zupełnie sam. To chyba cmentarz. Leżę pośrodku alei, po bokach ciemne płyty grobów. Gdzie ja jestem? Zacząłem wołać, ale nikt mnie nie słyszał. Zasnąłem.

Uciekałem, była noc.

Noga boli. Jak śpię, to nie czuję. Dlatego zasnąłem.

Uciekałem, była noc, gonili mnie.

Wydawało mi się, że umarłem.

Noga boli. Czyli chyba żyję? Czy noga może boleć po śmierci?

Obudziłem się zupełnie sam. Zobaczyłem w oddali wąską smugę światła i zacząłem się do niej czołgać. Pod palcami czułem drewno, linie słojów. Chyba nie umarłem. Światło przebijało się przez szparę pod drzwiami. A więc to nie cmentarz, jestem w mieszkaniu. Czy ktoś tu mieszka? Czy już wiedzą, że tu jestem?

Uciekałem, była noc, goniło mnie dwóch wyrostków.

Pchnąłem drzwi i spróbowałem wstać.

Uciekałem, gonili mnie, wyzywali, dlaczego?

Noga mnie boli, dwa razy upadłem, ale w końcu się udało. Trzymając się ścian, wszedłem do pomieszczenia za drzwiami. Było ciemno, tylko

płaszczyzny światła przechodzące przez zabite deskami okna. To chyba kuchnia.

Uciekałem, gonili mnie, bo znaleźli mnie na Plantach.

Nie pamiętam, skąd się tu wziąłem. Gdzie ja jestem?

Uciekałem, ktoś mnie gonił. Co było potem? Pewnie umarłem.

Mieszkanie jest puste. Chyba nikt tu nie mieszka od lat. Wszędzie pełno kurzu, wierci mnie w nosie, co chwila kicham. Mam mokre spodnie, musiałem się posikać we śnie. Co ja tu robię?

Uciekałem, gonili mnie, bo ja na Plantach, jest lato.

Wydawało mi się, że umarłem, ale jednak żyję. Dokuśtykałem do krzesła i usiadłem na nim. Zaskrzypiało, dookoła mnie chmura kurzu. To na pewno kuchnia. Przez zabite okna wpada trochę światła. Pośrodku stół i cztery krzesła, pod ścianą kuchenka, obok jakaś szafka i zlew. Po drugiej stronie kredens. I jeszcze drzwi do innych pomieszczeń.

Nie pamiętam, skąd się tu wziąłem.

Uciekałem, bałem się. Przed kim? Co się stało?

Mieszkanie jest puste. Na zakurzonej podłodze tylko moje ślady. Od lat nikt tu nie mieszkał.

Uciekałem, bo mnie obudzili i zaczęli wyzywać. Jeden kopnął mnie w brzuch, to się obudziłem i wstałem. A drugi uderzył mnie w twarz, więc zacząłem uciekać. A tam cały mój dobytek.

Czuję się bezpiecznie. Tu mnie nie dopadną. Kto mnie gonił?

Uciekałem Plantami, była noc, a oni za mną, bałem się, że mnie zabiją.

Wydawało mi się, że umarłem. Nigdy wcześniej nie miałem takiego uczucia. Obudziłem się zupełnie sam, serce mi biło. Chciałem żyć. A może umarłem naprawdę? Może będę przez resztę wieczności więźniem tego mieszkania. Gdzie ja jestem?

Uciekałem Plantami, a oni za mną, i mieli noże, bałem się i biegłem szybko.

Noga mnie boli, jestem głodny i obolały. Czuję, że pali mnie policzek. Czy ktoś mnie pobił? Siedzę w zakurzonej kuchni, w zasikanych spodniach. Jestem głodny. Nie pamiętam, skąd się tu wziąłem. Ale żyję.

Uciekałem, potem była ulica, prawie wpadłem pod samochód, a oni chyba za mną, bo słyszałem ich kroki, takie ciężkie buty.

Wydawało mi się, że umarłem, ale żyję. Czuję głód. Tu pewnie nie ma jedzenia od lat. Co będę jadł? Może tu umrę?

Uciekałem, oni za mną, a ja co tchu w piersiach, nie wiem, jak mi się udało.

Mieszkanie jest puste. Zdobyłem się na odwagę i krzyknąłem kilka razy głośno. Żadnej odpowiedzi. Jestem zupełnie sam. Co ze mną będzie? Pokuśtykałem do zlewu i odkręciłem kurek. Zakaszlało coś w rurach, ale po chwili kran wypluł wodę. Na początku spłynął rudy osad, ale woda jest czysta. Zacząłem chciwie pić. Skoro żyję, muszę się jakoś ogarnąć. Bywało gorzej. Teraz mam dach nad głową.

Czuję się bezpiecznie.

Chyba mogę tu zamieszkać?

Uciekałem i się bałem, oni chyba przestali, ale biegłem dalej. A tam cały dobytek, takie radio miałem na baterię i sweter.

Mieszkanie jest puste, muszę się po nim rozejrzeć. Może znajdę coś do jedzenia? Kuchnia jest duża, w lodówce nic nie ma; nie szkodzi, i tak by było zepsute.

Wszystko mi coś przypomina. Moi dziadkowie też mieli mieszkanie w kamienicy, w Krzeszowicach, ale inne. Pamiętam, jak spędzałem tam wakacje. W kuchni, która wtedy wydawała mi się ogromna, pomagałem babci wałkować ciasto na makaron.

Uciekałem i się bałem, a oni chyba przestali, ale biegłem dalej, żeby uciec, bo mogli mnie zabić.

Noga mnie boli, ale w kącie obok zlewu znalazłem miotłę. Wspieram się na niej jak na kuli i kuśtykam po całym mieszkaniu. Drewno stuka o parkiet.

Uciekałem, a oni się zmęczyli, ale biegłem dalej.

Mieszkanie jest puste. Z kuchni jedne drzwi prowadzą do małego pokoiku. Jest w nim ciemno, okno mniejsze i szczelniej zabite. Widzę niewielkie łóżko, szafę i stolik. Przypomina klasztorną celę. Na wzorzystej kapie warstwa kurzu, ale jak się wytrzepie, to będzie wygodne spanie. Jest pościel, sprawdziłem.

Wszystko coś mi przypomina. W mieszkaniu dziadków był taki mały pokoik, w którym spałem, kiedy do nich przyjeżdżałem. Na początku było mi smutno, ale potem się przyzwyczaiłem. Ten jest inny. W tamtym była amerykanka i biblioteczka.

Uciekałem, i nagle skręciłem w bramę, stara kamienica, wszędzie domofony, a tam nie.

Mieszkanie jest puste. Z kuchni drugie drzwi prowadzą do małej spiżarki. Z niej jest wyjście na balkon. Może uda mi się zerwać kilka desek, to w mieszkaniu zrobi się jasno. Ale to później, na razie nie mam siły. Może być ciemno. Ważne, że nie muszę już uciekać.

Wszystko coś mi przypomina. Babcia w spiżarce kisiła ogórki i trzymała przetwory. Pamiętam zapach małosolnych ogórków w wielkim kamionkowym garncu. Na wierzchu leżał talerz, a na nim kamień, żeby ogórki nie wypływały.

Uciekałem. Kim oni byli?

Czuję się bezpiecznie. Tu chyba nic mi nie grozi, mogę zostać na parę dni. Potem zobaczę.

Uciekałem, a tu bez domofonu, zdziwiłem się, bo przecież teraz wszędzie, więc od razu w tę bramę i po schodach.

Czuję się bezpiecznie, w spiżarce znalazłem stare przetwory. W wielkich słojach ogórki jak starożytne preparaty. Ile mają lat? Odkręcam jeden, wieczko trochę zardzewiało. Ale pachnie ładnie, kiszonymi ogórkami i koprem. Jestem głodny. Zanurzam palce i wyciągam jednego. Jędrny, słona woda ścieka mi po policzkach. Smaczny. Jest dobrze, nie umrę z głodu.

Uciekałem po schodach, a oni chyba już poszli, ale biegłem dalej.

Mieszkanie jest puste. W spiżarce jest mnóstwo słoików. Z ogórkami, marynowaną papryką, grzybkami. Marmolady, powidła i konfitury. Wszystko pokryte pajęczynami, które rozrywam, by sięgnąć po jedzenie. Czasem trafię na zepsute przetwory, pleśnie tworzą barwne kolonie. Ale tyle jedzenia, i takie dobre, jest dobrze.

Uciekałem, oni chyba poszli, ja po schodach, aż się potknąłem i upadłem, ale podniosłem się i biegłem dalej.

Wydawało mi się, że umarłem. Może naprawdę umarłem? A co będzie, jak zjem wszystkie przetwory? Nie będę się martwił na zapas. Nauczyłem się cieszyć tym, co mam. Zawsze miałem niewiele i jakoś żyłem. A teraz mam całe mieszkanie dla siebie. Kiedy ostatnio było mi tak dobrze?

Uciekałem, ale nie mogłem tak bez końca. Stanąłem na piętrze i zacząłem pukać do drzwi.

Mieszkanie jest puste, wracam do miejsca, gdzie się obudziłem. To nie cmentarna aleja, tylko długi korytarz. Nie ma okien, tylko drzwi. Wszędzie stare szafy, które brałem za nagrobki. Rzeczywiście, wszystko wygląda jak jakaś kaplica grobowa w katedrze. Jest ciemno.

Uciekałem i pukałem, ale wszędzie cicho, bo noc i ludzie śpią, więc szarpałem za klamki, i bałem się, że mnie przegonią, bo na dole tamci czekali.

Mieszkanie jest puste, stoję pośrodku zakurzonego korytarza. Nad głową widzę wielki żyrandol z jelenich rogów. Próbuję włączyć światło. Działa. Przesłaniam oczy, bo blask mnie razi.

Uciekałem i szarpałem za klamki, i płakałem, żeby mi pomogli, bo tamci mają noże i mnie zabiją.

Nie wiem, gdzie jestem, ale to teraz nie ma znaczenia. W szafach znajduję pościel i ubrania. Niektóre na mnie pasują. Kuśtykam w zasikanych spodniach, śmierdzę i jestem brudny. Zrzucam z siebie to wszystko i biorę czystą odzież. Koszula, spodnie od garnituru, bielizna. Kto tu mieszkał? Dlaczego zostawił to wszystko? Jestem nagi i brudny.

Uciekałem i płakałem, ale nikt nie otwierał.

Noga jest opuchnięta w kostce. Będę musiał ją jakoś opatrzyć. Może znajdę jakieś bandaże?

Uciekałem, szarpałem klamki, aż jedne drzwi same się otwarły, było ciemno, więc wszedłem.

Mieszkanie jest puste. Na końcu korytarza są drzwi wejściowe. Przekręcam zamek, nikt mnie tu nie znajdzie. Jestem bezpieczny. Dla

pewności zakładam blokadę z mosiężnego łańcucha. Zapach starego metalu zostaje mi na palcach.

Wszystko coś mi przypomina. Mieszkanie dziadków miało dwoje drzwi. Jedne od frontu, drugie od podwórka. Schody od frontu były z lastriko i śmierdziały lizolem. Te od podwórka były drewniane i czuć je było starością.

Uciekałem, było ciemno i bałem się, że lokatorzy zadzwonią po policję.

Chyba mogę tu zamieszkać? Nie wiem, kogo mam zapytać. Na razie będę tu żył, a potem się zobaczy.

Uciekałem, ale nie mogłem już dłużej, więc zwinąłem się w kłębek na podłodze i zasnąłem.

Mieszkanie jest puste. Na jednym końcu drzwi wejściowe, na drugim przedwojenna maszyna do szycia, nad nią wieniec rogów. Kto tu mieszkał? Jakiś myśliwy? Po lewej stronie same szafy, jak starożytne sarkofagi. Na prawo drzwi do kuchni, te już znam. A obok maszyny, też na prawo, drzwi do łazienki. W środku wanna, niewielkie kafelki w czarno-białą szachownicę. Jest woda, ale zimna. Nie szkodzi, dobrze, że w ogóle jest. Jest lato, nic mi nie będzie. Nauczyłem się myć w zimnej.

Wszystko mi coś przypomina. U dziadków też była maszyna, ale stała w innym miejscu. Nie pamiętam, żeby babcia kiedyś na niej szyła.

Uciekałem, ale nie mogłem już dłużej, więc zwinąłem się w kłębek, niech mnie rano zabiorą, ale przynajmniej tamci mnie nie zabiją.

Noga mnie boli, jestem nagi i śmierdzący. Nie czuję tego, ale wiem, że tak jest.

Uciekałem, ale nie mogłem i od razu zasnąłem, sam nie wiem jak.

Mieszkanie jest puste, szum wody wypełnia je całe. Znajduję kawałek starego mydła i wchodzę do lodowatej wody. Boli, ale wytrzymam. Najpierw długo leżę nieruchomo, po kilku minutach nie czuję już zimna. Namydlam się dokładnie, brud odchodzi czarnymi płatami. Kiedy kąpałem się po raz ostatni? Nie pamiętam.

Wszystko coś mi przypomina. W łazience u dziadków stała pralka Frania. Pomagałem dziadkowi przepuszczać pranie przez wyżymaczkę z gumowych wałków. Lubiłem kręcić korbką.

Uciekałem, a potem od razu zasnąłem, jakbym umarł.

Noga mnie boli. Ostrożnie myję kostkę, sprawdzam, co mi dolega. Wygląda na zwichnięcie. Jest opuchlizna, boli przy stawaniu, ale za kilka tygodni przejdzie. Jakoś wytrzymam, tylko nie trzeba się forsować.

Wydawało mi się, że umarłem. Dobrze, że jednak żyję.

Czuję się bezpiecznie. Woda jest czarna, na bokach wanny zrobiła się ciemna obwódka brudu. Muszę ją wypuścić i spłukać się jeszcze raz w czystej. Nie czuję już zimna. Jestem czysty, pachnę mydłem, cieszę się, że żyję.

Obudziłem się zupełnie sam. Dalej jestem sam. Ubrałem się w rzeczy kogoś, kto mieszkał tu przede mną. Na długość pasują, choć jestem szczuplejszy. Ściągnę spodnie paskiem i będzie dobrze. Dawno nie miałem czystej odzieży. Czuję się młodo, pachnę mydłem. Nareszcie wyglądam jak człowiek.

Mieszkanie jest puste, a ja mam tu wszystko, czego mi potrzeba. Znalazłem grzebień, więc się uczesałem. Jest też maszynka do golenia, ale na razie tylko przytnę brodę. Nie chcę wyglądać jak prawosławny mnich, mam przecież białą koszulę i spodnie od garnituru. Ale golić się nie chcę. Nie lubię.

Mieszkanie jest puste, a ja stoję w łazience i patrzę w lustro. Mam mokre, zaczesane włosy, podbite oko. Spod brody i wąsów patrzy na mnie wychudzona, zniszczona twarz. Ile ja mam lat? Który teraz mamy rok?

Wszystko coś mi przypomina. W łazience dziadków lustro nad umywalką było tak wysoko, że musiałem brać z przedpokoju stołek, aby się w nim przejrzeć.

Wydawało mi się, że umarłem, a żyje mi się całkiem nieźle. Ubrałem sobie nawet marynarkę i wyglądam elegancko. Tylko ten kurz wszędzie, muszę tu posprzątać. W korytarzu znajduję szafkę ze szmatkami, jakieś środki czyszczące. Kim byli poprzedni lokatorzy? Zostawili wszystko tak, jakby się śpieszyli.

Mieszkanie jest puste. Zacząłem sprzątanie od kuchni. Co chwila muszę prać brudne szmaty, bo tyle kurzu. Czyszczę mozolnie stół i krzesła, walczę z pajęczynami. Kim byli ci ludzie? Wszystko jest jakieś dziwne. W szafach uprane, poprasowane ubranie, przetwory w łazience. Maszynka do golenia, żyletki, nawet szczoteczka do zębów. Jakby wyszli z domu, nie planując, że nie wrócą. Albo musieli szybko uciekać, spakować się do jednej walizki. Mam niemiłe wrażenie, kiedy sobie to wyobrażam. Widzę ludzi w mundurach, którzy ich popędzają, a oni muszą do jednej walizki spakować całe swoje życie. Bezradnie wybierają niepotrzebne rzeczy, jakieś pamiątki rodzinne, które chcą ocalić. Wyobrażają sobie, co może się przydać: kalesony, sweter i ciepłe skarpetki. Ubierają płaszcze i opuszczają swoje mieszkanie, poganiani. Dokąd ich zabrali? Dlaczego nie wrócili?

Wydawało mi się, że umarłem. Czy oni żyją? Czy kiedyś wrócą? Co powiedzą, kiedy mnie tu zastaną? Muszę zadbać o to mieszkanie. Jak wrócą, to odejdę, to przecież ich dom. Ale będę o niego dbał. Wszystko posprzątam, parkiet będzie lśnił. Będę się opiekował tym domem, dopóki nie wrócą jego prawdziwi właściciele.

Chyba mogę tu zamieszkać? Mogę? Tylko do czasu, aż wrócą. Potem odejdę, bo to przecież nie mój dom. Na razie jest dobrze. Kuchnia już lśni, a ja kaszlę od kurzu.

Czuję się bezpiecznie, mieszkanie coraz bardziej przypomina dom. Posprzątałem kuchnię, umyłem naczynia, teraz schną. Ale jestem głupi, cała koszula czarna. I pobrudziłem marynarkę, a taka elegancka. Muszę się znowu umyć. Wykąpię się raz jeszcze i ubiorę czystą koszulę. I w ogóle będę się kąpał codziennie. Mam wannę, jest mydło, ręczniki. Jest dobrze.

Mieszkanie jest puste. W łazience odkryłem termę. Wystarczyło zapalić świecę i mam gorącą wodę. Leżę sobie w gorącej zawiesinie i jest mi dobrze. Może się ogolę? Dawno nie widziałem swojej twarzy bez zarostu.

Wszystko coś mi przypomina. Dziadek golił się w staromodny sposób. Rozrabiał krem w rozgrzanym naczyniu, smarował policzki pędzlem z borsuczego włosia, potem wybierał żyletkę, wkładał do maszynki i golił się w skupieniu. Kiedy się zaciął, to używał ałunu, a potem pozwalał mi popryskać się wodą kolońską, która stała w butelce oplecionej wikliną. Czasem dawał mi swoją drugą maszynkę bez żyletki, smarował mi twarz, a ja uważnie ściągałem krem kawałkiem tępego metalu.

Mieszkanie jest puste, a ja golę się przed lustrem w łazience. Przecieram je ręcznikiem, bo zaparowało. Przy goleniu chyba trzeba podśpiewywać albo gwizdać. Tak słyszałem. No to pogwizduję. Kręcone kudły spadają do umywalki. Żyletka jest trochę tępa, ale nie szkodzi, mogło być gorzej. W ogóle nie powinienem narzekać. Dawno nie miałem tak dobrze. Przecieram lustro. Spogląda na mnie zmęczona twarz obcego człowieka. Ależ ja się postarzałem… Bruzdy i zmarszczki, zapadnięte policzki, podkrążone oczy. Gdybym minął się na ulicy, pewnie bym się nie poznał.

Obudziłem się zupełnie sam. Dalej jestem sam, ale nie czuję samotności. Mam gdzie mieszkać, nikt mnie nie goni. Chodzę w białej koszuli i sztruksowych spodniach. Ten kolor chyba nazywa się tabaczkowy. Zakurzony garnitur odczyściłem i zostawiłem na specjalne okazje. Muszę jeszcze wymyślić, co to będą za okazje. Może będę w nim wychodził na zewnątrz? Nie, nie będę wychodził, tu mi dobrze, po co wychodzić? Nie, nie będę wychodził. Sprawdziłem, czy drzwi zamknięte.

Słucham kroków na schodach, ale jest cicho. Czy tu ktoś mieszka? Na którym jestem piętrze? Nic nie wiem. Ledwo wiem, skąd się tu wziąłem. Teraz jestem zmęczony, położę się spać. W pościeli zachował się słaby zapach lawendy. Dawno nie spałem w łóżku. Zapadam się w poduszki i usypiam.

Obudziłem się zupełnie sam, wszędzie ciemno.

Wydawało mi się, że umarłem. Znów się przestraszyłem i zacząłem wzywać pomocy. Kiedy krzyknąłem, przypomniałem sobie, gdzie jestem. Poczułem spokój.

Mieszkanie jest puste. Co się stało z ludźmi, którzy tu kiedyś mieszkali? Czasem myślę, że ktoś wypędził ich przed laty po to, bym mógł tu zamieszkać. Głupio mi względem nich, kimkolwiek byli. Czy jeszcze żyją?

Słucham kroków, ale nikt nie nadchodzi. Czasem zbiegnie kot.

Mieszkanie jest puste i ciemne. Postanowiłem zerwać deski, którymi zabito okna. W przedpokoju pod wieszakiem na płaszcze znalazłem ławę, a w ławie narzędzia. Wziąłem obcęgi, duże dłuto i ruszyłem na balkon.

Wszystko coś mi przypomina. U dziadków też była ława i narzędzia. Pomiędzy młotkami i śrubokrętami dziadek miał płaskie, blaszane pudełka, w których trzymał łatki do rowerowych dętek. Bardzo mi się podobały te pudełeczka. Na jednym było napisane „Lwów”, było pomarańczowe i dziadek zgodził się przełożyć łatki do innego pojemnika. Nosiłem potem to pudełeczko w kieszeni kurtki, chowając w nim guziki z dziadkowego munduru.

Boli mnie noga, choć zabandażowałem sobie kostkę podartym na pasy prześcieradłem. Wygląda jak biała bulwa. Staram się jej nie nadużywać. Podpieram się kulą zrobioną ze szczotki. Trochę ją skróciłem, a końcówkę

owinąłem starym swetrem. Kiedy wkładam ją pod pachę, jest wygodna i miękka. Potrafię już z nią biegać.

Mieszkanie jest puste i ciemne, ale ja to zmienię. Trochę szarpałem się z drzwiami balkonowymi, w końcu puściły. Deski przybito z zewnątrz prosto do futryn. Wróciłem po młotek i wybiłem je, jedna po drugiej.

Mieszkanie jest puste i ciemne, ale do spiżarki wpada już słońce. Wyszedłem na balkon i zobaczyłem podwórko starej kamienicy. Zupełna ruina. Większość mieszkań zabita deskami, w kilku oknach wmurowano nawet cegły. Jedna ściana została podparta stalowymi wspornikami, jakby miała się za chwilę zawalić. Tu chyba nikt nie mieszka. Na dole uschnięte drzewo, połamane konary przewróciły podczas upadku blaszane kosze na śmieci. Gdzie ja jestem? Jak tu trafiłem? Koło trzepaka, obok przewróconej ławki śpi stary pies. Uważnie patrzę, czy nie ma tu innych ludzi. Jak mnie zauważą, to po mnie.

Wszystko coś mi przypomina. W kamienicy dziadków, która była dużo mniejsza niż ta, mieszkał jeden staruszek, którego trochę się baliśmy. Wydawało nam się, że ma ze sto lat. Przed wojną pracował w pałacu Potockich. Pamiętał wojnę, pamiętał jak gubernator Frank przyjeżdżał do pałacu.

Wydawało mi się, że umarłem, ale żyję. Za to dom, w którym się obudziłem, umiera. Kamienica pewnie nadaje się do rozbiórki, ale wszyscy o niej zapomnieli. Wysiedlono ludzi, zabito okna, jakiś urzędnik sporządził raport i tak zostało.

Wszystko coś mi przypomina. Patrzę na podwórze i przypominam sobie tamtego staruszka, nazywał się chyba Brzoza, który siadywał na ławce pod trzepakiem i grzał się w słońcu. Nam nie przeszkadzał, uważaliśmy tylko, żeby nie trącić go piłką. Zawsze chodził w marynarce i krawacie, nosił czarny beret i okulary w grubej oprawie. Siedział tak całymi godzinami, oparty na lasce i patrzył, jak się bawimy. Zupełnie nieruchomo.

Czuję się bezpiecznie, na razie nic mi tu nie grozi. Nikt tu nie zagląda, nikt mnie tu nie znajdzie. Podważam dłutem deski, gwoździe wychodzą łatwo z miękkiego drewna. Robota idzie szybko. Wszystkie deski składam w kącie balkonu. Najpierw chciałem zrzucić na podwórko, ale wolę nie hałasować. A nuż ktoś usłyszy i mnie stąd wygonią? Tu przecież nie wolno mieszkać. Nad moimi głowami latają gołębie. Stary pies obudził się i ciekawie patrzy w górę. Uśmiecham się do niego i gwiżdżę przyjaźnie. Merda ogonem.

Wszystko coś mi przypomina. W Krzeszowicach, na podwórku u dziadków też był stary pies, suka, nazywała się Aza. Nie wiem, do kogo należała. Była siwa na pysku, oczy miała ciągle zaropiałe. Bałem się wtedy psów, ale Azy się nie bałem. Do kogo należała? Po prostu była.

Mieszkanie jest puste, ale zrobiło się jasno. Nie muszę już palić światła przez cały dzień. Siedzę w kuchni przy stole i myślę nad swoim życiem. Zmarnowałem je, ale nie mogę narzekać. Może to i dobrze? Może tak miało być? Cieszę się tym, co mam.

Mieszkanie jest puste, nie wiem, kto tu mieszkał przede mną. W szafach są ubrania męskie i damskie, trochę staroświeckie, ale eleganckie i dobrej jakości. Duża kuchnia, spiżarka, mała sypialnia, jak cela na jedną osobę. Jak się mieścili? Przecież nie spali w korytarzu. Gdzie siedzieli po pracy, nie ma żadnej sofy, tylko stary fotel pod oknem w kuchni. Trochę to dziwne; jak wszystko wokoło.

Wszystko coś mi przypomina. Moja babcia też miała fotel w kuchni, taki turystyczny, rozkładany. Lubiła w nim siadać i czytać gazetę.

Mieszkanie jest puste, postanowiłem policzyć zapasy w spiżarni. Czterdzieści dwa słoiki kiszonych ogórków, piętnaście z marynowaną papryką, dwanaście z zielonymi pomidorami, bardzo dobra sałatka z octem, dziesięć małych słoiczków z marynowanymi grzybkami, głównie podgrzybkami i maślakami; dwadzieścia siedem słoików z powidłami, dwadzieścia z marmoladką z jabłek, to chyba antonówki, piętnaście z konfiturą wiśniową, cztery z różaną. Jest tego trochę, ale niedługo się

skończy. Wtedy będę musiał pomyśleć, co dalej. W kącie spiżarki stoi stary ręczny magiel. Koła są już pordzewiałe i pewnie nie działa. Posprzątałem wszystko i można tu nawet spać. Ale przecież mam już sypialnię.

Boli mnie noga, ale staram się ją oszczędzać. Kiedy ulepszałem swoją kulę, znalazłem w korytarzu miotełkę z kogucich piór i drabinkę. To dobrze, bo mogę omieść z pajęczyn żyrandole. Z wysokości zobaczyłem, że w kuchni nad drzwiami jest złuszczone malowidło. Trzy postaci w aureolach siedzące wokół stołu. Jest zniszczone, nie widać szczegółów. Ale ładne. Wygląda jak w starym kościele.

Wszystko coś mi przypomina. U moich dziadków w kuchni wisiała na futrynie w kuchni malutka poduszeczka, w którą powbijane były igły i szpilki. Była brązowa i przypominała mi dłoń bez palców.

Czuję się bezpiecznie, ale zapasy skończą się za kilkanaście dni. Będę musiał wyjść na zewnątrz i trochę się tego boję. W kredensie znalazłem w szczelnie zamkniętych słojach trochę mąki i kaszy. Sprawdzałem, chyba jeszcze dobre. Ziarna chyba można długo przechowywać. Można? Kiedy zostały kupione? Na pewno kilka lat temu. Ale chyba się nie otruję.

Wydawało mi się, że umarłem. Kiedy sobie to przypomnę, to chce mi się śmiać. Jak można było pomylić przedpokój z cmentarną aleją?

Obudziłem się zupełnie sam i wpadłem w panikę. Wydawało mi się, że nie żyję. A teraz siedzę sobie umyty, w czystej odzieży, jem kaszę i kiszone ogórki. Wieczorami piję herbatę, której puszkę też znalazłem w kredensie. Jest jeszcze kawa, szybko nie zginę.

Chyba mogę tu zamieszkać? Mogę, bo kto mi zabroni? Będę dbał o to mieszkanie. A może uda mi się zająć je przez zasiedzenie? Za kilka lat przyjdą urzędnicy, żeby wreszcie rozebrać kamienicę. Znajdą mnie, będą chcieli wysiedlić, a ja powiem, że jestem tu przez zasiedzenie i będą mi musieli dać lokal zastępczy. A może nikt nie przyjdzie? Może wszyscy zapomnieli? Może stan własnościowy kamienicy jest niejasny i czekają? Mijają lata, a tu nic się nie dzieje.

Wszystko coś mi przypomina. Staruszek Brzoza, chyba tak się nazywał, kiedyś zaprowadził nas do ogródka, który rozpościerał się za podwórkiem i przylegał do muru, który ogradzał park Potockich. Każdy z lokatorów miał tam niewielką grządkę, na której hodował kwiaty, truskawki i szczypiorek. Staruszek Brzoza pokazał nam miejsce, gdzie na szczycie muru hitlerowcy rozciągnęli drut kolczasty i osadzili w cemencie ostre kawałki tłuczonego szkła, żeby nikt obcy nie mógł wejść do parku. Baliśmy się tego szkła, które było w różnych kolorach. Drut kolczasty pordzewiał i pękł w kilku miejscach, ale nikt go nie zdjął, mimo że od wojny minęło prawie czterdzieści lat.

Nasłuchuję kroków na schodach, ale nikt nie idzie. Na półpiętrze jest otwarte okno, skrzydło uderza o framugę przy podmuchach wiatru. Może pójdę zamknąć? Nie, lepiej nie wychodzić. Sprawdzam, czy drzwi są zamknięte. Poprawiam łańcuch. Lepiej nie wychodzić, niech trzaska.

Wszystko coś mi przypomina. W kamienicy dziadków mieszkał człowiek, który często się awanturował po alkoholu. Kiedyś umówiliśmy się z kolegami, że damy mu nauczkę. Postanowiliśmy, że wrzucimy mu przez okno kamień z kartką: „Strzeż się, pijaku!”. Tak też zrobiliśmy, ale kolega nie trafił w otwarte drzwi balkonowe i stłukliśmy człowiekowi szybę. Zrobiła się awantura, dziadek mnie przesłuchiwał. Płacząc, powiedziałem, że to kolega rzucał, a dziadek poszedł do jego rodziców. Potem kolega mijał mnie na podwórku bez słowa, potem wakacje się skończyły i wróciłem do Krakowa, do rodziców. Jak on miał na imię?

Czuję się bezpiecznie. Na maszynie do szycia znalazłem koszyczek, a w nim pęk kluczy. Sprawdziłem, pasują. Zawsze mogę wyjść, zamknąć za sobą drzwi i nikt tu nie wejdzie. Nigdy nie miałem mieszkania, które mógłbym zamknąć. W każdej chwili mogę wyjść. Ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie ma potrzeby.

Mieszkanie jest puste, a ja kuśtykam po nim, postukując kulą. Na początku stukała bardzo, ale przybiłem do niej kawałek grubej gumy, którą

znalazłem w ławie pomiędzy narzędziami. Nie niszczę parkietu, ale trochę tak cicho bez tego stukania.

Wszystko coś mi przypomina. Kiedyś mieszkałem w ogródkach działkowych z czterema innymi bezdomnymi. Wyrzucili nas z dworca, to włamaliśmy się do jednego domku w Przegorzałach i tak mieszkaliśmy. Jeden z tych ludzi nie miał nogi i chodził o kulach. Nie wiem dlaczego, ale wszyscy bezdomni nazywali ich generałami. Nazywaliśmy. Tak mi się przypomniało.

Czuję się bezpiecznie. Wysypiam się, godzinami leżę w ciepłej kąpieli. Nic nie muszę robić, przynajmniej na razie. Dawno nie miałem takich wakacji. Drugiego dnia wieczorem ogoliłem sobie głowę. Trochę niedokładnie, ale może być. Teraz już w ogóle nie mogę się poznać. Wszystko się zmieniło: moja twarz, moje życie. Nie mogę więc wyglądać tak samo.

Nie pamiętam, skąd się tu wziąłem. Uciekałem, ale może to był tylko sen? Trochę wygląda na sen. Ale za to pamiętam wszystko, odkąd się obudziłem. Prowadzę kalendarz, żeby się nie pogubić. Dni są takie podobne do siebie.

Wydawało mi się, że umarłem, ale ja się przecież na nowo narodziłem. Cieszę się z tego, jest dobrze. Nie wiem, komu mogę podziękować. Lepiej nie dziękować, lepiej nie szukać, bo mnie jeszcze znajdą i wszystko się skończy.

Obudziłem się zupełnie sam w środku letniej burzy. Grad uderzał w szyby, wszystko się trzęsło, a od starego drzewa oderwał się kolejny suchy konar.

Wydawało mi się, że umarłem, tym razem naprawdę, ale zapaliłem światło i wszystko było dobrze. Kit w oknach wysechł i się wykruszył, dlatego na parapecie było trochę wody. Starłem wszystko, zrobiłem sobie herbatę i siadłem przy stole. W tę noc, piątą mojego tu pobytu, już nie

zasnąłem. Nad ranem burza ustała i na szare niebo wyszło słońce. Od razu zrobiło się lepiej.

Mieszkanie jest puste, takie ciche. Wyszedłem do przedpokoju i zauważyłem, że spod szafy, która stoi naprzeciw kuchennych drzwi, cieknie woda. Na parkiecie zebrała się spora kałuża. Skąd woda? Otwarłem szafę, ale w niej wszystko suche, na dolnej półce równo złożone prześcieradła pachnące lawendą. Skąd ta woda?

Mieszkanie jest puste, muszę o nie dbać. Starłem wodę i wróciłem do kuchni. Ze znalezionej mąki zagniotłem ciasto i na starej patelni zrobiłem podpłomyki. Mam chleb. Starcza mi to, co mam. To dziwne, ale nie brakuje mi alkoholu. Nie piję już kilka dni, przynajmniej od czasu, kiedy obudziłem się w korytarzu. I dopiero teraz o tym pomyślałem.

Mieszkanie jest puste, cisza, aż dzwoni w uszach. Pogwizduję sobie różne melodie, trochę też mówię do siebie. Ale jest dobrze, dawno nie było mi tak dobrze.

Czuję się bezpiecznie. Podpłomyki mi smakują, zjadam jeden jeszcze na ciepło. Siedzę przy stole i widzę, że pod szafą znowu utworzyła się kałuża. Biorę suchą szmatę i kuśtykam do przedpokoju. To dziwne, szafa w ogóle nie przypomina grobowca. Jak mogłem się tak pomylić? Wyobraźnia podsuwała mi niezwykłe skojarzenia. Ale przecież wydawało mi się, że umarłem. Skąd ta woda? Na podłodze obok szafy są rysy na parkiecie. Drewno jest jaśniejsze. Jakby ktoś na siłę przesunął mebel na nowe miejsce. Kładę się na podłodze, zaglądam pod szafę, ale nic nie widzę. Jest ciemno. Zapieram się i próbuję przesunąć ją na stare miejsce. Muszę zaprzeć się nogą, a noga boli. Zapieram się drugą, ale i tak boli. Szafa wolno rusza po parkiecie, zgrzyta tak nieprzyjemnie. Zaciskam zęby i pcham dalej. W końcu przepchałem ją na jakiś metr.

Mieszkanie jest puste, w ścianie za szafą są drzwi. Takie same jak do kuchni. Pomiędzy skrzydłem a progiem już zebrała się woda. Dlaczego ktoś je zastawił? Co ukrywa? Może tam znajdę zwłoki poprzednich właścicieli?

Nasłuchuję kroków na schodach. Trochę narobiłem hałasu, może ktoś mnie usłyszał? Tylko kto? Przecież tu nikt nie mieszka. A może mieszka? Może codziennie przychodzą urzędnicy i sprawdzają, czy nikt się w wysiedlonych mieszkaniach nie zagnieździł? Może tylko czekają, żeby mnie złapać i wsadzić do aresztu? Ale nie wejdą tak prosto, mosiężny łańcuch na swoim miejscu, drzwi zablokowane. Nie wpuszczę nikogo tak łatwo. Będą musieli wyważyć drzwi. Słucham, ale nikt nie idzie.

Boli mnie noga, ale wstałem, wsparłem się na kuli. Pchnąłem drzwi z przestrachem. A za drzwiami duży pokój. Chłodniej niż w kuchni, bo nie ma szyb w oknach. Wszystko wokoło zniszczone. Na podłodze woda, na niej wyspy ze zbutwiałych klepek parkietu. W tej glebie wyrosły małe drzewka, znajdując światło, wilgoć i potrzebne minerały. Na zewnątrz szumią wielkie drzewa, to pewnie z ich nasion ten młody las. Meble złuszczone, brodzą w ciemnej tafli. Wszystko jest dzikie i zawłaszczone przez naturę. Na fotelach wylegują się koty, na karniszach siedzą ptaki. Pod ścianami spiętrzone pryzmy odchodów, śmierdzi. Z foteli sterczą sprężyny, ale kotom to nie przeszkadza. Śpią zwinięte, jeden na mnie patrzy. Drugi pręży się, miauczy i wskakuje na stół, po którym przechadza się majestatycznie. Obok serwantki potłuczone talerze i filiżanki, a na półkach gniazda jakichś ptaków. Pisklęta wołają o jedzenie. Gdzie ja jestem?

Wszystko coś mi przypomina. W domu moich dziadków był duży pokój, ale nie taki, jak ten. Byłem wtedy mały, ale chyba był dwa razy mniejszy. Na środku stał stół, było pianino, tapczan, dwa fotele i telewizor. I jeszcze palma w dużej doniczce.

Mieszkanie jest puste, ale pełne zwierząt. Nie zabito okien i przyroda znalazła do niego dostęp. Ktoś wybił szyby, zleciały się ptaki, po gałęziach wchodzą koty. Pokój jest wielki. W kącie czarne pianino, lśniący niegdyś fornir odchodzi wielkimi płatami, jakby instrument zrzucał wylinkę. Struny na wierzchu, klawisze brudne i zakurzone. A więc tu mieszkali poprzedni lokatorzy. W tym pokoju żyli, wypoczywali, przyjmowali gości. Patrzę na to, co pozostało z umeblowania. Musieli być bogatymi ludźmi. Dlaczego odeszli, zostawiając to wszystko?

Chyba mogę tu zamieszkać? Ale czy chcę? Do tej pory żyłem w czystych pokojach, to mi wystarczało. Teraz odkryłem nieznane lądy, dzikie i nieujarzmione. Czy będę miał siłę, by walczyć z kotami i ptakami? Czy potrafię to oczyścić? Na pływającej po wodzie klepce siedzi szczur. Popiskuje i próbuje zachować równowagę. Im bardziej się wierci, tym jest to trudniejsze. W końcu jego tratwa wywraca się, a mokry szczur zaczyna płynąć do brzegu. Znika gdzieś pomiędzy fotelami.

Mieszkanie jest puste, choć pełne przyrody. Z wielkiego salonu prowadzą na boki białe drzwi, podobnie jak z kuchni. Są uchylone, ruszam w ich kierunku, brodząc. Woda nie jest głęboka. Mijam młode drzewka. Wszędzie pełno zieleni, mchy, porosty na ścianach. I ten smród ptasich odchodów. Wchodzę do mniejszego pokoju, tu musiał być gabinet. Cała ściana w regałach, wzdęte od wilgoci książki, wiele piętrzy się w stertach na podłodze. Po tym królestwie przechadzają się koty, skąd ich tu tyle? Może nie mogą się wydostać? Żywią się ptakami i gryzoniami, ale są skazane na ten rewir.

Wszystko coś mi przypomina. Ten gabinet pewnie należał do profesora, tyle książek. Mój dziadek miał mniejszą biblioteczkę. Był urzędnikiem. W dużym pokoju stało jego biurko, które pachniało starością. Nie wolno było mi w nim grzebać. Kiedyś otwarłem sam szufladę i znalazłem pachnącą chińską gumkę do mazania. Była różowa, owinięta szeleszczącym celofanem. Pachniała tak ładnie, że ją ugryzłem, ale nie była dobra. Potem byłem zdziwiony, skąd dziadek wiedział, że to ja.

Wydawało mi się, że umarłem. Może miałem wtedy rację? Może naprawdę umarłem i teraz poznaję dziwne zaświaty? Kamienica do rozbiórki, stada kotów w starych meblach, ptasie gniazda pomiędzy zniszczonymi książkami. Tu też wyrosły jakieś drzewa, jedno dotarło do sufitu i teraz próbuje przebić się wyżej. Po burzy jest chłodno, listki trzepoczą przy każdym podmuchu.

Mieszkanie jest puste, tak mi się wydawało. Za szafą odkryłem nieznany świat, nieodkryty kontynent. W trzecim pokoju musiała być sypialnia. Wielkie łoże, którego nogi zdążyły przegnić na dobre, dryfuje po

podłodze niczym pływająca wyspa. Naprzeciw wielka szafa z lustrem, do niej zwierzęta jeszcze się nie dobrały. Patrzę na swoje odbicie i wygląda ono smutno. Wsparty o kuli, z podkuloną nogą, patrzy na mnie przestraszony człowiek. Jest chudy, ma ogoloną głowę i wygląda, jakby dopiero wyszedł z jakiegoś zakładu zamkniętego. Świat go zaskakuje na każdym kroku. To ja? Ale jestem stary. Wydawało mi się, że wyglądam młodziej.

Wszystko coś mi przypomina. Dziadkowie też mieli obok dużego pokoju sypialnię. A może tam spałem, kiedy przyjeżdżałem do nich na wakacje? Było w niej zimno, a nakastliki miały marmurowe blaty. I były dwa łóżka. Nie wiem, dlaczego myślałem, że dziadek w szafie trzyma swój wojskowy mundur. Nigdy mi go nie pokazał. A może coś mi się pomyliło? Chyba miał tylko wojskowy pasek. To skąd te guziki, które chowałem do blaszanego pudełka?

Wracając, uderzam w klawisze pianina. Większość wydaje głuchy stuk, ale udaje mi się wydobyć kilka dźwięków. W końcu stłumione tony układają się w prostą melodię:
d–a–f–d–cis–d–e–f–g–f–e–d. Skąd ja ją znam?

Mieszkanie jest puste, dzięki wodzie dźwięk ze starego pianina wypełnia cały salon.

Wszystko coś mi przypomina. W mieszkaniu dziadków też było czarne pianino. Na klawiszach przed zamknięciem klapy babcia rozkładała podłużny kawałek sukna, który wyglądał jak stuła. Kiedy bawiłem się w księdza, to ubierałem szlafrok dziadka, zawieszałem sukno z klawiatury na szyi i udawałem, że spowiadam. Babcia powiedziała, że nie będzie całować tego materiału, bo jest zakurzony. Gdzie miałem konfesjonał? Nie pamiętam.

Czuję się bezpiecznie. Czy nie za bezpiecznie? Zaraz ktoś usłyszy i przyjdzie. Zamykam klapę, wycieram brudne palce w spodnie i wracam do przedpokoju. Dwa koty zdążyły zapuścić się na moje terytorium. Przeganiam je i zamykam drzwi. Nie będę przesuwał szafy, ale nie chcę,

żeby do mojego mieszkania dostały się te wszystkie ptaki i szczury. A może kilku udało się już przesmyknąć, kiedy chodziłem po wodzie? Muszę być bardziej rozważny. Muszę się lepiej troszczyć o moje mieszkanie. Moje? Czy ono jest moje? Pogwizduję sobie tę melodię, przyczepiła się do mnie: d–a–f–d. Jak było dalej?

Nasłuchuję kroków na schodach. Ktoś idzie. Usłyszał brzdąkanie na pianinie i idzie. Wspina się szybko, kroki są coraz głośniejsze. Najciszej jak potrafię, podchodzę do drzwi. Staram się nie używać kuli, żeby nie stukać.

Boli mnie noga, ale nie mogę się zdradzić. Podchodzę do drzwi i wyglądam przez wizjer. Na korytarzu stoi kobieta. Puka, a ja milczę. Zagląda w wizjer, a ja się odruchowo cofam. Wie już, że tu jestem, zdradziłem się. Teraz wszystko przegrane. Doniesie urzędnikom albo policji. Ale udaję, że mnie nie ma. Przez drewno słyszę jej oddech. Jest szybki, wchodziła po schodach. Może biegła? Dlaczego? Czego ode mnie chce?

— Proszę otworzyć, i tak wiem, że pan tam jest.

Skąd wie? Milczę.

— Mnie nie musi się pan bać.

Znam te sztuczki. Otworzę, a z boku pewnie już czekają umundurowani panowie. Mam się nie bać? Kobieta stoi jeszcze chwilę, po czym wzdycha i odchodzi.

Wydawało mi się, że umarłem. Osunąłem się na podłogę i oparłem o drzwi. Znaleźli mnie.

Mieszkanie jest puste, ale wszyscy wiedzą, że je zająłem. Nielegalnie. Zaraz mnie stąd wyrzucą, znów nie będę miał gdzie mieszkać. Gdzie ja teraz pójdę? Jeszcze z tą nogą? Szukam walizki, do której spakuję najpotrzebniejsze rzeczy. Odzież, może coś wartościowego, co będę mógł później sprzedać. Jak po mnie przyjdą, to wezmę ją i pójdę. Przynajmniej nie zginę.

Boli mnie noga, sforsowałem ją, nie używając kuli. A i tak na nic. Ta kobieta wie, że tu jestem. Słyszała grę na pianinie. Skąd wie, że jestem

mężczyzną? Może widziała mnie na balkonie, kiedy zrywałem deski z okien? Albo zauważyła, jak się włamywałem do tego mieszkania nocą? A może od kilku dni słyszy kroki nad głową? Mieszka przecież niżej.

Czy mogę tu zamieszkać, czy mogę tu zostać? Może powinienem od razu uciec? Wróciłem do kuchni i z tego wszystkiego zjadłem cały słoik powideł. Kwaskowe, dobre, długo smażone. Wprawdzie miałem plan, by zjadać tylko pół słoika dziennie, ale to była wyjątkowa sytuacja, zdenerwowałem się. Teraz trzeba będzie zacisnąć pasa, bo idą trudne czasy. Powidła znakomite, może zjem drugi słoik?

Czuję się bezpiecznie, dopóki drzwi są zamknięte. Ale przyjdą i wyważą. Drugi słoik równie smaczny, jak pierwszy. Smaruję nimi podpłomyki, zawijam jak naleśniki i zjadam. Jaką ja mam ochotę na naleśniki! A może upoluję gołębia i zrobię rosół? Zawsze to jakaś odmiana. I mięso. Jem tylko marynaty i kaszę. Przyjdą, przyjdą i wyważą, co ja wtedy zrobię? Nawet nie zdążę zjeść tych zapasów. Może w tej sytuacji mogę sobie pozwolić na trzeci słoik? Tylko dzisiaj, w drodze wyjątku.

Wszystko coś mi przypomina. W kamienicy moich dziadków mieszkała taka Ania, dwa lata starsza ode mnie. Kolega, ten od rozbitej szyby, powiedział mi, że za coś słodkiego Ania pokazuje chłopakom majtki. A czasem nawet na chwilę je ściąga, ale tylko na chwilę. Jak ten kolega miał na imię? Tak dziwnie na niego mówiliśmy; nie pamiętam. I ja ukradłem kiedyś ze spiżarki słoiczek konfitur z róży, poszedłem do Ani i poprosiłem, żeby mi pokazała. Poszliśmy schodami od podwórka na samą górę, aż pod drzwi na strych. Ania zadarła sukienkę i stała tak chwilę w samych majtkach. Pamiętam, że miały kolor kawy z mlekiem i obszyte były taką białą koronką. Poprosiłem, żeby je ściągnęła, a ona powiedziała, że jestem za mały i że spadnę ze schodów z wrażenia. I odchyliła na chwilę te majtki, ale tak szybko, że i tak nic nie widziałem. A potem okazało się, że te konfitury to były na święta, specjalnie tylko jeden słoiczek. Nigdy się nie przyznałem.

Nasłuchuję kroków na schodach. Przesunąłem fotel z kuchni do przedpokoju, pod same drzwi, i nasłuchuję. Czasem zdarza mi się

zdrzemnąć. Obok mam kulę i słoik z powidłami. W swojej sypialni złapałem kota, więc przegoniłem go do tamtego świata, który zaczyna się za drzwiami salonu. Nie chciał iść. Ale nawet nie mam go czym karmić. Zresztą, to kot.

Nasłuchuję kroków na schodach, jest już wieczór. Nagle słyszę, to znowu ona. Idzie wolniej, staje i chwilę czeka. Puka cicho, ale ja milczę. Puka głośniej.

— Jest pan tam?

Nie odpowiadam, przecież mnie tu nie ma.

— Zostawiam pod drzwiami coś do jedzenia i sobie idę. Proszę się nie bać.

Rzeczywiście, słyszę kroki. Oddala się, schody skrzypią. A może tylko udaje? Zaczai się na półpiętrze i dopadnie mnie, jak uchylę drzwi? Nie ma głupich.

Czuję się bezpiecznie tylko wtedy, kiedy drzwi są zamknięte. Na wszelki wypadek sprawdzam, czy łańcuch dobrze trzyma. Kroki są coraz cichsze. Słyszę gdzieś w dole trzaśnięcie drzwi. A więc odeszła. Ale czekam spokojnie. Liczę do stu, potem jeszcze raz. Na wszelki wypadek jeszcze raz do stu. To jest pięć minut. Dookoła cicho. Przekręcam ostrożnie zamek, najciszej, jak potrafię. Naciskam klamkę i uchylam drzwi. Trochę skrzypią. Na progu leży reklamówka. Mogę ją chwycić i wciągnąć do środka bez ściągania łańcucha. Może przejdzie. Nie, za duża. Na moment ściągam więc łańcuch, serce wali mi jak młot. Otwieram drzwi, porywam siatkę i zamykam się na cztery spusty.

Słucham kroków na schodach, ale jest cicho. Kobieta odeszła i już nie wróci. Przynajmniej na razie. W reklamówce jest chleb, pęto kiełbasy i biały ser. Chyba nie mam się czego bać.

Mieszkanie jest puste, a ja robię sobie prawdziwą ucztę. Ogórki mi już zbrzydły. A kiełbasa dobrze naczosnkowana, do tego świeży chleb, pachnący, pyszny. Biały ser zostawiam na śniadanie.

Chyba mogę tu zamieszkać? Kobieta, która daje chleb i kiełbasę, raczej nie wyda mnie w ręce ludzi w mundurach, nie zabiorą mnie stąd, nie wywiozą. Kiełbasa bardzo dobra. Trzymam kawałek przed nosem i z zamkniętymi oczami wdycham aromat wędzenia, czosnek. Przypomina mi się dzieciństwo.

Czuję się bezpiecznie. Kim jest kobieta, która pomaga nieznajomemu? Mieszka tu od lat czy bezprawnie zajęła puste mieszkanie do rozbiórki, jak ja? Może łączy nas wspólna dola przestępców, którzy zagnieżdżają się w pustostanach? Co będzie dalej? Teraz słyszę zza drzwi do salonu miauczenie kotów. Jak mogłem wcześniej go nie słyszeć? Czy szafa z pościelą tak dobrze wszystko tłumiła? Dziwny, wodny świat za drzwiami. Wspaniała kiełbasa, dużo czosnku. Dawno takiej nie jadłem.

Obudziłem się zupełnie sam, w małym pokoiku obok kuchni. Otwarłem szeroko okno i wyjrzałem na podwórko. Był słoneczny poranek, obok przewróconej ławki spał stary pies. Zagwizdałem na niego. Obudził się i pomerdał ogonem. Oderwałem pajdę chleba i rzuciłem na ziemię. Wolno podniósł się i podreptał w stronę jedzenia. Był bardzo stary, ledwo szedł. Zgubił trop i przez chwilę nie mógł znaleźć przysmaku, choć krążył blisko niego. W końcu wpadł na niego nosem, chwycił i długo przeżuwał. Biedny, stary pies. On pewnie w ogóle nie ma już zębów.

Wydawało mi się, że umarłem. Ten pies musi mieć tak codziennie. Co dzień umiera i rodzi się na nowo. Nagle usłyszałem poruszenie w kącie podwórka. Wychyliłem się, ale niewiele mogłem zobaczyć. Pies zamerdał ogonem i podreptał w stronę, skąd dochodziły dźwięki. Wyszedłem na balkon i wychyliłem się tak, by zobaczyć niewidoczny wcześniej fragment. Pies stał nad obitą miską i zjadał posiłek przyniesiony przez kobietę, która wczoraj dała mi chleb i kiełbasę. Dokarmia psy i ludzi. Stała obok, oparta o ścianę i paliła papierosa. Była ładna, niemłoda już, ale ładna. Oparta niedbale, w ogrodniczkach i podkoszulku, wyglądała bardzo dziewczęco. Patrzyłem na nią w milczeniu.

Wszystko coś mi przypomina. Kiedyś poszliśmy, wszystkie dzieci z podwórka, do parku. Trzeba było wyjść poza podwórko i obejść naokoło,

do najbliższej bramy, bo na murze było tłuczone szkło i drut kolczasty. Chodziliśmy pomiędzy drzewami i nagle Ania powiedziała, że chce jej się sikać. Miała sukienkę po kolana, taką niebieską w kwiatki. Ściągnęła majtki, kucnęła pod drzewem i zaczęła sikać, a myśmy patrzyli, choć nic nie było widać.

— Co się tak gapicie? Kobiety nigdy nie widzieliście, gówniarze? — zapytała, patrząc na nas z pogardą.

Tylko to pamiętam z tamtej wyprawy. Po co myśmy tam poszli? Może chodziło o to, że nam nie wolno? Dlaczego teraz mi się to przypomniało?

Czuję się bezpiecznie, nie boję się, że mnie zobaczy. I tak wie, że tu mieszkam. Widziała mnie pewnie kilka razy. Kiedy pies skończył jeść, kobieta kucnęła i zaczęła go tarmosić za uchem. Pies pochylił głowę i oddał się pieszczocie. Pomachałem i kobieta mnie zauważyła.

— Dziękuję! — powiedziałem.

Uśmiechnęła się i machnęła do mnie ręką. A potem zniknęła w bramie. Pies wrócił na swoje miejsce.

Nasłuchuję kroków na schodach, nasłuchuję przez cały dzień. Siedzę w swoim fotelu z uchem przy drzwiach. Żadnych szmerów. Lekko skrzypi niedomknięte okno na półpiętrze, ale wiatr jest dzisiaj lekki, więc nie trzaska. Jest tak cicho, że słyszę samochody, które co jakiś czas przejeżdżają ulicą.

Nie wiem, gdzie jestem. Jaka to ulica? Nie przyjrzałem się, kiedy brodziłem po krainie wód w zamkniętej części mieszkania. Pewnie z okna zobaczyłbym jakąś tabliczkę.

Nasłuchuję kroków na schodach, ale kobieta nie nadchodzi. Czekam cały dzień, nawet zapominam o jedzeniu. W słoiku po powidłach pozostał tylko zapach. Pyszna była ta kiełbasa wczoraj. W końcu usypiam i robi się wieczór.

Obudziłem się zupełnie sam na dźwięk pukania. Wokół mnie ciemno, więc zapaliłem światło i stanąłem, wsparty na kuli. Pukanie się powtórzyło.

— Jest pan tam? — to jej głos.

Chwila milczenia.

— Tak — odpowiedziałem i zacząłem otwierać moją twierdzę.

Po chwili staliśmy w progu, niepewni i niezdarni.

— Mogę wejść?

— Dziękuję za kiełbasę. Proszę.

Ona wchodzi, prowadzę ją do kuchni.

— Posprzątał pan — mówi ze zdziwieniem.

Na ramieniu ma płócienną torbę, z której wyjmuje wino, ser i słoik ogórków. Siadamy.

Mieszkanie jest puste, tylko ona i ja. Ma na imię Zosia, mieszka tu od dziecka. Nie wyprowadziła się, kiedy wysiedlali ludzi z kamienicy, urzędnicy machnęli ręką. Otwieram wino, gruzińskie, i nalewam do kieliszków.

— To bundz — mówi Zosia, pokazując na ser. — Kupiłam na Kleparzu.

Ogórki są małosolne, zawsze to jakaś odmiana. Siedzimy naprzeciw siebie. Zosia jest ładna. Odgarnia włosy i uśmiecha się. Ma na twarzy pierwsze zmarszczki, może nawet drugie. Głównie wokół oczu, kurze łapki od śmiechu. Jest ładna. Ubrana jest tak samo, jak rano. Na nogach ma klapki. Ładnie chodzi.

Czuję się bezpiecznie. Ostrożnie opowiadamy sobie o sobie, sączymy wino, zagryzamy bundzem. Jesteśmy sami w kamienicy, o której wszyscy zapomnieli. Każde z nas przeżyło swoje, ale nie zaczynamy znajomości od spowiedzi. Nie udajemy też lepszych, niż jesteśmy. Żadne z nas i tak się na to nie nabierze. Skończyliśmy po czterdzieści lat, bywało różnie. Ale żyjemy, jesteśmy zdrowi. Jest dobrze.

Boli mnie noga. Zosia schyla się i pomaga mi ją opatrzyć. Idzie do mojej sypialni i po chwili przynosi apteczkę.

— Była w szufladzie.

Opaską elastyczną bandażuje mi kostkę. Jest lepiej.

Czuję się bezpiecznie. Zosia znała poprzednich właścicieli. Stare małżeństwo, pani Maria i pan Jan, bardzo dobrzy ludzie. Eleganccy i uprzejmi. Mieli syna, potem synową. Syn odszedł od synowej, starsi

państwo zmarli i synowa została sama. Zosia opiekowała się panią Barbarą, kiedy u niej zdiagnozowali raka. Umarła na jej rękach. Ani mąż, ani dorosły syn nie pojawili się w tym czasie. Zosia nawet nie wie, gdzie mieszkają. Od tamtej pory mieszkanie stoi puste. Zosia zna tu każdy kąt, przychodziła tu wiele razy, a w okresie umierania pani Barbary nawet zostawała na noc. Ma klucze, ale może mi je zostawić. Potem była tu tylko raz, kiedy zobaczyła, że ktoś wybił szyby w oknach od ulicy. To ona przesunęła szafę, żeby ochronić tę część mieszkania.

— Już wtedy były tu koty. Przyszły po gałęziach — mówi Zosia i wypija łyk wina.

— Chyba mogę tu zamieszkać? — pytam.

— A chcesz? — uśmiecha się Zosia.

Boli mnie noga, ale trochę mniej. Jest dobrze. Lubię Zosię. Tak od pierwszego razu. Wiem, że jest dobra. Uśmiecha się do mnie. Jedną stopę trzyma na siedzisku krzesła i opiera policzek o kolano. Jest zamyślona, odgarnia opadające na twarz włosy. Milczymy, jest dobrze. Jest ładną kobietą. Dolewam wina.

Mieszkanie jest puste, ale Zosia odwiedza mnie codziennie. Kiedyś przyniosła zakupy i ugotowała nasz pierwszy wspólny obiad. Zapachy kuchenne wypełniły mieszkanie po raz pierwszy od lat. Zrobiła kotlety mielone z ziemniakami. Ja przygotowałem mizerię. Wszystko było pyszne. Kiedy ostatnio jadłem taki dobry obiad? Nie pamiętam. Wiem, że było to bardzo dawno.

Nasłuchuję kroków na schodach, bo nie mogę się doczekać kolejnej wizyty Zosi. Przychodzi o różnych porach. Raz przyprowadziła starego psa z podwórka. Dobra, poczciwa suka. Rozłożyłem jej koc w przedpokoju, obok maszyny do szycia.

— Może u mnie zostać — powiedziałem.

— Lepiej nie, coraz trudniej jej chodzić po schodach.

Dużo rozmawiamy. Dawno nie rozmawiałem z drugim człowiekiem tak szczerze. Ostatnio szczerze rozmawiam z samym sobą. Nie zwierzamy się, raczej opowiadamy anegdoty z naszego życia. To dużo lepsze. Z wolna poznaję historię tej kamienicy i ludzi, którzy od dawna nie żyją.

Czuję się bezpiecznie.

— Chyba mogę tu zamieszkać? Chcę. — powiedziałem jej kiedyś przy obiedzie.

Był barszcz zabielany i bitki. Zosia dobrze gotuje.

Obudziłem się zupełnie sam, Zosia dzwoniła do drzwi. Zerwałem się, pobiegłem, kuśtykając. Z nogą lepiej. Otwarłem, a w progu Zosia, na głowie kapelusz zrobiony z gazety, w ręku pędzel.

— Kupiłam farbę, pomalujemy kuchnię. Skoro chcesz tu mieszkać, to trzeba coś z tym zrobić.

Szybko zjadłem śniadanie i wzięliśmy się do roboty. Słoneczny, żółty kolor, będzie radośnie. Malowaliśmy cały dzień. Po krótkim namyśle obrazek nad drzwiami wziąłem w ramki i tak go zostawiliśmy.

— To malował mąż pani Barbary — wyjaśniła Zosia.

Trochę pochlapaliśmy meble, ale niedużo.

Boli mnie noga, ale już nie bardzo. Czasem się odzywa, ale dzień malowania, skakania po drabinie i stołkach zniosła bardzo dobrze. Zosia codziennie bandażuje mi kostkę na nowo.

Czuję się bezpiecznie. Malowanie było przyjemne. Żartowaliśmy. Zosia podeszła do mnie i zrobiła mi na nosie kropkę z farby. Zrobiłem to samo. Zaczęliśmy się śmiać. Potem dorysowałem jej wąsy, a ona mi tonsurę na ogolonej głowie. Patrzyliśmy na siebie inaczej niż zwykle.

Czuję się bezpiecznie. Uprzątnęliśmy wszystko, teraz się wietrzy. Zosia coś gotuje, chyba będzie leczo. Ja leżę w wannie i zmywam z siebie resztki farby.

Chyba mogę tu zamieszkać, pytałem sam siebie, kiedy zapukała Zosia.

— Długo jeszcze?

— Jeszcze chwila.

Zosia nacisnęła klamkę i weszła.

— Obiad gotowy — powiedziała i zaczęła się rozbierać. Tak naturalnie, jakby była sama. A potem wskoczyła do wanny i zabrała mi gąbkę, którą

zresztą sama kupiła. Nasze nogi się stykały, woda była pełna mydlin. Zosia, nie patrząc na mnie, umyła się dokładnie, zmyła wąsy z farby, a potem wstała, by się opłukać. Też wstałem i zaczęliśmy się całować. Woda rozchlapywała się na całą łazienkę, w dole kłębiły się mydliny, a my staliśmy mokrzy, nadzy, przytulając się do siebie po raz pierwszy.

Czuję się bezpiecznie. Obok leży Zosia, kochaliśmy się długo i spokojnie, i nie chcieliśmy, by to się skończyło. Łóżko jest trochę wąskie, ale nam to nie przeszkadza. Obiad wystygł.

— Ale jesteś chudy.

— A ty piękna.

— Nie, Bartek, nie jesteśmy piękni. Ale to nie ma znaczenia.

Jest cudownie.

Wydawało mi się, że umarłem. A znalazłem dom, Zosię i spokój. Boję się, że za chwilę to wszystko stracę, że to zniknie. Zosia mnie pociesza. Będzie dobrze, jutro mamy iść na spacer. Ubiorę garnitur na specjalne okazje i pójdziemy na Planty, i na Rynek, Zosia zaprosi mnie na kawę i ciastko. Będziemy jak normalni ludzie, nikt nas nie rozpozna. Jemy obiad i patrzymy na siebie znad talerzy. Porcje znowu stygną.

Czuję się bezpiecznie. Tej nocy Zosia zostaje u mnie. Leżymy przytuleni i długo rozmawiamy. Są takie noce, kiedy nie chce się spać. Myślałem, że dla mnie one dawno już minęły. Wiem, że chcę tu zamieszkać.

— Tu będzie nasz dom — szepczę Zosi do ucha, a ona potakuje w milczeniu.

— Zosiu? A jak tu przyjdą urzędnicy i spytają, co tu robię? Co im wtedy powiem?

— Prawdę, a wtedy na pewno zostawią cię w spokoju — odpowiada, patrząc mi głęboko w oczy. — Po prostu powiesz im, że jesteś ostatnim królem Polski.

Fuga VIII - niedokończona

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i jestem starcem. Nie opuszczam mieszkania od lat. Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Dobra pani Zosia odwiedza mnie dwa razy w tygodniu. Noga boli bez przerwy. Jestem taki samotny.

Jestem starcem, zgorzkniałym i złośliwym. Nie trzeba mi tego przypominać, bo wiem to aż za dobrze.

Nie opuszczam mieszkania od lat. Jeżdżę po pokojach na wózku, ale przestałem wychodzić, kiedy jeszcze mogłem się poruszać bez jego pomocy.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Wszędzie pełno przedmiotów, które zmuszają moją pamięć do pracy. Wszystko coś mi przypomina, nie mam chwili spokoju.

Noga boli bez przerwy.

Jestem taki samotny.

Dobra pani Zosia odwiedza mnie dwa razy w tygodniu.

Jestem starcem i to budzi moje obrzydzenie. Kiedy patrzę na swoje nagie ciało w lustrze, wyglądam, jakby czyjś szkielet obciągnięto za dużą skórą, zdartą z kogoś innego. Nie moja skóra, nie mój szkielet.

Dobra pani Zosia odwiedza mnie w poniedziałki i w piątki.

Jestem taki samotny. Powinienem już umrzeć.

Dobra pani Zosia jest dla mnie dobra.

Nie opuszczam mieszkania od lat. Nie potrzebuję tego. Nie interesuje mnie, co się dzieje na zewnątrz. Nie czytam gazet, nie oglądam telewizji.

Dobra pani Zosia robi mi zakupy, chwilę rozmawiamy, a potem wraca do swojego życia.

Jestem starcem i pewnie wydzielam ten nieprzyjemny zapach starości. Sam go nie czuję.

Dobra pani Zosia raz w tygodniu sprząta moje mieszkanie. Sama decyduje, co trzeba zrobić. Ja już tego nie widzę, nie potrzebuję. Dobra pani Zosia przychodzi, rozgląda się uważnie i mówi, że trzeba zetrzeć kurze albo zamieść podłogę. Mnie to nie przeszkadza, patrzę.

Noga boli bez przerwy, ale się przyzwyczaiłem.

Dobra pani Zosia zna moje mieszkanie nie gorzej ode mnie. Tyle razy przekładała wszystkie rzeczy, starannie wycierając je flanelową szmatką. Czasem otworzy jakąś książkę i się zaczyta.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Najlepiej pamiętam wydarzenia sprzed lat. Potrafię przywoływać całe obrazy, pełne ludzi i szczegółów.

Dobra pani Zosia wie, co lubię, i nie muszę jej sporządzać listy zakupów. Kupuje mi najlepszą szynkę i najlepszy chleb, najlepszy ser i jabłka; dobra pani Zosia.

Nie opuszczam mieszkania od lat. Pewnego dnia postanowiłem, że nie wyjdę stąd nigdy więcej. I tak się stało.

Dobra pani Zosia chyba bała się mnie na początku. Kiedy przyszła po raz pierwszy, popatrzyła na mnie z lękiem. Jestem brzydkim, pomarszczonym starcem, nie pachnę już ładnie. Pewnie myślała, że jestem złośliwy i zgryźliwy.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Wszędzie pamiątki i zdjęcia oprawione w ramki i ustawione na szafkach, stolikach i półkach. Zewsząd patrzą na mnie twarze ludzi, których kiedyś znałem.

Dobra pani Zosia ma rację, że jestem zgryźliwy i złośliwy. Ale przed nią zawsze się powstrzymywałem. Lubimy się; tak myślę.

Noga boli bez przerwy. Muszę żyć z tym bólem, nie mam wyjścia.

Dobra pani Zosia pojawiła się w moim życiu tak nagle. Z początku nie potrafiłem się przyzwyczaić. Obca kobieta w moim domu, nie znam jej, nie wiem, kim jest. Tylko na początku była spięta, po dwóch tygodniach chodziła po pokojach tak pewnie, jakby mieszkała tu od lat. Ciągle mówi i się śmieje. Zmieniła mój cichy świat. Nie lubiłem tego, ale teraz się cieszę.

Nie opuszczam mieszkania od lat. Godzinami siedzę w oknie i widzę dzieci bawiące się na podwórku.

Dobra pani Zosia nie gotuje mi tylko dlatego, że powiedziałem jej, że nie potrzebuję. Potrzebuję, ale nie chcę prosić. To kłopot, a wiem, że nie potrafiłaby odmówić; dobra pani Zosia.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Nie mogę się od nich uwolnić. A mimo to wszystko mi się miesza. Czasem patrzę kwadrans na jakieś zdjęcie, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie zostało zrobione. Z trudem rozpoznaję siebie, młodego i uśmiechniętego.

Dobra pani Zosia myśli, że nie lubię ciepłych posiłków. Na ciepło jadam tylko parówki. Mało jem, coraz mniej, jak ptaszek.

Noga boli bez przerwy.

Dobra pani Zosia pewnie gotowałaby mi pyszne obiady, gdyby tylko wiedziała.

Nie opuszczam mieszkania od lat i godzinami siedzę w oknie. Naprzeciw mieszka młoda sąsiadka, która przebiera się przy odsłoniętych firankach i nago chodzi po pokoju. Próbuję ją podglądać, ale nie widzę jej dobrze. Mam lornetkę, ale nie wiem, gdzie ją schowałem. Patrzę więc na jej sylwetkę i wyobrażam sobie kobiece ciało. Nie można tego nawet nazwać podglądaniem.

Dobra pani Zosia przychodzi od lat. Skąd się wzięła? Nie pamiętam dobrze. Może poleciła ją pani Ania, kiedy kończyła naszą współpracę. Pani Ania musiała wyjechać, ale zostawiła numer telefonu pani Zosi.

Jestem taki samotny. Teraz tylko czekam na śmierć.

Dobra pani Zosia jest ładna, niemłoda i wesoła.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Wokoło mnie pełno duchów osób, które dawno temu żyły w tym mieszkaniu. Czegoś ode mnie chcą, próbują się narzucać mojej pamięci. Ale jest za późno, wszystko mi się miesza.

Dobra pani Zosia nie widzi we mnie mężczyzny.

Jestem starcem i wiem, że dzieci się mnie boją. Kiedy wytaczam swój wózek na balkon, milkną rozmowy, a maluchy chowają się w kąt podwórka. Co o mnie myślą? Czy opowiadają o mnie jakieś niesamowite historie? Może jestem dla nich mitycznym starcem, który strzeże swego skarbu ukrytego w wielkim mieszkaniu? Może rodzice opowiadają im o mnie dziwne legendy? Czy ludzie jeszcze potrafią opowiadać legendy? Może nic nie opowiadają, tylko wzruszają ramionami i mówią:
— Biedny, stary człowiek.

Dobra pani Zosia nie widzi we mnie mężczyzny, ale ja też się już nim nie czuję.

Jestem taki samotny. Miałem psa, starą sukę Azę. Ale zdechła niedawno. Zostawiła mnie.

Dobra pani Zosia nie widzi we mnie mężczyzny. Opowiada mi o swoim życiu tonem, jakim kobiety rozmawiają tylko między sobą.

Noga boli bez przerwy. Prawie nie wstaję z wózka, czasem podejdę tylko kilka kroków.

Dobra pani Zosia opowiada mi o swoim życiu, nie przerywając sprzątania. Słucham w milczeniu, a ona nie potrzebuje moich potakiwań. Nie patrzy na mnie, tylko szoruje podłogę albo poleruje klamki. I mówi.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Jestem ostatni, który może opowiedzieć, co tu się wydarzyło. Reszta już nie żyje. Jestem ostatni, ale nie potrafię. To nie jest kwestia sklerozy. Ja po prostu nie potrafię tego wszystkiego opowiedzieć.

Dobra pani Zosia opowiada mi o swoim życiu, nie przerywając sprzątania. Wiem o jej miesiączkach i innych bólach. Wiem, co lubią jej kolejni kochankowie, bo dobra pani Zosia często się zakochuje.

Nie opuszczam mieszkania od lat. Czasem brakuje mi tego, ale nie mogę się nad sobą rozczulać.

Dobra pani Zosia często się zakochuje, a ja słucham w milczeniu historii jej miłości. Wiem, który mężczyzna lubił ustami, a który lubił do ust, wiem, który się nie mył, a który płakał po współżyciu.

Jestem taki samotny. Wszystko, co prawdziwe, działo się w moim życiu tak dawno. Teraz żyję cudzym życiem, wyssanym z pokładów pamięci, dawnych złóż, które do dziś dostarczają mi surowca.

Dobra pani Zosia pokazuje mi ich zdjęcia, które często zmieniają się w przegródce portfela. Wiem dużo o pani Zosi. Ma w sobie wiele miłości.

Noga boli bez przerwy. Nie pamiętam już, jak to jest żyć bez bólu. A to był przecież zwykły upadek ze schodów, kto by pomyślał.

Dobra pani Zosia dowiedziała się o mnie od pani Ani. Czy pani Ania powiedziała jej, dlaczego postanowiła przestać mi pomagać? Mam nadzieję, że nie.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Historie przeplatają się ze sobą, tworzą supły i kłęby, pozwalam im na to.

Dobra pani Zosia raz w tygodniu robi mi kąpiel.

Jestem starcem, na wózku przemieszczam się po wielkich pokojach. Po co mi takie mieszkanie? Tyle pomieszczeń, z których nie potrafię korzystać. Ale tu umrę, nie zniósłbym przeprowadzki.

Dobra pani Zosia robi mi kąpiel, ale na początku nie robiła. Po kilku miesiącach spytała, czy jeszcze radzę sobie z myciem. Odpowiedziałem, że już nie.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Dobrze mi z nimi. Nie wiem, czy są prawdziwe, czy też otaczają mnie duchy mej wyobraźni. Nie ma już nikogo, kto mógłby mi pomóc. Wszyscy nie żyją albo odeszli. Nie znam numerów ich telefonów.

Dobra pani Zosia raz w tygodniu robi mi kąpiel. Najpierw rozkłada ręcznik na dnie wanny, żebym się nie poślizgnął. Potem ustawia na środku plastikowy taboret. Potem pomaga mi się rozebrać. Na początku trochę się wstydzę, bo pachnę niełądnie, jak stary człowiek.

Jestem taki samotny. Dobrze, że niedługo umrę.

Dobra pani Zosia nigdy mi nie powiedziała, że śmierdzę.

Noga boli bez przerwy. Muszę jednocześnie myśleć i zaciskać zęby. Chyba tylko dlatego nie zacząłem mówić sam do siebie.

Dobra pani Zosia pomaga mi wejść do wanny i usiąść na taborecie. Jest mi trochę twardo, ale wiem, że trzeba. Najbardziej lubię, kiedy dobra pani

Zosia puszcza wodę, sprawdza na przedramieniu, czy nie za gorąca, i prysznicem łagodnie obmywa moje ciało. Wiem, że jestem brzydki.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Tu mogę wszystko. Jestem królem tego domu, królem tej kamienicy, tego miasta; jestem królem Polski. I tak nikt mi nie uwierzy.

Dobra pani Zosia bierze gąbkę i starannie namydla moje ciało. Muszę wstać, ale chwytam się kaloryfera i jakoś stoję. Szoruje mnie w milczeniu, mydliny spływają na mokry ręcznik. Wiem już, kiedy trzeba wstać, kiedy się obrócić, a kiedy przykucnąć.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami, bo nic innego nie mam.

Dobra pani Zosia na koniec bierze w dłoń mój penis i delikatnie namydla go, już nie używając gąbki. Łagodnie odciąga napletek i myje mnie wszędzie. Potem ostrożnie dotyka moszny. Często przysiada wtedy na brzegu wanny. Nie mówimy nic.

Noga ciągle boli, ale nie skarżę się; nie mam komu.

Dobra pani Zosia starannie spłukuje ze mnie mydliny, a potem delikatnie wyciera w pulchny ręcznik. Pamiętam, że tak robiła moja mama, dawno temu. Pomaga mi się ubrać i sadza na wózku.

Nie opuszczam mieszkania od lat. Po co?

Dobra pani Zosia na początku myła mnie w lateksowych rękawiczkach. Zakładała je przed każdą kąpielą i wyrzucała do kosza po skończonej czynności. Nie dziwiło mnie to ani nie przeszkadzało.

Jestem taki samotny.

Dobra pani Zosia kiedyś nie ubrała rękawiczek. Kiedy myła moje genitalia, zapytała tylko:

— Nie przeszkadza to panu?

Odpowiedziałem, że nie.

Jestem starcem. Ona jest młodsza ode mnie dwa razy, a sama wzdycha, że już nie jest młoda. Co mam jej powiedzieć?

Dobra pani Zosia niewiele mówi podczas kąpieli. Jest skupiona i poważna. Czasem tylko zapyta o to, czy się dobrze czuję. Pewnie znajduje na moim ciele różne zmiany, które ją niepokoją.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Kiedyś myślałem, że wszystko spiszę. Opowiem po kolei, jak było naprawdę. Ale nie potrafię. Bo jak można opowiedzieć życie, nawet swoje? Jak można opowiedzieć choćby jeden rok, albo nawet dzień?

Dobra pani Zosia nigdy poza łazienką nie wraca do tematu kąpieli. Jedna pani Zosia mnie myje, inna rozmawia ze mną w kuchni albo salonie; dobra pani Zosia, dobre panie Zosie.

Noga ciągle boli. Wszystko przez ten głupi wypadek. Wszystko się skończyło.

Dobra pani Zosia dowiedziała się o mnie od pani Ani. Czy pani Ania powiedziała jej, dlaczego postanowiła przestać mi pomagać? Jeżeli nawet, to nie ma już żadnego znaczenia.

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i kiedyś byłem kimś ważnym.

Dobra pani Zosia goli mnie po kąpieli. Nie chcę wyglądać jak prawosławny mnich. Goli mi też resztkę włosów na głowie. Używa jednorazowych maszynek. Ma wprawę, nigdy mnie nie zacięła.

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i kiedyś byłem kimś ważnym, ale ci, którzy tak myśleli, już dawno odeszli.

Dobra pani Zosia pracuje w biurze, a do mnie przychodzi popołudniami, w poniedziałek i w piątek. Płacę jej co miesiąc z mojej

emerytury. Kiedyś przed Świętami dałem jej w prezencie komplet srebrnych łyżeczek, jeszcze przedwojennych. Z początku nie chciała przyjąć, ale wytłumaczyłem, że nie zabiorę tego wszystkiego do grobu. Od tamtej pory daję jej drobne upominki: starą biżuterię, pamiątki rodzinne, książki w eleganckich oprawach. Nigdy nie rozmawiamy o pieniądzach.

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i kiedyś mogłem być kimś ważnym, ale mi nie wyszło.

Dobra pani Zosia pracuje w biurze. Często opowiada mi o swoich koleżankach, siedzą we trzy w niewielkim gabinecie i pracują nad jakimiś dokumentami. Pani Zosia zajmuje się substancją miejską. Nie wiem do końca, o co w tym chodzi.

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i mogłem zostać kimś wielkim. Ale dlaczego miałoby mi się udać?

Dobra pani Zosia pracuje w biurze. Ciekawe, czy opowiada swoim koleżankom o mnie, tak jak mnie relacjonuje ich rozmowy? Pewnie tak, bo dobra pani Zosia lubi mówić. Kim jestem w tych opowieściach? Miłym starszym panem, śmierdzącym zrzędliwym staruchem czy żywym trupem na wózku? Cokolwiek o mnie opowiada, i tak czuję, że mnie lubi. Nawet jak zabawi się moim kosztem z koleżankami. Przecież i tak o tym nie wiem.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Próbowałem je kiedyś spisać. Ale jak można spisać czyjeś życie?

Dobra pani Zosia niczego nigdy mi nie ukradła. Tyle się słyszy o kobietach, które pod pozorem pomocy okradają starszych ludzi. Na początku trochę się bałem. Ale wiem, że nigdy by tego nie zrobiła.

Jestem starcem, przeżyłem prawie sto lat, i po tym wszystkim nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, kim jestem. Jestem tymi wszystkimi Bartłomiejami, którymi byłem, i tymi wszystkimi, którymi nie byłem, ale bardzo chciałem. Jak można opowiedzieć życie?

Dobra pani Zosia lubi moje mieszkanie. Mówi, że jest duże i jasne. Kiedyś po skończonych porządkach opadła na fotel i powiedziała:

— Chciałabym kiedyś tu mieszkać…

Ale zaraz się poprawiła i dodała:

— Przepraszam, nie to miałam na myśli.

Lubię ją bardzo i zapiszę jej to mieszkanie. Komu innemu je zostawię? Zmieniłem testament, ale ona o niczym nie wie. I dobrze. Nie chcę, by czuła się skrępowana.

Nie opuszczałem mieszkania od lat. Żartuję, że wyjdę stąd tylko w trumnie. Żartuję sam ze sobą, bo dobra pani Zosia chyba nie lubi takich żartów. I tak wie, że niedługo umrę.

Dobra pani Zosia wie, że niedługo umrę, ale tego nie mówi. Woli opowiadać o swoim życiu.

Noga ciągle boli. To jest moje najżywsze wspomnienie. Ale czy jestem bólem nogi?

Dobra pani Zosia ma klucze do mojego mieszkania. Tak jest wygodniej. Czasem mówię jej, że to na wypadek mojej śmierci.

— To pani mnie znajdzie pierwsza.

Dobra pani Zosia nie oburza się, nie udaje, że przeczy, nie obraca tego w żart: no co też pan. Dobra pani Zosia odpowiada:

— Wiem, panie Bartłomieju.

Jestem starcem, ale nikogo to nie interesuje. Nikogo nie interesuje moje życie, moje wspomnienia. Po co zatem cokolwiek spisywać?

Dobra pani Zosia czasem przyniesie ciastka z cukierni, bardzo lubi pączki. Wtedy siadamy razem i przy kawie rozmawiamy o błahostkach. Pytam ją, co się dzieje w Krakowie, bo przez wiele lat nie wychodziłem poza dom.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Teraz patrzę, jak one gasną. Poprosiłem dobrą panią Zosię, by pochowała fotografie. Obserwowałem,

jak wyjmuje je z ramek, ramki chowa do jednego pudła, a zdjęcia do drugiego. Nie patrzyła nawet na twarze tych wszystkich ludzi, bo ich nie znała.

Dobra pani Zosia jest ładną kobietą. Kiedyś musiała być piękna. Teraz widać na jej ciele zmęczenie. Ma lekką nadwagę, ale to nic. Złapałem się na tym, że coraz bardziej mi się podoba.

Nie opuszczam mieszkania od lat. Kiedy dobra pani Zosia zapytała mnie dlaczego, nie potrafiłem odpowiedzieć. Kiedyś tak postanowiłem i już. Jakie to teraz ma znaczenie? Moje stare postanowienie, którego powodów nawet nie pamiętam.

Dobra pani Zosia jest ładną kobietą. Poprosiłem ją kiedyś, by pokazała mi swoje zdjęcie z młodości. Zarumieniła się i powiedziała:

— E, nie ma na co patrzeć.

I wróciła do porządkowania kredensu.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Po co?

Dobra pani Zosia chciała mnie zabierać na spacery, ale jest za słaba. Nie poradziłaby sobie ze zniesieniem mojego wózka. Ale czasem siadamy na balkonie. Opowiadam jej o kamienicy i jej dawnych mieszkańcach; nowych nie znam.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. O nich nie opowiadam dobrej pani Zosi, bo nie ma o czym. Musiałaby słuchać, a pewnie nie chce. Bolałoby mnie, że nie słucha, więc lepiej w ogóle nie opowiadać.

Dobra pani Zosia rzadko przychodzi poza wyznaczonymi godzinami. To dobrze, każde z nas ma swoje życie. Ja już własnego nie mam, ale to nie powód, żeby okradać dobrą panią Zosię z jej. Przed wieczorem żegna się, zamyka drzwi na klucz i wraca do swojego mieszkania, do swoich mężczyzn. Rano pójdzie do biura, będzie plotkowała z koleżankami. Tak jest dobrze.

Wypełniłem ten dom wspomnieniami. Teraz chcę je wszystkie wymazać. Zniknęły fotografie, proszę panią Zosię o chowanie porozstawianych wszędzie pamiątek. Mówię, że się tyko kurzą, a dobra pani Zosia to rozumie.

Dobra pani Zosia czasem przychodzi zmęczona albo smutna. Wtedy niewiele mówi, upina włosy pod chustką, którą nakłada na czas sprzątania, i w milczeniu ściera kurze z mebli. Patrzę na nią i też milczę.

Jestem starcem. Niedługo umrę, mam prawie sto lat. Jak to się wydarzy? Nie mam kogo spytać.

Dobra pani Zosia nie nosi stanika. Podejrzewałem to od dawna, choć nie miałem pewności. Niezręcznie było mi zapytać, więc tylko się przyglądałem.

Jestem starcem, coraz gorzej widzę, coraz gorzej słyszę, coraz więcej mi się wydaje. Coraz mniej wiem, co się dzieje wokół mnie.

Dobra pani Zosia nie nosi stanika. Ostatecznie potwierdziłem to podczas mycia okien. Dobra pani Zosia balansowała na parapecie, prześwietlona słońcem. Patrzyłem, jak jej piersi kołyszą się w rytm ruchów.

Wypełniłem ten dom moimi wspomnieniami. Dobrze, że dobra pani Zosia potrafi również je posprzątać.

Dobra pani Zosia chyba zauważyła, że na nią patrzyłem, bo uśmiechnęła się do mnie inaczej niż zwykle.

— Często pan wygląda przez okna, panie Bartłomieju? — spytała z parapetu.

Odpowiedziałem, że tak.

— To muszę się postarać, żeby były czyste — odparła i myła dalej.

Noga ciągle boli. Tak bardzo, że nie mam siły wspominać. Zresztą wszystko mi się już miesza.

Dobra pani Zosia robi zdjęcia telefonem komórkowym i pokazuje mi je po przyjściu. Dzięki nim widzę, jak zmienia się mój Kraków. Pałace i kamienice pięknieją, nad lokalami pojawiają się nowe szyldy, ludzie ubierają się inaczej. Lubię uchwycone przypadkiem w kadrze dziewczęta w letnich sukienkach. Dobra pani Zosia wie o tym dobrze. Znamy się kilka lat.

Nie opuszczam mieszkania od lat. Proszę dobrą panią Zosię, by mi opowiadała o tym, co się dzieje na zewnątrz. Ale niespecjalnie mnie to interesuje. Raz przysnąłem i dobrej pani Zosi musiało być przykro.

Dobra pani Zosia przyszła z zakupami w poniedziałek po tamtym myciu okien. Włożyła do lodówki wędlinę i nabiał, a potem sprawdziła, czy nie trzymam czegoś przeterminowanego. Zawiązała worek ze śmieciami i wystawiła za drzwi. Obeszła mieszkanie, pytając, czy czegoś mi nie brakuje. Siedziałem w salonie, na parkiecie było pełno słońca.

— Dzisiaj nie będę myć okien, ale mogę zrobić coś innego — powiedziała dobra pani Zosia.

Stanęła metr od mojego wózka i spokojnie rozpięła bluzkę. Rozchyliła materiał, a ja patrzyłem na jej piersi. Były piękne. Potem ubrała się, uśmiechnęła i poszła.

Jestem starcem i niewiele mam w życiu radości.

Dobra pani Zosia zawsze na pożegnanie pozwala mi popatrzeć na swoje piersi. Tylko patrzę; dobra pani Zosia.

Jestem starcem i niedługo umrę. Czy śmierć wygląda jak dobra pani Zosia?

Dobra pani Zosia ma klucze do mojego mieszkania. W poniedziałki i piątki czekam na jej przyjście. Nie słyszę już kroków na schodach, ale potrafię rozpoznać zgrzyt zamka. Czasem dobra pani Zosia przychodzi nieco spóźniona i wtedy jestem trochę zdenerwowany.

Nazywam się Bartłomiej Chochoł i to chyba wszystko, co mam na swój temat do powiedzenia.

Dobra pani Zosia przekręca klucze w zamku i wita się głośno. Odpowiadam, że jestem w kuchni albo w salonie.

— To dobrze — mówi z ulgą dobra pani Zosia.

Dopiero wtedy odstawia na podłogę torby z zakupami, ściąga płaszcz i buty. Pantofle już na nią czekają.

Nazywam się Bartłomiej… Ktoś puka, muszę otworzyć. To chyba nie jest –

Kraków, sierpień–grudzień 2011